DARYL GREGORY

Objawicielka

OBJAWICIELKA

Daryl Gregory

Przełożył
Robert Waliś

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2023

Spis treści

Rozdział 1. 1933
Rozdział 2. 1948
Rozdział 3. 1933
Rozdział 4. 1948
Rozdział 5. 1936
Rozdział 6. 1948
Rozdział 7. 1936
Rozdział 8. 1948
Rozdział 9. 1936
Rozdział 10. 1948
Rozdział 11. 1936
Rozdział 12. 1948
Rozdział 13. 1937
Rozdział 14. 1948
Rozdział 15. 1938
Rozdział 16. 1948
Rozdział 17. 1938
Rozdział 18. 1948
Rozdział 19. 1938
Rozdział 20. 1948
Rozdział 21. 1938
Rozdział 22. 1948
Rozdział 23. 1938
Rozdział 24. 1948
Rozdział 25. 1938
Rozdział 26. 1948
Rozdział 27. 1938
Rozdział 28. 1948
Podziękowania
O autorze

Tytuł oryginału: *Revelator*

Copyright © 2021 by Daryl Gregory
Copyright for the Polish translation © 2023 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Sylwia Sandowska-Dobija
Korekta: Elwira Wyszyńska, Magdalena Górnicka
Ilustracja na okładce: Dark Crayon
Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
Pl. Konstytucji 5/10
00-657 Warszawa
www.mag.com.pl

ISBN 978-83-67353-95-3
Wydanie II

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o. o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Maz.
tel. 227 335 010
www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Dla mojego taty, Darrella Gregory'ego,
który nauczył mnie kochać Cades Cove

Skoro przemówiło siedem gromów, zabrałem się do pisania, lecz usłyszałem głos mówiący z nieba: „Zapieczętuj to, co siedem gromów powiedziało, i nie pisz tego!”.

Apokalipsa św. Jana 10,4

Gdyby tak wszystkich ludzkich synów
w tym samym miejscu zebrać wraz,
mógłbym samotną łzę uronić,
nim nastałby rozstania czas.

Little Brown Jug
Josepha Eastburna Winnera

1

1933

Stella Wallace poznała Boga swojej rodziny, gdy miała dziewięć lat. Później nie potrafiła powiedzieć, dlaczego nie uciekła, kiedy go zobaczyła. Nie chodziło o to, że sparaliżował ją strach albo doznała szoku, gdy podniosła na niego wzrok. Poczuła coś innego. Może podziw. Zachwyt tak dogłębny, że przypominał uwielbienie.

Tata powiedział, że przyszła na świat w kotlinie, ale wyprowadzili się, gdy była jeszcze malutka, więc tego nie pamiętała. Jej mama również się tam urodziła, a potem wróciła, by tam umrzeć, gdy zachorowała. Tata nie opowiadał Stelli dużo więcej na ten temat. Był cichym człowiekiem, tuzin słów starczał mu na wiele dni, jakby był wielbłądem wędrującym przez pustynię. Poprzedniego dnia spędzili razem dwanaście godzin w pickupie jadącym z Chicago do Lexington, a rankiem przez kolejne cztery godziny przemierzali góry, ale przez całą drogę odzywał się tylko samochód, którego silnik wył na podjazdach, a hamulce narzekały podczas jazdy w dół. Potem pokonali najbardziej stromy odcinek prowadzący na szczyt Rich Mountain. Na przełęczy tata zjechał na żwirowy punkt widokowy. Wlał trochę wody do stukającej chłodnicy forda, a następnie skręcił sobie papierosa. Stella podkradła się do krawędzi urwiska i popatrzyła na kotlinę, która rozpościerała się pod nimi niczym zielony basen.

– To tutaj? To jest ta kotlina?

Tata pokiwał głową.

– Gdzie jest dom Motty?

Ojciec zmrużył oczy. Pomyślała, że zadała głupie pytanie. Pewnie stąd go nie widać. Nie spodziewała się odpowiedzi, ale po chwili tata wskazał papierosem w stronę wysokiej góry na wschodzie.

– Tam jest Thunderhead. A tam… – Koniec papierosa przesunął się na południe i wskazał wysokie, zaokrąglone wzniesienie. – Tam jest twoja góra. Birch Bald.

Moja góra, pomyślała. Nie jego.

– Motty mieszka poniżej.

Podążyli krętą drogą w głąb kotliny, jasnej i ciepłej niczym miska pełna światła. Tata skręcił w naznaczoną koleinami drogę, a w końcu zatrzymał się na trawiastej polanie przed białym domem o blaszanym dachu. Tuż obok stała szara, niemalowana stodoła; była lekko pochylona, jakby opierała się przed silnym wiatrem. Ojciec przez długą chwilę wpatrywał się w dom, a potem westchnął i przeczesał dłonią czarne włosy.

Na werandę wyszła siwowłosa kobieta. Miała chudą szyję, grube ręce i bezbarwną sukienkę. Nos długi jak dziób sokoła. Trzymała w dłoni puszkę fasoli, jakby właśnie ją otworzyła.

– No – odezwał się tata.

Wysiadł z samochodu, a Stella podążyła za nim.

Kobieta była stara, a jej skórę, podobnie jak u Stelli, znaczyły czerwone plamy, tak że jej policzek, szyja i ręce przypominały mapę jakiegoś wyspiarskiego imperium. U staruszki plamy były ciemne, podczas gdy u Stelli miały jaskrawoczerwony kolor, ale nie dało się nie zauważyć podobieństwa. Łączyła je taka sama skóra.

Kobieta gestem zachęciła Stellę do podejścia. Dziewczynka zerknęła na ojca, ale on patrzył na wzgórza, zupełnie jakby był sam.

Staruszka chwyciła Stellę za podbródek, przechyliła jej głowę i przyjrzała się wykwitom czerwieni. Stella płonęła z zażenowania. Kiedy tylko mogła, zakrywała ręce i nogi, ale nie była w stanie ukryć znaków na szyi i twarzy. Nauczyła się nie patrzeć nieznajomym w oczy, ponieważ bała się zobaczyć w nich odrazę.

– Jesteś jedną z Birchów, nie ma wątpliwości – orzekła Motty. Następnie obróciła nadgarstki Stelli i zbadała jej dłonie.

– Nigdy ciężko nie pracowała, jeśli nad tym się zastanawiasz – odezwał się tata. – Pozwalałem jej chodzić do szkoły.

Staruszka stęknęła.

– Miejska dziewucha.

– Zostań tutaj – odezwał się tata do Stelli. – Motty i ja… musimy zamienić kilka słów.

Kilka słów. To i tak dużo jak na ojca. Weszli po schodach na werandę i zniknęli w domu.

Po dziesięciu minutach opędzania się przed komarami Stella również wspięła się na werandę. Ostre głosy zatrzymały ją przed drzwiami z moskitierą. Taty i Motty nie było w pokoju od frontu, pewnie przeszli w głąb domu. Zastanawiała się, czy nie usiąść na huśtawce na werandzie, ale nie chciała robić hałasu. Pragnęła zniknąć.

Okrążyła dom i znalazła całą dzielnicę wąskich szarych budynków. W pierwszym wisiała spętana sznurkami niczym jeniec szynka. Okazało się, że rząd miniaturowych mieszkań zajmują kury. Potem zobaczyła trzy drewniane skrzynie, których przeznaczenia nie potrafiła odgadnąć. Dalej stała wąska szopa o drzwiach w ludzkim rozmiarze. Zanim je otworzyła, poczuła smród gówna. Wychodek. Z przerażeniem patrzyła na dziurę w ławce. Zmieściłaby się w niej cała. Chyba nie oczekiwali, że będzie nad nią kucać? Gdyby wpadła, nigdy by się nie wydostała! No i gdzie jest papier toaletowy? Na ławce leżał tylko katalog sprzedaży wysyłkowej.

Nie. Nie nie nie. W domu na pewno jest łazienka. Zatrzasnęła drzwi.

Podwórze kończyło się wysoką skarpą, która wrzynała się w górskie zbocze niczym zakrzywiona fala. Podążyła wzdłuż skarpy, przesuwając dłonią po czerwonej glinie, aż znalazła się za domem. Tylne drzwi były uchylone i Stella usłyszała głos staruszki, która domagała się odpowiedzi. Kiedy w drzwiach poruszył się jakiś cień, dziewczynka usunęła się z pola widzenia, w stronę stodoły.

Do budynku przylegała otwarta szopa – daszek przybity do stodoły na jej niższym krańcu, opadający ku dwóm słupom podobnym do tęgich nóg. Ogrodzenie z drewnianych prętów i drutu kolczastego broniło dostępu do połaci nierównego piachu, błotnistej kałuży oraz pustego stalowego koryta. Nagle uświadomiła sobie, że w cieniu pod dachem leży jakieś potężne zwierzę. Świnia, nieruchoma i wielka jak hipopotam. Dziewczynka położyła dłonie na ogrodzeniu. Czy świnia ją widziała? Czy w ogóle była żywa?

Zwierzę się poruszyło. Wyszło z cienia, wbijając w nią wzrok.

– Cześć, świnko.

Świnia odpowiedziała odgłosem, który przypominał kaszlnięcie.

Stella wsunęła dłonie między pręty.

– Chodź. Chodź do mnie, świnko.

Zwierzę na nią zaszarżowało, a kiedy odskoczyła, uderzyło łbem o ogrodzenie. Stella zatoczyła się i upadła na tyłek. Świnia wpatrywała się w nią przez długą chwilę pomiędzy dolnymi prętami; ich oczy znajdowały się na tej samej wysokości. Nagle obróciła się, otarła szczeciniastym bokiem o drewniane ogrodzenie i odeszła.

Stella wstała, czując się jak idiotka. Świnia była zamknięta. Dlaczego się jej przestraszyła?

Podeszła do ogrodzenia i je kopnęła.

– Idź do Hadesu, świnio.

Zwierzę ją zignorowało.

Dziewczynka podeszła do drzwi stodoły i przystanęła. Drzewa za chlewem dziwnie się poruszyły. Znieruchomiała, próbując wyczuć, co kryje się w gąszczu. Niedźwiedź? Chętnie zobaczyłaby niedźwiedzia.

Podeszła do dwóch drzew, które opierały się o siebie niczym szyje żyraf. Pomiędzy nimi biegła gruntowa ścieżka.

Stella obejrzała się w stronę domu, a potem popatrzyła na ścieżkę. Nie miała wyboru. Weszła między pochyłe drzewa.

Droga wkrótce stała się stroma, ale podłoże było gładkie, a krawędzie ścieżki wyraźnie zaznaczone. A zatem był to jakiś ważny szlak, wycięty w skale setki lat temu przez Czerokezów. Ścieżka wojenna! Zaczęła się nią wspinać, minęła obszar szarego kamienia i pokonała ostry zakręt. Popatrzyła w dół i z zaskoczeniem zobaczyła dach stodoły oraz kamienny komin domu staruszki. Nie zatrzymywała się.

Zza drzew wyłonił się jakiś biały kształt – budynek. Ścieżka do niego prowadziła.

To był dom o stromym dachu wpuszczony w górskie zbocze, pokryty białym oszalowaniem, bez okien od frontu, tylko z szerokimi drzwiami pośrodku. Wzdłuż drzwi ciągnęło się długie, głębokie zadrapanie, które przypominało literę z jakiegoś obcego alfabetu.

Pociągnęła za żelazną klamkę, ale ta nawet nie drgnęła. Zaparła się nogami i szarpnęła mocniej. Krawędź drzwi ze zgrzytem przesunęła się po kamiennym progu.

W świetle padającym zza jej pleców dostrzegła rzędy kościelnych ławek, po cztery po obu stronach środkowego przejścia. Kiedyś była w takim miejscu z nauczycielem, któremu zrobiło się jej żal, ponieważ tata Stelli nie chciał nawet wejść do kościoła. Na miejscu ołtarza wznosił się szeroki podest przykryty przekrzywionym czarnym dywanem. W tylnej ścianie znajdowało się pojedyncze małe kwadratowe okno.

Gdzie jest krzyż? Chyba powinien tutaj być krzyż.

W powietrzu unosiła się woń trocin. Stella poczuła na twarzy chłód.

Powoli ruszyła naprzód, kierując się za zimnym podmuchem.

Okazało się, że czarna plama na scenie to nie dywan, tylko otwór połykający światło. Ktoś odsunął zakrywającą go szeroką deskę. Czy to basen chrzcielny? Niektórzy z jej kolegów ze szkoły w Chicago byli ochrzczeni.

Stella nachyliła się nad otworem. W ciemność prowadziły drewniane schodki. Wilgotne powietrze szeptało wokół krawędzi.

To nie był basen. Ale Stella już wiedziała, na co patrzy. Czytała opowieści o zamkach i przez całe życie czekała, aż odkryje jakieś tajne przejście.

Obejrzała się na wejście do kościoła, które wydawało się bardziej oddalone, niż się spodziewała. Zeszła do otworu. Zimne powietrze zawirowało wokół jej nóg. Krok za krokiem zstępowała w głąb ziemi.

Po pokonaniu szesnastu stopni stanęła na piaszczystym podłożu. Do dna otworu niemal nie docierało światło; otaczała ją ciemność. Powietrze cuchnęło jak błotnisty brzeg rzeki.

Wysunęła przed siebie dłoń i ruszyła naprzód, powłócząc nogami. Kiedy jej palce dotknęły czegoś chłodnego i śliskiego jak skóra ropuchy, gwałtownie cofnęła rękę. Ale nie chciała odejść. Mogła wspiąć się po schodach i zamknąć za sobą właz, a ojciec nigdy by jej nie znalazł. Posłałby po ekipy poszukiwawcze i wspólnie przeczesaliby las, ale chociaż natrafiliby na ten kościół, nigdy nie znaleźliby jaskini. Zdjęcie Stelli ukazałoby się w gazetach. Po latach mężczyźni wciąż drapaliby się po brodach i mówili: no cóż, pewnie porwali ją Indianie.

Zrobiła kolejny krok, a wtedy powietrze się zmieniło. Rozległ się pomruk, który wywołał drżenie w jej piersi. Rozejrzała się, szeroko otwierając oczy w ciemności. Po chwili usłyszała kolejny dźwięk, który przebił się przez pomruk: skrobanie, jakby ktoś pieścił nożem kamień. Podniosła wzrok.

Nad sobą zobaczyła blask, jakby odbicie księżyca w porcelanowym talerzu. Wyciągnęła ku niemu rękę, niepewna, jak daleko się znajduje, po czym zamarła.

Dotknęła bladej, gładkiej powierzchni jakiegoś bardzo dużego obiektu. Ledwie go widziała i nie potrafiła określić jego kształtu. Ale go wyczuwała. Jakaś obecność górowała nad nią, spoglądała w dół, słuchała jej, a każdy jej oddech był rykiem.

Stella nie mogła się ruszyć. Znów rozległo się skrobanie. W jej stronę wyciągnęła się kończyna – długa, kredowa, płaska jak ostrze. Potem rozpostarły się kolejne. Istota opuściła się niczym pająk.

Coś chwyciło ją za kark. Wrzasnęła. Czyjaś dłoń ścisnęła jej szczękę.

– Jak się tu dostałaś?! – wykrzyczała jej w twarz z ciemności babcia. Była taka wściekła.

Pociągnęła ją w stronę schodów i pchnęła w górę. Stella upadła na podłogę na ołtarzu. Po mroku jaskini kościół wydał jej się znacznie jaśniejszy. Motty wygramoliła się z dziury, przeklinając. Z zadziwiającą łatwością podniosła deskę, a następnie z hukiem rzuciła ją na otwór.

Dziewczynka patrzyła na nią ze strachem.

– Przepraszam, nie…

– Nigdy nie wolno ci tam schodzić, rozumiesz? – Stella pokiwała głową, ale to Motty nie wystarczyło. – Powiedz to!

– Nigdy tam nie zejdę.

Staruszka szarpnięciem podniosła ją na nogi.

– Ojciec cię woła. Idź.

Nie wiedziała, co zobaczyła. Nie potrafiła tego nazwać. Jeszcze długo miała trwać w nieświadomości.

* * *

Jej ojciec krążył nerwowo obok samochodu i uważnie patrzył na drzewa. Na werandzie obok schodów stały tekturowa walizka Stelli oraz jej wiklinowy koszyk z osobistymi przedmiotami. Dziewczynka nie chciała podchodzić do ojca.

W końcu ją zobaczył. Dostrzegł, że płakała. Jego twarz stężała, jakby był nią straszliwie rozczarowany. Otarła łzy z oczu. Chciała mu powiedzieć, co widziała. Gdyby tak na nią nie patrzył, może by to zrobiła.

Zamiast tego powiedziała:

– Na jak długo? – Pytała go o to wiele razy. Zazwyczaj nie odpowiadał. Czasami mówił to, co teraz:

– Dopóki nie znajdę pracy.

Łzy znów napłynęły jej do oczu i zamrugała, żeby się ich pozbyć.

– A potem po mnie przyjedziesz?

Nie odpowiedział.

– Obiecaj.

Nigdy nie wiedzieli, co ze sobą począć. On nie umiał z nią rozmawiać, a ona nie potrafiła wyciągnąć go z jego skorupy.

Przesunął dłonią po jej szczęce.

– Krewni twojej mamy… – Popatrzył na dom za jej plecami i najwyraźniej zrezygnował z tego, co zamierzał powiedzieć. Jej babcia stała na werandzie i obserwowała ich z rękami na biodrach. – Motty się tobą zaopiekuje. Długo na ciebie czekała.

Później, kiedy wspominała ten dzień, to nie istota w jaskini szokowała ją najbardziej. Owszem, powinna wystraszyć się na śmierć, a fakt, że tak się nie stało, sam w sobie był dziwny i nie dawał jej spokoju latami. Ale najbardziej przeraził ją chłód ojca. Jej tata już odszedł, chociaż wciąż stał przed nią.

Chciała go uderzyć, aby się obudził, ale ciało ją zdradziło i zamiast tego objęła go w pasie. Nie miała w tej kwestii nic do powiedzenia. Po chwili oderwała od niego ręce.

Patrzyła, jak samochód cofa, niezgrabnie zawraca i z grzechotem wyjeżdża z podwórza.

– Możesz wejść do domu – odezwała się Motty, zupełnie jakby jeszcze przed chwilą nie była gotowa spuścić Stelli lania. – Zaraz będzie kolacja.

Ale Stella nie weszła. Chciała, żeby ojciec się obejrzał i ją zobaczył. Pragnęła, aby po dotarciu na szczyt Rich Mountain popatrzył na nią w dole i zobaczył, że płonie jak ognisko.

2

1948

Zazwyczaj wystarczył jeden łyk.

Stella patrzyła, jak Willie Teffeteller odstawia słoik Masona, a wtedy przypaliło go po raz drugi. Popatrzył na słoik, jakby miał się rozpłakać. Jakby się zakochał.

– Jasna cholera, Stello.

– Muszę przyznać, że ta partia całkiem dobrze się udała. – Mówiła to za każdym razem, ale Willie'emu to nie przeszkadzało, ponieważ zawsze miała rację.

– Jasna cholera. – Upił kolejny łyczek. – Czy to brzoskwinia?

– Wiesz, że nie mogę zdradzać rodzinnych sekretów. – Mówiła z wiejskim akcentem, a chłopcy byli zachwyceni. Uwielbiali, kiedy ta sikorka szmuglowała czysty towar prosto z destylarni wujka Dana. – Powiedzmy, że to dwie porcje nauki i jedna porcja tajemnicy.

Willie wciąż z zachwytem kręcił głową. Było po północy i w tawernie siedziało kilkunastu mężczyzn, z których większość właśnie skończyła zmianę w Alcoa i jeszcze nie była gotowa wrócić do domu. Stali klienci znali Stellę, ale chłopak o nażelowanych włosach, który siedział o dwa miejsca od nich, był wyraźnie oszołomiony tak bliską obecnością samotnej kobiety. Właśnie dlatego do pracy zakładała spodnie.

– Jesteś gotowy zrezygnować z tej bagiennej wody, którą wciąż kupujesz? – spytała. Od miesięcy urabiała Willie'ego, żeby zostać jego jedynym dostawcą. Zazwyczaj kupował od Lestera Mapesa, którego bimber, o czym wiedziała z autopsji, miewał od dziewięćdziesięciu pięciu do zaledwie pięćdziesięciu procent i smakował jak żwir. – Wezmę tę samą cenę i nie będziesz musiał się martwić, że serwujesz rozwodnioną wódę.

– No nie wiem. Już tak długo kupuję od Lestera.

– Gwarantuję ci siedemdziesiąt pięć procent. W każdym litrze, za każdym razem. – Doskonale wiedziała, że sam również będzie rozwadniał alkohol. Ale przynajmniej będzie to mógł robić w kontrolowany sposób. Jeśli rozwodnicie

pięćdziesięcioprocentowy bimber do trzydziestu ośmiu albo dwudziestu pięciu procent, klienci mogą się pogniewać.

– Możesz dostarczyć mi towar przed weekendem?

Czyli następnego dnia. Uśmiechnęła się sztucznie.

– O jakiej ilości mówimy?

– Zacznijmy od dwóch beczek.

Ponad czterysta litrów! Pokiwała głową, jakby nie podał czterokrotnie większej ilości, niż się spodziewała.

– Może być. Wujek Dan powiedział, że ma swój osobisty zapas, który już leżakuje.

– Naprawdę? – Willie z pewnością podejrzewał, że szmuglowała dla więcej niż jednego gorzelnika.

– Na pewno go opróżni, jeśli pokażę mu gotówkę.

– Myślisz, że połowa z góry i połowa później go zadowoli?

Posłała mu uśmiech, na który czekał.

– Myślę, że tak.

Willie poszedł na zaplecze po pieniądze. Za jej plecami rozległ się czyjś głos.

– Powiedz, Stello, jak się miewa wujek Dan? – To był mężczyzna o szerokiej twarzy, ubrany w oliwkowy roboczy kombinezon.

– Właśnie, co porabia ten stary drań? – dołączył się jego kompan od kieliszka.

Stella roześmiała się i pokręciła głową.

– Wszystko u niego w porządku.

– Daj spokój, musisz podzielić się najnowszymi wieściami.

Byłoby w jej interesie, gdyby usiadła z podpitymi klientami i zaczęła opowiadać o perypetiach wujka Dana. Biali Południowcy karmią się nostalgią, nawet sztuczną. Uwielbiają opowieści o prawdziwych mieszkańcach wsi, autentycznych i nieskalanych, którzy biegają boso po dolinach i żyją jak należy. Sami siebie nie uważają za takich ludzi, ale chcą mieć świadomość, że oni wciąż gdzieś tam żyją, jak bizony.

– Wybaczcie, chłopcy – odrzekła. Alfonse na nią czekał i musieli tego wieczoru zatrzymać się jeszcze w kilku miejscach. – Następnym razem na pewno coś wam opowiem.

Willie wrócił i podał jej papierową torbę.

– Alfonse jutro dostarczy towar – obiecała. – Zapuka dwukrotnie w tylne drzwi.

– Ten kolorowy? – Willie roześmiał się, chowając słoik pod sosnowy blat. – Muszę pamiętać, żeby zamknąć drzwi na klucz.

Stella znieruchomiała. Willie poczuł zmianę w jej zachowaniu i ze zdziwieniem podniósł głowę. Próbował się roześmiać.

– Co jest? O co ci…?

Stella wzięła się w garść. Zaczerpnęła powietrza.

– Zapuka dwa razy.

* * *

Po drugiej stronie ulicy Alfonse Bowlin opierał się o należący do Stelli kabriolet Ford Super Deluxe. Trzymał w dłoni papierosa, a w jego wykonaniu nawet obijanie się wyglądało elegancko.

– Jak się dzisiaj miewa pan Teffeteller?

– Jak zwykle. – Nie wspomniała, że nazwał go „tym kolorowym”. – Weźmie dwójkę.

– Dwa galony! A to skąpiradło…

– Dwie beczki. – Roześmiała się, widząc, jak się rozpromienił. – Niech pan spróbuje to przebić, panie Bowlin.

– Próbujesz mnie wkręcić. – Kolejne dwa przystanki zaplanowali w Hall, czarnej dzielnicy Alcoa, i wtedy to Stella miała czekać przy samochodzie, podczas gdy Alfonse będzie dobijał targu. Chłopak był świetnym handlarzem, ale czterysta litrów w jednym zamówieniu stanowiło rekord dla nich obojga.

Wyjęła lucky strike’a zza ucha i zapaliła go dla towarzystwa.

– Sądzę, że w przyszłym tygodniu weźmie jeszcze więcej, jeśli tego nie popsujemy.

– Skąd weźmiemy tyle whiskey? Obiecaliśmy już wszystko, co możemy wyprodukować. Sam Pee Wee bierze dwieście sześćdziesiąt litrów.

– Wiem, co obiecaliśmy. Ale razem z Humpem możemy pracować przez całą dobę i zaspokoić potrzeby Willie’ego i dotychczasowej klienteli.

– Och, teraz to nasza klientela?

– Tak się nazywa klientów, którzy płacą pełną cenę.

Zachichotał i podniósł ręce.

– Ty jesteś szefową.

– Żebyś wiedział. – Ich klienci sądzili, że Stella jest tylko szmuglerką jak Alfonse i handluje bimbrem produkowanym przez tajemniczego wujka Dana. Ze względów zawodowych trzymała w tajemnicy fakt, że to ona była jedyną gorzelniczką i tylko czasem pomagał jej Hump Cornette. Chłopak nie był najbystrzejszym pracownikiem, lecz nie brakowało mu lojalności i entuzjazmu.

Alfonse chciał o coś zapytać, ale wtedy ulicę oświetliły reflektory samochodu. Na dachu migały charakterystyczne potrójne światła – to był

radiowóz, chyba plymouth. A więc nie policja z Alcoa, gdyż oni jeździli dodge’ami.

Samochód przemknął obok nich i zahamował. Patrzyli w milczeniu, jak cofa i zatrzymuje się obok nich. Na drzwiach widniał napis „Szeryf hrabstwa Blount”, a szyba po stronie kierowcy była odsunięta.

– Jezu Chryste, Bobby – odezwała się Stella. – Dostanę przez ciebie zawału.

Bobby Reed był zastępcą szeryfa Whaleya, który był prawdziwym wrzodem na tyłku i bruździł w jej zawodowych planach. Ale sam Bobby był w porządku, znał ją od dawna i od czasu do czasu chętnie odbierał słoik, który zostawiali mu na progu.

– Wszędzie cię szukam, Stello. Mam dla ciebie wiadomość.

Zerknął na Alfonse’a. Bobby był spoko gościem, ale był biały. Nikomu tutaj nie podobało się, że Stella wozi się z czarnoskórym chłopakiem. Alfonse rozgłosił wszem i wobec, że nie jest Afrykańczykiem, ale potomkiem Holendrów, Hindusów i Portugalczyków, więc zapewne ma w sobie więcej białej krwi niż niejeden z synów Konfederacji, ale to nic nie znaczyło dla miejscowych. Dla nich każdy śniady człowiek był czarny jak noc.

– O cokolwiek chodzi, możesz to powiedzieć przy Alfonsie – rzekła Stella, a chłopak z szacunkiem zasalutował jej papierosem.

– Dostaliśmy tę wiadomość przez łańcuszek modlitewny – powiedział Bobby.

Stella stęknęła. Od lat nie słyszała tego określenia. Poczuła w żołądku lodowate zimno, które wzbierało jak podnosząca się woda.

– Abby Whitt chciał jak najszybciej dać ci znać – dodał.

Szybko zamrugała.

– Przejdź do rzeczy.

Zastępca szeryfa wypowiedział dwa słowa, które utonęły w ryku wypełniającym jej głowę niczym radiowy szum. Alfonse spytał, czy wszystko z nią w porządku. Wyciągnęła w jego stronę rękę, ale powstrzymała się, zanim zdążyła go dotknąć. Bobby wbijał w nią wzrok.

– Co powiedziałeś? – spytała machinalnie, żeby zyskać na czasie. Te słowa wciąż były dostępne, gdyby chciała je usłyszeć, jak krzyk tonącego pośród potężnych fal.

Motty zmarła.

* * *

Odwiozła Alfonse’a do jego chevroleta, którego schowali za drzewami przy 129th Street. Alfonse zaproponował, że z nią zostanie, ale odmówiła. Kazała mu odebrać resztę zamówień w Hall, a białych klientów zostawić na następny ranek. Nikt nie powinien go niepokoić, jeśli będzie się trzymał czarnej części miasta.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że chłopak nie chce wysiąść z samochodu.

– Na pewno nic ci nie jest? – spytał.

– Na pewno.

– Nie przekonałaś mnie, Stello, ani trochę. Byłem we Francji, kiedy straciłem mamę, i płakałem jak niemowlę.

– Na moje łzy się nie doczekasz. Motty była wredna jak żmija.

Roześmiał się.

– To dlatego jesteś taka wściekła?

– O czym ty mówisz?

– Bobby Reed powiedział ci, że umarła, a ty najpierw wyglądałaś, jakbyś miała się przewrócić… a potem na twojej twarzy pojawiła się ta mina.

– Jaka mina?

– Jakbyś zamierzała zdzielić pijaka pięścią w krtań.

Teraz to ona się roześmiała.

– To nie był gniew, ale rozczarowanie. Nigdy nie sądziłam, że umrze we śnie. Spodziewałam się, że przeszyje ją grad kul.

– Więc po co już teraz tam jedziesz? – spytał Alfonse. – Rano też będzie martwa.

To prawda. Motty wciąż będzie martwa za miesiąc i za rok. Może za dziesięć lat Stella będzie gotowa, żeby wrócić do kotliny.

– Nie mam wyboru – odpowiedziała.

Zacisnął usta.

– Możesz wyjaśnić?

Nie miała ochoty.

– Nie opowiadałam ci zbyt wiele o swojej rodzinie.

– Niczego mi o nich nie opowiadałaś. Ale nie szkodzi, to twoja sprawa.

– Z Motty mieszkała moja kuzynka. Ma dopiero dziesięć lat.

– Jest sama w domu z trupem?

– Być może. – Wujek Hendrick, młodszy brat Motty, mieszkał w Atlancie, która była oddalona o dzień jazdy, a jeśli usłyszał o śmierci siostry, to pewnie już był w drodze. Nie mogła pozwolić, by dotarł do domu przed nią. – Ale mam nadzieję, że Abby z nią jest.

– Ten sam Abby, który nauczył cię pędzić bimber?

– Polubiłbyś go.

– Z pewnością chciałbym uścisnąć mu dłoń. Dzięki niemu mogę zarobić na życie. Zdecydowanie wolę sprzedawanie bimbru od innych możliwości. – Alfonse po zakończeniu służby wojskowej miał dwa wyjścia: wrócić do wydobywania boksytu, co robił przed wojną, albo produkować donice razem ze swoim tatą. Potem poznał Stellę i pojawiło się trzecie wyjście.

Sięgnął do klamki, ale nie wysiadł.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zadzwoń, dobrze?

– Nic mi nie będzie.

– Obiecaj.

Wielu ludzi niewątpliwie zakładało, że ona i Alfonse się pieprzą. Rzeczywiście, oboje od razu odkryli, że idealnie do siebie pasują, ale nie w taki sposób. Nie przeszkadzał im kolor skóry, chociaż niektórym to by wystarczyło. Nie chodziło także o to, że Alfonse był nieatrakcyjnym mężczyzną. Ale bardzo wcześnie uświadomili sobie, że mogą robić razem coś znacznie bardziej wyjątkowego niż chodzenie do łóżka – mogą zarabiać pieniądze. Nazywali to, co ich łączyło, Samogonowym Małżeństwem.

Pocałowała go w policzek.

– Mój Wódczany Mężu.

– Moja Bimbrowa Żono.

Wyjęła papierową torbę, którą dostała od Willie’ego, i wręczyła mu wszystkie pieniądze.

– Niech Hump kupi więcej zapasów. Wszystko nam się kończy… cukier, zacier, słód. Powiedz mu też, żeby kupił węgiel drzewny z białego dębu, ponieważ będziemy musieli przyśpieszyć dojrzewanie alkoholu. Kiedy tylko będzie mógł, niech nastawi kolejną partię.

– Węgiel z białego dębu. W porządku. – Alfonse był szmuglerem i handlarzem i przeważnie trzymał się na uboczu, kiedy Stella pędziła bimber. – Hump kiedyś obsługiwał samodzielnie destylarnię?

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz. Postaram się wrócić jak najszybciej.

Alfonse’owi się to nie spodobało, ale zachował się jak gentleman.

– Bądź ostrożna, Stello. Ci wieśniacy mają nierówno pod sufitem.

– Nie tak bardzo jak ja.

– Racja. – Wysiadł z samochodu i nachylił się do okna. – Jak ona ma na imię? Twoja kuzynka.

Stella wrzuciła bieg w fordzie. Powstrzymała westchnienie.

– Sunny.

* * *

Dzięki nowej brukowanej drodze większość turystów dostawała się z Maryville do parku narodowego Great Smoky Mountains w nieco ponad godzinę. Stella pokonała tę trasę w trzydzieści pięć minut, nawet nie zmuszając forda do dużego wysiłku. Niecałe dwa miesiące temu razem z Alfonse'em zamontowali w starym samochodzie nowy silnik, ośmiocylindrowy górnozaworowy motor Cadillaca o mocy 190 koni mechanicznych. To było jak wszczepienie serca geparda podwórkowemu kotu. Z rykiem przemknęła pod parkową bramą, nawet nie dotykając hamulców. Po kilku minutach była głęboko w kotlinie.

Szmuglerskie nawyki sprawiły, że zgasiła światła, wyłączyła silnik i siłą rozpędu wtoczyła się na podwórze. Dom był pogrążony w ciemności, nie licząc dwóch lamp sztormowych, które płonęły w oknach. Patrzyła na drzwi wejściowe, aż kierownica zrobiła się śliska pod jej dłońmi.

Dziesięć lat wcześniej zapowiedziała Motty, że nigdy nie wróci w to miejsce. Nie spodziewała się, że Motty zmusi ją do tego swoją śmiercią.

Stella weszła na werandę i zapukała do drzwi. Po chwili je otworzyła, ale nie weszła do środka. Pomieszczenie oświetlały tylko lampy.

– Sunny?! – zawołała.

Odczekała jeszcze chwilę, a następnie przekroczyła próg.

Pomimo ciemności dom wyglądał tak, jak go zapamiętała. Od razu wiedziała, że wszystko jest na swoim miejscu. Dywanik pod jej stopami, trzcinowe krzesła, stojak z trzema sztukami broni, które znała równie dobrze jak domowe psy: jednostrzałowiec kaliber .22 należący do Motty, jej własny Winchester model 97 oraz Długi Tom, wiekowa rodzinna strzelba, którą przekazał im sam Russell Birch. W domu wciąż unosiła się taka sama woń: drewno przez dziesięciolecia nasiąkało aromatem dymu z pieca, tytoniu i smażonego boczku.

Zmieniła się tylko ona sama. Teraz już widziała, jak ciasny, ciemny i zużyty jest dom, niczym malutki drewniany okręt, który wybrał się w daleką podróż.

Przeszła krótkim korytarzem łączącym salon z kuchnią. Jej dawna sypialnia znajdowała się po prawej. Zapukała do drzwi.

– Sunny? – Delikatnie otworzyła drzwi. Pokój był pogrążony w ciemności, ale dostrzegła kilka kształtów: swoją starą szyfonierę, która jak zawsze tkwiła w kącie, oraz swoje łóżko, które teraz stało pod północną ścianą.

Dziewczynki tu nie było.

Czyżby wuj Hendrick już tutaj dotarł i ją zabrał? Wydawało się to niemożliwe. Sunny na pewno była w górach razem z Abbym.

Stella przeszła do drugiej sypialni.

Na parapecie stały dwie zapalone lampy naftowe, a kolejna na należącej do Motty maszynie do szycia Singera. Powietrze drżało w ich blasku. Łóżko

o żelaznej ramie wyglądało tak, jakby unosiło się nad mroczną podłogą. Motty leżała na środku łóżka z rękami skrzyżowanymi na brzuchu i zamkniętymi oczami. Kołdra w szachownicę, ta z niebieską gwiazdą, którą Stella lubiła najbardziej, gładko okrywała ciało, a głowa Motty spoczywała na poduszce. Czy Sunny to zrobiła? Robota godna firmy pogrzebowej.

Stella długo wpatrywała się w twarz Motty. W migoczącym świetle lamp można było odnieść wrażenie, że staruszka wciąż oddycha i w każdej chwili może otworzyć oczy, by zapytać: Na co się tak gapisz, do diabła?

Okulary Motty i słoik z jej sztucznymi zębami jak zwykle znajdowały się na maszynie do szycia. Na siedzisku krzesła leżała Biblia, otwarta na jednej z ksiąg Nowego Testamentu. Jeden z wersów podkreślono. To była Biblia Stelli, którą zostawiła, kiedy stąd uciekła. Dostała ją w prezencie, gdy miała dwanaście lat, i wciąż pamiętała, jak podkreśliła ten fragment.

Zapieczętuj to, co siedem gromów powiedziało, i nie pisz tego.

Kto ułożył tutaj Biblię? Niemożliwe, aby to Motty przeglądała ją przed śmiercią; nigdy nie interesowały jej święte księgi, żadnej religii.

Stella dotknęła policzka Motty grzbietem dłoni. Spodziewała się, że poczuje zimno, jakby przyłożyła rękę do kawałka wieprzowiny – zaszlachtowała i oprawiła w życiu niejedną świnię – ale i tak przeżyła szok. To martwe ciało było błędem. Czymś niewłaściwym. Kiedy Stella przybyła do kotliny jako dziecko, uważała, że Motty jest niezwykle stara, chociaż ta miała nie więcej niż sześćdziesiąt lat. Ale w końcu zaczęła ją postrzegać jako ponadczasową, niewzruszoną jak góra.

Usiadła na krawędzi łóżka i zagięła kołdrę. Motty miała na sobie starą sukienkę z różowymi ceramicznymi guzikami. Stella odwróciła jej rękę i przesunęła kciukiem wzdłuż dłoni. Skóra była pokryta odciskami i poprzecinana bladymi bliznami, które przypominały plątaninę torów na stacji rozrządowej, ale nie było na niej śladów krwi. Druga dłoń, którą trudniej było zobaczyć w słabym świetle, także była nienaruszona, ale pobliźniona jak zawsze.

Przez pięć lat mieszkały w tym gospodarstwie tylko we dwie. Bez odrobiny prywatność ani skromności. Na zmianę kąpały się w stalowej balii w kuchni, chodziły bez biustonoszy w upale. Kiedy Stella weszła w okres dojrzewania, to Motty objaśniła jej tajniki ciała i założyła jej pierwszą podpaskę. Stella wcierała balsam Jergensa w ramiona Motty, masowała jej pokryte niebieskimi żyłami łydki, zapinała na plecach niedzielną sukienkę. W zimne noce spały razem w łóżku. To nieruchome ciało wyglądało teraz jak jakiś podstęp.

Stella odpięła pierwszy guzik sukienki Motty, a potem następny. Przycisnęła dłoń do gardła kobiety, a potem powoli przesunęła ją w dół, pomiędzy piersiami

i po lodowatym brzuchu. To był idiotyczny gest: rana, której szukała, była niedostrzegalna w tym świetle, a tym bardziej nie dało się jej odnaleźć dotykiem.

Sięgnęła po lampę. Postawiła ją na brzuchu Motty i przytrzymała jedną ręką od góry. Obnażona blada skóra kobiety wyglądała obscenicznie.

Stella się nachyliła. Jest. Wybrzuszone zasinienie, jak ślad po ukąszeniu osy, z trzema małymi kropkami pośrodku. Nikt nie wziąłby go za śmiercionośną ranę. Ale Stella znała prawdę.

Kobietę zabił Bóg w Górze.

Rozległ się jakiś dźwięk. Stella gwałtownie się wyprostowała i zauważyła cień na korytarzu. Usłyszała szybko oddalające się kroki.

Krzyknęła i wyskoczyła z pokoju, wciąż trzymając w dłoni lampę. Drzwi do kuchni otworzyły się z hukiem i jakaś postać wypadła na podwórko, mała i szybka jak królik.

Sunny.

Stella rzuciła się w pogoń, wołając dziewczynkę po imieniu. Sunny jakimś cudem już zdołała przeciąć podwórze. Zniknęła w cieniu obok chlewu, a po kilku sekundach pojawiła się na wzgórzu nad stodołą. Stella dostrzegła tyko błysk jasnej sukienki oraz plamę ciemnych włosów. W blasku księżyca ręce i nogi dziewczynki wyglądały dziwacznie, jak wirująca mieszanka świateł i cieni. Potem Sunny zniknęła między drzewami.

Stella pobiegła w stronę ścieżki prowadzącej pomiędzy skrzyżowanymi drzewami. Kiedy minęła chlew, zajrzała w ciemność pod dachem. Dzięki Bogu, budynek był pusty. Następnie ruszyła w górę wzgórza.

* * *

Już po kilku minutach stała zgięta wpół i ciężko dyszała, czując pot spływający jej po plecach. Ostatnio wspinała się tędy dziesięć lat i dziesięć tysięcy papierosów temu.

Drzwi wejściowe kaplicy stały otworem. Na rączce wisiała lśniąca kłódka.

Stella splunęła. Wyprostowała się z rękami na biodrach.

– Sunny! – zawołała donośnym głosem. – Nie musisz uciekać!

Zrobiła kilka kroków w głąb budynku.

– Motty rozmawiała z tobą o mnie?

Widziała tylko najbliższą ławkę; reszta czekała w ciemności. W powietrzu unosiła się dymna i lekko słodka woń, która kojarzyła się z wnętrzem okopconej beczki po whisky. Stella rozglądała się po pomieszczeniu, czekając, aż jej wzrok przywyknie do mroku. Gdzie jest okno, które znajdowało się w przeciwległej ścianie? Powinna móc je dostrzec w ciemności.

– Nie musisz się bać – zapewniła. Ruszyła przed siebie z wyciągniętymi rękami, wdzięczna losowi, że przejście między ławkami, które zapamiętała, wciąż jest na swoim miejscu. Odnalazła stopą krawędź podestu. Zamarła i sięgnęła przed siebie. Czy podłoga jest otwarta? Jeśli zrobi krok, może runąć w dół.

Uklękła i wyciągnęła dłoń. Jej palce odnalazły szorstki kamień. Co do diabła?

Przesunęła dłonią po nierównej powierzchni. To był beton. Przesunęła się do przodu na kolanach, macając podłoże i czekając, aż zacznie cokolwiek widzieć w ciemności. Wejście do jaskini Boga zostało zapieczętowane. Kiedy Motty to zrobiła? To nie miało sensu.

Usłyszała odgłos podobny do oddechu. Gwałtownie podniosła głowę. Wysoko na ścianie za amboną jakaś sylwetka przycupnęła jak gargulec na tle małego okna.

– Sunny?

Postać poruszyła się i wyskoczyła przez okno. Stella krzyknęła i zerwała się na nogi.

Pobiegła do drzwi kaplicy i prawie zderzyła się z kimś wysokim, kto właśnie wchodził do środka.

– Witaj, Gwiazdko – odezwał się gruby głos.

Abby! Stella chwyciła go za rękę.

– Dziewczynka… Sunny. Właśnie wyskoczyła z okna, trzy metry nad ziemią.

– Tak, często to robi – odrzekł Abby.

3

1933

Przez pierwszy miesiąc w kotlinie Stella nosiła tę tajemnicę w sercu jak ranę po ukąszeniu węża. Nie mogła porozmawiać o tym z babcią i nie wiedziała, czy może zwierzyć się drugiej osobie w gospodarstwie, Abby'emu Whittowi, wynajętemu pomocnikowi Motty. Był najpotężniejszym mężczyzną, jakiego widziała, dwukrotnie większym od jej taty, a każdy z jego nagich bicepsów miał szerokość całej szynki. Kiedy się pocił, ocierał łysą głowę ogromną szmatą, którą trzymał w tylnej kieszeni.

Staruszka nakazała Abby'emu, by założył rygiel na drzwiach do kaplicy i zabezpieczył je wielką mosiężną kłódką. Stella miała nigdy więcej nie zbliżać się do tego miejsca i usłuchała zakazu. Nie bała się tego, co kryło się w jaskini, ale z pewnością obawiała się babci.

Motty zmuszała ją do harówki. Stella grabiła siano, kiedy Abby wychodził z kosą na pole, karmiła kury i obłaskawiała przerażające świnie. Zbierała jajka, napełniała zbiornik na wodę, szorowała prześcieradła i kopała ziemniaki. W każdą środę i sobotę zamiatała i myła podłogi oraz ścierała kurze w domu wilgotną szmatką.

Mówiła sobie, że jest niewolnicą, tak samo jak Eliza w *Chacie Wuja Toma*. Tylko dwie rzeczy powstrzymywały ją przed ucieczką i wyruszeniem na poszukiwanie taty. Pierwszą była zbliżająca się jesień, kiedy miała zacząć naukę w szkole – małej wiejskiej placówce, daleko od chamskich dzieci z Chicago. Drugą był Abby.

Trzymała się go jak rzep psiego ogona, a po uporaniu się ze wszystkimi pracami zawsze chodziła za nim po obejściu. Czasami posyłał jej surowe spojrzenie, ale kiedy dostrzegał, że go przyłapała, mrugał, śmiał się albo szeroko otwierał oczy, pokazując jej, że tylko żartuje. Nie rozumiała, o co mu chodzi.

Pewnego upalnego dnia, gdy wsiadał do swojego poobijanego Forda Model A, bez pytania o zgodę zajęła miejsce pasażera.

– Dokąd jedziemy? – spytała.

– Wysiadaj. Pomagam pewnym ludziom w przeprowadzce. Nie możesz jechać ze mną, ponieważ będziemy pracować.

– Potrafię pracować. Skończyłam już wszystko, co miałam zrobić tutaj. – To była prawie prawda i Stella nie ustępowała, dopóki Abby nie dał za wygraną i nie uruchomił samochodu. Silnik ryknął, kiedy wcisnął gaz. Jego stare auto pędziło znacznie szybciej od pickupa taty. Ale kiedy najechali na dziurę w drodze, Stella o mało nie przebiła głową dachu.

Abby zachichotał.

– Twarde resory, żeby wozić ciężkie ładunki. – Był potężnym mężczyzną i ledwie się mieścił za kierownicą. Miał rozpiętą koszulę, a spod białego T-shirtu wyzierał rozdęty brzuch. Skierował się na zachód, drogą, której nie znała. Ale w końcu nigdy nie odwiedzała innych miejsc w kotlinie.

– Myślisz, że kiedyś spotkam panterę, tak jak wujek Dan? – spytała.

Mruknął coś pod nosem, skupiony na prowadzeniu auta. Nie pozwoliła, żeby ją to zniechęciło.

– Nigdy nie widziałam pantery.

Przednie koło wpadło w dziurę i samochodem zarzuciło w stronę drzew.

– Kurwa jego mać! – wrzasnął Abby i szarpnął kierownicą.

Ooo, pomyślała Stella. Dobry tekst.

Abby odzyskał panowanie nad samochodem i nieco zwolnił. Zerknął na nią, lekko zawstydzony.

– Jesteś za młoda na takie słowa.

– Wcale nie. – W domu słyszała wiele przekleństw, ale tego nie znała. Robiło całkiem wyszukane wrażenie.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś nie wspominała Motty, że to powiedziałem.

– Buzia na kłódkę. – Udała, że wyrzuca kluczyk przez okno. – Co mówiłeś o panterach?

Zmrużył oczy, zastanawiając się, czy ulec szantażowi.

– Byłabyś dla nich smakowitą przekąską – powiedział w końcu.

– Chyba że poznałabym przyjaciela wujka Dana – odrzekła, podpuszczając go.

– Na tych wzgórzach lepiej uważać – odezwał się głosem wujka Dana, przeciągając wszystkie samogłoski, a Stella roześmiała się z zachwytem. Nigdy nie spotkała wujka Dana, ale była pewna, że rozpoznałaby go po głosie, tak gardłowym, jakby dobiegał z odległości kilometra. – Pantery, niedźwiedzie, partyzanci…

– Partyzanci! – Nowe słowo.

– Na Boga, tak – odrzekł swoim normalnym głosem. – Motty nie opowiadała ci o twoim prapradziadku Russellu Birchu i partyzantach z Karoliny?

Nie mogła się doczekać, aż o nich usłyszy.

– To było pod koniec wojny. – Jego głos zagłuszał szum wiatru. – Rebeliantów nie obchodził los mieszkańców kotliny. Ta część Tennessee głosowała za pozostaniem w Unii. Kiedy Południe zaczęło przegrywać, zbuntowani żołnierze odcięci od głównej armii przyjeżdżali do kotliny przez przełęcze w Karolinie Północnej, żeby kraść bydło i rabować sklepy. Russell Birch powołał straż złożoną z kobiet, dzieci i starców, która próbowała odstraszać buntowników za pomocą broni myśliwskiej.

– Takiej jak Długi Tom – zauważyła Stella. Słynna strzelba Russella wisiała w salonie.

– Właśnie. – Droga zmieniła się w wąską dróżkę, więc Abby jechał ostrożnie. – Pewnego wieczoru partyzanci postanowili zamordować Russella w jego łóżku i pozbyć się problemu. – Wskazał głową na wzgórze nad stodołą, w kierunku kaplicy. – Zeszli tamtędy o północy.

– I co się stało?

– Następnego ranka Russell wyszedł z domu i znalazł ciała rebeliantów leżące na podwórzu. Cztery zimne trupy.

Dziewczynka pisnęła.

– Kto ich zastrzelił?

– Nikt, nie było na nich żadnych śladów po kulach.

– Więc co się stało?

– No cóż… – Nagle zamilkł. – O to powinnaś spytać Motty – dodał po chwili.

– Motty niczego mi nie powie. Nie znosi mnie.

– Nieprawda. Po prostu twarda z niej babka.

– Opowiedz mi.

– To nie należy do mnie. Opowiedziałem ci to, co wszyscy wiedzą. Motty może mieć własną historię.

To wprawiło Stellę we wściekłość.

– I tak już wiem. Widziałam to.

Popatrzył na nią.

– Co widziałaś?

– Nie wiem, jak to nazwać – odrzekła. – Widziałam to w kaplicy. W dziurze w podłodze.

Zwrócił wzrok na drogę. Nic nie powiedział, ale Stella przywykła do milczących mężczyzn.

– Pierwszego dnia, kiedy tu przyjechałam – ciągnęła. – Wybrałam się do kaplicy i zeszłam po schodach. – Abby nie odrywał wzroku od przedniej szyby. – Wtedy coś wyłoniło się z ciemności.

Abby zahamował i zatrzymał auto na środku drogi. Silnik zakrztusił się i zgasł.

– Opowiedziałem ci zmyśloną historię – powiedział. – Nie powinienem był tego robić.

– Ale ja nie zmyślam – odparła. – To było ze mną w jednym pomieszczeniu. Jestem tego całkowicie pewna.

– Mówiłaś o tym Motty?

– Ona wie, co widziałam. Powiedziała, że nie wolno mi tam chodzić. Niby po co założyłaby kłódkę na drzwiach?

– Ponieważ to nie jest bawialnia. To dom… W każdym razie dzieci nie powinny tam biegać.

Stella zacisnęła piąstki. Wreszcie podzieliła się z kimś swoim śmiercionośnym sekretem, a Abby stwierdził, że to nic ważnego. Zarzucił jej kłamstwo.

Abby podniósł ręce w obronnym geście.

– Cofam te słowa. Spokojnie, żołnierzu.

Ale wciąż sobie z niej żartował, więc nie miała zamiaru przyjąć jego kapitulacji.

– A może trochę poprowadzisz? – zaproponował nagle.

Stellę przeszył dreszcz.

– Co takiego?

– To już niedaleko.

Usadowiła się na jego kolanach i chwyciła kierownicę obiema rękami. Miała za krótkie nogi, żeby dosięgnąć do pedałów. Abby uruchomił samochód, wykonując złożoną serię gestów.

– Jeszcze jedno – szepnął jej do ucha. – Ci ludzie, którym pomożemy, państwo Ledbetter. Stracili swój jedyny dom, rozumiesz?

– Władze parku ich wyrzuciły, ponieważ nie mają wieczystej dzierżawy jak Motty.

– Niewielu ludzi ją ma. Tak więc mają dosyć własnych smutków i nie potrzebują twoich opowieści.

Opowiem temu, komu zechcę, pomyślała. A pewnego dnia znajdę kogoś, kto mi uwierzy.

– Wciśnij gaz – poleciła.

* * *

Przez następne kilka godzin Stella owijała naczynia kwadratowymi kawałkami juty, a pani Ledbetter pakowała je do bagażnika. Kobieta nie płakała,

ale miała oblicze pozbawione życia, jakby nie spała od tygodnia. Prawie się nie odzywała. Nawet nie zauważyła kolorowych plamek na skórze Stelli. Pan Ledbetter i jego chudy syn tymczasem cały czas na siebie powarkiwali. Od rana nosili meble z piętrowego domu do dużej ciężarówki na słomę i zajęłoby im to cały dzień, gdyby nie pojawił się Abby. W porównaniu z nimi był olbrzymem, miał potworną krzepę i nigdy nie robił przerw w pracy. Nawet samodzielnie wyniósł ich żelazną kuchenkę – po prostu przewiązał ją pasem i zarzucił sobie na plecy. Kiedy z trzaskiem stanęła na pace ciężarówki, pan Ledbetter i jego syn zaczęli klaskać i wiwatować. Abby otarł pot z lśniącego czoła i przyniósł dzbanek ze swojego samochodu. Wypił długi łyk, a następnie podał naczynie panu Ledbetterowi, który skosztował nieco i mocno się skrzywił. Abby parsknął śmiechem.

Pani Ledbetter posłała Stelli przeciągłe spojrzenie.

– Więc ty zostajesz w kotlinie, a ja wyjeżdżam.

– Nie na długo. Tata po mnie wróci, kiedy znajdzie pracę.

– Na pewno tak będzie.

Stella poczuła, że ma rozpalone policzki. Nigdy wcześniej nie spotkała pani Ledbetter, ale Motty mówiła, że wszyscy ciągle wtrącają się do ich życia.

– Zawsze walcz o swoje – odezwała się pani Ledbetter. – Ludzie potępiali twoją mamę za to, że cię zostawiła, a ona zapłaciła za to wysoką cenę. Ale ty nie powinnaś się z tego powodu wstydzić.

Stella poczuła, że pieką ją oczy. Zapłaciła wysoką cenę? Czy wszyscy w kotlinie uważali, że jej mama zasłużyła na śmierć za swoje grzechy?

Zanim znalazła właściwe słowa, by stanąć w obronie matki, na podwórze wbiegł czarny koń zaprzężony do małego czarnego powozu.

Ze środka wysiadł wysoki mężczyzna, a za nim wyskoczył chłopiec niewiele starszy od Stelli. Mężczyzna uścisnął dłoń pana Ledbettera.

– To bardzo smutny dzień – rzekł.

Abby cicho postawił dzbanek na ziemi za sobą.

Pani Ledbetter wystąpiła naprzód, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Nie musiałeś przyjeżdżać, starszy Rayburnie. Ale z pewnością jestem ci za to wdzięczna.

– A ja z pewnością będę tęsknił za twoim śpiewem – odrzekł mężczyzna. – Mam nadzieję, że czasami zdołasz przyjechać na nabożeństwo. Sprawiłabyś mi olbrzymią radość.

Dorośli dalej rozmawiali, a Stella domyśliła się, że mężczyzna jest pastorem Pierwotnego Kościoła Baptystycznego, do którego państwo Ledbetter od dawna należeli. Przez cały ten czas syn mężczyzny wbijał w nią wzrok.

W końcu starszy Rayburn zwrócił na nią uwagę.

– Ty z pewnością jesteś wnuczką Motty. Stella, prawda? Miło cię poznać.

Stella popatrzyła na Abby’ego, a on pokiwał głową. Wyciągnęła rękę i wtedy koścista dłoń starszego zacisnęła się na niej niczym pęk patyków.

– To mój syn, Lincoln – oznajmił mężczyzna.

– Cześć. – Chłopak wciąż się jej przypatrywał.

Stelli się to nie podobało.

– Mogę zobaczyć waszego konia?

– Dlaczego? – spytał chłopak.

– Ponieważ to koń.

– Pokaż jej Pannę Jane, Lincolnie – polecił starszy Rayburn.

Stella podeszła do zwierzęcia, które patrzyło na nią wielkimi oczami. Dotknęła jego szyi i zachwyciła się ciepłem stworzenia. Klacz skłoniła łeb.

Chłopiec znów gapił się na Stellę.

– Masz jakiś problem? – spytała.

– Nigdy nie widziałem kogoś, kto miałby taką skórę – odrzekł.

– A ja nigdy nie spotkałam chłopca, który dostałby imię po samochodzie.

– Wcale nie dostałem imienia po samochodzie!

– Pewnie, że tak. Samochód był pierwszy, a potem ty dostałeś imię. Takie są fakty.

– Zostałem tak nazwany na cześć Abrahama Lincolna.

Popatrzyła na niego.

– Więc dlaczego nie nosisz imienia Abraham? – Zanim zdążył odpowiedzieć, dodała: – Może masz tak na drugie imię, co?

– Słucham?

– Nie biją cię w szkole? Myślałam, że wieśniaki nie lubią Lincolna.

– Był naszym najwybitniejszym prezydentem! A kotlina głosowała za Unią. Nie trzymaliśmy niewolników.

– Nie wierzę.

– To prawda! Spytaj mojego tatę. Lincoln był wielkim człowiekiem.

– Wiesz co, będę na ciebie mówiła Lunk.

Był wyraźnie zaszokowany. Czyżby żadna dziewczyna nigdy mu nie dogadywała? Nagle parsknął śmiechem.

– Masz charakter, Stello.

– Każdy ma jakiś charakter. – Przyłożyła policzek do szyi klaczy. Zaciągnęła się jej wonią.

– Idziesz do szkoły na jesieni? – spytał chłopiec. – Jesteś w wieku mojej siostry. Umiesz czytać?

– Oczywiście, że umiem czytać. Nie bądź ignorantem.

– No cóż, mieszkasz tutaj sama z Motty Birch – odrzekł, a Stella zdziwiła się, co to ma do rzeczy. – A jak sobie radzisz z arytmetyką?

– Zadaj mi jeszcze jakieś głupie pytanie, a dam ci po nosie – odpowiedziała.

Mężczyźni skończyli pakować rzeczy na ciężarówkę, a starszy Rayburn zaintonował modlitwę. Wszyscy zamknęli oczy, poza Stellą i Abbym. Podczas gdy pastor wznosił monotonne modły, Abby ukrył dzbanek na pace ciężarówki. Zanim powiedzieli amen, wrócił na miejsce.

* * *

Pod koniec sierpnia wujek Hendrick i jego rodzina odwiedzili ich po raz pierwszy. Stella jeszcze nigdy nie przebywała w towarzystwie takich eleganckich ludzi. Wujek Hendrick miał piękną zieloną walizkę – nie wiedziała, że skóra może mieć taki kolor. Jego niebieski garnitur był przetykany srebrną nicią, a skrzydełka kołnierzyka łączyła srebrna belka, która podtrzymywała węzeł krawata, barwnego i krzykliwego jak skrzydła motyla. Stella z szeroko otwartymi ustami wpatrywała się w jego czarno-białe buty i prawie przezroczyste skarpety.

W porównaniu z wujkiem Hendrickiem ciocia Ruty była straszliwie pospolita. Miała surowe spojrzenie, nosiła kremową sukienkę i nie spuszczała wzroku z męża, jak pies myśliwski czekający na wystrzał. Ale ich córka przypominała królewnę. Veronica. Blondynka o kręconych włosach. Miała najwyżej pięć lat, ale jej cienka żółtawo-zielona sukienka była droższa od każdego z ubrań Stelli. Siedziała obok matki, wierzgała nóżkami w lakierkach i ssała cukierka. Stelli nikt nie poczęstował.

Wujek Hendrick przywołał Stellę gestem. Stanęła przed nim, nie wiedząc, gdzie podziać oczy. Miała na sobie swoją najlepszą bawełnianą sukienkę, którą tata kupił dla niej poprzedniego lata, ozdobioną trzema wyhaftowanymi kwiatkami. Była z niej dumna, przynajmniej zanim pojawili się jej krewni w swoich eleganckich strojach.

Wujek Hendrick przyklęknął na jedno kolano.

– Dzień dobry, Stello. – Miał łagodny głos. Pachniał jak zakład fryzjerski.

Wyciągnął do niej ręce, a kiedy podała mu dłonie, uważnie im się przyjrzał, tak jak Motty pierwszego dnia.

– Jesteś pewna? – spytał.

– Na Boga najwyższego – odrzekła Motty. – Raymond Wallace ją tutaj przywiózł. Myślisz, że zgarnął jakąś cętkowaną sierotę z ulicy?

Wujek Hendrick się skrzywił.

– Ależ, Motty, nie powiedziałem…

– Popatrz na nią. Popatrz na tę skórę. Powiedz mi, że to nie jest córka Leny.

Stella miała ochotę potajemnie się oddalić. Nie znosiła, gdy ktoś zwracał uwagę na czerwone plamy na jej ciele. A wujek Hendrick wpatrywał się w nią coraz intensywniej i nie chciał puścić jej dłoni. Odezwał się dopiero po koszmarnie długim czasie.

– To ty, prawda?

Nie wiedziała, co ma powiedzieć.

– Wiesz, jaka jesteś wyjątkowa? – spytał.

Na to pytanie także nie miała odpowiedzi.

– To ja jestem wyjątkowa – odezwała się mała dziewczynka, Veronica.

– Oczywiście, że jesteś – zapewniła ją ciocia Ruth.

– Myślałem, że wszystko stracone, kiedy umarła Lena – powiedział wujek Hendrick, zupełnie jakby mówił do siebie. – Wszystko stracone.

Stella uwolniła dłonie z jego uścisku. Słyszała w swoim uchu głos pani Ledbetter.

– Jeszcze nie była w środku, prawda? – spytał Hendrick.

W środku. Dla Stelli to oznaczało tylko jedną rzecz.

– Nie jest gotowa – odparła Motty. – Już ci mówiłam. Najwcześniej, kiedy skończy dwanaście lat.

– Nie możemy czekać tak długo – zaprotestował. – Minęły lata od śmierci Leny. Może moglibyśmy…

– Dwanaście lat, Hendricku. To granica odpowiedzialności. Nie ustąpię. – Stella była zachwycona tym, że Motty denerwuje się na kogoś innego niż ona.

– Nie możemy czekać całe lata, Motty. Kto wie, ile wiadomości przegapimy!

– Nie drażnij się ze mną – ostrzegła Motty. – Nawet nie próbuj.

A więc nie chcą, żebym wchodziła do kaplicy jeszcze przez kilka lat, pomyślała Stella.

– Ja się nie boję – powiedziała.

– Widzę, że jesteś nieustraszona – odrzekł Hendrick.

– Cicho bądźcie oboje – ucięła Motty. – Już ją sobie obejrzałeś, chcesz czegoś jeszcze?

Wujek Hendrick ponownie chwycił Stellę za ręce, tym razem za nadgarstki. Zacisnął usta i przez chwilę uważnie jej się przyglądał. Czyżby miał łzy w oczach?

– Stello – odezwał się w końcu. – Och, Stello. – Głos miał zachrypnięty od emocji.

Powoli pokiwała głową. Owszem, tak miała na imię.

– Coś ci przywiozłem. – Skinął głową do Ruth, która otworzyła zieloną walizkę, a następnie wręczyła mu oprawioną w skórę książkę. – To jest *Księga*

Clary – oznajmił. – Wiesz, kim jest Clara?

– Moją praprababcią. Mieszkała tutaj, kiedy pojawili się partyzanci.

Hendrick był zachwycony.

– Ha! Właśnie tak! Ale nikt nie wie, co się wtedy naprawdę stało. Nikt oprócz nas.

Włożył książkę w jej dłonie. Była cienka, oprawiona w gładką ciemnoczerwoną okładkę. Na pierwszej stronie widniał napis:

KSIĘGA CLARY
Czyli pierwszy tom Nowego Objawienia
od Boga w Górze
dla Clary Birch, spisanego przez Russella Bircha, jej męża,
z komentarzem i objaśnieniami
Hendricka Bircha

– Russell Birch prowadził dziennik, w którym opisywał wszystko, co Clara widziała i czego doświadczała w tamtych latach. Oczywiście to nie jest oryginał. Ten znajduje się w bezpiecznym miejscu. Ale przepisałem tekst i opatrzyłem go komentarzami, czyli specjalnymi objaśnieniami mojego autorstwa.

Motty parsknęła.

Stella usiadła i zaczęła przerzucać cienkie kartki. Układ tekstu przypominał książki z biblioteki. Pierwsze mniej więcej dwadzieścia stron było zapisanych maczkiem jak w książce historycznej, a nie dzienniku. Dalsze strony były podzielone na dwie kolumny.

Hendrick zajrzał jej przez ramię.

– Po lewej stronie znajdują się zapiski Russella, a po prawej mój komentarz. – Kolumna po prawej była znacznie szersza. – Wszystko zaczyna się od opowieści o tamtej nocy, gdy rebelianci pojawili się w gospodarstwie – ciągnął Hendrick. – To historia pierwszego spotkania rodziny Birchów z Bogiem w Górze.

Bóg w Górze. A więc to jego Stella widziała.

Zaczęła przerzucać strony, nie czytając, tylko przeglądając wpisy do dziennika. Rzuciło jej się w oczy kilka zwrotów: „stara kobieta z jaskini”; „przyobleczona w kamień, ale nie zimna jak kamień”; „bez widocznych ran”.

– Nazywała to kobietą – zauważyła Stella.

– Czyż to nie ciekawe? – odrzekł Hendrick. – Clara była zdezorientowana. Nie obcowała z Bogiem w Górze, przynajmniej nie w prawdziwy sposób, tak jak Esther, jej córka, więc oczywiście popełniła kilka błędów. Właśnie po to są komentarze.

– Przywiozłeś także książkę Esther?

Hendrick się cofnął.

– Cóż za entuzjazm! Nie, chcę, żebyś przeczytała *Księgę Clary*, a kiedy wrócę, odpowiem na wszystkie twoje pytania. Zgoda?

– Ale jest więcej książek, prawda? Czy Motty też ma swoją?

– To nie twoja sprawa – warknęła Motty.

Hendrick zerknął na swoją siostrę, a potem zwrócił się do Stelli.

– Obowiązują nas pewne zasady. Nie dzielimy się księgami żyjących. Ich opowieści jeszcze się nie zakończyły.

– A co z moją mamą? – spytała Stella.

– Jej książki też nie czytamy – odrzekła Motty.

Stella uznała, że to nie ma sensu. Hendrick popatrzył na nią przepraszająco.

– Motty jest najstarsza. To ona decyduje, na co jesteś gotowa. Ale na razie zacznijmy od Clary! Dowiesz się, jak wyjątkowa jest twoja rodzina i jakie wielkie rzeczy obiecał nam Bóg.

– Jedno ciało, wiecznie rozkwitające – zaintonowała ciocia Ruth.

– Jedno ciało, wiecznie rozkwitające – powtórzył Hendrick. Stella nie miała pojęcia, o czym mówią, ale z niepokojem zauważyła łzę w oku wujka. – Nawet nie podejrzewasz, do czego jesteś zdolna, prawda?

Próbowała odpowiedzieć, ale wtedy to się stało: gruba łza skapnęła z jego powieki i spłynęła po policzku. Nawet jej nie otarł.

– Ze wstydem przyznaję, że trochę ci zazdroszczę, Stello. Masz wielkie powołanie, a ja jestem tylko… – Pokręcił głową, ponieważ nie potrafił wymyślić wystarczająco skromnego słowa. – Uczniem. Chcę nieść słowo. Ale ty, Stello, jesteś tą, która może je otrzymywać bezpośrednio. Pewnego dnia zostanie ci ono objawione. – Zerknął na Motty. – Już niedługo.

– Dobrze, dobrze – odrzekła staruszka. – Wszyscy są bardzo szczęśliwi. Kupiłeś wszystko z mojej listy?

Wujek Hendrick nie odpowiedział; wpatrywał się w Stellę drapieżnym wzrokiem, od którego przechodziły ją ciarki.

– Proszę, Mathildo – odezwała się ciocia Ruth. – Zakupy są w samochodzie. Możesz dać nam chwilę?

Stella zamarła. Hendrick zwrócił oczy na Ruth. Nawet Veronica wyczuła, że jej matka popełniła straszliwy błąd.

Motty nie odezwała się już ani słowem. Ale po dwóch minutach jej goście zniknęli, pośpiesznie jak jaskółki przed burzą.

Babcia do końca dnia miała paskudny nastrój, ale Stella była na to nieczuła. Wróciła do swoich zajęć, a w duchu niemal podśpiewywała: Nawet nie podejrzewasz, do czego jesteś zdolna.

* * *

Gdyby następnego dnia nie zaczynała szkoły, być może nie usłyszałaby, jak Motty wychodzi z domu. Ale Stella wierciła się w łóżku, wyobrażając sobie okrutne dzieci i surowych nauczycieli. Martwiła się, że zabłądzi w drodze do szkoły. Przerażało ją, że będzie wyglądała jak nędzarka w swojej taniej sukience i znoszonych butach. Zajmowała myśli ulubionymi fragmentami z *Księgi Clary.*

Rzeczywiście każda cienka strona była podzielona na dwie kolumny i zapisana na maszynie, dzięki czemu wyglądała oficjalnie. Po lewej znajdowały się słowa Russella Bircha, a po prawej komentarze Hendricka.

Stella stwierdziła, że Russell nie był zbyt uzdolnionym pisarzem. Ograniczał się do ogólników, podczas gdy ona pragnęła szczegółów, a był nieznośnie skrupulatny w opisach rzeczy, które ją nie interesowały, na przykład w kwestii ilości ziarna posianego wiosną czy liczby świń ubitych jesienią. Poza tym wyraźnie nie rozumiał, co robi jego żona. Clara rok wcześniej znalazła jaskinię, której wejście było „niewiele większe od nory rysia". Godzinami poszerzała otwór i badała kryjące się za nim komory. Russell unikał tego miejsca i wszedł tylko do pierwszego pomieszczenia. Im dłużej trwała wojna, tym więcej czasu Clara spędzała w jaskini, być może opłakując tam swojego syna, który dołączył do armii Konfederatów.

23 października 1864

Clara nadal się zamartwia, a ja nie mogę nic na to poradzić. Dwie noce temu do kotliny wjechało sześciu albo siedmiu rebeliantów i zabrali praktycznie cały towar ze sklepu D. Whiteheada oraz jedną szynkę. Kilka osób przybiegło, słysząc alarm, ale było za późno. Są głodni i wrócą. Clara powiedziała, że nasza straż złożona ze starców i kobiet nie wystarczy, a nasza piwnica do niczego się nie nadaje. Postanowiła, że jaskinia zostanie naszym magazynem, o którym nie będą wiedzieli rebelianci, a nawet nasz syn. Schowała tam już wszystkie nasze ziemniaki, cebulę i mąkę kukurydzianą. Zamierza umieścić tam także świnię, ale na to nie pozwolę. Myślę, że zaszyje się tam ze mną albo beze mnie.

Russell nie wyjaśnił, dlaczego nie chciał wejść do jaskini, ale Hendrick napisał o tym w swoim komentarzu.

Russell, w odróżnieniu od Clary, wyczuwał świętą naturę tego miejsca i bał się, nie bez powodu! Niewątpliwie pamiętał słowa Pana,

który nakazał Mojżeszowi, by nie wpuszczał nikogo na górę Synaj: „Kto by się dotknął góry, będzie ukarany śmiercią”.

Stella przekartkowała książkę, docierając do swojej ulubionej części, w której partyzanci pojawiają się w gospodarstwie Birchów w pewną grudniową noc. Abby zupełnie inaczej to opowiadał. Czterech rebeliantów zaprowadził do gospodarstwa rodzony syn Russella i Clary, Cyril, co „złamało Clarze serce”. To było pod koniec wojny i jej syn oraz jego kompani byli wychudzeni i obdarci, nie mieli ani jednego kompletnego munduru. Przybysze wpadli w gniew, gdy okazało się, że piwniczka jest pusta, a jeden z nich wycelował broń w Russella. Wtedy Clara wyznała, gdzie ukryła jedzenie, i zaprowadziła mężczyzn do jaskini. „Weźcie wszystko”, powiedziała.

Kiedy partyzanci zeszli do otworu, Clara położyła dłoń na ramieniu swojego syna i go powstrzymała. Russell napisał:

Usłyszeliśmy, jak dwóch z nich pokrzykuje i śmieje się, gdy znaleźli naszą whiskey. Wkrótce rozmowy ustały. Długo czekaliśmy przed wejściem i niczego nie słyszeliśmy. Cyril zaczął ich wołać i chciał do nich zejść, ale Clara chwyciła go za rękę i nie chciała go puścić. Powiedziała, że ci chłopcy już nie wrócą. To miejsce teraz należy do niego. Cyril spytał, kogo miała na myśli, a ona wypowiedziała jego sekretne imię.

Cóż to było za sekretne imię? W swoim komentarzu Hendrick stwierdził, że Russell go nie zapisał, ale być może było to jedno z hebrajskich imion Boga. Stella zastanawiała się nad tym godzinami, samodzielnie wypowiadając te sylaby.

Właśnie ponownie czytała ostatni fragment dziennika – o końcu wojny i o tym, jak Clara kazała dzieciom przyrzec, że nigdy nie będą opowiadały o jaskini – gdy usłyszała, jak tylne drzwi otwierają się ze skrzypieniem, a potem zamykają z cichym szczękiem.

Stella pomyślała, że Motty zapewne wybiera się do wychodka, mimo że miała nocnik przygotowany z myślą o takich nagłych wypadkach. Ale zastanowiło ją, że staruszka tak cicho zamknęła za sobą drzwi. *Księga Clary* wprawiła ją w podejrzliwy nastrój.

Otworzyła drzwi i przekradła się do kuchni. Powietrze było zimne, a drewniana podłoga jeszcze zimniejsza. Jedna z szuflad była odsunięta, a przy kredensie stało krzesło. Dziwna sprawa. Motty zawsze pilnowała, aby wszystko było na swoim miejscu, a Stella sama posprzątała po kolacji.

Podeszła do małego okna. Motty szła przez podwórko w jasnym blasku księżyca. Babcia miała na sobie tylko domową sukienkę i szal. Była boso, a zimna ziemia zapewne drażniła jej stopy. Trawa lśniła srebrzyście, rosa wkrótce miała się zmienić w szron. Zanim Motty dotarła do linii drzew ponad stodołą, obejrzała się w stronę domu.

Stella gwałtownie cofnęła się od okna. Przez chwilę z przerażeniem myślała, że dała się zobaczyć.

Kiedy zdobyła się na odwagę i znów wyjrzała, Motty już nie było.

Stella przestępowała z nogi na nogę i wpatrywała się w plamę księżycowego blasku. Babcia się nie pojawiła.

Pomyślała: Nawet nie podejrzewasz, do czego jesteś zdolna. Potem biegiem wróciła do swojego pokoju i założyła buty, nie kłopocząc się sznurówkami.

Drzwi kaplicy były otwarte. Przystanęła w sporej odległości od wejścia, nasłuchując i drżąc z zimna. W końcu wkroczyła do środka.

W głębi pomieszczenia dwie grube świece ustawione na podłodze oświetlały krawędzie otworu prowadzącego do jaskini. Deski zostały zepchnięte na bok. Nigdzie nie było Motty.

Stella na palcach ruszyła przed siebie, wyobrażając sobie, że na dole słychać jej kroki. Kiedy była już prawie przy podeście, z otworu dobiegł jakiś głos. Motty o coś błagała. Stella nigdy wcześniej nie słyszała, by jej babcia mówiła takim tonem.

Zbliżyła się o krok, potem o kolejny. Czuła się tak, jakby ktoś inny kontrolował jej ciało, ktoś odważniejszy. Uklękła przed wejściem do jaskini. Powoli się nachyliła.

Kołyszące się światło latarni rzucało na ścianę poszarpane cienie. Głos Motty płynął z ciemności.

– Proszę… Proszę… – A potem babcia wypowiedziała słowo złożone z trzech sylab.

Z krtani Stelli wydobył się pisk zaskoczenia.

Cienie na dole schodów nagle zmieniły rozmiar. Stella gwałtownie cofnęła głowę. Puściła się biegiem, starając się stąpać lekko jak łania. Wyskoczyła z kaplicy na śliską trawę. W głowie raz za razem powtarzała usłyszane sylaby: Duchojcze, Duchojcze, Duchojcze.

Wiedziała, że to imię nie zmienia jej sytuacji, ale teraz myślała o wszystkim inaczej. Nie tylko dzieliła sekret z Clarą i Motty, ale wiedziała coś, czego nie wiedział wujek Hendrick.

Rozwiązanie tajemnicy tak ją podnieciło, że dopiero dwa dni później zaczęła się zastanawiać nad jeszcze większą zagadką: O co Motty prosiła Duchojca?

4

1948

Patrzenie na Absaloma Whitta było jak stanie wysoko ponad bystrą rzeką w upalny dzień. Stella marzyła, żeby skoczyć, ale nie potrafiła zapomnieć o kamieniach.

– A więc widzę, że łańcuszek modlitewny wciąż działa – odezwał się, a jego wysoka postać wypełniała drzwi.

– Bimbrowa poczta.

Zachichotał oschle. Kiedy Abby handlował whiskey w kotlinie, gdzie nie było telefonu, polegał na specyficznych usługach pocztowych, które świadczyli gorzelnicy, pijacy, wsioki, gitarzyści i upadli baptyści, przekazujący wiadomości od klientów i informujący ich o terminach dostaw.

– Dziękuję, że dałeś mi znać. – Podeszła do niego między ławkami. Był wysoki jak zawsze, ale strasznie chudy. Czy to więzienie tak go zmieniło? Nie chciała o tym myśleć. – Przyjechałam najszybciej, jak mogłam.

– Właśnie widzę. Spodziewałem się ciebie dopiero rano albo…

Albo w ogóle. Nie musiał tego mówić, żeby sprawić jej ból.

– Widziałam dziewczynkę. Przynajmniej tak sądzę.

– Jest nieśmiała.

– No i późno kładzie się spać.

– To prawda, nie sypia zbyt wiele.

– Opiekujesz się nią?

Cofnął się od drzwi, podrapał w tył głowy i popatrzył w stronę drzew. Abby działał w dwóch prędkościach. Kiedy był trzeźwy, nie można było go popędzać. Kiedy był pijany, nie sposób było dotrzymać mu kroku.

– Przyszła do mnie po tym, co się stało z Motty. Pozwoliłem jej spać na kanapie.

– Masz kanapę? Widzę, że praktycznie się ucywilizowałeś.

– Mój kościsty tyłek jest już za stary na drewniane krzesła.

Stella zastanawiała się, czy to też zmieniło się za sprawą więzienia. W blasku księżyca twarz Abby’ego sprawiała wrażenie udręczonej. Był w jej życiu osobą,

która najbardziej przypominała ojca, zapłacił za jej bezpieczeństwo ogromną cenę, a ona odpłaciła mu się tylko krzywdą.

– Wujek Hendrick na pewno już tu jedzie – stwierdziła. – Chciałabym się dowiedzieć, jak umarła Motty.

Nie odrywał wzroku od wierzchołków drzew. Z tego miejsca do chatki Abby'ego prowadziły dwie drogi – trzeba było wspiąć się na przełęcz i podążyć nią na zachód albo zejść do domu Motty, przeciąć podwórze i rozpocząć wspinaczkę po drugiej stronie.

– Odprowadzę cię na dół – zaproponował.

Abby, jak to Abby, nie odzywał się, dopóki nie dotarli do stodoły Motty.

– Tam upadła. – Wskazał miejsce obok domu.

– Znalazłeś ją?

– Zszedłem, żeby sprawdzić, co u nich słychać, i ją zobaczyłem. Zaniosłem ją do domu.

– W okolicy nie było… nikogo innego?

Posłał jej zdziwione spojrzenie. Być może wyczuł napięcie w jej głosie.

– Była sama – odrzekł. – To pewnie zawał albo udar. Trudno powiedzieć.

Stella wskazała głową dom.

– Kto rozłożył Biblię?

– Co masz na myśli?

– Nieważne. – Jeśli nie Abby, to pewnie Sunny. Stella miała znacznie ważniejsze pytania i niewiele czasu, zanim Hendrick wszystko popsuje. – Skoro już tu jesteś, to zostań. Zaparzę ci kawy.

– Nie, lepiej wrócę. Położę dziewczynkę do łóżka.

Obiecał, że niedługo znowu się zjawi, ale nie był pewien, czy Sunny będzie mu towarzyszyła.

– Jak już mówiłem, jest nieśmiała.

– Wujek Hendrick ją poznał?

Abby sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Oczywiście, że tak.

– Naprawdę?

– Wpada co kilka miesięcy. Jak zawsze.

Kurwa jego mać, pomyślała Stella.

– Nie musisz się nim przejmować – dodał Abby. – Hendrick to Hendrick, nie jest…

– Odprawił dla niej nabożeństwo? W tej kaplicy?

Abby patrzył na nią z rozdziawionymi ustami.

– Powiedz – nalegała.

– Nic o tym nie wiem. Wiesz, że się nie angażuję.

– Zaangażowałeś się na tyle, żeby zabetonować otwór. Daj spokój, wiem, że Motty nie zrobiła tego sama, właśnie po to ma ciebie.

– Poprosiła mnie, więc to zrobiłem.

– Kiedy to było?

– W zeszłym tygodniu.

Więc Hendrick jeszcze o tym nie wiedział.

– Powiedziała, dlaczego chciała zapieczętować jaskinię?

– Nie pytałem. Nie mam nic wspólnego z waszymi kościelnymi sprawami.

– Kościelnymi sprawami? – roześmiała się. – Tak to nazywasz?

Sprawiał wrażenie udręczonego i Stella pożałowała swoich kpin. Abby nigdy nie był dobry w ukrywaniu emocji, ale teraz wyglądał na wyjątkowo bezbronnego. Musiała traktować go z większą ostrożnością.

– Powinnaś porozmawiać z Sunny – zaproponował.

– Może to zrobię, jeśli przestanie przede mną uciekać.

Stella weszła na tylną werandę. Popatrzyła na ręczną pralkę, przekleństwo swojego dzieciństwa. Całymi godzinami kręciła tą korbą.

– Więc co zamierzasz? – spytał Abby.

Wstrzymała oddech. Machnęła ręką, nie odwracając się w jego stronę.

– Po prostu spróbuję jakoś przetrwać pogrzeb. – Dobrze wiedziała, że nie o to mu chodziło.

– Ona ma tylko ciebie – rzekł Abby.

– A co z tobą?

– Stello.

Popatrzyła na niego.

– Widać, że ci ufa. Moglibyśmy coś razem obmyślić. Pomogłabym ci ją utrzymać.

– To nie należy do mnie – odparł Abby. – Motty chciała, żebyś ty się tym zajęła.

– Zapisała to w testamencie? Bo jeśli nie…

– Znasz Motty. Nigdy niczego nie zapisywała.

– No cóż, nie mogę jej zabrać.

Abby nie odpowiedział.

– Nie patrz tak na mnie – rzuciła. – Poza tym ona pewnie mnie nienawidzi.

– Sunny cię nie nienawidzi. Nie zna cię.

– Takich ludzi najłatwiej nienawidzić.

– Po prostu musisz ją poznać. Wróć ze mną do domu. Przedstawię cię.

Stella poczuła lodowaty dreszcz na karku.

– Stello?

– Wpadnę, kiedy zrobi się jasno. Wracaj do niej, zanim pożrą ją twoje niedźwiedzie.

Nie zrozumiał żartu.

– Twoja mordercza menażeria – dodała.

Zachichotał.

– Zapomniałem, że tak ją nazywałaś. No cóż, dziś już nie jest tak groźna.

Poczłapał przez podwórze. Był teraz szczuplejszy, ale wciąż ciężko stawiał kroki.

Obejrzał się, kiedy Stella zawołała go po imieniu. Nie widziała jego oczu, ale blask księżyca odbijał się od jego łysej głowy.

– Sunny. Wszystko z nią w porządku?

W porządku. W tych okolicach to może oznaczać wiele rzeczy. Abby przez chwilę się zastanawiał.

– To mała dziewczynka – odpowiedział.

* * *

Szeryf pojawił się o świcie.

Stella usłyszała odgłos silnika i wyszła na werandę. To był ten sam radiowóz, którym Bobby Reed przyjechał kilka godzin wcześniej.

Po jej prawej stronie słońce powoli wychylało się zza szczytu góry Thunderhead. Światło przecinało dolinę, rozpalając wzgórza na zachodzie. Drzewa płonęły na pomarańczowo i czerwono pod niebieską mgłą, która naprawdę przypominała dym. Jesień w Smoky Mountains wyglądała jak najpiękniejszy pożar lasu na świecie.

Samochodem przyjechali dwaj mężczyźni. Od strony pasażera wysiadł Tom Acherson, ubrany w oficjalny brązowy mundur parku narodowego. Prawy rękaw miał podpięty w miejscu, w którym powinien znajdować się łokieć. Drugim przybyszem był Don Whaley, szeryf hrabstwa Blount. Położył dłoń na masce jej forda i uważnie mu się przyjrzał.

– Stella! Co za niespodzianka – odezwał się Tom. – Przyjmij moje wyrazy współczucia. Motty z pewnością była… częścią tego miejsca. – Brzmiał jak lektor w kronice filmowej.

– Niewątpliwie – odrzekła Stella. Whaley zaglądał na jej tylne siedzenie.

Tom wskazał głową rozświetlone słońcem wzgórza.

– Zapiera dech w piersiach, prawda?

– Tak piękne, że powinno być zakazane.

– O naszych jesiennych barwach jest coraz bardziej głośno. – Nadzorca parku nadal stale się uśmiechał i kiwał głową. Był najradośniejszym człowiekiem,

jakiego znała. Kiedy była mała, uważała jego niegasnący entuzjazm za uroczy. – Do południa w parku zaroi się od gości.

– Pewnie będą się gapić także na ostatniego pioniera. Szeryfie, mógłby pan przestać głaskać mój samochód?

Dłoń szeryfa Whaleya spoczywała na bagażniku. Sprawiał wrażenie zmęczonego, ale tak było zawsze. Był jednym z tych mężczyzn, którzy stale mają cienie pod oczami, jakby każdego dnia po przebudzeniu lekko uderzał się pięścią w twarz.

– Mogę zajrzeć do środka? – spytał.

Whaley był najgorszym rodzajem gliniarza: bogobojnym i nieprzekupnym. Wychował się razem z Hendrickiem i kiedyś byli najlepszymi kumplami. Kurwa, może wciąż tak było. Żałowała, że nie schowała auta w stodole.

– Jesteśmy poza pana jurysdykcją.

Tom sprawiał wrażenie rozczarowanego, że rozmowa przyjęła taki obrót.

– Przyjechaliśmy sprawdzić, co z Sunny… no i oczywiście zaproponować pomoc rodzinie.

– Oraz przyjrzeć się naszej nowej własności.

Tom spochmurniał.

– Żartuję – powiedziała. – Wejdźcie.

Whaley rozejrzał się po salonie, jakby inwentaryzował jego zawartość. Niewykluczone, że właśnie to robił. Hendrickowi na pewno zależało, żeby szeryf jak najszybciej przybył na miejsce, na wypadek gdyby Stella próbowała zbiec ze swoim spadkiem. Rzeczywiście, już przeszukała dom, ale rozglądała się za testamentem Motty, bez większych nadziei, ponieważ staruszka przez całe życie nie miała w zwyczaju zapisywać niczego dłuższego niż listy zakupów. Nie znalazła ani skrawka zapisków.

– Słyszałem, że to Abby znalazł ciało? – odezwał się Tom.

Stella przekazała mu to, co powiedział Abby: podwórze, podejrzenie zawału.

– Wygląda na to, że śmierć przyszła szybko – zauważył Tom. – Los był łaskawy.

– Gdzie jest dziewczynka? – spytał Whaley. – Sunny – dodał, jakby chciał udowodnić, że zna jej imię.

– Śpi. – To niekoniecznie było kłamstwo.

– Chciałbym ją zobaczyć.

– Nie będziecie jej budzić. Kobieta, która była dla niej jak matka, właśnie umarła. Zostawcie ją w spokoju.

– Każda dziewczynka ma matkę – odparł Whaley.

Tom szerzej otworzył oczy. Zobaczył na twarzy Stelli coś, co go zaniepokoiło.

– Zostaniesz tutaj aż do przybycia Hendricka? – A więc jednak: potwierdzenie, że szeryf rozmawiał z wujkiem Hendrickiem.

– Nie martwcie się – odrzekła Stella. – Nie ucieknę z klejnotami rodowymi.

* * *

Gdyby Motty umarła w dawnych czasach, kościelny dzwon zabiłby raz za każdy rok jej życia, a wszyscy w kotlinie domyśliliby się, kto odszedł. Obecnie kotlina była opustoszała, przyjaciele, krewni i byli sąsiedzi rozproszyli się po trzech hrabstwach, a zamiast dzwonów wzywały ich telefony. Samochody zaczęły przyjeżdżać wkrótce po odejściu szeryfa Whaleya i Toma Achersona, niczym barki przybijające do brzegów Normandii. Wysiadali z nich chrześcijańscy żołnierze uzbrojeni w zapiekanki i dzbanki słodkiej herbaty.

Stella musiała witać gości, wysłuchiwać kondolencji i zrobić miejsce na stole dla naczyń. Większość z pierwszej fali przybyszów stanowili członkowie Pierwotnego Kościoła Baptystycznego, którzy, kierowani uporem, wciąż przyjeżdżali do kotliny w każdą niedzielę, żeby spotykać się w starym budynku. Stella wątpiła, by pojawili się tutaj z miłości do Motty – byli z nią skłóceni. Ale to Birchowie założyli kościół, więc trzeba było przestrzegać zasad.

Pojawili się także baptyści innych odłamów. Duża grupa Misjonarzy, którzy wciąż nosili urazę do Pierwotnych po rozpadzie, do którego doszło w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku, Baptyści Południowi, zielonoświątkowcy, niezależni. Przyjechali metodyści, a nawet dwójka episkopalian z Maryville. Spora część tych ludzi była spokrewniona. Małżeństwa między członkami rodzin zamieszkujących kotlinę były tak częste, że wszystkie rody były ze sobą splecione jak krzew jeżyn. Osoby, które utrzymywały, że nie są spokrewnione z Birchami, zapewne nie czytały przypisków w swoich rodzinnych Bibliach.

Wszystkich ciekawiła Sunny – Stella dostrzegała to po tym, jak rozglądali się po ich malutkim domku – a kilka osób wprost o nią spytało. Nazywali ją „biedną dziewczynką” albo „biednym maleństwem”. Tylko nieliczni znali jej imię, a nikt jak dotąd jej nie spotkał. Motty najwyraźniej nie posyłała małej do szkoły ani, co gorsza, do kościoła. Woń dezaprobaty unosiła się nad każdą przyniesioną potrawą.

Stella wszystkim odpowiadała to samo: „Dziewczynka mieszka z rodziną”.

Po otrzymaniu trzeciej zapiekanki z zielonej fasoli – „Wystarczy podgrzać w piekarniku, kochana” – Stella wyszła z kuchni, wślizgnęła się do swojego dawnego pokoju i oparła plecami o drzwi.

Wydobyła z kieszeni paczkę lucky strike’ów. Zapaliła jednego zapalniczką. Kiedyś marzyła o paleniu w swoim pokoju. Zastanawiała się, na jak długo uda

jej się ukryć. Może ludzie dojdą do wniosku, że pogrążyła się w żałobie?

Pokój wyglądał zupełnie inaczej w dziennym świetle.

Kiedy przeszukała go przed świtem, spędziła tutaj tylko kilka minut, ponieważ nie wyobrażała sobie, że Motty mogłaby ukryć cokolwiek wartościowego w miejscu łatwo dostępnym dla Sunny (albo Stelli, za jej czasów). W półmroku pokój wyglądał niemal tak samo jak wtedy, gdy Stella się z niego wyprowadziła.

Ale teraz stało się jasne, że Sunny nadała mu własny styl. Zaczynając od książek – zawartość regału została zdziesiątkowana. Zabrano czasopisma biologiczne, powieści były pomieszane – książki o Nancy Drew leżały na bezładnej stercie! – a przede wszystkim zniknęły *Księga Clary* i *Księga Esther.*

Sunny z pewnością ich nie wyrzuciła. Czyżby Hendrick ponownie je zagarnął?

Stella zaczęła układać powieści kryminalne w równym rzędzie, a wtedy za stertą książek znalazła małe kartonowe pudełko.

Nie rozpoznała go, więc musiało należeć do Sunny. Półka była doskonałą kryjówką, ponieważ Motty nie interesowała się książkami. Kiedy Stella tu mieszkała, drażniło ją to, że staruszka stale przeglądała jej rzeczy, nie dając jej nawet odrobiny prywatności. Pomyślała, że powinna odłożyć pudełko.

Podniosła wieczko.

Poczuła ucisk w piersi. Wewnątrz leżała kwadratowa koronkowa chusteczka, złożona w taki sposób, że na wierzchu widniały inicjały Stelli: „SW”. Lunk podarował jej tę chustkę na czternaste urodziny.

A Motty, niech ją szlag, dała ją Sunny.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Stello? – Nie rozpoznała głosu.

– Za chwilę.

– Twój wujek Hendrick o ciebie pyta.

Hendrick. Kurwa.

Zamknęła pudełko i odłożyła je na półkę. Przesunęła dłonią po twarzy, a następnie wytarła ją o spodnie. Nie zamierzała pokazać się temu człowiekowi ze łzami w oczach.

* * *

Wujek Hendrick był w salonie i rozmawiał ze staruszkiem, który kiedyś mieszkał w kotlinie. Za Hendrickiem stali trzej mężczyźni w niemal identycznych niebieskich garniturach, z włosami zaczesanymi do tyłu. Niezręcznie trzymali kapelusze i wsłuchiwali się w każde słowo Hendricka.

Najpotężniejszy z nich był blady jak surowe ciasto: miał białe włosy, białe brwi i różowe usta. Z pewnością nie pochodził z tych stron.

Hendrick nigdy nie wyglądał na miejscowego. Był tak kurewsko elegancki, jakby dopiero co wyprasował garnitur, mimo że przed chwilą przyjechał z Atlanty. Do tego zadowolony z siebie jak król Ryszard po powrocie z krucjat.

Stella nie była na to gotowa. Zwłaszcza po podstępnym ataku Motty zza grobu. Nie wiedziała, czy powinna uciec z domu, czy może wygnać z niego tego drania.

Zanim podjęła decyzję, mężczyźni w niebieskich strojach rozstąpili się i do Hendricka podeszły ciocia Ruth oraz Veronica. Ruth już była na coś wściekła, a Veronica sprawiała wrażenie śpiącej. Ale kiedy zauważyła Stellę, zaświeciły jej się oczy. Podeszła do niej na wysokich obcasach z szeroko rozłożonymi rękami. Stella pozwoliła się uściskać.

– Ojej, ale się za tobą stęskniłam – powiedziała Veronica. Pachniała lakierem do włosów i wodą perfumowaną Shalimar.

– Miło cię widzieć, Vee. – Ostatnio widziały się jako dziewczynki, Veronica wtedy jeszcze nawet nie była nastolatką, ale przez lata wymieniały listy. To była jedyna krewna, z którą Stella miała ochotę utrzymywać kontakt.

– Dobrze się czujesz? – spytała Veronica. – Wyglądasz na rozbitą. Bardzo mi przykro, że tak się stało. Biedna Motty.

– Tobie też jest smutno, co?

– Oczywiście, że tak. – Veronica zerknęła w bok, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie słucha. – Pamiętasz tamtego weterana marynarki, o którym ci pisałam? – Podniosła dłoń, pokazując pierścionek zaręczynowy. – Popatrz!

– Kiedy to się stało?

– W maju. Weźmiemy ślub w przyszłym roku w czerwcu.

– Dziwi mnie, że będziesz tak długo chodziła z pierścionkiem na palcu. Zupełnie jakbyś przez rok nie wyłączała kierunkowskazu.

– Przestań! Nie śpieszymy się.

Stella od jakiegoś czasu obserwowała wujka Hendricka, który wreszcie zwrócił na nią uwagę. Kiwała głową, podczas gdy Veronica paplała o przygotowaniach do ślubu.

Hendrick do nich podszedł.

– Stello – odezwał się głosem, który otulił ją jak ciepła mgła. Włosy miał przyprószone siwizną, ale był przystojny jak zawsze.

Chciał objąć Stellę, ale ona tylko podała mu rękę.

– Jak minęła podróż?

– Szybko – odrzekł. – Chociaż nie tak szybko jak tobie.

– Tata od razu chciał wskoczyć do samochodu, kiedy otrzymał wieści, ale mama się nie zgodziła. Musiała nas spakować, jakbyśmy wybierali się w podróż przez prerię. Zabraliśmy pół tuzina kanapek z sałatką jajeczną i skrzynkę coca-coli. Godzinę temu zameldowaliśmy się w nowym hotelu w Gatlinburgu i trochę się odświeżyliśmy.

Mężczyźni w niebieskich garniturach przysłuchiwali się ich rozmowie. Stella skinęła głową w ich stronę.

– Spakowałeś też tych chłopców?

Hendrick obejrzał się przez ramię.

– Och, to członkowie mojego kościoła. Byli tak mili, że zgodzili się mi towarzyszyć. – Przedstawił ich, a Stella od razu zapomniała ich imiona. Zastanawiała się, o jaki kościół chodzi.

– Miło panią poznać – odezwał się blady mężczyzna. – Pastor Hendrick wiele nam o pani opowiadał.

Jaki, kurwa, pastor?

Ciocia Ruth przecisnęła się obok męża i popatrzyła na Stellę nerwowym, przenikliwym wzrokiem.

– Ktoś właśnie spytał, czy… Co ty masz na sobie?

– Jak się miewasz, ciociu Ruth? – spytała Stella z naciskiem.

– Nie mogłaś założyć sukienki?

– Myślę, że Motty będzie wszystko jedno.

– Ktoś właśnie spytał, kiedy odbędzie się pogrzeb. Jeszcze nie dzwoniłaś do domu pogrzebowego, prawda?

– Jeszcze o niczym nie zdecydowałam. Nic nie jest zaplanowane.

Ulga cioci trwała tylko chwilę.

– Hendricku, musimy zadzwonić do Smithów w Maryville.

– Jak uważasz, kochanie – odrzekł nieobecnym głosem. – Sunny jest w swoim pokoju?

– Jest u Abby’ego.

Na jego twarzy mignęło rozdrażnienie, ale szybko je zamaskował.

– Ten dom pewnie jest dla niej zbyt zatłoczony. To wrażliwa dusza. Zaniesiemy jej część tego jedzenia.

Stella nie była pewna, co irytuje ją bardziej: spoufalanie się Hendricka czy fakt, że pomyślał o tym, jak może pomóc dziewczynce. Stella już dawno powinna była zanieść jej coś do jedzenia.

– Hendricku, dom pogrzebowy! – odezwała się Ruth.

– Psiakrew, Ruth, pozwól mi najpierw zobaczyć siostrę.

* * *

Stella przez cały ranek nie otwierała pokoju Motty. Kiedy wpuściła Hendricka, nie zamknęła drzwi za sobą.

Stał nad ciałem Motty i nie wiedział, co zrobić z dłońmi. Przekładał kapelusz z ręki do ręki. Nie przypatrywał się ciału, co przyjęła z ulgą.

– Chorowała? – spytał, nie oglądając się.

Stella o mało nie odpowiedziała: Wasz Bóg ją zabił, idioto. Zdrowie Motty nie miało tu nic do rzeczy. Ale w domu było zbyt wielu ludzi, żeby powiedzieć coś takiego na głos. Poza tym chciała być pewna, zanim zaszczepi taką myśl w jego głowie. Zamiast tego odpowiedziała:

– Mnie nie pytaj.

– Nigdy jej nie odwiedzałaś? – spytał zbolałym głosem.

– Wyjeżdżając, zapowiedziałam, że nigdy nie wrócę. Tak się też stało.

– Ale dziś rano całkiem szybko tu przybiegłaś – zauważył, odwracając się. No tak. A więc był zły, że go uprzedziła.

– Nie chciałam, żeby Sunny była tutaj sama.

– To bardzo miło z twojej strony. Tak się nią interesujesz.

Nie podnosił głosu. Domek był coraz bardziej zatłoczony, a Ruth stała w odległości zaledwie dwóch metrów, tylko pozornie szanując ich prywatność.

– Wyjaśnisz, co to za chłopcy w niebieskich garniturach, pastorze Hendricku?

Pokręcił głową, udając, że nie rozumie.

– O jakim kościele mówimy? – spytała.

– Tym samym, w którym się wychowałaś.

Nie mógł mówić poważnie.

– Przecież… to miało pozostać w rodzinie. Zawsze tak powtarzałeś.

– Nadszedł czas, żeby wprowadzić innych. Misja kościoła trwa.

– Jak to sobie wyobrażasz? Jesteśmy w środku parku narodowego, który niedługo przejmie cały ten teren.

– Coś wymyślimy.

My. Czyli nie ona.

– Ty i twoi wyznawcy nie możecie zostać – odrzekła. – John Toliver już pozwał rząd i przegrał. Ty także to zrobiłeś i przegrałeś. Park przejmie gospodarstwo i je zburzy. Dom, stodołę i kaplicę.

– Powinniśmy porozmawiać o tym później.

– Powiedz mi tylko jedno – drążyła Stella. – Czy ona weszła do środka?

Wzdrygnął się. Był zdenerwowany tym, że powiedziała tak wiele w zasięgu słuchu niewiernych. Podeszła bliżej.

– Weszła?

Uświadomił sobie, że Stella jest od niego wyższa, i to nie dlatego, że on sam skurczył się przez dziesięć lat, które upłynęły od ich ostatniego spotkania. Stella przestała rosnąć w wieku czternastu lat, więc już dawno przerosła wujka, ale wtedy nie odnosił takiego wrażenia. W jego wspomnieniach zawsze była tylko dziewczynką.

Odwrócił wzrok.

– Nie. Była za młoda.

– Hendricku.

– Motty się nie zgodziła.

Stella odetchnęła i cofnęła się o krok. To mogła być prawda. Do Motty zawsze należało ostatnie słowo w kwestii tego, kto może wejść do kaplicy. Nawet teraz nimi rządziła. Beton zasłaniający wejście do jaskini był jak gromkie „Pierdolcie się” rzucone zza grobu.

– Co się stało? – spytał Hendrick.

Zobaczył uśmiech na jej ustach. Rozważała, czy powiedzieć mu o tym, co zrobiła Motty, ale uznała, że będzie zabawniej, jeśli sam to odkryje.

– Chcę dla Sunny tego, co najlepsze – zapewnił, a następnie dodał głosem gładkim jak nóż wnikający w brzuch ryby. – Nie opuszczę jej.

* * *

Stella wyszła z domu oszołomiona i zawstydzona. Nie opuszczę jej. Poszła do stodoły, gdzie zaparkowała samochód, myśląc: Pieprzyć ich. Niech Bóg ich wszystkich zabierze. Ja mam pracę do wykonania.

Veronica pojawiła się za jej plecami.

– Wszystko w porządku? Co powiedział tata?

– Nic, na co bym nie zasłużyła.

– A więc dobrze. – Vee ujęła Stellę pod rękę. – Wiesz, gdzie dziewczyna może się tu czegoś napić?

– Jest dziesiąta rano.

– A ja nie spałam całą noc. Ty też, przynajmniej tak wyglądasz.

– Więc to będzie drink na dobranoc?

– Właśnie!

Stella podeszła do forda.

– Na niebiosa, wozisz demoniczny trunek? – odezwała się Veronica.

– Szeryf Whaley dziś rano prawie otworzył bagażnik.

– O nie!

– Nie martw się, jest pusty. Ale… – Otworzyła drzwi od strony kierowcy, przesunęła ukrytą dźwignię i podniosła tylne siedzenie. Pod spodem znajdowało

się dwadzieścia słoików z bimbrem obłożonych słomą, żeby o siebie nie stukały.

Veronica była zachwycona.

– Zawsze byłaś moją ulubioną buntowniczką.

Stella otworzyła jeden ze słoików i go uniosła.

– Wypijmy za twoje zbliżające się zamążpójście.

– Nawet nie jestem w ciąży! To chyba pierwszy taki wypadek w naszej rodzinie. – Upiła łyk. – Mocne!

– Muszę przyznać, że ta partia się udała.

– Cofam to, co powiedziałam. Ten bimber tak mnie zbałamucił, że pewnie będę miała dziecko. – To rozbawiło Stellę. Jak Vee to robiła? Co kilka miesięcy przysyłała listy, tak pełne radosnych banałów i wyrazów podziwu wobec starszej kuzynki, że Stella musiała odpisywać. – Mam tylko nadzieję, że Hump nie popsuje następnej partii – stwierdziła.

– Hump? Znasz kogoś, kto nazywa się Hump?

– To jeden z moich pracowników. Nieważne. – Chłopak powinien już pracować nad nową porcją. Willie Teffeteller chciał dostać swoje beczki przed piątkowym wieczorem. Jeśli Hump coś schrzani, nowa umowa w Willem pójdzie się jebać, a pozostali klienci też się do nich zrażą.

Veronica wydobyła medalion zza dekoltu. Wewnątrz znajdowało się zdjęcie młodego mężczyzny w białym mundurze marynarki, wpatrującego się w obiektyw.

– To Rickie. Jest Włochem, ale tak nie wygląda.

– Przystojny. – Zdaniem Stelli młodzieniec wyglądał jak typowy Włoch.

– Tata da mu pracę w sklepie z meblami. Tak naprawdę zajmie moje miejsce.

Stella uniosła brwi.

– Zajmuję się księgowością od szesnastego roku życia, oprócz tego robiłam inwentaryzację. Ale tata twierdzi, że wojna się skończyła, więc nie chce, abym pracowała, kiedy już wyjdę za mąż.

– Więc Rickie zamieni marynarkę wojenną na handel. Na pewno jest podekscytowany.

– Niestety, nie wszyscy możemy być przestępcami.

– Może kiedy on będzie pracował, ty obrabujesz jakiś bank.

– Każda gospodyni domowa potrzebuje jakiegoś hobby. – Veronica napiła się i oddała słoik Stelli. – Widzisz, nie chcę znów zostać bez pieniędzy.

– Kiedyś sądziłam, że wszyscy jesteście tacy bogaci.

Veronica wydęła usta.

– Naprawdę! Mieliście takie eleganckie ubrania.

– I nic poza tym. Tata stracił niemal wszystko. Nikt nie kupował kanap do salonu w czasie kryzysu.

– Byliście zubożałymi mieszczanami. Na wsi bieda to coś zupełnie innego.

– Owszem, mieliśmy kanalizację.

– No właśnie. Czy Riccardo wie, że jesteś przyzwyczajona do spłukiwania toalety? Będzie musiał zapewnić ci wszystkie udogodnienia, do których przywykłaś.

– Możesz sama go zapytać. Jutro przyjedzie.

– Powiedziałaś mu o kościele? Wygląda na to, że Hendrick rozgadał połowie Atlanty.

Veronica uśmiechnęła się z udawanym zażenowaniem; nie była zdolna naprawdę się zawstydzić.

– W zasadzie tak.

– Co to znaczy?

– Powiedzieliśmy mu wiele rzeczy, ale… nie wszystko. Krewni Rickie'ego są katolikami.

– Ale on nie?

– Jest elastyczny.

– Miejmy nadzieję.

Veronica się roześmiała.

– Nie martw się, tata umie delikatnie prowadzić ludzi.

– Za nos. – Stella prawie była w stanie uwierzyć, że Hendrick i Veronica zdołają przekabacić marynarzyka w taki sposób, żeby go nie spłoszyć. Ale co z obcymi? Po cholerę Hendrick rozmawiał z ludźmi z zewnątrz? – Czy te mieszczuchy w garniturach wiedzą, jak popierdolona jest nasza rodzina? Chyba nie czytali książek? – Stella dorastała przekonana, że wiedza o Objawieniach pozostawała w rodzinie. Liczyła się przede wszystkim dyskrecja.

– Zdziwiłabyś się, jak popularny jest nasz kościół – odrzekła Veronica. – Ludzie są głodni czegoś… czy ja wiem… nieco bardziej prawdziwego niż dwutysiącletni Jezus na niebie.

– Ale nie mogą wiedzieć, że to prawda – zauważyła Stella. – Wierzą Hendrickowi na słowo.

– Znasz tatę, jest taki szczery. Ludziska chłoną jego słowa. – Veronica zawsze chętnie kpiła z ojca, chociaż nigdy w jego obecności.

– To szaleństwo. On nie może odprawiać nabożeństw ani… – Powstrzymała się przed wspomnieniem o komunii. – Każdego dnia kręci się tutaj pełno turystów, a niedługo gospodarstwa już nie będzie.

Veronica westchnęła.

– Wiem, wiem. Myślę, że tata też zdaje sobie z tego sprawę. Ciągle opowiada o życiu kościoła po opuszczeniu kotliny. Oczywiście z nim za sterami.

– W jaki sposób kościół ma przetrwać bez kotliny? Nie możecie po prostu… – Szukała właściwego słowa, ale go nie znalazła. – Bez tej góry, bez tego, co znajduje się w jej wnętrzu, nie macie niczego. Nie możecie ruszyć naprzód.

– Powiedz to tacie.

– Próbowałam. Wiesz, co zaplanował dla Sunny?

– Poza tym, że chce traktować ją jak księżniczkę?

– A więc ją lubi.

– Uwielbia. Mam nadzieję, że poświęci nieco uwagi także swoim wnukom, gdy te się pojawią. Rickie i ja już rozmawiamy o dzieciach.

Czyli Hendrick chce ją traktować jak księżniczkę. Ale czy kochałby ją, gdyby nie mogła mu pomóc w rozwoju kościoła? Stella nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

Veronica dalej coś mówiła i Stella musiała ją poprosić o powtórzenie.

– Powiedziałam, że mi przykro. Nie chcę się przechwalać.

Stella ze zdziwieniem pokręciła głową.

– Swoimi zaręczynami – wyjaśniła Veronica. – Swoim szczęściem. Ty nigdy nie otrzymałaś takiej szansy.

Stella poczuła przypływ emocji. Gniewu, wstydu, poczucia winy i wielu innych, których nie potrafiła nazwać. Wszystkie je można było wypalić.

– Nie – przyznała. – Ale jestem szczęśliwa, że ci się udało.

Hendrick pojawił się na podwórzu z zapiekanką w jednej i workiem w drugiej dłoni. Przeciął podwórko, kierując się w stronę domu Abby’ego.

Stella pociągnęła spory łyk ze słoika, a potem postawiła go na dachu samochodu.

– Kurewsko zachwycona.

– Dokąd idziesz? – spytała Veronica.

– Zaraz wracam.

* * *

Stella powędrowała tą samą ścieżką co Hendrick. Zniknął jej z oczu, ale nie chciała go wołać ani gonić. Starała się bezgłośnie stąpać po suchych liściach. Cały czas zastanawiała się, czy nie powinna zawrócić i dokończyć drinka.

W końcu zobaczyła chatkę i zatrzymała się obok drzewa. Patrzyła zza zasłony liści, jak Hendrick podchodzi do drzwi i woła Abby’ego.

Drzwi się otworzyły. Abby wyszedł z domu z poważną miną. Stella pomyślała: Otóż to, wielkoludzie, daj draniowi popalić.

Potem Abby odwrócił się i szerzej otworzył drzwi. Na werandę wyszła Sunny.

W świetle dnia jej skóra sprawiała szokujące wrażenie: pokrywały ją ciemne i jasne plamy, jak u srokatego konia. W nocy te plamy wyglądały na niemal czarne, ale za dnia widać było, że są ciemnoszkarłatne. Czerwień wiła się po bladych rękach i łukiem przecinała twarz. Sunny robiła znacznie bardziej uderzające wrażenie niż Stella czy Motty. Nikt w kotlinie nie mógł mieć wątpliwości, że należy do rodziny Birchów.

Hendrick i Sunny długo się w siebie wpatrywali. Stella wstrzymała oddech. Potem Sunny popędziła po trawie w stronę mężczyzny. Hendrick podniósł ręce, chroniąc jedzenie. Dziewczynka objęła go w pasie.

Zachwycony śmiech Hendricka poniósł się między drzewami.

5

1936

W pewną sobotę kilka tygodni po swoich dwunastych urodzinach Stella stała na schodach przed domem i ignorując panujący chłód, obserwowała drogę oraz wytężała słuch. Nie chciała założyć płaszcza ani nawet usiąść, bojąc się, że pogniecie sukienkę.

Tego ranka Motty otworzyła pudełko i ją pokazała, staroświecką suknię w kolorze kości słoniowej z wysokim kołnierzykiem, sztywną i pomarszczoną, bardziej elegancką nawet od sukienki Veroniki. Kiedy Stella ją założyła, pożałowała, że w domu nie ma dużego lustra, w którym mogłaby się cała przejrzeć. Przez trzy lata żyła jak Człowiek w Żelaznej Masce, a teraz wreszcie miała zająć przysługujące jej miejsce w świecie.

Razem z Motty już dawno uzgodniły warunki jej wyroku. Stella miała bez marudzenia zajmować się domowymi obowiązkami, a po ich wypełnieniu mogła robić to, na co miała ochotę. Przeważnie czytała książki i nękała Abby'ego. Często odwiedzała go w jego chacie, a on zdradził jej, w jaki sposób zarabia pieniądze.

Szkoła też była rodzajem więzienia. Stella samotnie jeździła do Carter School na zachodnim krańcu kotliny, tak zwanej szkoły zbiorczej, do której uczęszczały dzieci ostatnich dwudziestu rodzin pozostałych w okolicy. Ale nawet w tak wąskim gronie inni uczniowie byli dla niej okrutni. Birchowie mieli złą reputację, a zwłaszcza Motty. Dziewczynki twierdziły, że rzuca klątwy na ludzi i wtłacza złe duchy w bezpańskie zwierzęta i dlatego już nie chodzi do kościoła.

Jaki mieli dowód, że Stella nie jest lepsza? Tylko popatrzcie na jej chorą skórę, na wieczną wysypkę, jeszcze gorszą niż u Motty! Już pierwszego dnia szkoły, trzy lata temu, dziewczęta obejrzały ją od stóp do głów i orzekły: „Tak, ona jest jedną z nich". Od tamtej pory nic się nie poprawiło.

Jedyną osobą, która traktowała ją z sympatią, był jej nauczyciel, pan Whitehead, który pozwalał jej pożyczać tyle książek, ile była w stanie unieść. Większość pochodziła z biblioteki w Maryville, a pan W. nie ograniczał jej dostępu do lektur, przynajmniej spośród książek, których obecność dopuszczał w szkole. W jej torbie jechał hrabia Monte Christo, a obok niego Nancy Drew,

Odyseusz i Tom Swift. Wujek Hendrick powiedział jej, że jest wyjątkowa, więc przygotowywała się do swojej roli, czytając o wyjątkowych ludziach.

Oczywiście najbardziej wyjątkową osobą ze wszystkich była Clara, pierwsza kobieta, która spotkała Boga w Górze, obrońcę klanu Birchów. Stella czytała *Księgę Clary* tak wiele razy, że jej oczy wypaliły słowa z kartek, jednak Hendrick nie chciał dać jej kolejnego dziennika. Twierdził, że takie są zasady ustanowione przez Motty. Stella nie mogła przeczytać *Księgi Esther* przed pierwszą komunią.

Czekając, aż jej życie zacznie się na dobre, czerpała siłę ze świadomości, że cokolwiek czeka na nią w jaskini, Motty też tego pragnie, a Stella jej to odbierze.

Warkot silnika samochodu sprawił, że zeskoczyła z werandy. Na podwórzu zatrzymały się trzy auta. Wujek Hendrick wysiadł z pierwszego i posłał jej promienny uśmiech.

Mężczyźni – było ich siedmiu, wszyscy o kilkadziesiąt lat starsi od Hendricka – kolejno uścisnęli jej dłoń, kiedy wchodzili do domu. Zachowywali się tak, jakby spotkali członkinię rodziny królewskiej, i w pewnym sensie była to prawda. Byli starszymi Kościoła Boga w Górze, jej wujkami i kuzynami z rodu Birchów, a ona była ich Objawicielką.

* * *

Hendrick wniósł potężny kufer ubrań. Nazwał je szatami liturgicznymi. Mężczyźni zaczęli je zakładać, swobodnie gawędząc, jak drużyna sportowa szykująca się do ważnego meczu. Święci Wujkowie. Na kołnierzach i rękawach szat wyhaftowano dziwne symbole: półksiężyce, gwiazdy, ludzkie oczy i wagi. Szata Hendricka była wyjątkowa. Materiał przenikały złote nici, a na prawej piersi wyszyto pięcioramienną gwiazdę, z której wychodziły promienie. Nie powstydziłby się jej szeryf krainy Oz. Stella bardzo się cieszyła, że ma na sobie swoją najlepszą sukienkę.

Motty patrzyła na nich z progu z surową miną i rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Najstarszy i najbardziej zasuszony z mężczyzn przywołał Stellę machnięciem dłoni. Jego usta były bezzębną jaskinią. Nie miała ochoty do niego podejść, ale wujek Hendrick położył jej dłoń na ramieniu.

– Stello, to jest Morgan Birch. Jest bratem Esther i napisał dużą część jej księgi! – Popchnął Stellę w stronę mężczyzny, którego rybie usta rozszerzyły się w grymasie przypominającym uśmiech.

Stella popatrzyła na Motty, ale babcia nie zareagowała.

Staruszek wyciągnął w stronę twarzy Stelli palce pokryte niezdrowymi żółtymi plamami. Dziewczynka cofnęła się z obrzydzeniem, ale on jakby tego nie zauważył.

– Bóg w Górze. – Poszukał wzrokiem jej oczu. – Co powiedział?

– Jeszcze nie, Morganie – odezwał się Hendrick zatroskanym głosem. – Jeszcze nie weszła.

Morgan podniósł na niego wzrok.

– Co powiedział?

– Jeszcze nie – powtórzył Hendrick głośniej.

Jeden z mężczyzn przyniósł krzesło z kuchni i ustawił je na środku kręgu. Hendrick kazał Stelli usiąść, a potem niespodziewanie uklęknął przed nią, kryjąc nogi pod szatą. Wyglądał jak grzybek.

– Stello, dzisiejsze nabożeństwo jest święte – odezwał się cicho, jakby tylko ona mogła go słyszeć, ale mężczyźni i Motty byli tak blisko, że nie dało się niczego przed nimi ukryć. – Nie rozmawiamy o tym z nikim, kogo w tej chwili nie ma z nami w pokoju. Rozumiesz?

Pokiwała głową.

– Dobrze, dobrze. Jesteś gotowa?

Ponownie przytaknęła, chociaż nie miała pojęcia, na co się zgadza. Jeden z wujków wręczył Hendrickowi miedzianą miseczkę wypełnioną mieniącym się płynem, a Hendrick postawił ją na podłodze pomiędzy sobą a Stellą.

– Niech wezwie starszych kościoła – odezwał się dziwnym niewyraźnym głosem. – Niech się nad nim pomodlą i namaszczą go olejkiem w imię Pana.

Mężczyźni spoglądali na nią z wyczekiwaniem. Hendrick wskazał jej oczami, że powinna popatrzeć na swoje dłonie. Czego od niej oczekiwał?

– Nie rozmawiałaś z nią? – rzucił wujek przez ramię. Był wyraźnie rozdrażniony.

– Kończ wreszcie – zarządziła Motty.

Hendrick zacisnął usta.

– Wyciągnij ręce, moja droga – odezwał się cichym głosem. – Nie tak, dłońmi do góry. O właśnie.

Przytrzymał jej lewy nadgarstek i zanurzył palce drugiej dłoni w miseczce. Kiedy je podniósł, ociekały płynem.

Ręka Stelli zadrżała. Próbowała się cofnąć, ale Hendrick mocniej ją przytrzymał.

– Rozprostuj palce – wyszeptał.

Zebrało jej się na wymioty. Łzy napłynęły jej do oczu.

– W porządku. – Kciukiem wyprostował jej palce. – Wszystko jest w porządku.

Olej pociekł na jej dłoń, a Stella się wzdrygnęła. Nieco płynu skapnęło jej na kolana. Szara plama rozszerzyła się jak oko.

Nic jej się nie stało. Myślała, że olej ją sparzy, ale nie poczuła… niczego.

Hendrick wmasował substancję w jej dłoń.

– Oto jego córka, dziecko Boga – rzekł, a mężczyźni zamruczeli z uznaniem.

Stella była zawstydzona tym, że wszyscy zwracają na nią uwagę. Czuła się jak aktorka na scenie, podniecona, a zarazem przerażona, ponieważ nikt nie powiedział jej, co ma robić ani czego ma się spodziewać. Ponownie zerknęła na Motty. Babcia popatrzyła jej w oczy, a potem przeszła do kuchni.

Hendrick puścił do niej oko. Razem zażartowali z Motty, a chociaż Stella nie wiedziała, co go tak rozbawiło, była zadowolona.

Wujek odezwał się takim samym aksamitnym głosem.

– A kiedy Clara wręczyła swój dar, Bóg w Górze rzekł: W dniu, w którym wejdę w światło…

– Świat pozna moje imię – odpowiedzieli wujkowie jednym głosem.

– A ja dam swoim dzieciom… – odezwał się Hendrick.

– Jedno ciało, wiecznie rozkwitające – odparli mężczyźni.

Hendrick ponownie zanurzył palce w miseczce i przytrzymał je nad prawą dłonią Stelli, a ona tym razem ułożyła ją w miseczkę.

– Aby trucizna świata… – przemówił głośniej.

– Nigdy nas nie skaziła – odpowiedzieli wujkowie.

– Amen – rzekł Hendrick.

Olej dotknął jej skóry, a ona trzymała rękę nieruchomo. Nie chciała uronić nawet kropli.

* * *

Kolejny etap mógł się rozpocząć dopiero po zmierzchu. Święci Wujkowie zdjęli szaty liturgiczne i zebrali się wokół stołu w niewielkiej jadalni, gdzie czekali na jedzenie i głośno narzekali na władze parku narodowego i czynione przez nie zniszczenia. Ekipy robotników „zalesiały” tereny po zniszczonych gospodarstwach. Ale przynajmniej nie zatrudniali Czarnych, Bogu niech będą dzięki.

W kuchni Stella przysiadła na stołku i ładnie rozpostarła białą sukienkę. Podsłuchując rozmowy dorosłych, wodziła palcem wokół swojej dłoni, starając się wyczuć, których miejsc dotknął olej.

Motty stała przy kuchence i rzucała panierowane kawałki kurczaka na patelnię z rozgrzanym olejem. Stella poprosiła o pałkę.

– To nie dla ciebie – odparła babcia.

– Nie mogę nic zjeść?

– Później mi podziękujesz.

Mężczyźni w sąsiednim pomieszczeniu głośno rozmawiali, ale Stella i tak ściszyła głos.

– Powiedz mi, co się dzieje.

– Niedługo się dowiesz.

– A jeśli nie wejdę?

Motty upuściła na patelnię duże udo, a patelnia zareagowała donośnym aplauzem.

– Jak chcesz.

– Moja mama weszła?

– Owszem.

– A ty?

Motty nadziała przyrumieniony kawałek kurczaka na widelec, otrząsnęła go i położyła na talerzu.

– Po prostu mi powiedz – prosiła Stella. – Powiedz mi, co powinnam robić!

– Nie marudź, będę tam z tobą.

– Naprawdę?

– Wprowadzę cię do środka. To ja zdecyduję, jak długo tam zostaniesz i kiedy będziesz mogła tam wrócić.

Nikt jej tego nie powiedział. Sądziła, że wejdzie sama. Przez chwilę czuła ulgę. Potem zaczęła się zastanawiać, czy to znaczy, że jej nie ufają. Może sądzą, że by uciekła?

– Dlaczego to ty o tym zdecydujesz? – spytała.

– Jestem najstarszą Objawicielką. Do mnie należy ostatnie słowo. A teraz zanieś im przystawki. – Na blacie stały pomarańczowe i zielone miski z kukurydzą, fasolką, purée ziemniaczanym i burakami pływającymi w soku.

– Nie mogę – odrzekła Stella. – Moja sukienka. – Nie powiedziała, że już ją poplamiła olejkiem.

– Rusz tyłek ze stołka, księżniczko, i bierz się do roboty.

Stella poczuła się urażona. W końcu była błogosławiona. To był jej dzień. Nie powinna spędzać go z Motty, a już na pewno nie powinna nosić naczyń jak niewolnica.

– Jesteś zazdrosna – powiedziała.

– Co takiego?

– Żałujesz, że nie jesteś Objawicielką. Tak jak kiedyś.

Motty odłożyła widelec. Kurczak wciąż skwierczał na patelni.

– Chciałabyś, żeby oni wszyscy przyjechali tu dla ciebie.

Motty podeszła do blatu.

– Myślisz, że tym ludziom na tobie zależy? Myślisz, że poczują się urażeni, jeśli będziesz im usługiwać przy stole?

Stella nic nie odpowiedziała.

– Zanieś im jedzenie.

Stella zacisnęła usta. Uniosła brwi, robiąc niewinną minę.

Motty przechyliła miskę i dwie kwarty ciemnofioletowego soku wylały się na kolana dziewczynki. Stella wrzasnęła i zerwała się z miejsca. Czerwone kawałki buraków z plaśnięciem spadły na podłogę. Sukienka była pokryta fioletem.

Zniszczona. Zniszczona. Zniszczona.

– Wszystko w porządku?! – zawołał Hendrick. – Robimy się głodni.

– Mały wypadek – odpowiedziała Motty.

Nikt nie przyszedł jej z pomocą.

* * *

Kiedy srebrzysty księżyc wreszcie wyłonił się zza góry, mężczyźni ponownie założyli szaty, a Stella poczuła się fatalnie. Miała teraz na sobie starą sukienkę z trzema kwiatkami. Sukienka była za krótka, co przyprawiało ją o panikę. Gdyby któryś z mężczyzn zwrócił na to uwagę, uciekłaby do sypialni.

Wujkowie wyszli, pozostawiając w salonie tylko Hendricka i Stellę. Motty sprzątała w kuchni. Stella nie mogła usiąść i cała była roztrzęsiona.

– Nie musisz się denerwować – rzekł wujek Hendrick. – Urodziłaś się w tym celu. – Wcale jej to nie uspokoiło.

Po chwili Hendrick zawołał:

– Motty, już czas! Musimy iść!

– Nie mów mi, kiedy mam iść – odparła Motty. Pojawiła się dwie minuty później. Zdjęła fartuch, ale miała na sobie tę samą sukienkę, którą nosiła przez cały dzień. Stella zmierzyła ją wzrokiem, myśląc: Tak się ubrałaś na moją uroczystość? Ale wiedziała, że nie powinna się odzywać.

Wujek Hendrick wziął ją za rękę i poprowadził w górę zbocza. Motty wędrowała ich śladem. Drzwi kaplicy były otwarte, a ze środka na trawę wylewało się żółte światło. Wewnątrz płonęło kilkanaście lamp. Wujkowie już czekali. Hendrick kazał jej przejść środkiem kaplicy pomiędzy nimi. Kiedy ich mijała, mówili: „Amen”, „Błogosławione dziecko” i „Dzięki ci, Boże”.

Drewnianą płytę zasłaniającą schody usunięto. Motty wzięła do ręki latarnię i westchnęła.

– To dobrze, chodźmy.

Weszła do otworu, a Stella zatrzymała się na górze i patrzyła, jak kołyszące się światło zmienia sylwetkę babci w plątaninę cieni. Motty dotarła do dołu

schodów i obejrzała się na dziewczynkę.

– Chciałaś tego – powiedziała.

Stella popatrzyła na kościelne ławki. Wszyscy się jej przyglądali. Wujek Hendrick dotknął jej pleców między łopatkami.

Popatrzyła na pierwszy stopień. Ostrożnie postawiła stopę, niemal spodziewając się, że drewno pęknie. Zrobiła drugi krok, potem kolejny.

Na dole latarnia Motty wydobyła z ciemności pomieszczenie nieco szersze od ich wędzarni. Jak to możliwe, aby zmieściła się tutaj istota, którą wyczuła tamtego dnia?

– Przejdźmy do stołu – powiedziała Motty, a Stella pomyślała: Jakiego stołu? Ale Motty już poczłapała naprzód. Światło jej lampy znalazło szparę w skale, wąskie przejście, w które się wcisnęła.

Stella podniosła wzrok. Światło na szczycie schodów się poruszało. Hendrick i pozostali mężczyźni czekali. Miała ochotę uciec i pobiec do chaty Abby'ego, ale nie chciała być jedyną kobietą z rodu Birchów, która zawiodła swoją rodzinę. Motty się nie bała. Lena, Esther i Clara Birch również weszły do jaskini. Gdyby Stella teraz uciekła, zerwałaby tę pokoleniową ciągłość.

Podążyła za Motty w głąb ciasnego przejścia. Powietrze stało się chłodne. Korytarz prowadził w górę, a po pokonaniu dwóch zakrętów nagle znalazły się w jaskini.

Motty wysoko podniosła latarnię. Na samym środku z podłoża wyłaniała się kamienna platforma. Wyglądała na częściowo naturalną, a częściowo zbudowaną, jakby ktoś wyrzeźbił podest ze skalnego wybrzuszenia.

Stół.

Stella obróciła się, przyglądając się krawędziom, wyżłobieniom i skrytym w cieniu zakamarkom, które wyglądały jak nory podziemnych zwierząt. Czy Bóg tutaj był? Próbowała sobie przypomnieć, co poczuła, gdy za pierwszym razem znalazła się w jaskini i zdała sobie sprawę z jego obecności. Wyglądało na to, że nic nie czai się w ciemności.

– Wejdź na górę – poleciła Motty.

– Słucham?

Motty wskazała głową stół. Miał prawie półtora metra wysokości. Jakim cudem miała się na niego wspiąć?

Przesunęła dłońmi po powierzchni stołu. Był zimny jak lód i gładki, nie licząc kilku płytkich wyżłobień. Stanęła na palcach, a potem opierając się na łokciach i przedramionach, zdołała wsunąć na blat jedno kolano, po czym dźwignęła się na górę. Przetoczyła się na plecy.

– Wrócę po ciebie – powiedziała Motty. Latarnia zaczęła się oddalać.

– Zaczekaj! Nie!

Motty się zatrzymała. Dotknęła dłonią czoła Stelli. Odgarnęła z niego włosy.

– Nie będę daleko – zapewniła cicho.

Stella usłyszała, że Motty się oddala, a światło zniknęło. Leżała na kamiennym blacie, ciężko dysząc, a każdy jej oddech rozbrzmiewał niezwykle głośno. Niczego nie widziała.

Minęła minuta. Potem pięć. Coś było nie w porządku. A może to ona zrobiła coś niewłaściwego. Kiedy chciała usiąść, kamień pod nią zadrżał. Poczuła wibracje w piersi. Położyła się, przycisnęła dłoń do serca i wbiła wzrok w ciemność. Lewą ręką chwyciła krawędź stołu. Miała wrażenie, że cała góra wokół niej budzi się do życia.

Bóg był tutaj. Gdzieś w pomieszczeniu, gdzieś ponad nią.

Powietrze stało się gęste jak woda. Poruszając tylko oczami, rozglądała się po ciemnej jaskini, starając się wypatrzyć jakiś ruch. Każdy jej oddech wydawał się niemożliwie głośny.

Nagle dostrzegła coś białego. Opuściło się ku niej poprzez mrok – to była kończyna, blada i lśniąca jak masa perłowa. W ślad za nią rozpostarło się kilkanaście kolejnych, które chwyciły skałę.

Jej krtań się zacisnęła. Sparaliżował ją skurcz mięśni.

Przednia noga Boga wyciągnęła się wzdłuż jej ciała. Ząbkowany czubek zbliżył się do twarzy Stelli, a potem gwałtownie się cofnął. Następnie całe ciało zniknęło w cieniu. Zaniepokojona dziewczynka usiadła i wyciągnęła ręce.

Kończyna ponownie się ku niej opuściła. Jej końcówka otworzyła się niczym cebulka kwiatu; wnętrze lśniło na biało i różowo.

Stella rozwarła dłoń. Rozczapierzyła palce.

Dotknęli się. Ukłucie bólu. Krzyknęła, a jej dłoń przeszyło gorąco, jakby zanurzyła ją w palącym strumieniu. Żar popłynął wzdłuż ręki aż do ramienia, a potem rozpalił jej policzki jak gorączka.

Westchnęła. Powietrze zabarwiło się na mleczno-fiołkowy kolor. Teraz już widziała Boga, zupełnie jakby jaskinię rozświetlił tuzin czerwonych lamp. Wychylał się z dziury w skale ponad nią, a kończyny delikatnie przytrzymywały go na miejscu. Jego głowa – musiała ją nazywać głową – była jak gładki głaz, bezoka i pozbawiona ust, ale przechylała się z gracją, jakby chciała ją wchłonąć.

Stella nigdy nie widziała czegoś tak pięknego. Tak kruchego.

Kończyna cofnęła się o jakieś dziesięć centymetrów. Dziewczynka poczuła, że coś szarpie ją za dłoń. Pomiędzy nogą Boga a jej ręką rozciągały się białe nici, krzyżujące się ze sobą jak kocia kołyska.

– Ojej – westchnęła. Wyciągnęła lewą rękę, a wtedy opuściła się ku niej kolejna kończyna, by musnąć jej dłoń.

Ból był równie ostry, ale miała wrażenie, że dociera do niej z olbrzymiej odległości. Stella podniosła wzrok na Boga, a jego myśli rozkwitły w jej głowie.

* * *

Obudziła się w swoim pokoju. Motty siedziała obok niej na łóżku i dotykała wilgotną szmatką jej czoła.

Stella podniosła rękę i z zaskoczeniem zauważyła, że ma zabandażowaną dłoń. Drugą także. Na opatrunkach widniały plamki krwi.

– Dobrze się spisałam? – spytała. Miała obolałe gardło.

– Świetnie. Jak się czujesz?

Jak się czuje? Zamknęła oczy. Dziwaczne kształty rozwijały się i zwijały pod jej powiekami. Drapały ją. Nie mieściły się w jej umyśle.

Otworzyła oczy.

– On jest sam. Umiera.

Motty nic nie odpowiedziała.

– Musimy go chronić. – Napłynęło do niej kolejne wspomnienie. Ktoś jej przeszkodził. Zabrał ją od Boga, zanim ten skończył. – Powstrzymałaś nas. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Dlaczego?

– Małe łyczki – odrzekła Motty. – Małe łyczki.

– Mogłam zrobić więcej.

– I zrobisz. Kiedy nabierzesz sił. – Motty złożyła szmatkę i położyła ją na czole Stelli. – Mężczyźni czekają w salonie, żeby cię wysłuchać. Ale powiedziałam im, że jesteś wyczerpana, więc Hendrick przyjdzie tutaj i odnotuje twoje słowa.

– Co mam powiedzieć?

– Opowiedz, co od niego otrzymałaś. Najlepiej, jak potrafisz.

Stella usiadła i zakręciło jej się w głowie. Obok niej leżała książka. *Księga Esther.* Od lat czekała, żeby ją przeczytać, ale głowę miała zbyt przepełnioną, by pomieścić w niej słowa. Bóg poruszał się w jej wnętrzu, próbując znaleźć dla siebie miejsce.

– Muszę wrócić – powiedziała. – Muszę z nim porozmawiać. Z nią. Muszę… – Nie wiedziała, czego właściwie pragnie.

– Jesteś nim pijana – odrzekła Motty. – To przejdzie.

6

1948

Nazywali to czuwaniem. Dobrzy chrześcijanie, zgodnie z tradycją, siedzieli w domu zmarłego, pili kawę i od czasu do czasu szli powzdychać z żalem nad zwłokami. Z kolei ci źli siedzieli wokół ogniska i robili to, na co mieli ochotę. Dzisiaj pili piwo Goldcrest 51 z puszek i podawali sobie słoje z bimbrem. Stella była wierna złym chrześcijanom. Wszyscy byli młodymi ludźmi, którzy chętnie korzystali z jej zapasów trunku, w tajemniczych okolicznościach produkowanego w stodole.

Stella i Veronica były jedynymi dziewczętami przy ognisku. Chłopcy byli ich dalekimi kuzynami i większości z nich nawet nie znały. Veronica trzymała dłoń na kolanie jednego z nich. A więc była zaręczona, ale jeszcze nie martwa.

Stella obserwowała dom, czekając na pojawienie się Hendricka. Wymknęła się od Abby'ego, nie ujawniając swojej obecności, i w pierwszej chwili chciała wrócić do domu, żeby sprawdzić, jak Hump Cornette radzi sobie z nową partią. Ostatecznie została. Przez resztę popołudnia unikała Hendricka. Wiedziała, że chce z nią porozmawiać, i zdawała sobie sprawę, że w końcu będzie musiała stawić mu czoło. Ale wcześniej chciała podjąć decyzję. Bezustannie napływający jazgoczący krewni oraz hałaśliwi sąsiedzi nie dawali jej szans na choćby chwilę samotności, co z jednej strony było błogosławieństwem, ale z drugiej nie pozwalało jej zebrać myśli.

Dlatego piła. Po kilku godzinach w jej umyśle pozostało już tylko kilka radykalnych rozwiązań, które wirowały i ocierały się o siebie niczym młyńskie kamienie. Zostać. Wyjść. Zabrać Sunny. Zostawić ją.

Po drugiej stronie podwórza jakaś postać wyłoniła się spomiędzy drzew. Abby. Rozpoznała jego ciężki krok. Szedł prosto ku niej. Wrzuciła papierosa do ogniska. Podniosła się. Złapała równowagę.

– Jak sobie radzisz, Gwiazdko? – spytał Abby.

– W porządku.

– Na pewno?

– Gdzie Sunny?

– W chacie. Nie chce zejść na dół, to przez tych ludzi. – Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale Vee podbiegła i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Abby!

– O, do licha! – zawołał Abby. – Tylko popatrz na siebie, całkiem wyrośnięta, a wciąż śliczna jak kwiat brzoskwini. – Mówił z południowym akcentem rodem z *Przeminęło z wiatrem.* Veronica często tak działała na mężczyzn.

– Jak się czujesz? – spytała. – Na pewno bardzo to przeżyłeś. Motty zawsze ciepło o tobie myślała.

– Myślała o mnie wiele rzeczy.

Veronica się roześmiała.

– Tatuś mówi, że nie poradziłaby sobie bez ciebie.

– To ona bardziej mi pomagała – odrzekł. – Przez lata trwała na posterunku beze mnie. Nawet potem niewiele robiłem. Kosiłem trawę i podrzucałem jej zakupy, to wszystko. Mówiła, że ma dość uprawy roli.

– Nie wiem, po co ktokolwiek się za to zabiera – stwierdziła Veronica. – Wiesz już, co teraz zrobisz?

– Daj mu spokój – wtrąciła się Stella. – Abby, napijesz się? Mam tutaj trunek według twojej dawnej receptury. Chociaż twój smakował lepiej.

– Wątpię – odparł Abby. – Ale muszę podziękować.

– Co, u diabła? Abby Whitt nie chce się napić?

Wzruszył ramionami.

– Usiądź z nami przy ognisku – zaproponowała Veronica. – Chyba znasz niektórych z tych łobuzów.

Abby przespacerował się wokół ogniska, ściskając dłonie obecnych. Wyglądało na to, że wszyscy go znają.

– Jak się miewa twój wujek Dan? – spytał ktoś.

Abby zachichotał.

– W porządku.

– Siadaj i opowiadaj, co nowego.

– Nie ma o czym mówić. – Ale nalegali, więc w końcu się zgodził. – Niech będzie. Pomyślmy…

Abby zaczął od opowieści o tym, jak wujek Dan zbudował destylarnię w wydrążonym pniu drzewa, a alkohol wypływał z niego jak żywica. Kuzyni zaśmiewali się, jakby usłyszeli tę historię po raz pierwszy.

Stella stała poza kręgiem z piwem w dłoni. Kurwa, jak to możliwe, że ci ludzie czują się ze sobą tak swobodnie? Miała wrażenie, że udają. Rozpaczliwie starają się być kimś innym. Grupa ludzi zbitych w kupę jak psy w zagrodzie, udających, że nie zwróciliby się przeciwko sobie przy pierwszej nadarzającej się okazji. Stella nauczyła się przekonująco udawać zwykłego człowieka, ale nie

potrafiła zbyt długo odgrywać tej roli. W odróżnieniu od Veroniki, która mogła to robić przez cały dzień. Nawet Abby – mimo że był dziś starszy i smutniejszy – miał talent do zjednywania sobie ludzi.

– Pamiętam pewną historię – zaczął kolejną opowieść o dokonaniach Dana. – Kiedy stary Dan kończył pędzić nową partię, oczywiście musiał sprawdzić, czy jest udana. Po wypiciu kilku litrów uznał, że kukurydziany bimber wyszedł na medal, i postanowił wrócić do domu. Jak wiecie, Dan wychował się w górach. Nie potrzebuje latarni, żeby nie pobłądzić w lesie, ponieważ jego bose stopy zawsze zaniosą go do domu, nawet kiedy ma w czubie.

Łzy napłynęły jej do oczu. Cofnęła się, oszołomiona. Opowiada moją ulubioną historię, pomyślała. Robi to dla mnie.

– No i oczywiście wpada na kogoś w ciemności podczas wspinaczki na wzgórze. Od razu przeprasza: „Wybacz, sąsiedzie!, woła, ponieważ mama dobrze go wychowała. Jestem troszkę wypity”. Ale nagle… Czy wspomniałem, że to była pochmurna noc? Nagle chmury się rozstępują, księżyc rozświetla okolicę i okazuje się, że Dan stoi przed panterą, trzy razy większą od niego, o jaskrawożółtych ślepiach. Wielki kot warczy i pokazuje zęby. Ale to tylko rozwścieczyło Dana. Unosi ręce i woła: „Psiakrew, przecież przeprosiłem!”.

Chłopcy poprzewracali się ze śmiechu. Nie chodziło tylko o opowieść, ale o to, jak Abby wyrzucił w górę ręce i zawołał głosem wujka Dana. Poza tym wszyscy byli pijani.

– Tymczasem pantera ma chrapkę na Dana i zaciska zęby na jego rękę… chrup! Ale Dan jest nieźle zaprawiony i niczego nie czuje. Ale zaraz, co się dzieje z panterą? Widzicie, krew Dana miała z czterdzieści dziewięć procent. Wystarczył jeden kęs i wielki kot ululał się jak diakon w sobotnią noc.

– Co było potem? – spytał jeden z kuzynów. – Dan zastrzelił panterę?

– Nie, wujek Dan nigdy nie skrzywdziłby kompana od kieliszka. Otworzył słoik i razem raczyli się aż do rana. Potem uścisnął panterze łapę i poszli każde w swoją stronę. Do dzisiaj ta pantera jest jednym z jego najlepszych klientów.

Tak, fakt, że byli pijani, z pewnością pomógł.

Stella podeszła do Abby’ego, czując słabość w piersi. Nachyliła się i pocałowała go w łysinę.

– Dobra robota, staruszku.

Abby wyciągnął rękę i dotknął jej karku.

Poprosili o kolejną opowieść. Stella cofnęła się i wtedy uzmysłowiła sobie, że ktoś ją obserwuje. Hendrick stał w odległości kilkunastu metrów z lampą gazową w dłoni. Odwrócił się i zniknął między drzewami.

* * *

Kiedy dotarła do drzwi kaplicy, wujek Hendrick klęczał przy betonowej pokrywie, ale na nią nie patrzył. Wbijał wzrok w ścianę w głębi, a lampę postawił na posadzce obok siebie. Stella wyobraziła sobie, jak przewraca lampę kopnięciem i cały budynek staje w ogniu.

– Teraz modlisz się do ściany? – spytała.

Nie odpowiedział.

– Nie byłbyś pierwszy – dodała i wypiła łyk piwa.

– Wiedziałaś, że to zrobiła?

– Cement z Portland i rzeczne kamienie. Solidna robota.

– Ale po co? To nie ma sensu.

Stella sama się nad tym zastanawiała. Miała dwie teorie i podzieliła się tą, która bardziej jej się podobała.

– Może dlatego, że on nie żyje.

– Co takiego? Nie bądź śmieszna.

– On zawsze umierał. Już od lat. Mam nadzieję, że wreszcie wykorkował. Ależ to byłaby ulga.

– Bluźnisz – rzucił Hendrick. – Zrobiła to, żeby mnie zirytować.

– Na pewno ci nie ufała. Wiedziała o tym przeklętym siostrzanym kościele, który założyłeś? Nie powinieneś sprowadzać tutaj ludzi. Park przejmie gospodarstwo, kiedy tylko opróżnimy dom. Jeśli to coś nie umarło… będą mieli przejebane. Co się stanie, kiedy strażnicy dowiedzą się o tej dziurze?

– Dlaczego ciągle musisz przeklinać?

– Ponieważ naprawdę będą mieli przejebane. Każdy turysta, który tam wejdzie, zginie.

– Zadbam o to, żeby tak się nie stało.

Stella wydęła usta.

Hendrick wstał i rozprostował rękawy, nie oglądając się na nią. Oho, był wściekły.

– Motty zrobiła za mało – zauważyła Stella. – Musimy się upewnić, że nikt nigdy tu nie trafi.

– To święte miejsce – odrzekł Hendrick. – Święte jak Kalwaria. Pielgrzymi będą tutaj przychodzili jeszcze przez wieki…

– Pielgrzymi? – Parsknęła śmiechem.

– Uspokój się.

– Pielgrzymi! – To było przezabawne.

Zaczekał, aż Stella skończy.

Zaczerpnęła powietrza i uniosła dłoń.

– No tak, jasne. Cholera. – Ze stęknięciem opadła na pierwszą ławkę.

Hendrick z niezadowoleniem pokręcił głową. Przed laty może by to na nią podziałało.

– Pewnie cieszysz się, że masz swoją trzódkę, która mówi do ciebie „pastorze”. Jak wiele im powiedziałeś?

Hendrick nie odpowiedział.

– Cokolwiek powiedziałeś, będą niezwykle podnieceni, kiedy zobaczą tę betonową płytę. Na pewno zmienią się w prawdziwych wyznawców.

– Kiedy Bóg się objawi, wiara i niewiara przestaną mieć znaczenie. On stanie się faktem.

– „Kiedy się objawi” – powtórzyła drwiąco. Rodzina Birchów przez sto lat czekała, aż Duchojciec pokaże się światu. Teraz ona była jedyną osobą, która widziała go na własne oczy, i zapewne ostatnią.

– Nie rozumiem, dlaczego jesteś taka wściekła – odezwał się Hendrick smutnym głosem. – Co się stało z tamtą dziewczyną, która tak kochała Boga, że była gotowa zrobić dla niego wszystko?

– Kiedyś kochałam także konie. Byłam dziewczynką.

Przykucnął przed nią, aż strzeliły mu kolana.

– Wróć do nas. Wiem, że przechodziłaś przez mroczny czas, ale nie obwiniaj o to naszego Boga. Pomóż nam służyć.

– Chcesz po prostu wypełnić czymś moją książkę. – Nigdy nie pokazał jej, co napisał w *Księdze Stelli*. – I zacząć książkę Sunny.

– Ach.

Wreszcie dotarli do sedna.

Hendrick się wyprostował.

– To prawda. Rzeczywiście chciałem, aby Sunny połączyła się z Bogiem. Ale wygląda na to, że do tego nie dojdzie. Zanim osiągnie wiek odpowiedzialności, park przejmie jaskinię, a ja nie zamierzam sprzeciwiać się tradycji.

– Więc jej nie potrzebujesz.

– Stello! Tu nie chodzi… Mówiłem szczerze. Nie porzucę jej. Ruth i ja się nią zaopiekujemy.

Stella podniosła na niego wzrok.

– Zaopiekujecie się, tak?

– Wysłuchaj mnie. Mam pięćsetakrową działkę spory kawałek od Atlanty. To zalesiony teren, gdzie nikt nas nie niepokoi. Nie będzie musiała chodzić do szkoły, chyba że zechce. Zapłacę za prywatne lekcje i wszystko inne, czego potrzebuje.

– Nie masz pojęcia, czego ona potrzebuje.

– Pewnie masz rację… ale chcę się dowiedzieć. Mam środki, czas i chęci, żeby się nią zająć.

– Dobrze wiesz, że każdy sędzia przyznałby mi prawo do opieki. Wystarczy, że powiem słowo.

– To pewnie prawda – przyznał. – Ale czy chcesz być jej opiekunką? Podejrzewam, że w twojej… branży ciężko wychowuje się dziecko.

– Co ty wiesz o mojej branży, do diabła?

– Niewiele i wolę, żeby tak zostało.

Stella odchyliła głowę do tyłu i oparła ją o ławkę. Hendrick czekał.

– Motty dostałaby szału – stwierdziła w końcu.

– Moja siostra i ja nie zgadzaliśmy się w wielu kwestiach, ale nigdy nie wątpiła, że kocham Sunny. Poza tym mogę uczciwie powiedzieć, że dziewczynka również mnie polubiła.

Stella przypomniała sobie, jak Sunny biegnie po trawie i pada Hendrickowi w ramiona.

– Abby już dał mi do zrozumienia, że nie zaakceptuje mojego planu, jeśli nie dasz mi swojego błogosławieństwa.

– Mojego błogosławieństwa.

– Wystarczy kilka słów.

Stella wstała z ławki. Popatrzyła na beton.

– Tylko pod warunkiem, że Sunny nigdy tam nie zejdzie.

Hendrick nie odpowiedział. Odwróciła się w jego stronę.

– Nie żartuję, kurwa. Jeśli Sunny zejdzie tam beze mnie… stanie jej się krzywda. Bardzo duża krzywda. – Małe łyczki.

Podniósł ręce w obronnym geście.

– Wiem, co mi powiedziała Motty. Wiem także, co się stało z twoją mamą.

– Obiecaj – nalegała.

Popatrzył na nią. Miał wilgotne oczy.

– Jesteś teraz najstarsza. Ty o tym decydujesz. Sunny nie zejdzie do jaskini, jeśli jej tam nie zaprowadzisz.

Czy powinna mu powiedzieć? Dziewczynka nigdy tam nie zejdzie. Stella wróciła, żeby się co do tego upewnić.

Hendrick bacznie ją obserwował.

– Więc na to pozwolisz? Sunny wróci ze mną do domu?

– Muszę się zastanowić.

* * *

Zbudziła się gwałtownie, jakby zdrzemnęła się za kółkiem przy prędkości osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Za zaparowaną szybą po stronie pasażera zobaczyła czyjąś twarz. Ktoś wściekle na nią wrzeszczał.

Stella wyprostowała się na siedzeniu. Siedziała z przodu swojego forda. Zasnęła w samochodzie, nie pierwszy i z pewnością nie ostatni raz. Miała wrażenie, że jej głowa jest jak rozłupany orzech włoski.

Drzwi nagle się otworzyły. To była Ruth, a jej rozwścieczona twarz przypominała nadęty balon. Jak Hendrick wytrzymywał to każdego ranka?

– Gdzie on jest?! – krzyknęła Ruth. – Gdzie pierścionek?

– Jaki pierścionek?

– Nie zgrywaj niewiniątka. Najpierw testament, a teraz jej biżuteria? Nosiła na szyi pierścionek z brylantem, a ty coś z nim zrobiłaś!

– Nie wiem, o czym mówisz, do diabła. – Motty nigdy nie nosiła na szyi pierścionka, a Stella z pewnością by go zauważyła, kiedy oglądała ciało staruszki.

– Nie kłam – warknęła Ruth.

Ford wciąż stał w stodole, ale wielkie drewniane drzwi były otwarte i światło wlewało się do auta przez tylną szybę.

– Możemy porozmawiać o tym później?

– Nie! Ludzie z domu pogrzebowego przyszli po ciało.

– Co takiego? Już ją zabierają? – Stella wychyliła się z samochodu. Wstała. Planeta zakołysała się pod jej stopami jak barka.

Ruth wyszła za nią ze stodoły, sycząc ze złości.

– To był twój plan, prawda? Myślisz, że skoro Motty nie wyszła za mąż, to jej rzeczy należą do ciebie?

W przeszłości w życiu Motty pojawił się mężczyzna, ale nigdy nie miała męża. Szeregowy Ronald Whitehead, daleki krewny nauczyciela Stelli ze szkoły podstawowej, zginął w Nikaragui albo gdzieś indziej podczas Wojen Bananowych. Motty nigdy o nim nie opowiadała, wspominała tylko, że nie zostawił po sobie nawet zdjęć, a jedynie nienarodzone dziecko, czyli Lenę. Z pewnością nie podarował Motty pierścionka z brylantem, jeśli Ruth właśnie to sugerowała.

– Hendrick jest jej bratem i najbliższym męskim krewnym…

– Jezu, Ruth. Jeśli w domu był jakiś pierścionek, to na pewno się znajdzie.

Po nocnym ognisku został tylko popiół. Na podwórzu walały się puszki po piwie.

Pod schodami prowadzącymi na werandę stał długi pontiac z zasłonkami na bocznych oknach. Tylne drzwi karawanu były otwarte na oścież, gotowe na

przyjęcie ciała. Hendrick był w salonie i kłócił się z tłustym pracownikiem domu pogrzebowego, którego młody asystent patrzył na to nerwowo.

– Nie rozumiem, dlaczego to ma być decyzja jednej osoby! – powiedział Hendrick.

– Tak mi przykro – odrzekł pracownik szczerze. – Ale nie możemy zmusić starszego Rayburna, żeby ją wpuścił.

– O co chodzi? – spytała Ruth. – Co się znowu stało?

W salonie został tylko jeden z gości z Georgii – krzepki, blady mężczyzna. Zdjął marynarkę, ukazując kaburę na biodrze. Zobaczył, że Stella na nią patrzy, i pokiwał głową. Co jest, do kurwy nędzy?

– Mówią, że nie mogą jej pochować na przykościelnym cmentarzu – oznajmił Hendrick. – John Rayburn na to nie pozwala.

– Ale dlaczego?

Stella znała odpowiedź. Rayburn wciąż cierpiał i pałał żądzą zemsty. Stracił jedynego syna.

– Na pewno znajdziecie jakieś rozwiązanie – rzekł pracownik domu pogrzebowego. – Są inne kościoły…

– Nie – uciął Hendrick. – Nie ma innych kościołów. Nasza rodzina założyła Pierwotny Kościół Baptystyczny. Byłem w nim świeckim urzędnikiem, zanim wyjechałem. Mamy prawo… ona ma prawo… spocząć ze swoimi przodkami.

– Musisz z nim porozmawiać – stwierdziła Ruth.

– Niech to diabli – zaklęła Stella cicho. Od kaca łupało ją w głowie.

Hendrick i Ruth popatrzyli na nią. Pracownik domu pogrzebowego odwrócił wzrok.

– Ja pójdę – powiedziała.

Hendrick sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Naprawdę?

Wzdrygnęła się na myśl o konfrontacji z Johnem Rayburnem. W końcu unikała go przez dziesięć lat. Ale nie miała zamiaru pozwolić, by to do niego należało ostatnie słowo w kwestii pochówku Motty. Tylko ona mogła to załatwić.

– Motty należy się miejsce… obok mojej matki. Obok pozostałych Birchów.

Hendrick entuzjastycznie pokiwał głową.

– Oboje z nim porozmawiamy. Musi wiedzieć, że ma przeciwko sobie całą rodzinę.

Poprzedniego wieczoru Stella nie odpowiedziała Hendrickowi, co myśli o jego planach wychowania Sunny w Georgii, a przynajmniej niczego takiego nie pamiętała. Wróciła do ogniska i siedziała tam jeszcze przez kilka godzin,

popijając bimber. Mimo wszystko Hendrick zachowywał się dobrodusznie, co ją niepokoiło.

Blady mężczyzna założył marynarkę.

– Pojadę z panią.

Nie ma mowy, pomyślała Stella.

– Dajcie mi chwilę – powiedziała i wyszła z pokoju.

– A co z pierścionkiem? – zaskrzeczała Ruth.

Stella weszła do pokoju Motty, a Ruth deptała jej po piętach. W powietrzu unosił się gęsty zapach perfum. Hendrick i Ruth starali się zagłuszyć woń ciała, ale ono przecież nie mogło aż tak śmierdzieć, prawda? W nogach łóżka leżała niebieska sukienka, której Stella nie rozpoznała. Przy kołnierzyku wciąż wisiała metka z ceną. Stella czuła, że Ruth czai się za jej plecami i tylko czeka, aż dziewczyna się sprzeciwi.

Stella popatrzyła na Motty, czekając, aż smutek, żal albo cokolwiek innego przebije się przez mgłę kaca. Z gniewem przynajmniej umiałaby sobie poradzić. Właśnie to uczucie najczęściej wzbudzały w sobie nawzajem. Miło byłoby pokłócić się po raz ostatni, na przykład o ten pierścionek z brylantem, który Motty najwyraźniej ukrywała przed nią przez całe życie. Albo o zalety kremacji. Albo o to, że Hendrick, chociaż był dupkiem, mógł dać Sunny szansę na udane życie.

– Co ty na to, Motty?

Motty nie odpowiedziała. Jej twarz sprawiała wrażenie bardziej zapadniętej niż poprzedniego dnia, a skóra poszarzała, ale poza tym babcia wyglądała tak samo jak w chwili, gdy Stella po raz pierwszy zobaczyła ciało. Śmierć potrzebuje nieco czasu, by zaznaczyć swoją obecność. Może tak samo jest ze smutkiem.

Stella nachyliła się nad ciałem.

– Powiedz coś albo zamilknij na wieki – wyszeptała.

* * *

John Rayburn przyjął rządowe pieniądze i przeprowadził się do skromnego domu na skraju Townsend. Stella zatrzymała samochód na podjeździe, zadowolona, że nigdy tu nie była. Wspomnienia nie utrudniały jej zadania.

Hendrick i blady gość z Georgii czekali w aucie Hendricka. Wujek poczuł się urażony, że Stella nie chciała podróżować z nimi. Czyż nie byli rodziną? Ale chociaż współpracowała z nim w sprawie Sunny, na samą myśl o siedzeniu w jednym aucie z uzbrojonym kościelnym urzędnikiem czuła się nieswojo. Ruth została w domu, żeby „przyjmować gości” i opiekować się Veronicą, która

zapewne wciąż odsypiała swoje grzechy w dawnym pokoju Stelli. Reszta chłopców z Georgii zatrzymała się w mieście.

– Myślę, że powinniśmy wejść razem – zaproponował Hendrick. – Zaprezentować zjednoczony front.

– Aha. – Wujek zawsze bał się Rayburna.

– Tylko… postaraj się traktować go z szacunkiem. Złapiesz więcej much, jeśli użyjesz miodu.

– A co z nim? – Stella wskazała mężczyznę w samochodzie.

– Brat Paul zaczeka tutaj.

– Mnie to pasuje.

W progu przywitała ich Mary Lynn, córka starszego Rayburna.

– Stello? O mój Boże. – Była zaskoczona, ale w jej głosie pobrzmiewała serdeczność, której Stella się nie spodziewała. Praktycznie nie widziały się od czasu śmierci Lincolna. Mary Lynn przeprowadziła się do Maryville i pracowała w jadłodajni niedaleko posterunku policji, a Stella rozmyślnie unikała obu tych miejsc. Mary Lynn była o kilka lat młodsza od brata – o rok młodsza od Stelli – i nigdy go nie przypominała, ani wyglądem, ani zachowaniem. Lunk był uczciwy i prostolinijny, a ona łagodna i czujna jak myszka.

– Witaj, Mary Lynn.

– Miło cię widzieć, Mary – odezwał się Hendrick. – Zastaliśmy twojego ojca?

Mary Lynn się skrzywiła. Zerknęła w głąb ciemnego domu.

– Myślałem, że będziesz tam siedział przez cały dzień, Hendricku – odezwał się czyjś głos.

Hendrick zmusił się do śmiechu. Mary otworzyła drzwi.

Ujrzeli sylwetkę starszego Rayburna na fotelu obok frontowego okna, gdzie pełnił wartę. Stella i Hendrick mogli przysiąść tylko na nierównej kanapie, jedno obok drugiego.

Mary zaproponowała im kawę, a Stella odpowiedziała:

– O Boże, chętnie.

Hendrick skarcił ją wzrokiem. Czyżby użyła Jego imienia nadaremno? Była tak skacowana, że nie miała siły przejmować się tym, czy bluźni.

Hendrick i Rayburn rozmawiali o pogodzie w kotlinie i w Georgii oraz o nowej drodze dojazdowej. To był typowy południowy dom, w którym nawet zaprzysiężeni wrogowie nie dobywali broni przed podaniem kawy i kukurydzianego chleba. Budynek co prawda wzniesiono niedawno, ale wszystko wewnątrz było stare – fotel, kunsztownie zdobiony drewniany zegar, dywany, nawet zasłony, które Rayburn niewątpliwie przywiózł ze swojego

gospodarstwa w kotlinie. Przedmioty tłoczyły się w tym nieznajomym miejscu jak uchodźcy.

Stella opróżniła filiżankę i poprosiła o dolewkę. Mary Lynn w milczeniu spełniła jej prośbę, a potem stanęła w progu między kuchnią a salonem. Gdzie się podziała pani Rayburn? Dziwnie było oglądać Mary w roli gospodyni.

– Jak się miewa twoja matka? – spytała Stella.

– Właśnie… – Mary Lynn wskazała tylną część domu.

– Odpoczywa – dokończył starszy Rayburn. Zaglądał do swojej filiżanki. Jeszcze nie spojrzał na Stellę ani się do niej nie odezwał.

– No cóż, pozdrów od nas Elsę. Wiesz, że zawsze uwielbiałem jej śpiew.

Zapadła cisza. Hendrick zerknął na zegar. Rayburn zauważył coś za oknem.

Stella westchnęła i odstawiła filiżankę z kawą.

– Przyjechaliśmy w sprawie Motty.

Hendrick poruszył się niespokojnie. Rayburn patrzył na niego, nie na Stellę.

– Doszło do nieporozumienia – odezwał się wujek. – Chłopcy z domu pogrzebowego Smitha…

Rayburn zacisnął usta.

– Chłopcy odnieśli wrażenie, że nie wolno im pochować Mathildy przy kościele.

– Na pewno rozumiesz, dlaczego byłoby to nieodpowiednie – odrzekł Rayburn.

– Nieodpowiednie?

– Cmentarz jest przeznaczony dla członków kościoła o nieposzlakowanej opinii.

Hendrick zerknął w bok, udając zaskoczenie.

– Motty była członkinią kościoła, John. Oboje wychowaliśmy się w kościele, zostaliśmy tam ochrzczeni. Ja co prawda przeniosłem się do Georgii, ale Motty…

– Powiedziałem: o nieposzlakowanej opinii.

– Co to znaczy? – spytała Stella.

Rayburn w końcu na nią popatrzył.

– Nie udawajcie, że nie wiecie, o co mi chodzi.

– Nie udaję. Wszyscy Birchowie są tutaj pochowani. Także moja matka.

– Z perspektywy czasu wydaje się, że to mógł być błąd.

– Słucham?

– Lena prawie nie uczestniczyła w życiu kościoła. A Mathilda otwarcie go odrzucała.

– Daj spokój – żachnął się Hendrick. – Motty nigdy nie odrzuciła kościoła. Po prostu przestała chodzić na nabożeństwa. Zestarzała się.

– Podążała za innymi wartościami.

Mary Lynn gwałtownie wciągnęła powietrze. Jej ojciec praktycznie nazwał Motty poganką. Albo jeszcze gorzej, katoliczką.

– Co za… – Hendrick ugryzł się w język, zanim powiedział to, co zamierzał. – Znam swoją siostrę. Wiem, że bywała nieokrzesaną osobą…

– Bardzo delikatnie powiedziane.

– Przecież była chrześcijanką! Jedną z Wybranych. Nie rozumiem, dlaczego plotki i wymyślone opowieści… – Hendrick urwał. Nie mógł wspomnieć, o jakie opowieści chodzi, ponieważ wtedy by je uwiarygodnił. Ale wszyscy w kotlinie mieli swoje teorie dotyczące rodziny Birchów. Nie dało się powstrzymać plotek.

Stella miała ochotę zerwać się z kanapy, ale zachowała spokój.

– Wciąż pan wierzy w wieczne bezpieczeństwo, prawda? W to, że ktoś, kto raz został zbawiony, pozostaje taki na zawsze?

– Nawet diabeł może cytować Pismo – odpowiedział Rayburn niewzruszonym głosem. – Zawsze miałaś do tego talent.

– Pamiętam cytat o tym, że to Bóg daje nam życie wieczne – ciągnęła Stella. – „I nikt nie wyrwie ich z mojej ręki”.

– Tylko Bóg wie, czy ona w ogóle była w jego ręku.

– Właśnie o tym mówię.

– A ja mówię o tym, że w naszym kościele zawsze najważniejsza była wspólnota – wtrącił Hendrick. – Być może inni starsi…

– Naszym? – odparł Rayburn. – Wyjechałeś do Georgii, żeby sprzedawać krzesła.

– Pojechałem za pracą. – Zmusił się do uśmiechu. – Ludzie muszą na czymś siedzieć.

– Zastanawiamy się, czy inni starsi nie byliby bardziej bezstronni – powiedziała Stella.

To podrażniło Rayburna. Ale nie zamierzał jej odpowiedzieć. Odwrócił się do Hendricka.

– Bezstronność nie ma tutaj nic do rzeczy – odrzekł lodowatym tonem. – Chodzi o Boży plan, a nie mój.

– Boży plan – powtórzył Hendrick. Po chwili ściszył głos i odezwał się wolniej. – Boży plan.

– Tak powiedziałem.

– Chciałbym wiedzieć, jaki on jest. Myślę o tym, co spotkało Lincolna… To takie niesprawiedliwe. Prawdziwa tragedia.

– Nie wspominaj o moim synu.

Kiedyś ludzie bez przerwy o tym rozmawiali. Każdy w kotlinie znał opowieść o synu kaznodziei, dobrym i prawym chłopcu, który pojechał nowym

samochodem taty, żeby spotkać się z niegodziwą Stellą Wallace. Dziewczyna zmusiła go do tańców w blasku księżyca i picia whiskey prosto z destylarni Abby'ego Whitta, a potem odesłała go do domu ze śladem szminki na policzku. Następnego ranka znaleziono wywrócony samochód w lodowatych wodach Little River. Ludzie ze wsi uwielbiali ballady o zabójstwie.

– Popełnił taki sam błąd, jaki popełniły setki chłopców przed nim – ciągnął Hendrick. – Ale oni przeżyli i mogli o tym opowiadać. Niektórzy nawet się tym chwalili… chociaż Lincoln nie był taki. Wszyscy o tym wiemy.

– Został skuszony – odparł Rayburn.

Hendrick podniósł ręce, nie zaprzeczając jego wersji.

Jestem tu z wami, dranie, pomyślała Stella.

– Dziś sam jestem ojcem – mówił dalej Hendrick. – Ale nawet ja nie wyobrażam sobie, jak bolesna była dla ciebie utrata syna. Nikogo by nie zdziwiło, gdyby osobiste uczucia względem mojej siostrzenicy… wpłynęły na twój osąd sytuacji.

– Twoja siostrzenica. – Rayburn był tak wściekły, że z trudem nad sobą panował. – Nic mnie ona nie obchodzi. Dbam o swoje własne potomstwo. Biorąc pod uwagę historię twojej rodziny…

Nagle Mary Lynn wtrąciła się do rozmowy.

– Może czymś się poczęstujecie? Więcej kawy?

Nikt jej nie odpowiedział.

– Cała kotlina wie o kobietach z rodu Birchów – rzekł Rayburn. – O kolejnych nieślubnych dzieciach.

– John, nie sądzę… – zaczął Hendrick.

Stella podniosła rękę.

– Wspomniał pan o potomstwie.

Rayburn popatrzył jej w oczy.

– Uciekłaś – rzucił. – Kilka dni po pogrzebie Lincolna uciekłaś. Moja żona ma miękkie serce. Mimo tego, co zrobiłaś jej synowi, była gotowa ci przebaczyć. Ale ty znikłaś. Ukryłaś się. – Stella uświadomiła sobie, że wstała z krzesła. – A potem w ramionach Mathildy pojawiła się tamta dziewczynka.

Hendrick szeroko otworzył usta. Rozmowa przybrała niezrozumiały obrót.

– Sunny jest sierotą – powiedział. – Pochodzi od Birchów z Karoliny Północnej.

– Z rodziny, o której nikt nigdy nie słyszał – zauważył Rayburn.

– Właśnie o to w tym wszystkim chodzi? – odezwała się Stella. – Nie pozwoli nam pan pochować Motty, ponieważ chce pan czegoś ode mnie? Chce pan ubić jakiś interes?

Rayburn zamrugał. Dobry Boże, czyżby miał się rozpłakać?

– Chcę o nią zadbać. Przynajmniej tyle jesteś nam winna.

– Niech pan posłucha. Sunny Birch nie jest dzieckiem Lincolna. Pan i Elsa nie macie wnuczki.

– Możemy ci zapłacić.

Wzdrygnęła się. W ostatniej chwili powstrzymała się przed spoliczkowaniem go, zupełnie jakby wsadziła patyk w szprychy roweru. Już podnosiła prawą dłoń. Ogień popłynął od jej szyi wzdłuż ręki. Wyobrażała sobie, jak Rayburn przechyla się w bok pod wpływem ciosu.

Mary Lynn krzyknęła, jakby ona też to zauważyła. Rayburn miał szeroko otwarte oczy i usta. Nagle wyraźnie się postarzał i stał się delikatny jak papier.

Stella zacisnęła dłoń.

– Wypchajcie się swoim przeklętym cmentarzem – odrzekła. – Sama ją pochowam.

Mary Lynn wybiegła z domu, zanim Stella zdążyła wsiąść do samochodu. Ona też płakała. Nie zdołała jednak nic powiedzieć, Stella ją ubiegła.

– Powiedz ojcu, że ma rację. Motty była poganką. Wszyscy Birchowie… wszyscy czcimy diabła.

Mężczyzna z Georgii – brat Paul – patrzył na nią, kiedy wycofała auto na pełnej prędkości.

Jechała szybko, ocierając oczy i przeklinając. Po trzech minutach zjechała na pobocze, wysiadła z samochodu, zostawiając włączony silnik, i otworzyła schowek pod tylnym siedzeniem. Zanurzyła dłoń w słomie. Jezu, chyba nie wypili wszystkiego? W końcu natrafiła palcami na słoik, wyjęła go i odkręciła. Paląca whiskey spłynęła jej do gardła. Wypiła kolejny łyk. Wróciła za kierownicę. Była gotowa znów opuścić kotlinę, nawet jeśli nie będzie pogrzebu. Ale najpierw musiała się z kimś zobaczyć.

7

1936

Starszy Rayburn zaczekał, aż Stella skończy dwanaście lat, zanim złożył im wizytę. Być może wreszcie zaczął się martwić o jej nieśmiertelną duszę. Miesiąc po jej pierwszej komunii przyjechał swoim czarnym powozem, a towarzyszył mu jego syn-półgłówek, Lunk.

Stella akurat była przy chlewiku, kiedy się pojawili. Siedziała na ogrodzeniu i wrzucała karmę do zagrody i koryta. Maciora była olbrzymia. Rosła przez całą zimę, ale w ciągu miesiąca po komunii Stelli niespodziewanie przybrała pięćdziesiąt kilogramów. Zazwyczaj bacznie obserwowała Stellę niepokojąco ludzkimi oczami, gdy ta wspinała się na ogrodzenie, jakby dziewczynka była jej następnym posiłkiem, a kukurydza, kasztany i całe kilogramy łoju, które spożywała każdego dnia, nie zaspokajały jej głodu. Stella była przekonana, że gdyby spadła z ogrodzenia w błoto, świnia przygniotłaby ją, a następnie spokojnie odgryzła jej kończyny.

Ale nie dzisiaj. Maciora nie podeszła do koryta. Chodziła w kółko wokół sterty słomy, żałośnie pokwikując.

Stella odłożyła worek z karmą i zeskoczyła z płotu. Starszy Rayburn i Lunk już szli w jej kierunku. Popatrzyła na swoje brudne ręce, mając nadzieję, że brud zakrywa blizny.

– Panno Wallace – odezwał się starszy Rayburn głębokim głosem. – Miło panią widzieć.

– Dzień dobry – odpowiedziała. – Witaj, Lunk.

Starszy Rayburn uniósł brwi.

– Tak go nazywamy w szkole – wyjaśniła Stella.

– Wcale nie – zaprzeczył Lunk. – Tylko ona tak mnie nazywa. – Urósł o pięć centymetrów i teraz czesał się z przedziałkiem, tak jak jego tata. Pod pachą trzymał białe pudełko. Stella ostatnio rzadko go widywała. Kiedy skończył czternaście lat, poszedł do eleganckiej szkoły średniej w Maryville. Ale starszy regularnie ich odwiedzał i podwoził do domu swoją córkę, Mary Lynn.

– Wasza maciora chyba niedługo się oprosi – zauważył Rayburn.

Czy właśnie to się z nią dzieje?

– Zachowuje się dziwnie – przyznała Stella.

Rayburn zapytał o Motty, a dziewczynka po nią pobiegła. Motty była podejrzliwa. Kiedy zobaczyła białe pudełko w ręku Lunka, stęknęła.

– A więc o to chodzi.

– Od dłuższego czasu zamierzałem was odwiedzić – powiedział Rayburn. – Kościół przygotował prezent dla Stelli.

– Ona tego nie potrzebuje – odparła Motty.

Stella podniosła wzrok na babcię, prosząc w myślach: Nie wyganiaj ich! Rzadko dostawała prezenty. Pomarańczę na Boże Narodzenie, nowe buty na urodziny. Motty twierdziła, że cokolwiek więcej to zbytek.

– Przynieśliśmy coś, co każde dziecko w twoim wieku powinno mieć – odezwał się starszy Rayburn do Stelli. – Twoją własną…

– Biblię – dokończyła Motty. – Zawsze chodzi o Biblię.

– Otóż to – przytaknął starszy Rayburn. – Synu, czy możesz…?

Lunk podał jej pudełko. Miał poważną minę, jakby ubiegał się o rolę starszego.

Stella podniosła wieczko. W środku znajdowała się książka oprawiona w czarną skórę. Na okładce złotą czcionką napisano „Pismo Święte”, a cienkie kartki miały pozłacane krawędzie.

– To wersja króla Jakuba – wyjaśnił Rayburn. – Natchnione słowo Boga w angielskim wydaniu, przekazane prawdziwemu kościołowi.

– Wydanie z czerwoną czcionką – uroczyście oznajmił Lunk.

Stella nie miała pojęcia, co to znaczy.

– Dziękuję – powiedziała szczerze. – Przeczytam ją od deski do deski.

Starszy Rayburn uśmiechnął się pobłażliwie.

– To nie lada wyzwanie.

– Ona to zrobi – wtrąciła się Motty. – Nie można jej odpędzić od wszystkiego, co nadaje się do czytania.

– To bardzo dobrze. A teraz, Stello… – Dziewczynka podniosła wzrok znad księgi. – Chciałbym cię zaprosić do kościoła. Motty jeszcze cię tam nie zaprowadziła, ale zapewniam cię, że jesteś mile widziana.

– Zaprowadzę ją, kiedy uznam to za stosowne – odrzekła Motty.

– Oczywiście, oczywiście. – Rayburn postanowił skupić się na Stelli. – Czy Motty powiedziała ci, że możesz być jedną z Wybranych?

– Eee…

– Ona nie wie, co to znaczy – odrzekła Motty znużonym tonem.

Ta odpowiedź wyraźnie ucieszyła starszego Rayburna.

– Wybrani to dusze, które idą do Nieba. Jezus Chrystus umarł za twoje grzechy, abyś mogła tam trafić, ale to Bóg Ojciec wskazał dusze wybranych, tuż

po stworzeniu świata.

Stella nie zrozumiała.

– Bóg już mnie wybrał?

– Być może, być może. Daje swoim dzieciom życie wieczne… i nikt nie wyrwie ich z jego ręki.

– Jan, rozdział dziesiąty, wers dwudziesty ósmy – rzekł Lincoln.

– Nie muszę niczego robić?

– Właśnie! Jeśli jesteś jedną z Wybranych, cała praca została już za ciebie wykonana. Otrzymałaś Łaskę.

To nie pasowało do tego, co Stella czytała o chrześcijanach.

– Ale skoro Bóg już wszystko postanowił, to dlaczego Jezus musiał umrzeć?

– Za twoje grzechy – powtórzył Rayburn. – Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne. – Stella zastanawiała się, czy zna na pamięć całą Biblię. – Widzisz, Jezus był ofiarą.

Stella wiedziała, czym są ofiary, czytała *Powrót Tarzana*.

– Komu Bóg złożył Jezusa w ofierze?

– Słucham?

– Myślałam, że ofiarę składa się, aby jakiś bóg wyświadczył nam przysługę.

– Jest tylko jeden Bóg.

– Więc Bóg złożył swojego syna w ofierze samemu sobie?

Motty parsknęła śmiechem. Stella nie wiedziała, co ją tak rozbawiło.

– Niezupełnie – odrzekł Rayburn. – Jezus jest Bogiem, a także Duchem Świętym.

Stella była zachwycona.

– Czyli Bóg złożył w ofierze samego siebie sobie samemu.

– Mów dalej, Rayburn – zachęciła go Motty.

– A co z innymi bogami? – spytała Stella.

– Nie będziesz miał cudzych bogów obok Mnie – rzekł Lunk. – To jedno z przykazań.

Starszy Rayburn się skrzywił. Chłopiec wcale mu nie pomagał.

– Ale nie wszystkich bogów, prawda? – spytała Stella. – Co z…?

Motty chwyciła Stellę za kark. Dziewczynka pisnęła i upuściła Biblię.

– Do domu – warknęła babcia.

– Ale…

– Natychmiast.

* * *

Stella spędziła resztę dnia w swoim pokoju, kipiąc ze złości. Myślała, że wszystko się zmieni po komunii, ale gdy tylko Hendrick i wujkowie odjechali, życie wróciło do normy, a Motty traktowała ją jak chłopkę. Nie chciała jej powiedzieć, kiedy i czy w ogóle będzie mogła znów obcować z Bogiem. „Jestem najstarszą kobietą w rodzie Birchów", mawiała. „Sama zdecyduję, kiedy będziesz gotowa".

A Stella zamierzała sama zdecydować, kiedy wyjdzie z pokoju. Niech staruszka własnoręcznie zajmuje się domowymi obowiązkami.

Biblia zaciekawiła dziewczynkę, ale przynajmniej pozostała jej *Księga Esther.*

Czytała ją codziennie i przy każdej okazji wracała do swoich ulubionych fragmentów, a nawet powtarzała je szeptem. Teraz znów otworzyła pierwszą stronę, gdzie znajdował się wpis z 3 marca 1865 roku, i powiedziała: „Bóg uznał za stosowne obdarować nas córką".

Książka, która była całkiem opasła, mimo cieniutkich kartek, opisywała dwadzieścia dwa lata z życia Esther, opowiedziane najpierw przez Russella Bircha, a potem, po jego śmierci, przez jego najmłodszego syna, Morgana, który obecnie był starcem. To była najbardziej smakowita książka, jaką kiedykolwiek czytała, a sądziła, że nic nie może być lepsze od przygód Nancy Drew. Kilka dni po komunii myśli Boga ulotniły się z jej umysłu, ale za każdym razem, gdy otwierała *Księgę Esther,* miała wrażenie, że znów wczołguje się do jaskini.

No, prawie. Nic nie mogło się równać z dotknięciem dłoni Boga. Ale to była najlepsza namiastka, jaką znalazła. Znów czuła, że jest częścią jakiejś misji, kapitanem, który kieruje machiną historii.

Przewróciła stronę. Oto mała Esther w ramionach Clary. Na następnej stronie młoda Esther wybiela swoją szatę. Potem nastoletnia Esther nakazuje swojemu bratu, by wybudował kościół. Stella wyobrażała sobie, jak dziewczyna celuje w brata palcem.

Głód w końcu wyciągnął Stellę z pokoju. Na kolację Motty przygotowała bułeczki i warzywa. Stella z zadowoleniem zauważyła, że babcia jest zmęczona.

– Zajęłaś się już maciorą? – spytała.

Motty posłała jej ostre spojrzenie.

– O czym ty mówisz?

– Kręciła się w kółko – wyjaśniła Stella. – Starszy Rayburn powiedział, że pewnie wkrótce się oprosi.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej, do diabła? – rzuciła Motty. Zaklęła i skierowała się do chlewu.

Stella uśmiechnęła się do siebie. Wzięła jedną z bułeczek, wyjęła swoją książkę i wróciła do lektury.

Kiedy godzinę później usłyszała wystrzał, miała wrażenie, że odgłos pochodził z *Księgi Esther.* Założyła płaszcz i buty. Na zewnątrz było już ciemno. Na podwórzu zalegała warstwa śniegu. Przy zagrodzie świń stał traktor z włączonym silnikiem, ale nikogo nie było za kierownicą. Co się stało?

Usłyszała, że Motty klnie. Wyjrzała zza dużego metalowego koła traktora. Na ogrodzeniu zagrody stała latarnia. Świnia leżała na boku, a Motty pochylała się nad nią i obowiązywała sznurem przednie nogi i szyję zwierzęcia. Gorące ciało parowało, zupełnie jakby ktoś piekł je na ogniu.

Motty nagle wyprostowała się i chwyciła strzelbę opartą o ogrodzenie. Podeszła do traktora, ciągnąc za sobą sznur. Sukienkę miała poplamioną krwią.

Nagle zauważyła dziewczynkę i posłała jej mordercze spojrzenie, które było jak krzyk.

Stella uświadomiła sobie, że nie będzie bezpieczna w domu. Uciekła przez podwórze i ukryła się w lesie.

* * *

Blask księżyca tańczył przed nią jak błędny ognik, ale potrafiła odnaleźć drogę nawet z zawiązanymi oczami. Wparowała do domu Abby’ego bez pukania i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Bezpieczna!

– Abby?

Nie odpowiedział, podobnie jak jego menażeria. Otaczały ją dzikie zwierzęta. Głównie ich głowy. Cztery jelenie o imponujących porożach, które wyglądały, jakby przebiły się przez ścianę i nie potrafiły się wycofać. Trzy łby niedźwiedzi z rozdziawionymi szczękami i ostrymi zębami, wiecznie żarłoczne. Ryś o oszalałych ślepiach.

Kilka szczęśliwych istot zachowało swoje ciała. Pstrągi pływały po ścianach. Niewielki wilk wył. Tłusty szop pracz przycupnął w kącie, unosząc czarne łapki w błagalnym geście. Wszędzie były szkielety: pozwijane kręgosłupy węży, bezpióre ptaki ze skrzydłami rozpostartymi na podobieństwo wachlarzy zbudowanych z malutkich sztyletów, czaszki wapiti o pustych oczodołach.

Przy kominku grzało się szczytowe preparatorskie osiągnięcie Abby’ego: rosyjski dzik o długim pysku, gotowy do ataku, złowrogo wyszczerzony.

To był jej potajemny dom. Kiedy Motty zachowywała się okrutnie i Stella czuła się tak samotna, że mogłaby umrzeć, uciekała do tej przytulnej chatki. Frontowe pomieszczenie miało długość zaledwie sześciu metrów i składało się z salonu oraz kuchni, chociaż „kuchnia” to nieco zbyt wyszukane słowo na

opisanie kuchenki z pojedynczym palnikiem i metalowej wanny pełnej naczyń. Woda pochodziła z kranu podłączonego do cysterny za ścianą.

Motty na pewno stwierdziłaby, że w chatce panuje straszliwy bajzel, ale Stella uwielbiała to miejsce, a zwłaszcza wypchane zwierzęta, chociaż w tej chwili dzik przypominał jej o maciorze, którą Motty właśnie zastrzeliła.

Ponownie zawołała Abby'ego, na wypadek gdyby spał w pokoju na tyłach, jedynym pozostałym pomieszczeniu w chatce. Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby otworzyć drzwi. Nigdy tego nie robiła. Wiedziała, że to „męski pokój", prywatne miejsce Abby'ego.

Zapukała, ale nikt nie odpowiedział. Jeśli nie było go tam o tej porze, to mógł się udać tylko w jedno miejsce. A skoro tak, to miała nieco czasu.

Przysunęła do kominka jedno z rozchwianych krzeseł i wspięła się na nie. Gzyms kominka składał się z kilku kamieni sterczących z komina, a na nim leżały dwa najcenniejsze przedmioty, jakie Abby posiadał.

Pierwszym było kunsztownie rzeźbione drewniane pudełko. Kryjące się w nim przedmioty miały dla niej magiczne znaczenie: składany nóż o rękojeści z kości słoniowej, garść srebrnych i złotych zagranicznych monet oraz prawdziwy skarb: brązowy medal wojskowy z tęczową wstęgą. Na przedniej stronie medalu widniał anioł z mieczem, a na odwrocie sześć gwiazd, elegancka tarcza oraz nazwy tuzina dalekich krajów: Francji, Rumunii, Chin, miejsc, o których tylko czytała. Pudełko stanowiło wspomnienie życia wypełnionego wojną, przygodami i dalekimi podróżami. Często wyobrażała sobie, jak Abby siedzi w okopach, a jego najlepszy przyjaciel pada zastrzelony obok niego z zaskoczoną miną. Albo jak pływa na pokładzie wojskowego niszczyciela i ładuje pociski do olbrzymiego działa. A potem siedzi samotnie w kafejce w Paryżu i pisze listy miłosne, na które nigdy nie otrzymuje odpowiedzi. (Kobieta została zastrzelona przez snajpera, gdy wyszła z domu po bagietkę). Stella nie mogła spytać Abby'ego, co wydarzyło się naprawdę, ponieważ musiałaby się przyznać, że grzebała w jego rzeczach.

Obok pudełka leżało czarno-białe zdjęcie, które ktoś pokolorował. Przedstawiało trzy osoby. Abby i Ray Wallace byli ubrani w kowbojskie kapelusze i kamizelki. Pomiędzy nimi stała chuda kobieta o spiczastym nosie, ubrana jak Indianka, w strój zdobiony frędzlami i piórami. Turystyczne kostiumy. Chociaż się nie uśmiechali, ich wyraz twarzy świadczył o dużej zażyłości, była tego pewna. Na odwrocie zdjęcia ktoś zapisał ołówkiem: „Cherokee, Karolina Północna, 3 lutego 1924".

Stella wiedziała, że ta kobieta to jej matka. Nikt inny nie miał jej zdjęcia – ani Motty, ani tata. Obiecała sobie, że jeśli kiedykolwiek ucieknie z kotliny, najpierw przyjdzie tutaj i ukradnie tę fotografię.

* * *

Stella wspięła się po górskim zboczu, podążając za wonią dymu do kryjówki, którą odwiedzała już wiele razy.

Abby i jakiś mężczyzna siedzieli przy ognisku, a właściwie dwóch ogniskach. Jedno miało ich ogrzać, a nad drugim gotowali zacier w Bessie, wielkim miedzianym kotle Abby'ego. Abby zauważył dziewczynkę.

– Stello! Co tutaj robisz o tak późnej porze?

– A więc nocą rzeczywiście pojawiają się gwiazdy – odezwał się drugi mężczyzna.

Abby się roześmiał. Obaj trzymali w dłoniach blaszane kubki. Stella rozumiała, co się dzieje; już widziała Abby'ego pijanego.

Nieznajomy wyciągnął dłoń.

– Pee Wee Simms. Wiele o panience słyszałem. – Mówił z nosowym północnym akcentem. Był wysokim mężczyzną, miał włosy nasmarowane oliwą i cienki wąsik, który upodabniał go do Williama Powella. – Słyszeliśmy strzał. Chyba nie wydałaś nas urzędnikom skarbowym?

– Daj jej spokój – rzucił Abby.

– A co, udało ci się utrzymać swoją działalność w tajemnicy przed nią?

– Byłam tutaj wiele razy – powiedziała Stella Jankesowi. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę ma na imię Pee Wee. – Wiem, czym jest aparat destylacyjny.

– Czyżby?

– To maszyna, która zmienia kukurydzę w pieniądze.

Pee Wee roześmiał się tak donośnie, że aż rozlał bimber. Stella podkradła ten tekst Abby'emu. Nie sądziła, że jest aż taki zabawny.

– Motty wie, że wyszłaś z łóżka? – spytał Abby.

– Świnia zachorowała i Motty jest zdenerwowana – odrzekła dziewczynka beztrosko. – Wygoniła mnie z domu. – Nie chciała o tym rozmawiać ani wracać.

– Co się stało z maciorą?

Zanim została zmuszona do odpowiedzi, odezwał się Pee Wee.

– Mam nadzieję, że doceniasz fakt, iż znajdujesz się w obecności geniusza. Abby to cudotwórca… a to, moja droga, jest jego cudowna maszyna.

– To żaden cud – odparła. – To tylko… nauka.

– Otóż to – zgodził się Abby.

Pee Wee wyprostował się, nagle zaintrygowany.

– A co taka mała dziewczynka jak ty może wiedzieć o nauce?

Nie spodobał jej się jego ton.

– Ona zna tę maszynę na wylot – powiedział Abby.

– Podejmuję wyzwanie – odrzekł Pee Wee, a Stella pomyślała: Jakie znowu wyzwanie? – Pytanie pierwsze: Opowiedz mi… – popatrzył na aparat destylacyjny i wskazał niewielką beczułkę pomiędzy kotłem a większą beczką skraplacza. Miedziane rurki łączyły wszystkie trzy pojemniki – …o tym.

– To thumper – odpowiedziała.

– Czy to ten słynny dubler, o którym tyle słyszałem?

Abby kiedyś użył takiej nazwy. Stella pokiwała głową.

– A co ten dubler dubluje?

– No cóż, zacier najpierw zagotowuje się w kotle, a potem, po raz drugi, tutaj.

Pee Wee pokiwał głową z mądrą miną.

– A jak to się dzieje? – Machnął ręką. – Szczegółowo.

– Opary z kotła przelatują tędy… – Wskazała miedzianą rurkę podłączoną do thumpera. – A w środku się ochładzają i znów zmieniają w płyn. – Zerknęła na Abby'ego, ale on tylko przyglądał się jej z rękami na brzuchu. – Wtedy wpadają tu kolejne opary, zaczynają podgrzewać alkohol i zacier zostaje powtórnie zagotowany.

– A dokąd później lecą te opary? – spytał Pee Wee. Mówił jak nauczyciel.

– Do skraplacza. – Skraplacz był beczką pełną wody ze strumienia: w środku wiła się miedziana rurka, dzięki której opary miały czas się schłodzić i zmienić w płyn. To był zwariowany proces. Substancja zmieniała się w inną, a potem wracała do dawnego stanu, i tak raz za razem, ale każdy krok przybliżał ją do idealnego stanu.

– A potem? – spytał.

Co jeszcze chciał usłyszeć?

– A potem whiskey wypływa z wężownicy. – Tak Abby nazywał ten ostatni kawałek rurki, z którego alkohol skapywał do osadnika.

Pee Wee wciąż nie był usatysfakcjonowany.

– Wróćmy do dublera. Po co kłopotać się powtórnym gotowaniem? W jakim celu? Z naukowego punktu widzenia.

Stella zerknęła na Abby'ego. Nigdy nie potrafił tego dokładnie wyjaśnić.

– Dzięki temu to, co niedobre, może zostać usunięte z oparów.

– To, co niedobre? – spytał Pee Wee.

– Niegodziwe substancje. Abby tak je nazywa.

– W ten wyszukany sposób mówi ci, że nie zna odpowiedzi.

Popatrzyła na Abby'ego z niepokojem. Czy to prawda?

Abby wzruszył ramionami.

– Z tego samego powodu wylewamy pierwszą porcję. – Chodziło o pierwsze kilka uncji, które skapywały z wężownicy. – Niektóre rzeczy robi się dlatego, że

tak po prostu należy.

– Ale… trzeba wiedzieć dlaczego – stwierdziła Stella.

– Całkowicie się zgadzam – rzekł Pee Wee.

Stella nawet nie zdawała sobie sprawy, że ma braki w wiedzy. Ufała, że Abby, jako dorosły, zna wszystkie odpowiedzi. Ale on używał skomplikowanych słów, żeby ukryć to, czego nie wiedział.

– Tradycja oznacza, że nie trzeba wszystkiego wymyślać na nowo – stwierdził Abby. – Ważne, że coś działa.

– Mój Boże, wkraczamy na teren transsubstancjacji – odrzekł Pee Wee. – Abby odwołuje się do wiary, by wytłumaczyć swój cud.

Stella była sfrustrowana. To Pee Wee zaczął mówić o cudach, a Abby stanął po jej stronie, kiedy powiedziała, że produkcja bimbru to nauka. Teraz zamienili się rolami.

– Wierzę w ten aparat i w swoją recepturę – odrzekł Abby. – Powtórne gotowanie polepsza smak, to obiektywny fakt.

Pee Wee machnął ręką.

– Dobrze, dobrze. Ostatnie pytanie. – Wskazał głową osadnik. – Czym jest ta blada rzecz, która sterczy z wężownicy?

– Pee Wee… – ostrzegł Abby.

– Naukowiec powinien to wiedzieć!

Stella zmarszczyła czoło. Abby nigdy nie powiedział jej, jak się nazywa ta część.

– To patyk. Dzięki niemu whiskey nie spływa po spodzie rurki i się nie marnuje.

Pee Wee się roześmiał.

– To nie jest patyk, tylko fiut szopa!

Abby klepnął mężczyznę w ramię, ale ten roześmiał się jeszcze głośniej.

– Nie powiedziałeś jej?

Stelli nie podobało się, że wychodzi na idiotkę.

– Obaj kłamiecie.

– Wcale nie! – zawołał Pee Wee. Stella nie mogła już znieść jego śmiechu. – To naprawdę jest penis szopa pracza. Ewolucja nadała mu idealny kształt do tego celu.

Zerknęła na Abby’ego. Był zawstydzony, lecz w końcu przytaknął.

– Ale nie wierz w to, co powiedział o ewolucji.

Stella przypomniała sobie proszącego szopa w chatce. Może błagał o zwrot fiuta.

– Co o tym myślisz? – spytał Pee Wee. – Pewnego dnia też będziesz pędziła bimber?

– Nie ma mowy – rzekł Abby.

– To zależy – odpowiedziała Stella.

– Od czego? – zaciekawił się Pee Wee.

– Ile na tym zarobię?

Stella jeszcze nigdy nie była taka zadowolona. Dorosły mężczyzna słuchał jej i śmiał się z jej żartów.

* * *

Pozwolili jej posiedzieć ze sobą jeszcze dwie godziny. Za każdym razem, gdy pojemnik się napełniał, pomagała Abby'emu zmieniać go i przelewać zawartość do słoików, a w przerwach siedziała przy ognisku, zajadała orzeszki ziemne i słuchała, jak mężczyźni rozmawiają. Pee Wee wygłaszał swoje opinie na temat ubezpieczenia na życie (był przeciwny), czegoś, co nazywał proletariatem (to skomplikowane) oraz bekania (był entuzjastycznym zwolennikiem). Przekonywał także, że Stella powinna spróbować najnowszej partii produktu, skoro im pomagała, ale Abby się sprzeciwił.

Powinnam opowiedzieć to wujkowi Hendrickowi, żeby zapisał w mojej księdze, pomyślała dziewczynka.

24 kwietnia 1936. Stella popisała się swoją wiedzą na temat destylacji whiskey przed niedowierzającym Jankesem Pee Wee Simmsem.

W *Księdze Esther* ekscytowało ją między innymi to, że ktoś inny opisywał te wydarzenia, mężczyzna, który bacznie przyglądał się życiu swojej żony i córki, nawet jeśli nie do końca rozumiał, co się dzieje. Zaczynając od pierwszej linijki: „Bóg uznał za stosowne obdarować nas córką". To „uznał za stosowne" wydawało się Stelli nieco prowokacyjne. W komentarzu do tej strony Hendrick odnotował, że Russell zbliżał się do siedemdziesiątki, a Clara była tylko o kilka lat młodsza. Ich dzieci – wliczając wspierającego Konfederatów zdrajcę Cyrila oraz Morgana, który również mieszkał w kotlinie – były dorosłe i wychowywały własne potomstwo. Ale wtedy Clara znalazła sierotę, której rodzice zginęli podczas wojny, i postanowiła, że przyjmą ją pod swój dach.

Clara nadała jej imię Esther, co bardzo do niej pasuje. Jest piękna, nie licząc plamy, która znaczy jedną stronę jej twarzy. Clara zapewnia mnie, że plama skurczy się i zblednie z wiekiem.

Hendrick napisał: „Tak się nie stanie”.

Wyjaśnił także komentarz Russella dotyczący imienia dziewczynki. Biblijna Estera była sierotą, tak piękną, że król Persji wziął ją za żonę, nie zdając sobie sprawy, że była „Żydówką”. (Stella nigdy wcześniej nie widziała tego słowa i przez kilka dni bez przerwy powtarzała je na głos: ży-dów-ka, ży-dów-ka). Estera była taką pięknością, że kiedy doradca króla miał przekazać rozkaz, by wszyscy Żydzi w Persji zostali zgładzeni, przekonała króla, by zmienił zdanie, a nawet wydał inny rozkaz, zgodnie z którym Żydowi wolno było zabić każdego, kto zagrażał jego rodzinie. W ciągu kilku dni życie straciło siedemdziesiąt pięć tysięcy ludzi.

Początek dziennika opowiadał głównie o żonie Russella, Clarze, która najwyraźniej go dziwiła i onieśmielała. Kiedy zażądała, aby wybudował osłonę nad wlotem jaskini, by mogła spać blisko wejścia razem z małą Esther, nie rozumiał tego, ale jej posłuchał. Jednak kiedy wieści się rozniosły, zmartwił się, że sąsiedzi będą krzywo patrzyli na staruszków zajmujących się małym dzieckiem.

Russell nigdy nie miał talentu do snucia opowieści – innymi słowy, daleko mu było do Abby’ego – i Stella żałowała, że Clara sama nie prowadziła dziennika. Brakowało kluczowych szczegółów, na przykład wyjaśnienia, dlaczego w ogóle adoptowali dziewczynkę. Przecież mogłyby się nią zająć ich dorosłe dzieci, które mieszkały w pobliżu. No i dlaczego Clara koniecznie chciała spać obok jaskini?

Esther stopniowo odgrywała coraz znaczniejszą rolę i sprawiała wrażenie równie upartej jak jej matka. Późną jesienią 1876 roku, kiedy miała dwanaście lat – tyle co Stella! – oświadczyła, że jest Objawicielką, tak jak biblijny Jan, i tylko jej wolno wchodzić do jaskini. Clara źle to zniosła. Biedny Russell, który miał już ponad osiemdziesiąt lat, nie krył niepokoju:

> *Nie mogę znieść tych ciągłych kłótni i docinków. Matka i córka zwróciły się przeciwko sobie niczym rebelianci i Unia.*

Dlatego Russell wybrał się na polowanie.

Przed wojną wybudował okrągłą kamienną chatkę na szczycie Birch Bald. Mógł wystawić lufę broni przez otwór w ścianie i strzelać do zwierzyny wychodzącej na polanę, ale przeważnie tylko obserwował i czekał. Wypełnił dwie strony dziennika opisami dzikich zwierząt, które mógłby zabić. Także pod tym względem nie mógł się równać z Abbym.

Kiedy Russell wrócił tydzień później, jego żona i córka już się nie kłóciły. Esther leżała w łóżku z „gorączką” i miała zabandażowane ręce, jakby się

poparzyła.

Chciałem dowiedzieć się, jak znalazła się w takim stanie. Clara początkowo nie chciała odpowiedzieć, ale w końcu wyjawiła: „Bóg przemówił. Słuchaj uważnie”.

Kolejne kilkadziesiąt stron wypełniały opisy wypraw Esther do jaskini, gdzie obcowała z Bogiem, oraz wiadomości, które przekazywała po powrocie. Wszystko, co mówiła pod wpływem Boga, pozostawało tajemnicze i poetyckie, chociaż po śmierci Russella, gdy sporządzaniem zapisków zajął się brat Esther, Morgan, relacje zaczęły coraz bardziej przypominać Biblię króla Jakuba:

Bóg zamieszkał pośród skał i kamieni; Pierwsze dziecko odetchnie trucizną, lecz przeżyje.

No i najważniejszy tekst, który pojawiał się kilkakrotnie na przestrzeni jej Objawień:

Oto, co obiecano dzieciom w dniu, gdy Bóg stanie w świetle: będziecie mieć jedno ciało, wiecznie rozkwitające.

Czasami Stella miała łzy w oczach podczas lektury.

Ale koniec był straszny. Księga po prostu się urywała. Nie było żadnej informacji o tym, co Esther zrobiła później, czy kiedykolwiek opuściła kotlinę, jak umarła. Nic.

Kiedy Stella po raz pierwszy dotarła do ostatniej strony, nie mogła w to uwierzyć. Miała ochotę cisnąć książką w drugi koniec pokoju i z trudem powstrzymała przed tym swoją rękę. Jej ręka była doskonałym krytykiem.

* * *

Kiedy zgasili ogień pod aparatem destylacyjnym, Pee Wee już chrapał na krześle.

– No – odezwał się Abby, przeciągając sylabę. – Najwyższy czas, żebym odprowadził cię do domu. – Bimber obudził w nim naturę wujka Dana.

– Mogę wrócić sama – odrzekła. – A Pee Wee? Nic mu się nie stanie?

– Nigdzie się nie wybiera. Rano odprowadzę go do jego samochodu.

– Jak to się stało, że zaprzyjaźniłeś się z Jankesem?

– Ożenił się z moją siostrą.

Abby miał siostrę? Ta noc była pełna niespodzianek.

– Chodź, zajrzymy do tej chorej świni.

– Nie ma potrzeby. – Stella starała się mówić spokojnie. Na chwilę zapomniała o zwierzaku. – Motty ją zastrzeliła.

– Co? Dlaczego to zrobiła? – Oszołomiło go to bardziej, niż się spodziewała.

Odpowiedziała, że nie jest pewna, ale maciora wyglądała na chorą, chodziła w kółko. Abby zamilkł i przyśpieszył kroku.

Brama zagrody dla świń była otwarta. Traktor stał kilka metrów za drzwiami stodoły, a do jego haka przywiązano sznur połączony z drewnianą paletą, która teraz leżała tuż za progiem. Motty pochylała się nad paletą i piłowała ciało świni.

Zobaczyła ich i wyprostowała się, w jednej dłoni wciąż ściskając piłę. Krew zbryzgała jej sukienkę. Twarz miała obwisłą ze zmęczenia.

Abby popatrzył na Stellę, jakby zastanawiał się, co może powiedzieć w jej obecności.

– Sama ją przenosisz? Mogłem ci pomóc.

– Nie potrzebuję pomocy. – Zdjęła okulary i próbowała znaleźć kawałek czystego materiału na sukience.

– Mam wezwać rzeźnika?

Motty gwałtownie podniosła głowę.

– Nie.

– Mógłbym…

– Wracaj do domu, Abby. A ty… – Zwróciła uwagę na Stellę. – Co ci powiedziałam?

Stella została odesłana do domu. Pomaszerowała do pokoju Motty, znalazła Biblię i ją przyniosła. Pomyślała, że powinna od razu się spakować i przeprowadzić do Abby’ego. Zmieniłaby nazwisko na Whitt, handlowałaby whiskey i zachowywała pieniądze dla siebie.

8

1948

W kotlinie są boczne drogi, które również mają swoje boczne drogi, naznaczone koleinami dróżki, na których ledwie mieści się samochód, podążające za dawnymi szlakami Czerokezów ku szczytom gór i wzdłuż przełęczy. Władze parku nie naniosły ich na mapy – nie da się sporządzić mapy czegoś, o czym się nie wie – ale Stella nauczyła się jeździć tymi drogami. Abby Whitt powiedział jej, że kiedy zobaczy urzędników wspinających się po zboczu, musi mieć gotową drogę ucieczki. Ale kiedy przyjechała po niego policja, nie uciekł.

Stella jechała powoli, zmagając się z koleinami, ostrożnie prowadząc forda po korzeniach i skałach. Gałęzie drzew zdrapywały lakier z drzwi.

Po pół godzinie wyjechała na niewielką polanę i zaciągnęła ręczny hamulec.

Abby kiedyś miał tutaj swoją destylarnię. Jedynym śladem po miejscu, w którym produkowano najlepszy bimber w historii, były śmieci: potłuczone słoiki, worki po mące kukurydzianej, szpula czarnego gumowego węża, pęknięta drewniana beczka. Bessie zabrano, kiedy Abby był w więzieniu. Miedź jest zbyt cenna, by mogła się zmarnować.

Stella pamiętała, że kiedyś to było historyczne miejsce.

Pozostało jej dziesięć minut marszu. Do chatki Abby’ego mogła dotrzeć znacznie szybciej z domu Motty, ale nie chciała spotkać Veroniki ani Ruth.

Pokonała około stu metrów ścieżki prowadzącej między drzewami, gdy usłyszała szelest czegoś dużego w zaroślach. Zamarła. Niedźwiedzie brunatne zazwyczaj nie niepokoją ludzi, ale nie chciała przypadkiem jakiegoś spotkać.

Po chwili ciszy znów ruszyła, bacznie się rozglądając. Dziesięć metrów dalej zobaczyła łanię leżącą na boku. Zwierzę się nie poruszało, nie licząc tylnej nogi, która drgała i drapała kopytem powietrze.

Nie słyszała żadnego wystrzału – może łania leżała tu już od dłuższego czasu? Myśliwy powinien jej szukać, chyba że ktoś go spłoszył – polowanie w parku narodowym było przestępstwem. A może zwierzę było chore.

Nagle ciałem łani targnął skurcz i spróbowała się poderwać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Przewróciła się na bok i znieruchomiała.

Patrzyła na Stellę olbrzymim czarnym okiem. Wciąż żyła.

– Niech to szlag.

Stella nie miała broni. Nie czuła się z nią pewnie.

Cofnęła się wzdłuż szlaku, uważnie patrząc na ziemię. W końcu znalazła spory kamień. Przyniosła go do łani, mając nadzieję, że zwierzę w tym czasie zdążyło zdechnąć.

Nie miała szczęścia.

* * *

Abby siedział na pieńku na swoim podwórku i mył kości w metalowej wannie, którą trzymał między nogami. Układał je na szmatce rozłożonej na trawie – kilka długich oraz sporo małych. Stella usiłowała w myślach odtworzyć zwierzę, do którego należały.

– Szop pracz? – spytała.

– Opos.

Uniosła brwi.

– To szlachetna istota – wyjaśnił Abby. – Pomyślałem, że przedstawię go zwisającego z gałęzi za ogon.

– Bardzo artystycznie.

– Pewien gość podsunął mi ten pomysł. Postanowiłem, że wreszcie się tym zajmę.

Wydawało się, że ucieszył go jej widok. W ciągu ostatnich dziesięciu lat nieco uprzątnął swoje podwórze, ale między budynkami wciąż leżało mnóstwo śmieci. Nie dało się tak po prostu usunąć skutków trzydziestu lat niechlujstwa. Pieniek, na którym siedział Abby, zawsze był jego tronem. Stella pamiętała, jak siedziała tutaj pewnej nocy ze złamanym sercem, a wtedy tuż przed nią spadł pojedynczy płatek śniegu. Potem kolejny i jeszcze jeden. Wyciągnęła rękę i je złapała.

Uff. Już dawno nie wspominała tamtej nocy.

Chwyciła wiaderko po farbie i usiadła naprzeciwko Abby’ego.

– Widzisz? – odezwała się. – Już mamy patio. Właśnie zwiększyłam wartość twojej nieruchomości.

– Raczej nieruchomości Motty.

– Cholera, racja. – Chatka nigdy do niego nie należała. Stała na ziemi Birchów, a teraz była własnością parku. Wkrótce zostanie zburzona, podobnie jak reszta budynków Motty.

Poczęstowała go papierosem, wiedząc, że odmówi, po czym sama zapaliła. Drzwi chatki były uchylone, ale nigdzie nie było widać dziewczynki.

– Tam leży martwa łania – poinformowała. – Dygotała i nie mogła wstać. Musiałam ją dobić.

Przez chwilę nad czymś się zastanawiał, pracując drucianą szczotką. W powietrzu unosiła się woń wybielacza.

– Domyślasz się, co mogło się z nią stać? – spytał.

– Nie widziałam żadnej rany, więc pewnie to jakaś choroba albo pasożyty. Może muchy śrubowe? Nie jadłabym jej mięsa, ale może się nadać na trofeum.

Pokiwał głową. Wiedział, że nie przyszła tutaj bez powodu, ale cierpliwie czekał.

– Wszystko w porządku? Wczoraj się nie oszczędzałaś.

– Dzisiaj to czuję.

Zostawiwszy Hendricka w kaplicy, otworzyła świeży słoik i prawie go opróżniła. Nie pamiętała, aby żegnała się z Abbym – nawet nie była pewna, kiedy wyszedł. Psiakrew, nie pamiętała nawet, jak wsiadła do auta. Lubiła wypić, nie dało się temu zaprzeczyć, ale zazwyczaj nie traciła wątku.

– Dokąd zamieszasz się wybrać? – spytała. – Potem.

– Jeszcze nie zdecydowałem.

– Aha.

– Nie martw się, mam kilka możliwości.

Samolubnie byłoby prosić, aby zajął się Sunny. Zrobił dla niej już wystarczająco dużo. Kiedy znaleziono ciało Lincolna Rayburna, powiedział policji, że to od niego, a nie od Stelli Lunk zdobył bimber. Siedmioletnia odsiadka była surową karą, biorąc pod uwagę, że większość bimbrowników dostawała grzywnę albo wyroki w zawieszeniu. Ale Lincoln był uwielbiany, a jego ojca bardzo szanowano, więc ktoś musiał zapłacić. Abby w tej chwili żył na granicy ubóstwa i nie miał sprzętu, by destylować whiskey, nawet gdyby miał ochotę to robić. Wypychanie martwych zwierząt nie mogło być zbyt dochodowym zajęciem.

Podniósł drewnianą tackę, na której leżał kręgosłup oposa, i zaczekał, aż ścieknie z niej woda. Delikatnie zsunął kości na szmatkę. Były śliczne i przypominały węża. Kiedy Stella była mała, nie wiedziała, w jaki sposób wypychacze zwierząt pracują ze szkieletami. To była skomplikowana układanka z kości i drutów, ale Abby miał głowę do anatomii i podchodził do preparowania zwierząt z równą skrupulatnością jak do pędzenia bimbru.

– Powinieneś to robić w rękawiczkach – zauważyła. Dłonie miał różowe i podrażnione przez wybielacz.

Pokiwał głową. Wciąż czekał, aż Stella zrobi to, po co do niego przyszła.

– Opowiedz mi o dziewczynce i Hendricku – poprosiła. – Ona go lubi?

Obejrzał się na drzwi chatki.

– Wiesz, jaki on jest.

Charyzmatyczny, pomyślała. Uroczy w sposób, którego mała dziewczynka nie jest w stanie przejrzeć. Ale nie o to w tym wszystkim chodzi.

– Kocha ją?

Abby zanurzył rękę w wodzie i wyłowił garść malutkich kości.

– Abby?

– Trochę zwariował na jej punkcie.

Stella westchnęła.

– Mogę porozmawiać z Sunny? – spytała, a kiedy wstał, dodała: – Na osobności.

– W takim razie pójdę zobaczyć tę łanię.

* * *

Sunny siedziała na kominku z rękami zaplecionymi wokół kolan i wpatrywała się w Stellę jak jastrząb. Całe jej ciało było kanciaste: obnażone chude ręce i piszczele, wąska twarz, długie palce u dłoni i stóp. Silnie zarysowany nos typowy dla Birchów. Czubki uszu sterczały spod długich czarnych włosów.

Stella nagle przypomniała sobie, jak trzymała Sunny na rękach, gdy ta miała zaledwie kilka godzin. Pamiętała ciepło jej ciała. Dziesięć lat minęło jak mgnienie oka, ale teraz niespodziewanie cofnęła się w czasie.

Dziewczynka się nie odzywała. Obserwowała ją.

Stella usiłowała nie gapić się na jej obnażoną skórę. Sunna była bardziej szkarłatna niż biała, a znaczące ją czerwone plamy były nienaturalnie jaskrawe – nikt nie mógłby jej uznać za Czerokezkę. Znamiona na ciele Stelli przypominały różową wysypkę, tymczasem rubinowe plamy wijące się po nogach, rękach i twarzy Sunny były niemal całkowicie gładkie, jak malowane szkło.

– Wiesz, kim jestem? – spytała w końcu.

– Apostatką Stellą Wallace. – Dziewczynka mówiła z wyraźnym akcentem, jak wujek Dan. – Abby powiedział, że muszę z tobą porozmawiać.

– Owszem, musisz.

– Nie rozumiem dlaczego.

– Jestem najstarszą kobietą w rodzie Birchów – odrzekła Stella. – To oznacza, że mogę decydować o tym, co się z tobą stanie.

Stella rozejrzała się za krzesłem i usiadła obok dziewczynki. Zaniepokoiło ją to, jak pusta wydawała się chatka. Co prawda była w niej kanapa – brawo, Abby – ale większość trofeów zniknęła. Na ścianie pozostały tylko pojedyncze łby niedźwiedzia i jelenia. Szop pracz już nie prosił w kącie. Czy Abby je sprzedał,

czy może ktoś go obrabował, gdy był w więzieniu? Miała nadzieję, że kilka okazów pozostało w pokoju na tyłach. Prowadzące do niego drzwi jak zwykle były zamknięte.

– Ale tak naprawdę chcę spytać, co ty chciałabyś dalej robić – ciągnęła Stella.

Dziewczynka przekrzywiła głowę i popatrzyła na nią sceptycznie. Czerwona plama na jej policzku poruszyła się jak wino w kieliszku.

– Kiedy byłam mała, nikt nie pytał mnie, czego chcę – dodała Stella. – Uważali, że jestem za głupia, żeby samej decydować.

– Może byłaś – odparła Sunny.

Stella się roześmiała, a ból przeszył jej skacowaną głowę.

– Możliwe.

– Skoro pytasz, to zamierzam zostać z wujkiem Hendrickiem – oznajmiła Sunny.

A więc wiedziała, po co Stella przyjechała.

– Abby powiedział, że Motty chciała, abym przyjęła cię do siebie.

– No i?

– No i muszę się przekonać, czy jesteś mądrzejsza niż ja w twoim wieku. Muszę się dowiedzieć, co ci powiedzieli Motty i Hendrick.

– On powiedział, że przygotuje dla mnie duży dom i nie będę musiała chodzić do szkoły.

– Rozumiem, że to brzmi kusząco – zauważyła Stella, a dziewczynka się skrzywiła. – Sama nie przepadałam za szkołą. Za dużo dzieci. A one nie są miłe dla ludzi, którzy wyglądają inaczej.

– Więc masz takie same plamy jak ja – odrzekła Sunny. – To nic nie znaczy.

– One są dziedziczne – wyjaśniła Stella. Nie dodała: „A twoja skóra wygląda jeszcze dziwaczniej niż moja”. – Ludzie w tych okolicach traktują je jak znamię Kaina, ale w Georgii nie byłoby ci tak trudno.

– Nie obchodzi mnie, co ludzie myślą.

– To bardzo dobrze – odrzekła Stella, chociaż wcale w to nie wierzyła. – Co jeszcze powiedział ci Hendrick?

– O czym?

– Może zacznij od tego naszyjnika.

Sunny popatrzyła na siebie. Na jej szyi na tanim metalowym łańcuszku wisiał cienki złoty pierścionek z okruchem brylantu. Dziewczynka zacisnęła na nim dłoń.

– Jest mój – odparła. – Motty mi go dała.

– A skąd ona go wzięła?

– Skąd mam wiedzieć, do diabła?

A więc już przeklina. Motty i Abby mieli na nią doskonały wpływ.

– No cóż, ciocia Ruth o nim słyszała. Jeśli chcesz go zachować, lepiej trzymaj go w ukryciu.

Sunny schowała pierścionek pod sukienkę. Jedno pytanie doczekało się odpowiedzi, ale wciąż pozostawało tajemnicą, skąd Motty wzięła pieniądze na pierścionek z brylantem, nawet malutkim. Może staruszka ukrywała go przed Stellą, gdy ta tutaj mieszkała, ale to wydawało się mało prawdopodobne. Dom był zbyt mały, a Stella zbyt ciekawska. A zatem Motty musiała zdobyć pierścionek w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

– Moja kolej – odezwała się Sunny.

– Nie będziesz mi zadawać pytań.

– Dlaczego uciekłaś?

– Nie twoja sprawa. Pokaż dłonie.

Sunny skrzyżowała ręce na piersi.

– Weszłaś do jaskini? – spytała Stella.

– Nie, ale ty owszem. Sama pokaż dłonie.

Stella się zawahała. Nikomu nie pokazywała rąk.

– Grajmy uczciwie – zachęciła ją Sunny.

Stella wyciągnęła prawą rękę i rozwarła zaciśniętą pięść.

Sunny się nachyliła. Zmrużyła oczy. Jej twarz była niemal całkowicie czerwona, nie licząc bladego zawijasa biegnącego od lewego oka do podbródka.

Przycisnęła palec do dłoni Stelli. Powiodła nim wzdłuż blizn.

– Boli? – spytała.

– Już nie. Teraz ty. – Dziewczynka zmarszczyła czoło. – Muszę wiedzieć, Sunny. Nie będziesz mogła uciec do Georgii, dopóki nie zobaczę.

Sunny gwałtownie wyciągnęła rękę. Stella rozwarła jej palce. Skóra dziewczynki była ciepła i ciemna jak wino, oprócz bladego wybrzuszenia na środku dłoni, które wyglądało, jakby pod skórą kryło się malutkie jajko. Stella przesunęła po nim palcem. Skóra była gładka i nienaruszona.

– Teraz drugą.

Dziewczynka westchnęła, ale posłuchała. Na dłoniach nie było blizn. Ani jednej. Duchojciec jej nie dotknął. Motty czekała, aż Sunny osiągnie wiek odpowiedzialności. Mała była niewinna.

– Wyglądasz, jakbyś miała się rozpłakać – odezwała się Sunny.

– Nic mi nie jest. Po prostu myślałam… – Powstrzymała się, zanim zdążyła powiedzieć: „Myślałam, że zrobiłaś coś strasznego”.

– Tęsknisz za tym, prawda?

Stella wciągnęła powietrze. Powstrzymała łzy, przyciskając grzbiet dłoni do oczu.

– Za czym?

Sunny się nachyliła.

– Jakie to było uczucie? Kiedy go dotknęłaś.

– To było…

Jak stanie w słońcu i zarazem bycie słońcem, pomyślała Stella.

– Przyznaję, że było całkiem przyjemnie – dokończyła. – Na początku.

– Całkiem przyjemnie? – odrzekła Sunny. – Czytałam księgi, Stello Wallace. Czytałam twoją księgę.

– Czytałaś…?

Dziewczynka wyglądała na zadowoloną z siebie.

– Myślałam, że to wbrew zasadom – zdziwiła się Stella. – Nie powinien był ci ich dać… Przecież wciąż tu jestem. Nie pozwolili mi przeczytać *Księgi Mathildy.*

– Ale cię tu nie było – zauważyła Sunny.

– Motty nigdy by na to nie pozwoliła.

– Motty nie musiała wiedzieć o każdym drobiazgu.

– Hendrick dał ci książki, nie mówiąc o tym Motty?

Sunny była wyraźnie zachwycona szokiem, jaki wywołała u Stelli.

– Uznał, że powinnam wiedzieć, co zrobiłaś. Są tam wszystkie twoje rozmowy z Bogiem.

– To nie są rozmowy, tylko… – Stella pokręciła głową. – Nie powinnaś tego czytać. No i powinnaś wiedzieć, że to nie jest moja księga. To coś, co Hendrick napisał o mnie. Musisz znać różnicę.

– Przecież to nie są kłamstwa! Kochałaś Boga, o tym jest ta księga. A on kochał ciebie. Wiem, że to czułaś.

– To nie jest miłość. Tylko tak mi się wydawało.

Sunny jej nie wierzyła.

– Ta istota nie kryje się ze swoimi pragnieniami – ciągnęła Stella. – Bierze to, czego pożąda. Nie bez powodu czekamy, aż osiągniemy odpowiedni wiek. Nie bez powodu nie wchodzimy tam same. Musisz być wystarczająco silna, żeby pozostać sobą, i wchodzić tam stopniowo, w przeciwnym razie Duchojciec po prostu… Nieważne.

– Powiedz – zachęciła ją Sunny z entuzjazmem w głosie. – Nie dowiem się, jeśli mi nie powiesz.

Masz rację, pomyślała Stella. Nigdy ci nie powiem. Nakarmili cię już zbyt wieloma opowieściami o chwale Boga w Górze.

– Wystarczy, abyś wiedziała, że nie dba o ludzi takich jak ty czy ja. Nie w taki sposób, w jaki człowiek troszczy się o człowieka.

– To nieprawda! Wujek Hendrick powiedział, że…

– Wujek Hendrick nie ma pojęcia, o czym mówi. Stara się sprzedać swoją wielką historię i cię podpuszcza. Ta istota cię skrzywdzi. Skrzywdziła mnie, a przede mną Lenę. – Upewniła się, że dziewczynka patrzy jej w oczy. – Skrzywdziła także Motty.

Dziewczynka pokręciła głową.

– Nie. Wujek Hendrick mi powiedział… Ona umarła na zawał.

Stella zaczerpnęła powietrza. Nie mogła powiedzieć małej, co się stało, jeszcze nie. Ta od razu pobiegłaby do Hendricka, a Stella miała jeszcze dużo do zrobienia, zanim sprawy się posypią. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, Sunny nie będzie musiała przechodzić przez to, co ona. Wychowa się w normalnym świecie, a przynajmniej będzie miała na to większą szansę niż Stella.

– Tak podejrzewają – przyznała. – Później o tym porozmawiamy.

– Teraz już mogę pojechać do Georgii? – spytała Sunny.

– Naprawdę chcesz mieszkać na jakimś ranczu?

Dziewczynka się rozpromieniła. Od początku wiedziała, że wygra. Potem dodała:

– Oczywiście wolałabym zostać w kotlinie, jeśli…

– Nie możesz.

– Wiem. Park park park. Nie jestem głupia.

Nie była. Właśnie dlatego Stella miała nadzieję, że przejrzy kłamstwa Hendricka… jeśli nie teraz, to kiedyś.

Stella wstała.

– Na razie możesz tutaj zostać z Abbym.

Przy drzwiach zatrzymało ją rozdzierające uczucie. Wbiła wzrok w podłogę obok stóp Sunny.

– Nie powinnam była opuszczać kotliny. Nie powinnam była zostawiać cię z Motty. Nie musiałabyś dowiadywać się o mnie z książki.

Popatrzyła jej w oczy. Sunny się nie poruszyła. Obejmowała się rękami i mocno zaciskała rozpalone szczęki. Stella pamiętała, jak ją samą trawiła podobna złość.

– Jeśli mamy to zrobić, będę musiała cię odwiedzać – dodała Stella. – Regularnie sprawdzać, co u ciebie. Rozumiesz?

– Jasne, jasne.

– Porozmawiam z Hendrickiem po pogrzebie.

Sunny zamrugała, powstrzymując emocje. Abby miał rację. Niezależnie od tego, kim była Sunny, przede wszystkim wciąż była dzieckiem.

Abby’ego nie było na podwórzu. Stella wróciła do auta, dziękując losowi, że nie wpadli na siebie po drodze.

Łania zniknęła.

9

1936

Pewnego sobotniego poranka na początku maja, kilka tygodni po tym, jak Motty zabiła maciorę, staruszka oznajmiła, że nazajutrz przypada Dzień Pamięci, więc powinni zabrać się za przygotowania. Stella nie wiedziała, o co jej chodzi, i nie miała ochoty na nowe obowiązki. Musiała czytać książkę.

Motty zaprowadziła ją do lasu za chatą Abby'ego, na wzgórze porośnięte dzikimi kwiatami. Zaczęła wskazywać te, które dziewczynka miała zbierać do koszyka: fioletowe irysy, bladożółte sangwinarie, trzy różne odmiany trójlistu o białych listkach i kielichach różnobarwnych jak słodycze z ukrytymi w środku pręcikami. Posłała Stellę między zarośla na poszukiwanie różowego ognia (który tak naprawdę nie był różowy, ale rzeczywiście ognisty), psizębu o obwisłych żółtych kielichach, fiołków, azalii i niebieskich floksów. Motty dogadywała jej, gdy zrywała niewłaściwe, stare albo zniszczone kwiaty i odsyłała ją po świeże sztuki.

– Co z nimi zrobimy? – spytała Stella.

– Są dla zmarłych.

– Dlaczego zmarli są tacy wybredni?

– Okaż trochę szacunku. Raz w roku możesz przestać myśleć tylko o sobie.

Stella zastanawiała się, dlaczego w takim razie nie robiły tego przez ostatnie trzy lata, które tutaj spędziła.

Po lunchu pokonały pieszo niemal sześć kilometrów. Stella niosła koszyk, a Motty układała bukiety i związywała je sznurkiem. Dotarły do Pierwotnego Kościoła Baptystycznego, surowego białego budynku szkieletowego, który wznosił się samotnie na nierównej polanie; opierał się na stertach szarych kamieni, by utrzymać równowagę. Na zewnątrz trawę skubał koń wciąż zaprzężony do powozu. To była klacz Rayburnów, Panna Jane. Front kościoła miał postać gładkiej ściany bez okien i tylko z jednymi wąskimi drzwiami, które były uchylone. Jakaś postać poruszała się w środku.

Motty nie weszła do budynku, tylko skierowała się na cmentarz za kościołem. Był pusty, a przynajmniej nie było na nim żywych.

– To twoi krewni – powiedziała Stella.

Po chwili zobaczyła nagrobek Russella Bircha, 1795–1878, OBROŃCY KOTLINY. Żałowała, że nie wspomniano na nim o partyzantach. Clara leżała obok męża, ale na jej nagrobku nikt nie napisał, że była pierwszą osobą, która spotkała Boga w Górze.

Motty wybrała odpowiedni bukiet dla każdego zmarłego i kazała Stelli przymocować je do ziemi za pomocą gwoździków oraz sznurka.

– Chociaż to i tak nic nie da – stwierdziła. – Ludzie kradną te najładniejsze i kładą je na grobach swoich bliskich.

Wyglądało na to, że były spokrewnione ze wszystkimi pochowanymi w tym rzędzie. Stella dotarła aż do końca, cały czas wysłuchując narzekania babci. Przy następnym nagrobku Motty wręczyła jej największy bukiet. Stella popatrzyła na grób i zobaczyła imię swojej matki: Selena Birch Wallace. Na kamieniu widniała data 5 sierpnia 1926: zaledwie dwa lata po narodzinach Stelli.

– Tata powiedział mi, że zachorowała, kiedy byłam jeszcze mała. To dlatego tutaj wróciła, abyś mogła się nią zaopiekować.

Motty wpatrywała się w nagrobek.

– Długo chorowała? – spytała Stella.

– Tata powiedział ci, na co zmarła?

– Na gruźlicę. – Sprawdziła, co to znaczy.

– No cóż, to przewlekła choroba.

Może ja też mam gruźlicę, pomyślała Stella. Czy dlatego tata ją tutaj zostawił? Ile musi minąć czasu, zanim dowiesz się, że jesteś… przewlekle chory?

– Będę mogła zostać pochowana obok niej? – spytała.

– Nie. To moje miejsce. – Miała na myśli puste miejsce obok Leny.

– Ale ja chcę leżeć obok mamy!

– Za mało miejsca. Ale może pochowają cię bokiem i jakoś zmieścisz się przy naszych nogach.

Stella odeszła, a Motty jej nie zawołała. Może była nią zmęczona, tak samo jak Stella babcią.

Dziewczynka obejrzała kilka nagrobków, na których widniały znajome nazwiska. Potem przeszła na drugą stronę kościoła, gdzie znalazła Lunka, który wykopywał motyką chwasty rosnące pod budynkiem.

– Widziałem cię – oznajmił.

– Ale nie podszedłeś?

Pokręcił głową.

– Bałem się. Nigdy nie spotkałem tak surowej kobiety jak twoja babcia.

– Powinieneś z nią zamieszkać.

– Ha! Dziękuję, ale nie.

– Tata każe ci pracować przy kościele?

– Mówi, że to lepsze od lania.

– A więc byłeś niegrzeczny? Co zbroiłeś?

Poczerwieniał jak porzeczka.

– No dalej, możesz mi powiedzieć – zachęciła.

– Martw się o swoją duszę. Już przeczytałaś całą Biblię?

– Spory kawałek. – Przeczytała Księgę Rodzaju, Wyjścia i Kapłańską, a ostatnio utknęła w Księdze Powtórzonego Prawa. – Podobał mi się „przebiegły” wąż w ogrodzie.

– Nie dziwię się. – Lunk pokręcił głową z uśmiechem. – Tata się o ciebie martwi. Ale mówi, że to nie twoja wina, po prostu trafiłaś w ręce… Nieważne.

– No dalej. Powiedz.

– Poganki.

– Motty nie jest poganką. – A może jednak?

– Uważa, że ona sprowadzi cię na złą drogę.

– A skąd twój tata wie, która droga jest właściwa? Myślałam, że tylko Bóg wie, czy jestem jedną z Wybranych.

– Bóg do niego przemawia.

Stella wydęła usta.

– To prawda!

– Mówi mu o mnie?

– O różnych rzeczach. Cały czas.

– A do ciebie? – spytała. – Ty też Go słyszysz?

– Jasne. No, czasami. – Przez chwilę milczał. – Owszem, ale… – Zrobił zaciętą minę.

Stella czekała.

– Nie przemawia do mnie tak jak do taty. Nie tak… wyraźnie.

– Co chciałbyś od Niego usłyszeć?

– Czy jestem dobry, czy zły.

Nie potrafiła ukryć zaskoczenia. Lunk nagle się zawstydził.

– Nie powinienem był tego mówić.

– Ależ nie, ja też stale o tym myślę.

– Naprawdę?

„Dobry” i „zły” nie były właściwymi określeniami. Bardziej pasowały „uszkodzona” i „nieuszkodzona”. Była w niej jakaś skaza. Matka wcześnie ją dostrzegła, a potem zauważył to także ojciec. Coś niemal niewidzialnego, jak malutki przeciek w miedzianym czajniku. Niestety, sama wciąż nie wiedziała, co to za skaza. Ale zdawała sobie sprawę z jej istnienia i z tego, że w pewnym momencie da o sobie znać, a wtedy wszyscy zobaczą, jaka jest naprawdę.

– Jeśli Bóg nie odpowiedział, być może powinieneś złożyć ofiarę – poradziła. – Żeby zwrócić Jego uwagę.

Motty wyłoniła się zza rogu, rozgniewana.

– Nie zostawiaj mnie tak. – Chwyciła Stellę za łokieć.

Kiedy wyszły na drogę, dziewczynka się obejrzała. Lunk stał przed kościołem i ją obserwował. Ty głupku, pomyślała.

* * *

Kilka tygodni później, gdy już umościli się w ciepłym czerwcu, wujek Hendrick wrócił do Motty z dwiema walizkami. Jedną z nich była ta sama zielona walizka, w której przyniósł *Księgę Clary.* Stella pomyślała: Więcej książek!

Tym razem nie towarzyszyli mu ani inni mężczyźni, ani Ruth, ani Veronica. Kiedy był sam, sprawiał wrażenie grzeczniejszego i jakby bardziej nieśmiałego. Spytał ją, jak się miewa.

Z dumą pokazała mu dłonie.

– Widzisz? Wszystko się zagoiło.

Motty stęknęła.

– A co myślisz o tym… co się stało? Wtedy w jaskini? Pamiętasz, co on do ciebie powiedział?

– Większość tak.

Hendrick był zaskoczony. Popatrzył na Motty, a ona powiedziała:

– Mów prawdę.

Przypomniała sobie komunię. Nigdy nie zapomni bolesnego dotyku dłoni Boga, długich minut kontaktu, jego myśli, które przenikały ją i unosiły niczym kawałek drewna porwany przez bystrą rzekę. Pamiętała przenikliwy ból, gdy Motty odciągnęła jej rękę od Boga. Zaraz po tym zemdlała i dopiero teraz uświadomiła sobie, że Motty musiała wynieść ją z jaskini po schodach. Stella ocknęła się w łóżku, obolała po utraconej więzi, a poszarpane myśli Boga wciąż odbijały się echem w jej głowie.

Umykała jej jednak natura tych myśli. Były dla niej tak obce i miały tak dziwaczny kształt, że nie potrafiła ich uchwycić. Hednrick usiadł przy jej łóżku, a ona opowiadała, jak najszybciej potrafiła, podczas gdy on pisał w swoim notatniku, ale miała wrażenie, że każde słowo, które wypowiadała, rozrywało myśli Duchojca. Jak ludzki język może oddać to, co przekazał Bóg?

Mimo wszystko uczucie kryjące się za tymi myślami trwało, jak ból chorego zęba, stale umyślnie drażnionego. W czasie kolejnych tygodni czasami wpatrywała się w swoje dłonie i myślała: To nie jest moje ciało. Albo budziła się

w środku nocy z szeroko rozłożonymi rękami i uzmysławiała sobie, że jest ogromna, jak góra wznosząca się ponad równiną, by za chwilę zmniejszyć się do rozmiarów mrówki, która patrzy na niemożliwie daleki mroczny sufit. Mała, wielka, mała, wielka.

– Nic mi nie jest – powiedziała. – Jestem gotowa na następną komunię.

– Wcale nie – wtrąciła się Motty.

– Ależ jestem!

Stella wiele razy pytała babcię, kiedy będzie mogła wrócić, a ta zawsze odpowiadała: „Kiedy będziesz gotowa”. Ale nigdy nie tłumaczyła, jak Stella ma się przygotować ani jak długo to zajmie, co doprowadzało dziewczynkę do furii.

– To Motty decyduje – odezwał się Hendrick cicho. – Jest najstarszą kobietą w rodzie Birchów.

Motty zawsze była najstarsza, pomyślała Stella. Miała o dwadzieścia lat więcej od Hendricka i mogłaby być jego matką.

– Otóż to – potwierdziła babcia. – Nie pozwolę znów się poganiać.

– Nikt nie jest temu winien, Motty.

– Wiem, kto jest winien. A ty masz w tym swój udział.

Dorośli o niej zapomnieli. Nie wiedziała, o czym rozmawiają – o jakichś dawnych urazach. Stella miała wiele pytań, ale nie była na tyle odważna, by stanąć między nimi. Zginęłaby w krzyżowym ogniu wyrzutów.

* * *

Okazało się, że nie ma szans, by tego dnia poszła do jaskini – Hendrick pojawił się z innego powodu. Motty ostentacyjnie otworzyła dla niego drzwi kaplicy i schowała klucz pod biustonosz. Jej zamek, jej klucz. Stella nie wiedziała, gdzie trzymała klucz, gdy nie miała go przy sobie.

Hendrick wkroczył do środka z zieloną walizką pod pachą.

– Co on robi? – spytała Stella. Ogarnęła ją zazdrość. Czyżby Hendrick chciał spotkać się z Bogiem w Górze bez niej?

– Nie twoja sprawa. Zostaw go w spokoju.

Nie miała takiego zamiaru. Kiedy godzinę później Motty zajęła się czymś w kuchni, Stella zakradła się do kaplicy. Hendrick podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się.

– Nie powinnaś tutaj być.

Schody prowadzące do jaskini zakryto drzwiami, które były jak kaganiec na pysku groźnego psa.

Hendrick siedział na krześle z tabliczką do pisania na kolanach. Oprawiony w skórę otwarty notatnik leżał na wierzchu beczki, która służyła za

prowizoryczne stanowisko do czytania.

– Sporządzasz kopię? – spytała.

– Nie, nie. Piszę komentarze.

Nie chciała przyznać, że nie wie, co to znaczy.

– To moja książka?

Pokiwał głową.

– Owszem.

– Mogę ją przeczytać? – Podeszła bliżej.

– Przykro mi. – Zakrył stronę dłonią. – Nie mogę ci pokazać swoich komentarzy, musisz pozostać bezstronna. – Dostrzegł zaskoczenie na jej twarzy. – Gdybym powiedział ci, jak interpretuję twoją komunię z Bogiem, mogłabyś zechcieć dać nam to, czego oczekujemy.

– Nie skłamałabym na temat tego, co powiedział Bóg.

– Nie miałabyś takiego zamiaru, ale taka wiedza mogłaby, hmm, podkolorować twoją relację. Widzisz, komunikat, którego oczekujemy od Objawicielki, ma być szczery i nieskażony. Czysty jak górski strumień, przejrzysty i płynący prosto ze źródła. Moje zadanie polega na objaśnieniu i rozwinięciu tego, co zostało powiedziane, aby inni także to zrozumieli.

– Umieścisz te księgi w bibliotece?

– Pewnego dnia znajdą się w każdej bibliotece na świecie. Kiedy Bóg objawi swoją obecność, świat zmieni się na zawsze, a każdy człowiek na Ziemi pozna twoje imię… oraz imiona wcześniejszych Objawicielek. Ale na razie… – Uśmiechnął się pobłażliwie. – Ten przekaz jest przeznaczony tylko dla rodziny. Tylko dla nas.

– Ale nie dla mnie. – Stella czuła się urażona. Przecież należała do rodziny. Kto bardziej niż ona zasługiwał na przeczytanie księgi? – Mógłbyś przynajmniej pokazać mi księgę Motty. Albo Leny.

Skrzywił się.

– Zapoznałem cię z zasadami. Nie wolno czytać słów żadnej z żyjących Objawicielek. Ale nie martw się, pewnego dnia, gdy już zrzucisz z ramion to brzemię, a Motty… no cóż, wtedy przeczytasz je wszystkie. Będziesz nawet mogła przyjechać do Georgii i przeczytać oryginalne rękopisy. Trzymam je w bezpiecznym miejscu, ale lubię przyjeżdżać tutaj, żeby pisać pierwszą wersję komentarzy. Czuję, jak zmienia się moja praca, i wierzę, że przyszłe pokolenia również to dostrzegą. – Uśmiechnął się. – Ty obcujesz z Bogiem, a ja obcuję z tekstem.

– Nie rozumiem… dlaczego ludzie nie mogą po prostu przeczytać tego, co powiedziałam… co powiedział Bóg? Przecież widzimy, że Bóg potrafi przemawiać we własnym imieniu.

– Chciałbym, aby tak było. To bardzo skomplikowane, Stello.

– A więc mi pokaż.

Roześmiał się.

– Uparta z ciebie osóbka.

– Tylko jedną linijkę. Proszę.

Zrobił poważną minę, pod którą skrywał się uśmiech.

– Nie możesz o tym powiedzieć Motty.

– Obiecuję.

To jeszcze bardziej go uradowało.

– No dobrze, zobaczmy. – Przewrócił kilka stron. – Tutaj jest ciekawy fragment. – Odchrząknął. – Biały ogień, porusza się, porusza, chłód pod skórą, jak światło pod szkłem w ciemności. – Przemawiał śpiewnym głosem. – On nie może… ja nie mogę. Dręczy nas głód, gdy nie mówimy i jesteśmy sami.

Ja to powiedziałam?, pomyślała.

Hendrick wziął głęboki oddech, jakby rozkoszował się tymi słowami.

– No dobrze, jak sądzisz, co to znaczy?

Miała wrażenie, że poddaje ją egzaminowi. Bardzo chciała go zdać.

– Kiedy powiedziałam te słowa o białym ogniu, na pewno…

Zaczął kręcić głową, jeszcze zanim dokończyła zdanie.

– To Bóg mówi. Musisz to sobie uświadomić. On przemawia do nas, przez ciebie.

Zaczęła jeszcze raz, speszona.

– A więc Bóg mówi o gorączce, którą wywołał we mnie, kiedy z nim obcowałam. – Kiedy się obudziła, Motty przyciskała wilgotną szmatkę do jej czoła.

Ponownie pokręcił głową, a ona się skrzywiła.

– Ogień jest metaforą. Oznacza tajemną wiedzę, którą on próbuje się podzielić… Wiedzę, która przemienia, może wpływać na wszystko, czego dotyka, ale jest tak gorąca, że można w niej wykuwać stal. Za jej pomocą możemy budować nowe rzeczy! Normalnie nie mamy narzędzi, by zrozumieć tę wiedzę, byłaby dla nas jak przyćmione światło, „światło pod szkłem”. To boża myśl, którą już znamy z pierwszego listu do Koryntian. My śmiertelnicy widzimy wszystko niejasno, jakby w zwierciadle, co oznacza, że nie dysponujemy pełnym poznaniem. Czytałaś Nowy Testament?

– Mam Biblię. Starszy Rayburn mi ją podarował.

– Oczywiście, że tak.

– Chce, żebym przyszła do kościoła.

– Motty o tym nie wspominała.

– Ona nie chce, żebym tam chodziła.

Sprawiał wrażenie zadowolonego z tej wiadomości.

– Nie ma niczego złego w wierze chrześcijańskiej. Sam jestem chrześcijaninem. Ale ona jest niekompletna. Jest… – Szerzej otworzył oczy. – Przypomina widzenie w zwierciadle. Tymczasem to, co my tworzymy, co Bóg nam daje, to trzeci testament i czwarty aspekt… Wiesz, co to jest aspekt? – Denerwowało ją, gdy nie znała jakiegoś słowa. Chciała odpowiedzieć „oczywiście”, ale Hendrick dostrzegł jej wahanie. – A słyszałaś o Trójcy Świętej? Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty.

– Tak! Starszy Rayburn mi o tym opowiadał.

– Nic dziwnego. Wierzy w to większość członków kościoła. Z naszego ludzkiego punktu widzenia osoby boskie sprawiają wrażenie odrębnych istot, ale tak naprawdę są trzema aspektami tego samego Boga. Trzema znanymi aspektami.

– Więc Bóg w Górze…

– Jest czwartym aspektem, który został ujawniony tylko nam. Nie jest antytezą Jehowy… to niemożliwe. Ale, podobnie jak Jezus, może przynieść nowe przesłanie, na które świat dotychczas nie był gotowy. Dodaje, rozjaśnia, a kiedy nadejdzie wielki dzień, gdy wyłoni się z wnętrza góry, cały świat go usłyszy. Rozumiesz?

Pokiwała głową, chcąc go zachęcić do dalszego mówienia.

– Na czym skończyłem? Jak w zwierciadle. Ta wzmianka o skórze… o ogniu, który porusza się pod lodowatą skórą… mówi nam, że Bóg może dzielić się tym, co wie, tylko za pośrednictwem ciała… czyli przez ludzką Objawicielkę.

Stella czuła się jak idiotka. Wujek Hendrick wydobył z tych słów o wiele więcej niż ona, mimo że sama je wypowiedziała.

– Co to znaczy, że dręczy go głód, gdy nie mówi? – spytała. – Czy chodzi o… – coś przyszło jej do głowy – …samotność?

– Tak! On pragnie się z nami komunikować, tak jak głodujący człowiek pragnie jedzenia.

Jego pochwała podniosła ją na duchu.

– Kiedy Bóg mówi, że nie może i że ja nie mogę, to znaczy, że ani Bóg, ani my śmiertelnicy nie przetrwamy, jeśli wiadomość nie zostanie przekazana – wyjaśnił Hendrick.

– O, do licha – westchnęła Stella. Żałowała, że nie może o tym powiedzieć Abby’emu.

Jakby czytając jej w myślach, Hendrick rzekł:

– Mam nadzieję, że rozumiesz, jaka jesteś ważna dla kościoła. Musisz ukrywać to światło w sobie i nikomu o nim nie wspominać.

– Rozumiem, ale… dlaczego po prostu nie powiemy ludziom? Gdyby wiedzieli, że on tam jest, że jest prawdziwy…

– Nie! To byłoby straszne! Stello, jeśli wpuścimy obcych do tej jaskini, a oni odkryją Boga, zanim ten będzie gotowy, zapanuje chaos. Rząd rzuci się na nas jak szarańcza. Słyszałaś o urzędnikach skarbowych, prawda? To byłoby tysiąckrotnie gorsze. Pewnie by cię zamknęli, żebyś nie mogła z nim rozmawiać.

– Och! To byłoby okropne! – Stelli znów zrobiło się głupio. Nie myślała o konsekwencjach. Ale w jej głowie pojawiały się też inne pytania, na przykład: Jak to możliwe, że Bóg nie jest gotowy? Dlaczego potrzebuje ludzi, by go bronili i ukrywali?

– Nie przejmuj się – rzekł Hendrick. – Ten czas wkrótce nadejdzie. Bóg się przygotowuje, a kiedy wyjdzie na światło słońca, świat dowie się o tobie i pozostałych Objawicielkach, o ofiarach, które poniosłyście… ty, Motty, Lena, zwłaszcza ona, aż do…

– Dlaczego zwłaszcza ona?

Skrzywił się.

– Porozmawiamy o tym innym razem. Powiem tylko, że twoja matka miała bardzo ciężko. Ale historia się o niej dowie, a być może nawet doceni moją skromną rolę w dostarczeniu światu trzeciego testamentu.

– Dobrze… a więc będziemy sławni. Właśnie w tym celu to robimy?

– Ależ, Stello, nie. Nie, nie, nie. Nie robimy tego dla chwały.

– Więc co otrzymujemy od Boga?

– Jego miłość, oczywiście. Oraz poczucie celu. Nie ma niczego bardziej satysfakcjonującego niż świadomość, że to, co robimy, pomoże światu.

– Chodzi mi o to, co On nam zapewnia. Ochroni nas przed naszymi wrogami, jak wtedy przed partyzantami w Karolinie? Albo jeśli rząd spróbuje nam odebrać gospodarstwo? Powstrzyma ich albo, sama nie wiem…

– Bóg nie działa w taki sposób – odrzekł Hendrick. – Kocha nas, chce naszego bezpieczeństwa, ale nie możemy oczekiwać, że na przykład będzie zabijał ludzi w naszym imieniu.

Stella poczuła się rozczarowana.

– Więc co dla nas robi?

– Złożył nam pewną obietnicę. Pochodzi ona z *Księgi Esther.* Bóg zagwarantował, że kiedy opuści wnętrze góry, by ukazać się światu, jego dzieci otrzymają nowe ciało. Nie w Niebie, ale tutaj na Ziemi. Nieskazitelne ciało, które się nie starzeje, nie choruje, nigdy nie umiera. Będzie nieśmiertelne jak kwiaty, które powracają z każdym nowym rokiem.

– Jedno ciało, wiecznie rozkwitające – powiedziała Stella.

– Właśnie!

Drzwi kaplicy otworzyły się z hukiem. To była Motty, wściekła jak osa. Stella zerknęła na Hendricka i zrozumiała, że nie stanie Motty na drodze. Dziewczynkę czekała surowa kara.

Mimo wszystko było warto. Hendrick ją wysłuchał. Porozmawiał z nią osobiście. Otworzył dla niej księgę, rozległą historię rodu Birchów oraz Boga w Górze, a ona do niej wkroczyła.

– Przepraszam – powiedziała do Hendricka z gracją i dumą królowej. – Czeka na mnie rózga.

* * *

Pewnego dnia na początku września Motty weszła do jej pokoju bez pukania, z surową miną.

– Nie denerwuj się, już nakarmiłam świnie – powiedziała Stella. W lecie pojawiły się nowe zwierzaki i babcia ogromnie się o nie troszczyła.

– Siadaj – poleciła Motty.

Stella zmarszczyła czoło. Popatrzyła na swoje łóżko, jakby to była pułapka. Nieśmiało na nim przysiadła.

– Nie jesteśmy tacy jak oni – odezwała się w końcu Motty. – Ty, ja. Wszystkie kobiety z rodu Birchów.

Stella czekała na dalszy ciąg. Motty wyraźnie była czymś zdenerwowana.

– Kroczymy trudniejszą ścieżką – ciągnęła staruszka. – Ci mężczyźni wiedzą tylko to, co usłyszeli. Wszystko otrzymują z drugiej ręki, zupełnie jakby to były plotki. Rozumiesz?

Stella nie rozumiała, ale pokiwała głową.

– Hendrick powiedział, że moja mama złożyła ofiarę. Co miał na myśli?

– Nie żyje, prawda?

– Tak, ale…?

– Nie przejmuj się nim. To ty jesteś odpowiedzialna za swoją duszę. Pamiętaj o tym.

Co za wariactwo, pomyślała Stella. A kto inny miałby być za nią odpowiedzialny?

Motty podeszła do drzwi.

– Rano przyjadą Hendrick i wujkowie.

Ciało Stelli przeszył dreszcz. Nareszcie! Minęło pół roku od ostatniej komunii.

– Dziś wieczorem lepiej weź kąpiel – poradziła Motty. Potem zatrzasnęła drzwi.

* * *

Stella czekała na trawniku przed domem, kiedy Hendrick i wujkowie wysiedli z samochodów. Przywitała każdego z nich po imieniu, a stary Morgan Birch zachichotał, kiedy ściskała jego dłoń. A potem, po kolacji, zaprowadziła Motty i starców do kaplicy. Drzwi do jaskini już były otwarte.

Motty wyciągnęła dłoń, ale Stella ją zignorowała. Samodzielnie zeszła do otworu, wysoko trzymając głowę. Kiedy dotarła na dół, zawahała się, czekając, aż jej oczy przywykną do mroku.

– Dalej – odezwała się Motty. – Jeśli chcesz prowadzić, to prowadź.

Stella wyciągnęła przed siebie rękę i ruszyła poprzez ciemność. Znalazła wąski korytarz, a następnie dotarła do kamiennego stołu.

– Połóż się na nim – poleciła Motty.

Stella nagle poczuła strach. A jeśli Duchojciec się nie pojawi? A jeśli ją odrzuci?

Motty głośno wstrzymała oddech, a Stella podniosła wzrok i zobaczyła biały błysk. Jakiś kształt wyłonił się z ciemności. Uniosła dłoń, a w jej piersi wybuchła radość.

Oto jestem, pomyślała. Oto jestem.

10

1948

Stella wróciła samochodem do Maryville. Podczas godzinnej podróży patrzyła na drogę oświetlaną reflektorami, ale widziała tylko Sunny, jej skórę jak szachownica i przenikliwe oczy.

W ciemności jej dom wydawał się mały jak psia buda.

Chatka miała niewiele ponad pięćdziesiąt metrów kwadratowych, stała na czerwonej glinie i gąbczastym trawniku, ale należała do niej, a Stella zapłaciła za nią gotówką. Miała tutaj telefon, elektryczne ogrzewanie oraz, z czego była najbardziej dumna, automatyczną pralkę Speed Queen. Koniec z ręcznym praniem na werandzie. Nigdy więcej.

Poza tym dom był czysty: żadnych aparatów destylacyjnych, zacieru ani przyborów do pędzenia bimbru. Władze nie będą miały pretekstu, żeby go jej odebrać.

Najpierw wzięła gorący prysznic. Usłyszała dzwoniący telefon – dwa krótkie dzwonki i jeden długi, czyli połączenie do jej domu – ale go zignorowała. Kiedy skończyła, otuliła się szlafrokiem i przeszła do kuchni. Była wygłodniała. Niestety, malutka lodówka była pusta, a w szafkach znalazła tylko pół paczki krakersów i marynowaną okrę. Nie znosiła okry, a ten nieotwarty słoik, prezent od jednego z klientów, był jak ostatni pocisk, który zachowuje się dla siebie, gdy wróg opanowuje barykady.

Jeszcze nie dzisiaj.

Krakersy były otwarte. Pierwszy z brzegu był nieświeży, ale z czymś takim bez trudu poradzą sobie odrobina bourbona i papierosy.

Telefon ponownie zadzwonił. Dzieliła tę linię z pięcioma innymi domostwami przy drodze.

– Halo, centrala – odezwała się do słuchawki.

– Jak się masz, Stello? – To był Alfonse.

– Miałam zwariowany tydzień.

Spytał o jej kuzynkę, a ona odpowiedziała, że u dziewczynki wszystko w porządku. Ale Alfonse’a coś dręczyło i Stella podejrzewała, o co chodzi.

– Dostarczyłeś towar? – spytała.

– Napotkałem pewien problem.

Stella usłyszała czyjś oddech na linii.

– Georgette, to ty?

– Co takiego? – zdziwił się Alfonse.

– Chwileczkę – odrzekła. – Georgette, przestań podsłuchiwać albo przysięgam, że przyjdę i wytrącę ci słuchawkę z ręki.

Nikt nie odpowiedział, ale rozległ się wyraźny trzask.

– Może powinniśmy porozmawiać osobiście – zaproponował Alfonse. – Mam dla ciebie niesamowitą próbkę.

– Jest aż tak źle? – Nie miała na to czasu. – Poradzisz sobie?

– To nie jest moja dziedzina zainteresowań.

– Och, nie chciałabym, żebyś zajmował się czymś, co cię nie interesuje.

– Jestem tylko handlarzem.

– A gdzie jest dzieciak? – Chodziło jej o Humpa.

– Zatrzymałem się w gospodarstwie, ale go nie było. Chyba będziesz musiała sama tam pojechać i rozwiązać problem.

– Nie dzisiaj – odparła Stella. – Nie mogę.

– No tak, zresztą lepiej, żebyś zrobiła to w świetle dnia. Jutro?

Nalała sobie dwa palce bourbona i wypiła jednym haustem. Wbiła wzrok w butelkę. Nie powinna więcej pić, zwłaszcza jeśli ma rano wstać.

Potem pomyślała: przynajmniej Hendrick nie pije. Sunny będzie z nim lepiej niż z jakąś niezrównoważoną gorzelniczką. Lepiej, aby wychowywała się daleko stąd.

Nalała sobie kolejną szklaneczkę.

* * *

Alfonse zdjął rękę z kierownicy, sięgnął pod siedzenie i wyjął słoik.

– Powiedz mi, co o tym myślisz.

Odkręciła słoik, trzymając go daleko od swoich kolan. Samochód podskakiwał na niebrukowanej wiejskiej drodze pięć kilometrów od Alcoa. Powąchała. Słaba woń dymu – zły znak. Upiła łyk.

– Dobry Boże – westchnęła.

– Właśnie.

– Smakuje jak… – Szukała właściwego określenia.

– Gówno?

– Chciałam powiedzieć: palone opony.

– Palone opony toczące się po gównie.

– Otóż to. Cała partia taka jest? A może to próbka z pierwszej porcji? Mówiłam Humpowi, żeby wylewał pierwsze kilka uncji.

– Nie. Z tego, co mi wiadomo, cała partia tak smakuje.

– Ja pierdolę.

– Barman Willie nie mógł się z tobą skontaktować i w końcu dotarł do mnie. Jest wściekły. Żąda zwrotu pieniędzy.

– Oczywiście, że tak. Ale my już je wydaliśmy na zapasy.

Noc przespana we własnym łóżku połowicznie przywróciła ją do życia, dzięki czemu czuła się tylko kiepsko. A teraz Hump Cornette spierdolił całą partię i przy okazji wpuścił ją w kanał.

Jak zwykle zaparkowali między drzewami. Nie było tam innych samochodów, co miało zarówno wady, jak i zalety. Stella była zła, że Hump nie pracuje, ale jednocześnie poczuła ulgę, że nikt nie kręci się po okolicy.

Przedzierali się przez zarośla, idąc okrężną drogą – Stella nie chciała zostawiać śladów, a poza tym musieli dokończyć papierosy – aż w końcu wspięli się na wzgórze na tyłach farmy Acorn. Słyszało o niej najwyżej kilkanaście osób. Osiem zdawało sobie sprawę, że jest prawdziwa. Sześć znało jej położenie.

Nie robiła dużego wrażenia: magazyn o powierzchni stu czterdziestu metrów kwadratowych wznoszący się między dębami, niemal kilometr od najbliższych zabudowań. Z zewnętrznym światem farmę łączył tylko kabel nielegalnie podpięty do sieci elektrycznej oraz wąski szlak, który kiedyś był drogą. Stella używała jej do transportu drewna podczas budowy gospodarstwa, a potem pozwoliła jej zarosnąć. Nikt nie miał powodu tutaj się zapuszczać.

– No dobrze – odezwała się. – Zgaś papierosa.

Otworzyła boczne drzwi i zapaliła główne światło. Za każdym razem, gdy tu wchodziła, szybciej biło jej serce. Budynek i jego wnętrze powstały na podstawie jej dokładnych planów. Jeśli uznamy destylarnię za maszynkę do zmieniania kukurydzy w pieniądze, to była prawdziwa fabryka pieniędzy.

Na jednym końcu znajdowały się drzwi załadunkowe oraz niewielkie okno wychodzące na drogę – jej posterunek. Po drugiej stronie stała Królowa Bess – cudowny stalowy zbiornik o pojemności trzech tysięcy litrów – której tronem było palenisko z cegieł i żelaza. Gruba miedziana rura, która wychodziła z leja na szczycie pojemnika, skręcała pod kątem prostym i prowadziła do zbudowanego na zamówienie thumpera, a następnie do skraplacza z długą stalową wężownicą wijącą się w dół przez ponad czterysta litrów wody. Rury o dużej przepustowości każdej minuty zasysały setki litrów wody z podziemnego strumienia płynącego pod wzgórzem, która to woda następnie płynęła przez destylarnię, by po ogrzaniu wrócić pod ziemię, a wszystko to bez użycia pomp – cały układ działał dzięki ciśnieniu artezyjskiemu. Stella wybrała to miejsce ze

względu na strumień, a także dlatego, że znajdowało się na kompletnym zadupiu. Fabrykę napędzały woda, ciepło, cukier, mikroby i prywatność.

– Przynajmniej nie zostawił włączonej aparatury – zauważył Alfonse.

Przemysłowe żelazne palniki bezpośrednio pod dnem królowej były wyłączone, a kurki na zbiorniku z olejem zakręcone. To dobrze, ponieważ wiatraki w olbrzymich wentylatorach także nie działały. Uruchomienie destylarni pod dachem bez wentylacji to proszenie się o uduszenie lub pożar. W budynku unosił się delikatny przyjemny zapach alkoholu oraz typowa kwaśna woń gotującego się zacieru.

– Najpierw sprawdźmy zacier – poleciła.

W pomieszczeniu stało czterdzieści dwustulitrowych beczek. W dwóch znajdowała się tylko woda, a w kilku ziarna kukurydzy, ale pozostałe, owinięte elektrycznymi kocami i przemysłowymi listwami grzewczymi, zawierały zacier na różnych etapach fermentacji. Najświeższy jak zwykle cuchnął niczym wymiociny, ale w starszych beczkach przyjemnie bulgotał gęsty złocisty płyn, a mielona kukurydza unosiła się na wierzchu jak złota pianka. Stella powstrzymała chęć zamieszania zacieru.

– Zajadajcie ten cukier – szepnęła tak cicho, że tylko drożdże mogły ją usłyszeć. Kochała pracowite grzyby, tak jak inne kobiety kochały dzieci.

Sprawdziła resztę destylarni. Główny zbiornik pachniał normalnie, rura była czysta, a zawory skraplacza wolne od brudu. Osadnik był wilgotny, ale wyglądał bez zarzutu.

– Myszy znów się dostały do środka! – zawołał Alfonse. Oglądał podłogę obok południowej ściany, gdzie trzymali zapasy: skrzynki ze słoikami, dziesiątki brązowych kilkulitrowych dzbanków, worki z suszoną kukurydzą i słodem, a także cukier, mnóstwo cukru. Alfonse wskazał stertę dziesięciokilogramowych worków. – Przegryzły się i zostawiły odchody.

– Cholera, ostrzegałam Humpa, żeby na to uważał.

Wadą działania w środku lasu był fakt, że myszy były tutaj u siebie. Kazała Humpowi zmieszać cukier z sodą oczyszczoną, licząc, że to zabije tych małych skurwieli, ale on jej nie posłuchał.

Dlatego tak trudno jest zarabiać na whiskey – trzeba ufać zbyt wielu ludziom, a zaufanie jest kosztowne. Na przestrzeni lat zwerbowała pięciu gorzelników, którzy mieli różny sprzęt, harmonogram pracy i zdolności produkcyjne, a każdy z nich sprawiał jej inne problemy. Upierała się, żeby korzystali z receptury wujka Dana i jej metod. Nie podobało im się, że muszą słuchać rozkazów dziewczyny, chociaż chętnie brali od niej pieniądze. Ale kontrola jakości była koszmarem.

Farma miała rozwiązać ten problem, ale koszty jej wybudowania i uruchomienia jak dotąd się nie zwróciły. Musiała zatrudnić dyskretnego

przedsiębiorcę budowlanego, moralnie elastycznego elektryka oraz hydraulika, który był jej winien przysługę, a następnie zapłacić im tyle, żeby byli skłonni wykonać całą pracę nieoficjalnie. Potem musiała znaleźć asystenta, który będzie prowadził destylarnię pod jej nieobecność, kupował składniki i dbał o to, by nie spieprzyć produktu.

Podeszła do leżakujących beczek, z których alkohol miał trafić do butelek. Kiedy otworzyła pierwszą, uderzyła ją woń spalenizny. Jakiś przedmiot pływał w bimbrze, na wpół zanurzony. A raczej mnóstwo przedmiotów. Wyłowiła jeden z nich. To była czarna bryłka. Po chwili zorientowała się, na co patrzy.

– Alfonse – odezwała się.

– Tak?

– Przynieś mi głowę Humpa Cornette.

* * *

Dwie godziny później Alfonse wrócił do gospodarstwa, ciągnąc za sobą wysokiego, chudego białego chłopca o fatalnym uzębieniu. Hump Cornette domyślał się, że ma kłopoty, ale nie wiedział jak poważne.

– Dzień dobry, Stello.

– Nie taki dobry. – Wskazała głową krzesło stojące naprzeciwko. – Siadaj.

Posłusznie posadził tyłek. Alfonse stanął za nim ze skrzyżowanymi rękami.

– Mogę wyjaśnić – odezwał się Hump.

– Co wyjaśnić?

Trzy kółka zębate w jego umyśle na chwilę się zacięły.

– Eee… wszystko? – Rozglądał się, rozpaczliwie szukając jakichś wskazówek. Znajdowali się w części magazynu, którą Stella nazywała swoim biurem. Między trzema ścianami zbudowanymi z worków z cukrem znajdowały się jej stół roboczy i narzędzia, wojskowa polówka, budzik oraz automatyczny zaparzacz do kawy.

– Jaka jest moja najważniejsza zasada? – spytała.

– Pukać przed wejściem do toalety?

– Ta druga.

Popatrzył na nią tępym wzrokiem.

– O czym pamiętamy, przygotowując nową partię?

– Aha, żeby trzymać się receptury. – Widział, że jest wściekła, i rozumiał, że wpakował się po uszy w kłopoty. – Proszę, Stello, powiedz mi, co zrobiłem.

Rozwarła pięść. Na jej dłoni leżał kawałek czarnego materiału. Hump popatrzył na niego, mrugając.

– Co to jest?

Pokręcił głową. Rzuciła mu przedmiot. Odbił się od jego piersi i chłopak musiał wstać, żeby go podnieść.

– Pływały w moim bimbrze jak czarne gówna.

– Węgiel drzewny jest w recepturze! Powiedziałaś, że wygładza trunek i wchłania resztkę… tych…

– Niegodziwych substancji – podpowiedział Alfonse.

– O właśnie!

– To nie jest węgiel drzewny – odparła Stella.

– Ależ tak!

– Posadź dupę – polecił Alfonse.

Hump usiadł, wpatrując się w przedmiot. Miał łzy w oczach.

– Na worku napisali…

– Na tym worku? – spytała Stella.

Na stole leżał brązowy worek z czerwonymi napisami. Znalazła kilkanaście takich, zmiętych i pustych, wciśniętych do pękniętej beczki, która służyła im za kubeł na śmieci. Na każdym z nich widniał napis:

BRYKIET FORDA
WSPÓŁCZESNA ODMIANA WĘGLA DRZEWNEGO
OPRACOWANY, BY PALIĆ SIĘ DWUKROTNIE DŁUŻEJ OD ZWYKŁEGO WĘGLA

– Jezu – jęknął Alfonse.

– Według receptury alkohol ma przez noc leżakować z węglem drzewnym z białego dębu. Z płatkami dębowymi.

– Skończyły nam się zapasy! Kazałaś dokupić.

– A ty postanowiłeś kupić jebany brykiet?

– Przecież to też węgiel drzewny!

– Nie. To nie jest węgiel. Wiesz, co się znajduje w brykiecie? – Boże, nienawidziła tego zmyślonego słowa. – Azotan sodu, boraks, smoła, piach…

– Palone opony – dodał Alfonse.

– Palone opony oraz prawdziwe gówno.

– Nie wiedziałem! – zawołał Hump.

– Tylko dlatego jeszcze cię nie zabiłam, głąbie. Obwiniam siebie. Ponieważ nie sądziłam, że jesteś takim cholernym idiotą. Zabrakło mi wyobraźni.

– Aha. To dobrze. Cieszę się, że… Ejże!

Alfonse trzepnął go w tył głowy.

– Spieprzyłeś sprawę i teraz masz wobec mnie dług. Długo będziesz go odpracowywał.

Hump pokiwał głową. Zmrużył oczy. Wciąż nie zaświtało mu w łepetynie.

– Musimy wszystko wylać – powiedziała. – Wszystko z tej partii, co już zostało rozlane do słoików, i wszystko z beczek. Potem dokładnie je wyszorujesz i pomożesz mi nastawić nową partię. Z tego sześćset dwadzieścia litrów trafi do Willie'ego Teffetellera.

– Sto dziewięćdziesiąt litrów za darmo? – zdziwił się Alfonse. – Hojna jesteś.

– Nie zamierzam stracić klienta tylko dlatego, że Humpowi wydawało się, iż urządza grilla. Ta dostawa to nasze przeprosiny… Potraktuj ją jako długoterminową inwestycję.

– Dokąd idziesz?

– Kupić węgiel drzewny, kurwa.

* * *

Było już sporo po północy, a Hump chrapał na polówce. Miała ochotę obudzić go za karę, ale wtedy musiałaby z nim rozmawiać, a potrzebowała czasu do namysłu. Czasu spędzonego ze swoją maszynerią.

Uwielbiała swoje gospodarstwo po nastawieniu nowej partii. Ryk wiatraków i syk palników pod kotłem uspokajał ją jak odgłosy plaży w Południowej Karolinie. W powietrzu unosiły się opary alkoholu. Woń zacieru była tak kwaśna, że w jej płucach stawała się słodka. Papiści nazwaliby ten cud transsubstancjacją.

Przez pierwszy pełen ciemności rok po opuszczeniu kotliny nie miała pojęcia, jak posklejać swój rozbity umysł. Brzydziła się ludźmi, a zewnętrzny świat był chaosem. Zmieniła się w Dorotkę, która nie chciała wyjść z domu, ponieważ ten wirował w powietrzu.

Pieprzyć Kansas. Pieprzyć Krainę Oz.

Ostatecznie uratowała ją whiskey. Nie jej picie, chociaż w tym też się zakochała, ale proces jej wytwarzania, który łączył w sobie chemię, inżynierię i artyzm. Destylacja wypalała nieczystości i pozwalała stworzyć coś pięknego, za co ludzie dobrze płacili. Pieniądze były jedyną osłoną, na jaką kobieta mogła liczyć w tym świecie. Owszem, musiała się zadłużyć, żeby wybudować farmę, ale to było krótkoterminowe ryzyko z myślą o długoterminowym bezpieczeństwie. A każdy, kto próbował zniszczyć to, co stworzyła, musiał być gotowy na walkę.

Zajrzała do osadnika, ale ten był tylko w połowie pełny. Destylacja była powolnym procesem, lecz to również ją uspokajało – zazwyczaj. Wkurzało ją, że wciąż wraca myślami do kotliny i Sunny. Podczas zakupów dowiedziała się, że pogrzeb Motty zaplanowano na następny dzień. Zamierzali ją pochować na terenie gospodarstwa. Potem Sunny miała przejść pod opiekę Hendricka.

Jaki Stella miała wybór? Nie mogła sama wychować dziewczynki. Była cholerną gorzelniczką.

Usiadła na krześle obok Królowej Bess i popatrzyła na jej jasny stalowy brzuch. Nigdy nie była tak dumna z siebie jak wtedy, gdy wykonała ostatni spaw na kotle. Metal delikatnie wibrował, jak zwykle podczas gotowania. Zamknęła oczy.

Willie przyjmie jej przeprosiny i darmowy alkohol. Rano rozleją nową partię do słoików i razem z Alfonsem mu je dostarczą. Uratuje swój biznes. Uratuje Motty. Oraz łanię… W zaroślach poruszył się jakiś ukryty kształt. Czy to zwierzę? Nie, dziewczynka. Sunny. Trzyma łanię za szyję, ściska…

Podskoczyła na krześle, gwałtownie się budząc. Ktoś trzymał dłoń na jej ramieniu.

– Spokojnie, nie chciałem cię przestraszyć – odezwał się Alfonse.

Czy to jej się przyśniło? Sięgnęła po swoje myśli, ale rozpierzchły się jak ryby.

– Która godzina? – spytała.

– Trzecia w nocy. – Dzięki Bogu. Spała najwyżej pół godziny.

Sprawdziła beczkę. Była już napełniona w trzech czwartych i pachniała czysto. Maszyna przestała pracować, zatem partia była gotowa. Stella zgasiła palniki, ale zostawiła włączone wiatraki.

Alfonse spróbował bimbru łyżeczką.

– To ja rozumiem. Czysta receptura. Koniec pracy na dzisiaj.

– Musimy to dostarczyć Willie’emu.

– Ja się tym zajmę. Wracaj do domu. Musisz pojechać na pogrzeb.

– Skoro o tym mowa…

Uniósł brew.

– Zastanawiałam się, czy nie mógłbyś czegoś dla mnie zrobić. Pojedź ze mną, kiedy już uporasz się z dostawą.

Popatrzył na nią sceptycznie. W kotlinie nie mieszkało zbyt wielu Czarnych.

– Jeśli chcesz, bym przyszedł na pogrzeb, to będę na miejscu.

– Tak… i potem też. Muszę coś zrobić i niewykluczone, że sprawy potoczą się w niedobrym kierunku. Przydałoby mi się twoje wsparcie.

– W jak bardzo niedobrym?

Pomyślała o bladym mężczyźnie i jego wcale nie bladym pistolecie.

– W kierunku Georgii.

– Hmm – odrzekł Alfonse. – Jak dobrze wiesz, nie toleruję ludzi, którzy zadzierają z moją partnerką w interesach.

11

1936

Pewnego listopada, kiedy miała dwanaście lat i osiem miesięcy, Stella wymknęła się z domu, żeby spotkać się z chłopcem. Był niedzielny poranek, a chłopiec był bogobojnym baptystą, więc może nie warto było ryzykować.

Lunk czekał na nią na drodze, wyraźnie zdenerwowany, z rękami w kieszeniach płaszcza i czarną Biblią pod pachą. Kiedy zobaczył Stellę, podbiegł do niej, co było słodkie.

– Myślałem, że nie przyjdziesz – powiedział. Jego oddech parował w chłodnym powietrzu.

– Jeszcze nie ma ósmej.

– To znaczy sądziłem, że Motty cię nie puści.

– Sama odpowiadam za swoją duszę.

Szli obok siebie w kierunku, z którego przyszedł Lunk. Był od niej znacznie wyższy, dziecięcy tłuszcz tylko dodawał mu centymetrów. Wyglądał niezwykle przystojnie z uczesanymi włosami. Wiedziała, że zbiera się na odwagę, żeby wziąć ją za rękę. Oczywiście by mu nie pozwoliła, z kilku powodów. Chłopiec zauważył, że Stella trzyma w dłoni Biblię.

– Cieszę się, że ją przyniosłaś. – Wspominał o tej Biblii za każdym razem, gdy się widywali. Piątkowymi popołudniami, po skończeniu lekcji w swojej eleganckiej szkole w Maryville, kręcił się po szkolnym podwórzu w kotlinie pod pretekstem odprowadzania Mary Lynn do domu. – Już ją przeczytałaś od deski do deski? – O to też zawsze pytał.

– Mogłam opuścić kilka rodowodów.

– Naprawdę nigdy nie chodziłaś do kościoła?

– Chodziłam, tylko nie do waszego kościoła pierwotnego. Jesteście kanibalami czy…?

– Nie o to chodzi! To jedyny prawdziwy kościół, który pochodzi bezpośrednio od…

Roześmiała się.

– Spokojnie, Lunk. – Nigdy mu nie przeszkadzało, że go tak nazywała. Albo lubił to przezwisko, albo cieszył się, że w ogóle się do niego odzywa. Ale dajcie

spokój, chłopak miał nerwy jak postronki. Potrąciła go i ich dłonie na chwilę się zetknęły. – Poza tym chcę spróbować wszystkiego przynajmniej raz.

Oho, teraz cały spłonął rumieńcem.

– Powinienem wyjaśnić ci kilka zasad – powiedział.

– Jasne, potrafię przestrzegać zasad – odrzekła, a on wydał odgłos zniecierpliwienia. – Parsknąłeś na mnie?

– Po pierwsze, musisz siedzieć z moją matką. – Mężczyźni i kobiety siedzieli po przeciwnych stronach kościoła. Poza tym Stella nie powinna się spodziewać gry na pianinie ani gitarze, ponieważ to niezgodne z duchem Biblii. Podobnie jak szkółka niedzielna. Za to będzie mnóstwo śpiewu, a potem kazanie wygłoszone przez starszego Rayburna. – Cokolwiek się stanie, nie odzywaj się. To zakazane.

– Słucham? – Zatrzymała się na drodze. Kościół znajdował się tuż za zakrętem.

– Pierwszy list do Koryntian uczy nas, aby nasze kobiety zachowywały ciszę w kościele.

– Nie jestem twoją kobietą. Poza tym przed chwilą powiedziałeś, że będziemy śpiewać.

– Co to ma do rzeczy?

– Więc tylko mężczyźni śpiewają?

– Nie! Kobiety mogą śpiewać, tylko nie wolno im mówić.

– Co za kupa bzdur.

– Stello!

– To zły pomysł. Wracam do domu.

– Nie! Proszę. Tylko spróbuj. Jedno nabożeństwo.

– To dla ciebie takie ważne, co?

– Raczej dla ciebie. To znaczy dla twojej duszy. Wczoraj mówiłaś, że się o nią martwisz.

– Wcale się nie martwię.

No cóż, rzeczywiście trochę się martwiła. W żadnej z przeczytanych książek nie było wzmianki o Bogu w Górze ani Duchojcu. Ale czytała Nathaniela Hawthorne’a, więc wiedziała, że kobieta może spotkać diabła w lesie.

– Może po prostu jestem ciekawa – dodała.

Tak naprawdę obawiała się, że staje się odludkiem. Nie miała żadnych prawdziwych przyjaciół, takich, o jakich czytała w książkach. Miała wrażenie, że dzieci ze szkoły należą do innego gatunku. Były głupie jak kurczaki, a szkoła przypominała roztrajkotany kurnik. Śmiały się z plam na jej skórze oraz plam na historii jej rodziny – kobiety z rodu Birchów wzbudzały podejrzenia.

Kochała Abby’ego, ale on był dorosły, a poza tym był przestępcą i pijakiem. A to oznaczało, że większość czasu spędzała zamknięta w jednym domu ze

zwariowaną staruszką.

Nie mogła z nikim porozmawiać o najważniejszej rzeczy w swoim życiu. Druga komunia, która odbyła się dwa miesiące wcześniej, ponownie zamieszała jej w głowie. Miała w sobie tyle myśli Boga, jakby patrzyła na świat jego oczami. Przez jakiś czas nie chodziła do szkoły, podczas gdy jej dłonie się goiły. Wiodła dwa rodzaje życia, które się nie łączyły, jedno jako szanowana łączniczka z Bogiem, a drugie jako wiejska dziewczyna karmiąca świnie. Zastanawiała się, czy nastoletni Jezus czuł się tak samo, kiedy Józef kazał mu sprzątać w zakładzie stolarskim. Podniecająca osobliwość jednego z aspektów jej życia nie łagodziła monotonii drugiego. To były dwa rachunki w osobnych bankach.

Była przekonana, że Lunk nie ma pojęcia o jej roli Objawicielki, ponieważ sama z trudem w to wierzyła, gdy akurat nie była namaszczana przez wujka Hendricka. Wybierała się do tego kościoła niczym szpieg z obcego kraju.

Zabiły dzwony wzywające wiernych na nabożeństwo. Stella słyszała je także w domu Motty, ale z bliska robiły większe wrażenie. Lunk przyśpieszył kroku, a kiedy wspięli się na niewielkie wzgórze, zobaczyli białą fasadę Pierwotnego Kościoła Baptystycznego. Przed budynkiem stali ludzie – być może kobiety wypowiadały swoje ostatnie słowa.

– Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć? – spytała.

– Eee… nie zaśnij? Kazania taty bywają długie.

* * *

Miała wrażenie, że wewnątrz kościoła jest chłodniej niż na zewnątrz, a piecyk stojący przy drzwiach wejściowych nie spełniał swojej roli. Niestety, kobiety Rayburnów lubiły siadać w drugim rzędzie po lewej, skąd mogły praktycznie zaglądać starszemu do nosa. Stella utknęła pomiędzy Elsą Rayburn, matką Lunka, a jego młodszą siostrą, Mary Lynn. Lunk siedział po drugiej stronie pośród mężczyzn. Co jakiś czas wychylał się z ławki i na nią zerkał.

Początek nie był taki zły. Stelli podobał się śpiew – cztery zharmonizowane głosy wstrząsały ścianami, a Elsa wydobywała z siebie wysokie nuty podobne do odgłosów trąbki; intencje modlitewne brzmiały ciekawie ze względu na ich bardzo konkretną („Pani Meyers prosi o modlitwę w sprawie swojej spuchniętej nogi”) albo ogólną naturę („Bezdzietna rodzina prosi o modlitwę w tym trudnym czasie”). Ale potem starszy Rayburn otworzył swoją potężną Biblię i rozpoczął kazanie. Zaczął od rzekomo prawdziwej anegdoty o rolniku, który źle traktował swoje bydło, następnie odbił w stronę przypowieści o siewcy, a potem napomknął o kilku Psalmach.

W ciągu miesięcy, które upłynęły, odkąd starszy Rayburn podarował jej Pismo Święte, Stella zakochała się w poetyckim języku Biblii króla Jakuba, a Rayburn pięknie czytał. Mimo wszystko była rozczarowana. Miała nadzieję na nieco więcej ognia i przynajmniej lekką woń siarki, tymczasem głos starszego wiózł ich ku Ziemi Obiecanej na pokładzie powolnej łodzi. Rayburn bardziej przypominał nauczyciela niż kaznodzieję. Okazało się, że kościół jest jak szkoła, tylko nie wolno tu zadawać pytań.

Wpatrywała się w belki pod sufitem, gdy nagle zauważyła na jednej z nich odciski dłoni. Mary Lynn nachyliła się i wyszeptała:

– To dłonie anioła.

– Przykro mi, ale go nie zauważyłam – odpowiedziała szeptem.

Mary Lynn zachichotała. Elsa Rayburn je uciszyła.

Odciski były jedynym, na co mogła patrzeć, więc skupiła się na kazaniu. Na ścianach nie było żadnych obrazów, nawet przedstawiających Jezusa, co było niegrzeczne, zważywszy na to, że byli w Jego domu. Czy tak trudno byłoby założyć kilka witraży, jak w katedrach, o których czytała? Nie pogniewałaby się za wizerunki kilku aniołów, Jonasza połkniętego przez rybę, może nagich Adama i Ewy rozmawiających z wężem. Ale nic z tego; nie było nawet krzyża. Gdyby nie iglica i dzwon na dachu można by wziąć to miejsce za stodołę.

Po czterdziestu pięciu minutach starszy Rayburn wreszcie dotarł do czegoś ciekawego – opowieści o Abrahamie, który spokojnie planował zabójstwo swojego syna.

– „Nazajutrz rano Abraham osiodłał swego osła, zabrał z sobą dwóch swych ludzi i syna Izaaka, narąbał drzewa do spalenia ofiary i ruszył w drogę do miejscowości, o której mu Bóg powiedział”. – Głęboki głos Rayburna wprowadzał niezbędny nastrój grozy. To brzmiało jak scena z filmu gangsterskiego: A oto Cagney powiedział swoim bandziorom, żeby rozgrzali silnik samochodu, a oni wrzucili Izaaka do bagażnika i zawieźli go do Hell’s Kitchen.

Biedny Izaak nie wiedział, co go czeka. Martwił się, pytał ojca, gdzie jest owieczka, ale Abe był zajęty rozmową z aniołami. Dopiero piętnaście minut później w zaroślach pojawił się baran i uratował Izaakowi tyłek. Starszy Rayburn rozpływał się nad oddaniem Abrahama i nad tym, że Bóg nagrodził go, rozprzestrzeniając jego ród po wszystkich ziemiach, ale Stella czuła się poirytowana. Skoro Abe był takim świetnym gościem, to dlaczego nie zaproponował, że złoży w ofierze siebie samego zamiast własnego syna? No i dlaczego temu Bogu tak bardzo zależało, aby ludzie palili różne rzeczy na jego cześć, że posłał do nich barana, jak ktoś, kto przychodzi na kolację z własnym kurczakiem i domaga się, żeby go przyrządzić? To była powtórka z Jezusa.

Kiedy Stella znów zaczęła słuchać, Rayburn już przeskoczył z tematu obiecanego Abrahamowi narodu na „współczesną zniewagę”, jaką było konfiskowanie przez park ziemi należącej do mieszkańców kotliny. Nie było tygodnia, by któraś z rodzin nie otrzymała nakazu eksmisji.

– Ludzki rząd chce nas usunąć, przyjaciele. Ludzki rząd chce wymazać nasze rodzinne gospodarstwa, zniweczyć pokolenia ciężkiej pracy i pozwolić, by nasza ziemia zdziczała. Ludzki rząd chce rozwiązać ten kościół i zmienić nasz święty przybytek w wystawę muzealną. – W jego ustach „wystawa muzealna” zabrzmiała jak dwa najbardziej nieprzyzwoite słowa w słowniku. – Ale mam wiadomość dla rządu. – Popatrzył po twarzach ludzi i spodobało mu się to, co na nich zobaczył. – Ta wspólnota nie pozwoli się przenieść.

Odpowiedział mu chór okrzyków „amen”, oczywiście wyłącznie męskich. Kobiety kiwały głowami, równie zapalczywie jak mężczyźni, ale w milczeniu.

* * *

Po nabożeństwie Stella uświadomiła sobie, że jest tutaj dobrze znana, nie wiedziała jedynie, czy cieszy się dobrą, czy złą sławą. Ludzie kłębili się na zewnątrz i całkiem sporo osób podchodziło do niej, ściskało jej dłoń i ją witało, ale inni trzymali się na dystans. Elsa, Lunk i Mary Lynn trwali przy jej boku. Zwłaszcza Elsa wydawała się gotowa zaatakować każdego, kto ośmieliłby się być nieuprzejmy.

Starszy Rayburn odłączył się od grupy mężczyzn i podszedł do Stelli.

– Mam nadzieję, że podobało ci się nasze nabożeństwo, panno Wallace.

– Było… przyjemne.

Poczuła, że Lunk zesztywniał. Co się stało? Przyjemne to za mało?

Starszy Rayburn się uśmiechnął.

– Niewątpliwie różni się od nabożeństw w Chicago.

– Bardzo – odrzekła, chociaż ojciec nigdy nie zabierał jej do kościoła.

– No cóż, kierujemy się tym, co napisano w Biblii – rzekł z uśmiechem. – Jeśli czegoś tam nie ma, to tego nie robimy.

– Dlatego nie gracie na organach.

Roześmiał się.

– Właśnie. Inne kościoły idą z duchem czasu, ale Bóg się nie zmienia.

– A jeśli dzieje się coś nowego? Powiedzmy, że pojawia się sytuacja, o której nie ma mowy w Biblii? Na przykład… samochody?

– Samochód jest tylko maszyną, a człowiek od zawsze wynajdował maszyny. Musimy jedynie upewnić się, że sposób, w jaki dana rzecz jest używana, pozostaje w zgodzie z biblijną nauką. Samochód to tylko bardziej

skomplikowany pług, a my wiemy wystarczająco dużo o pługach, by nie pracować w Dzień Pański. Kiedy ze zrozumieniem popatrzymy na nowe ludzkie wynalazki, uświadomimy sobie, że Biblia nie kłamie i nie ma niczego nowego pod słońcem.

Lunk mruknął coś o Księdze Koheleta.

– A co z innymi słońcami? – spytała Stella.

Starszy Rayburn się roześmiał.

– Nie da się zaskoczyć Boga. On stworzył wszystko.

– Ale nie powiedział nam wszystkiego.

– Oczywiście, że tak! Wszystko, czego potrzebujemy, znajduje się w Biblii. Ona jest pełna i kompletna… Nie bez przyczyny nazywamy ją świętą księgą.

– A co z siedmioma gromami?

– Z siedmioma…?

– To w Apokalipsie świętego Jana. – Zerknęła na Lunka. – Rozdział dziesiąty, wers czwarty.

– To prawda – przyznał starszy Rayburn. – Jednakże…

– Co więc było takiego strasznego, że Bóg nie mógł pozwolić, by to zapisano?

– Niekoniecznie chodzi o coś strasznego. Może raczej cudownego. Niewątpliwie istnieje wiele rzeczy, których nie powinniśmy wiedzieć.

– Ale w takim razie opieracie swoje decyzje na księdze, która jest niekompletna. Ona sama mówi wam, że są w niej luki. Skąd możecie wiedzieć, że Bóg nie przekazuje komuś innemu nowej nauki, jeszcze nowszego Nowego Testamentu?

Mary Lynn pisnęła.

– Brzmisz jak młodszy i ładniejszy Joseph Smith.

Nie traktuj mnie jak głupiej ślicznotki, pomyślała Stella.

– Nie możecie tego wiedzieć – powtórzyła.

Starszy Rayburn przez chwilę się zastanawiał. Członkowie wspólnoty ani nie podchodzili bliżej, ani się nie oddalali.

– Biblia zapowiada, że pojawią się fałszywi prorocy – rzekł Rayburn. – Jest znacznie bardziej prawdopodobne, że ludzie pozbawieni skrupułów zaczną mówić nieprawdę dla własnego zysku, niż że Bóg nagle postanowi, iż ma coś więcej do powiedzenia. Już otrzymaliśmy zbawienie… i nie potrzebujemy niczego więcej.

– Ale co, jeśli Bóg…?

– Jesteś zagubiona – wszedł jej w słowo. – Nie wiem, co ci Motty opowiadała, ale zachęcam cię, żebyś wróciła do naszego kościoła i uważnie

posłuchała. Nie w celu uzyskania zbawienia – ono jest pewne, jeśli jesteś jedną z Wybranych – ale dla własnego wzmocnienia duchowego.

Miała ochotę wykrzyczeć mu prosto w twarz: Nie wiesz tego, co ja wiem!

Elsa wbijała w nią wzrok. Mary Lynn zakrywała usta dłońmi. Lunk nie stawał w jej obronie. Niby dlaczego miałby to robić? To był jego ojciec, jego rodzina, jego religia.

– Możesz do nas wrócić, kiedy zechcesz, Stello – zapewnił starszy Rayburn.

* * *

Lunk uparł się, że odprowadzi ją do domu. Była zbyt wściekła, by z nim rozmawiać, ale to nie przeszkodziło mu trajkotać. Wciąż powtarzał „To było coś" i zapewniał, że nigdy nie spotkał takiej dziewczyny.

– Tata nigdy tak ze mną nie rozmawiał.

Usłyszała zazdrość w jego głosie.

– To znaczy jak?

– Jakbym był godny rozmowy.

Biedny Lunk. Zazdrosny o kłótnię.

Nagle zrobiło jej się żal całej jego wspólnoty. Tyle mówili o Bogu, ale nigdy Go nie widzieli. Ich religia opierała się na wierze – wierze w to, że On jest prawdziwy i powróci. Ale ona, tak samo jak Motty i kiedyś jej matka, nie potrzebowała wiary, podobnie jak nie musiała wierzyć w grawitację, żeby spadł deszcz. Bóg w Górze po prostu istniał.

Lunk wziął ją za rękę, a ona się nie sprzeciwiła. Jeśli zaskoczyły go szorstkie blizny, to nie dał tego po sobie poznać.

Czy to on mógł być tym jedynym? Czy mogła zdradzić mu swoją tajemnicę? Przyjemnie było o tym myśleć. Mogła trwale uszkodzić jego baptystyczny mózg. Ale jeśli jej sekret go nie złamie, wreszcie znajdzie kogoś innego niż Motty i Hendrick, z kim będzie mogła rozmawiać.

Kiedy zbliżali się do zakrętu, za którym ich oczom miał się ukazać dom Motty, Lunk spytał:

– Stello Wallace, czy mogę cię pocałować?

Cholera. Powiedziała mu, że chciałaby spróbować wszystkiego. Zresztą była zaciekawiona.

– Tylko szybko.

Miał suche usta. Pocałunek nie był niczym szczególnym, ale Lunk wpatrywał się w nią lśniącymi oczami.

– Zadowolony? – spytała.

Spróbował pocałować ją ponownie, ale uderzyła go lekko Biblią.

– Muszę chronić swoją nieśmiertelną duszę – powiedziała.

Roześmiał się, jakby jeszcze nigdy nie słyszał niczego tak dowcipnego. Niech to szlag, pomyślała. Był całkowicie oszołomiony.

* * *

Dwa tygodnie później, pewnego mroźnego wieczoru, Stella gwałtownie się obudziła. Krew szumiała jej w uszach, a serce szalało w piersi. Śniła, ale o czym? Szyję miała wilgotną od potu. Jej ciało wiedziało o czymś, co umysł zdążył zapomnieć.

Przeszła do salonu. Ogień w palenisku przygasł. Motty siedziała na swoim fotelu z zamkniętymi oczami i uchylonymi ustami. W lewej dłoni trzymała szklankę z odrobiną bimbru, która jakimś cudem nie wyślizgnęła jej się z palców. Popielniczka była pełna niedopałków własnoręcznie rolowanych papierosów.

Cokolwiek obudziło Stellę, nie znajdowało się w tym pokoju. Usłyszała jakiś daleki odgłos, jakby płacz małego dziecka. Przeszła do kuchni, a następnie na podwórko.

Obok zagrody dla świń ujrzała potężny blady kształt, wysoki na prawie cztery metry. Pajęcze nogi podtrzymywały blady tułów, który przypominał kokon. Bóg opuścił górę.

Jedna z kończyn, wyciągnięta ponad ogrodzeniem, przyszpiliła do ziemi maciorę. A więc Stella usłyszała pisk zwierzęcia. Nagle kończyna się uniosła, a świnia zerwała się na nogi i z kwikiem zniknęła w ciemnym chlewie.

Stella uniosła dłoń do gardła. Nie wydała z siebie żadnego odgłosu, ale Bóg zdawał sobie sprawę z jej obecności.

Zakołysał się na złożonych stawach, przebierając nogami, i ruszył w jej stronę. Stella była jak sparaliżowana.

Zatrzymał się przed nią. Podniosła na niego załzawione oczy.

Bóg unosił się nad nią, a ona trwała w miejscu. Zrozumiała, że to zasady Motty i Hendricka napełniały ją wstydem. Ich religia. Bała się złamać ich przykazania i dlatego uciekła z jaskini. Ale te zasady nie miały nic wspólnego z Bogiem.

Duchojciec ją kochał.

Birchowie nie mogą mnie kontrolować, powiedziała sobie. Nie pozwolę się spętać ludzkimi prawami.

Sięgnęła w stronę jego tułowia. Miał taką ciepłą skórę. Powietrze wokół niej zaczęło wibrować, jakby znajdowała się wewnątrz jakiejś maszyny. Przesunął się, przysiadając na tylnych nogach i odsłaniając brzuch. Otoczył ją kończynami.

Nie była w stanie się odezwać. Nie musiała. To nie było takie obcowanie, jakiego doświadczyli wujek Hendrick i inni. To było coś prostszego i lepszego, ponieważ zapamiętała każdą chwilę.

Miała wrażenie, że Bóg obserwuje ją pozbawionym oczu i ust wybrzuszeniem na szczycie tułowia. Odnalazła palcami długą fałdę biegnącą wzdłuż tego wybrzuszenia i ją chwyciła. Jego ciało zaczęło pulsować. Oparła się o niego, a wtedy jej kości zawibrowały w tym samym rytmie. Fala ciepła przeniknęła jej ciało.

Chciała poczuć jego ręce. Chciała przycisnąć do niego swoje dłonie. Chciała związać się z nim, poczuć jego napływające myśli. Sięgnęła ręką za plecy, do których przyciskał jedną ze swoich kończyn.

Nagle Bóg wzmocnił uścisk, a jej stopy oderwały się od podłoża. Obrócił ją, a z jej ust wydobył się śmiech.

Po jakimś czasie postawił ją na ziemi. Cofnął jedną kończynę, potem kolejną. Jego gładka pierś wyślizgnęła się z jej palców. Kiedy wyciągnęła przed siebie rękę, natrafiła tylko na powietrze. Odszedł.

Mój Bóg, pomyślała. Mój Bóg jest żywym bogiem.

12

1948

Można było odnieść wrażenie, że połowa Tennessee chciała się upewnić o śmierci Motty. Samochody i ciężarówki stały po obu stronach ulicy i parkowały na całym trawniku.

– Ja pierdolę – odezwała się Stella. Nie próbowała wysiąść z auta.

– Raczej ja pierdolę – odrzekł Alfonse. – Nie spodziewałem się aż tylu ludzi. Czuję się jak Fleet Walker.

– Kto?

– Największa gwiazda spośród gwiazd baseballa.

– Możesz się wycofać.

Westchnął.

– Daj spokój.

– Nie powiedziałam ci pewnych rzeczy o mojej rodzinie. Dziwnych rzeczy. Możesz usłyszeć o kilku z nich.

Uniósł brwi i opuścił brodę, jakby chciał spytać: Czekałaś aż do teraz, żeby mi o tym powiedzieć?

– Wiem. Przepraszam. Wolałabym, żebyś się nie angażował, a ja obiecuję, że później ci wszystko wyjaśnię.

– Zgoda. Otworzysz schowek?

Wzięli jego samochód, co stanowiło pogwałcenie jej osobistej zasady. Ale Stella chciała, żeby Alfonse w razie czego miał możliwość ucieczki, gdyby okazało się, że musi ją zostawić. Otworzyła schowek i wręczyła mu pistolet, Colta 1911. Wojskową broń.

Sprawdził, czy broń jest zabezpieczona, i schował ją do kieszeni wełnianego płaszcza.

– Pokażesz mi, który to brat Paul?

– Poznasz go. Jest biały jak celofan. Nie zabrałeś przypadkiem whiskey z nowej partii?

– Zawsze mam przy sobie butelczynę, na wypadek gdyby ukąsił mnie wąż. Wożę też ze sobą małego…

– Małego węża. Łapię.

Wypili po łyczku. Wysiedli z samochodu.

Niebo napęczniało szarymi chmurami. Jej stary tweedowy płaszcz prawie nie zapewniał jej ochrony, a czarna sukienka – jedna z niewielu – dodatkowo pogarszała sytuację. Stella nienawidziła chodzić na akcje w sukience.

– Mogę ją zatrzymać? – Schowała flaszkę do kieszeni. – Oboje powinniśmy być uzbrojeni.

– Raczej napruci.

Na werandzie i podwórzu było pełno trajkoczących ludzi. Wielu z nich było jej kuzynami – Birchowie, Whitowie, Martinowie i Whiteheadowie – oraz należało do starych rodów zamieszkujących kotlinę. Zastanawiała się, ile osób przyszło tylko po to, by odebrać naczynia pozostawione podczas poprzedniej wizyty. Większość gości była stara, ale zaskoczyło ją, jak wiele dzieci biega po okolicy – dziewczynki w sukienkach, chłopcy w wypuszczonych koszulach, niezdolni do pohamowania dobrych nastrojów. Po co zabierać ich na pogrzeb? Czy rodzice chcieli pokazać im koniec epoki? Przyjrzyjcie się, dzieci: jedna z ostatnich mieszkanek kotliny nie żyje; wkrótce w tym miejscu będą żyć tylko jelenie i niedźwiedzie.

Jeszcze bardziej zaskakująca była liczba elegancko ubranych nieznajomych. Stali w grupkach i rozmawiali ze sobą nawzajem, zerkając spode łba na miejscowych wieśniaków. Nagle Stella zauważyła pośród nich brata Paula i zrozumiała, kim są: kolejni przeklęci uczniowie Hendricka z Georgii. Mnożyli się. Co jeszcze bardziej niepokojące, jeden z nich trzymał kamerę filmową.

Ktoś zawołał ją po imieniu. Obejrzała się i zauważyła Veronicę, a raczej jej ekstrawagancki kapelusz o miękkim rondzie. Veronica rozmawiała z jakimś ciemnowłosym młodzieńcem w zbyt obcisłym garniturze. Stella się do niej przecisnęła, a Alfonse poszedł jej śladem.

– Chciałabym ci przedstawić Rickie’ego! – Veronica mówiła za głośno jak na pogrzeb, nawet odbywający się na świeżym powietrzu. – Mojego narzeczonego – dodała z naciskiem.

Rickie uścisnął dłoń Stelli.

– Wiele o tobie słyszałem.

– Na pewno nawet nie połowę prawdy – odrzekła Stella. – To mój przyjaciel Alfonse.

Rickie zmierzył go wzrokiem i opuścił rękę.

Aha, pomyślała Stella. A więc jest dupkiem.

Veronica uścisnęła rękę Alfonsa dłonią w rękawiczce.

– Stella dużo mi o tobie opowiadała. Podobno jeździsz samochodem jak błyskawica.

Alfonse popatrzył na Stellę spode łba. Zaskoczyło go, że wspominała o nim tej ślicznotce z Georgii.

– No cóż, mam forda lightninga.

Veronica się roześmiała.

– Twój produkt o mało mnie nie zabił!

Rickie sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

– Widzę, że jednak doszłaś do siebie – zauważyła Stella.

– Ledwie!

Goście stojący w pobliżu przysłuchiwali się tej rozmowie. Najwyraźniej wiedzieli, kim jest Stella, i niezbyt za nią przepadali. Karawan z ciałem Motty zaparkował na trawie za ich plecami. Przed rzędami rozkładanych krzeseł utworzyła się kolejka ludzi podchodzących do perłowoszarej trumny. Wujek Hendrick ściskał dłonie ludzi. Stella nie widziała dziury w ziemi za trumną, ale ją wyczuwała.

– Mamy miejsca w pierwszym rzędzie, tuż obok grobu – oznajmiła Veronica i zerknęła na Alfonse’a. – To znaczy tylko rodzina.

– Nie ma sprawy, mogę zostać tutaj – odrzekł.

– Dzięki – szepnęła do niego Stella i dołączyła do kolejki.

Górna połowa trumny była otwarta. Wewnątrz leżała skurczona szara postać, jak wyrzeźbiona ze steatytu, owinięta luźnym niebieskim materiałem – nową sukienką, którą kupiła Ruth. Postać niezbyt przypominała Motty. Tak wygląda proces grzebania zmarłych; zanim kogoś pochowacie wiele dni po śmierci, ciało już tak mało przypomina osobę, którą znaliście, że staje się czymś zupełnie innym: szczątkami. To błogosławieństwo. Umożliwia nabranie niezbędnego dystansu. Zakopywanie w ziemi ukochanej osoby wydaje się niemoralne, ale co innego, jeśli grzebie się pustą skorupę, która po niej została. To łatwe jak wyrzucenie resztek.

Ktoś zakaszlał za jej plecami i Stella zorientowała się, że zbyt długo stała w miejscu. Musiała usiąść obok Ruth.

Veronica usiadła po jej drugiej stronie.

– I jak ci się podoba?

– Motty wygląda okropnie – odrzekła Stella.

– Chodzi mi o Rickie’ego!

Ruth ich uciszyła.

– Gratuluję – odezwała się Stella scenicznym szeptem. – Złowiłaś przystojnego chłopaka.

– Narzeczonego.

– Widziałaś Sunny? Albo Abby’ego?

– Tata powiedział, że nie zniosłaby pogrzebu. Jest… – zamachała dłonią w białej rękawiczce – …nieśmiała.

– Nic dziwnego, skoro nieznajomi robią zdjęcia. A po co ta kamera? To niegrzeczne.

– To historyczna chwila.

– Co w niej takiego historycznego?

– Na Boga, Stello. Siedziałaś całą noc z tym swoim przyjacielem? Popatrz na swoje oczy. – Przeciągała głoski jak Vivian Leigh. – Mam korektor, mogę pomóc ci ukryć…

– Ciii! – syknęła Ruth.

Rozkładane krzesła zaczęły się zapełniać wiekowymi członkami rodziny, którzy chcieli zdążyć wziąć udział w uroczystości, zanim nadejdzie ich własny pogrzeb. Hendrick skinął głową na dwóch chłopców z domu pogrzebowego Smitha, którzy stali obok karawanu, a ci przez chwilę manipulowali czymś wewnątrz trumny, po czym zamknęli wieko.

Stella zastanawiała się, kogo Hendrick ściągnął jako mistrza ceremonii, ale ten wkrótce wystąpił naprzód, trzymając w rękach Biblię. Oczywiście, że postanowił zrobić to sam. Uważał, że jest jak Billy Sunday.

– Dziękuję, że przyszliście, mimo że powiadomiliśmy was z tak małym wyprzedzeniem – odezwał się. – Jest mi ciepło na sercu, że wy, nasi przyjaciele i krewni oraz członkowie kościelnej rodziny, zgromadziliście się tutaj, w naszym rodowym domu, by pożegnać naszą ukochaną siostrę, Mathildę Birch.

Jezu. Udaje, że kochał Motty. A co jeszcze gorsze, udaje, że ją lubił.

– Mathilda i ja mieliśmy szczęście dorastać razem w kotlinie. Nasz tata nazywał ją rajem na Ziemi. Ale Mathilda, dzięki Bogu, odeszła do znacznie cudowniejszego miejsca.

Przestań nazywać ją Mathildą, pomyślała Stella. Boże, była taka zmęczona. Szczypały ją oczy. Szare chmury zasnuły niebo, ale deszcz nie chciał spaść.

Hendrick mówił dalej, zgodnie ze standardowym rozkładem baptystycznego pogrzebu, na który składały się uświęcone tradycją frazesy, biblijne cytaty, słowa pocieszenia oraz próby ewangelizowania. Ukochana osoba już nie cierpi, ukończyła wyścig, Jezus powołał ją do swojego domu, a czy wy pojednaliście się z Panem? Głównym przesłaniem była nauka, że tylko frajerzy opłakują zmarłych. Po co wylewać łzy po kimś, kto przekroczył rzekę Jordan do Ziemi Obiecanej? Czy nie chcecie się tam znaleźć? Celem kazania nie było uhonorowanie zmarłej osoby, ale wykorzystanie jej śmierci jako pretekstu do przypomnienia grzesznikom, że ich dusze są zagrożone. Wystawione zwłoki były tylko motywacyjnym rekwizytem.

Stellę najbardziej obrażał fakt, że taki pogrzeb wymazywał kobietę, o której mówili. Stella nie oczekiwała, że Hendrick zacznie opowiadać o tym, jak Motty służyła Bogu w Górze, ale dlaczego nie wspominał o jej uporze godnym królowej? O tym, jak parła naprzód, nie zważając na plotki, niczym okręt podczas sztormu? Ktoś powinien przypomnieć tym ludziom o tym, że Motty nigdy nie dała wejść sobie na głowę, niezależnie od tego, czy miała do czynienia z kaznodzieją, policjantem czy rządowym sługusem.

Stella westchnęła, a Ruth gwałtownie się na nią obejrzała. Ojej, to zabrzmiało głośniej, niż zamierzała. Veronica zasłoniła usta dłonią w rękawiczce, tłumiąc chichot. Hendrick zerknął na Stellę, ale nie przerwał przemowy.

Zaraz pobiegnę po ławkach, pomyślała.

Lunk kiedyś tak do niej powiedział. Nie myślała o tym od lat. Kiedyś martwili się, czy są dobrymi ludźmi. Śmierć Lunka rozwiązała tę kwestię. Teraz musiała się tylko przejmować, kogo jeszcze zrani, jak poważnie i w jakiej kolejności.

Zastanawiała się, co starszy Rayburn powiedział na pogrzebie Lunka. Pewnie wygłaszał takie same banały, jak teraz Hendrick, ale z elementami tragizmu: Bóg powołał Lincolna do siebie wcześniej, niż byśmy chcieli, ale nie możemy Go o to obwiniać, ależ nie. On ma plan. Działa w tajemniczy sposób.

Jak wszyscy bogowie.

– Wierzę, że Mathilda jest teraz z Nim – mówił Hendrick. – Patrzy na nas z Nieba i chce od nas tylko jednego… – Zamilkł, zaskoczony czymś, co pojawiło się za plecami jego widowni. Ci, którym wiek na to pozwalał, zaczęli się oglądać.

Przez tłum powoli przeciskał się Absalom Whitt. Ludzie schodzili mu z drogi, a Stella zobaczyła u jego boku dziewczynkę. Lekko opierał dłoń na jej ramieniu. To była Sunny, ubrana w białą sukienkę.

Nikt się nie odezwał.

Para przeszła obok krzeseł. Sunny dotknęła ręki Abby’ego, a następnie samotnie zbliżyła się do trumny. Miała na sobie tę samą sukienkę, którą Stella założyła w dniu pierwszej komunii. Nie było na niej śladu po soku z buraków.

– Sunny, tak się cieszę, że przyszłaś – odezwał się Hendrick. – Chcesz usiąść?

Wyraz twarzy dziewczynki był trudny do odczytania. Czerwono-białe zawijasy na jej twarzy działały jak kamuflaż.

Ruth nachyliła się nad Stellą.

– Veronico! Posadź ją!

– Otwórzcie – poprosiła Sunny.

– Słucham? – spytał Hendrick.

– Otwórzcie trumnę – powtórzyła Sunny, tym razem głośniej.

– Och, kochanie. Nie sądzę, żebyśmy…

Stella wstała. Veronica pisnęła.

Sunny popatrzyła na Stellę, która podeszła do trumny i pociągnęła za wieko, ale to się nie otworzyło. Przywołała gestem pracowników domu pogrzebowego. Zbliżyli się, przestawili coś pod wiekiem i je unieśli. Sunny zajrzała do środka.

– Hmm.

Potem dziewczynka wróciła do Abby'ego. Kamerzysta, chudy nerwowy gość, skierował na nią obiektyw i zaczął nagrywać. Sunny go zignorowała.

Abby coś do niej wyszeptał, a ona pokiwała głową. Razem się oddalili, kierując się w stronę ścieżki prowadzącej do jego chatki.

Hendrick przerwał kazanie. Poprosił zgromadzonych, by skłonili głowy, zadeklamował kilka słów, a następnie przyprowadził Polly Ledbetter. Stella nie widziała jej od czasu, gdy pomagała jej się spakować, piętnaście lat wcześniej. Polly zaśpiewała pieśń *The Old Rugged Cross* wysokim świergotliwym głosem, a jakaś kobieta za Stellą wtórowała jej cicho, paskudnie fałszując.

Hendrick powiedział „Amen" i nabożeństwo dobiegło końca. Goście zaczęli atakować rodzinę kondolencjami.

– To zaszczyt panią poznać – rzekł jeden z mężczyzn z Georgii. Chwycił dłoń Stelli obiema rękami i potrząsnął. Dobry Boże, czy jest cokolwiek gorszego od kanapki z dłoni? – Tak wiele o pani słyszałem, ale wreszcie mogę spotkać panią osobiście… no i zobaczyć Sunny!

Uwolniła się z jego uścisku. Wszędzie wokół niej goście z Georgii oraz mieszkańcy kotliny powtarzali imię dziewczynki.

Kilka metrów dalej stała Mary Lynn Rayburn i wpatrywała się w nią ze smutnym wyrazem twarzy. Przez chwilę wyglądała identycznie jak jej brat, co zaszokowało Stellę.

Ruszyła w jej stronę. Nie, nie, nie, pomyślała Stella. Rozejrzała się w poszukiwaniu drogi ucieczki i zauważyła Merle Whitt oraz Pee Wee Simmonsa, którzy stali po drugiej stronie podwórza razem z Alfonsem. Podeszła do nich, przezornie nie patrząc w stronę Mary Lynn.

– Przecież to Stella Mae Wallace – odezwał się Pee Wee, roztaczając wokół siebie diabelski urok dzięki wąsom w stylu Errola Flynna. Trzymał dłonie w kieszeniach obszernych spodni. Stella nie miała na drugie imię Mae, a jego uśmiech nie pasował do pogrzebu.

– Witaj, kochana – rzuciła Merle. Była wysoka i chuda, miała na sobie niemal identyczne spodnie jak jej mąż, ale lepiej w nich wyglądała. Trzymała ręce z dala od ciała; była gotowa uściskać Stellę, lecz na to nie nalegała.

Ale Stella zaskoczyła sama siebie. Podeszła do kobiety i ją objęła. Zaciągnęła się znajomą wonią papierosów Lucky Strike i szamponu Drene. Stella poznała Merle jako trzynastoletnia dziewczynka i cieszyła ją myśl, że ma wśród znajomych kogoś dorosłego, kto co prawda jest od niej wyższy, ale zarazem mądrzejszy i bardziej wyrafinowany.

– Jak się masz? – spytała Merle. – Dobrze się odżywiasz?

Jezu, aż tak źle wygląda? Najpierw Veronica zwróciła uwagę na jej oczy, a teraz coś takiego. Co gorsza, troska Merle wydawała się szczera.

– Bywało lepiej. Życie jest skomplikowane.

– Mamy za sobą długą noc – wyjaśnił Alfonse.

Merle wciąż sprawiała wrażenie zmartwionej.

– Jak się czuje Sunny? Cieszę się, że miała okazję się pożegnać.

– A przynajmniej zidentyfikować ciało – dodał Pee Wee.

– To było coś – rzekł Alfonse.

Biedny facet. To zamieszanie z trumną to drobiazg. Sytuacja miała się stać znacznie dziwaczniejsza.

– Myślę, że nic jej nie będzie – odpowiedziała Stella, ale można było odnieść wrażenie, że jej słowa oznaczają coś przeciwnego. Nie wiedziała, czy dziewczynka smuci się z powodu śmierci Motty, jest zadowolona, czy może po prostu szykuje się do wyjazdu do Georgii.

– Motty nigdy nie pozwalała jej się zbliżać do naszego domu – powiedziała Merle. – Twierdziła, że daję zły przykład i tak dalej. Kiedy już będzie po wszystkim, musisz ją do nas przyprowadzić.

Stelli zacisnęło się gardło. Powinna powiedzieć, że Sunny może zamieszkać z Hendrickiem.

– Albo… odwiedź nas sama – dodała Merle.

Stella nie była u niej od miesięcy. Nie miała żadnej wymówki. Merle i Pee Wee mieszkali w Switchcreek, niedaleko jej domu w Maryville. Ci ludzie zapewnili jej dach nad głową, gdy rozważała dołączenie do matki. Zakotwiczyli ją, a kiedy przetrwała sztormy i mroczne lata, pomogli jej rozpocząć nowe życie. Z niczyim zdaniem nie liczyła się bardziej.

Ale pozostawała kwestia Sunny.

– Tak mi przykro – odpowiedziała. – Byłam bardzo zapracowana.

Pee Wee uniósł brew.

– Alfonse opowiadał nam o niedawnym zamieszaniu.

– Wspominałem, że przeprosiny sporo nas kosztowały – rzekł Alfonse.

– Jak to się skończyło? – spytał Pee Wee.

– Dostałeś swoje dwieście sześćdziesiąt litrów, prawda? – Pee Wee był jej zamiejscowym dystrybutorem. Nie tyle handlował bimbrem, co ostrożnie

eskortował go podczas podróży do innych stanów. Nigdy nie przekraczał prędkości i jeździł tylko nowymi sedanami, polegając na wizerunku człowieka przyzwoitego i zamożnego, by nie zwracać na siebie uwagi policji. Rzadko go zatrzymywano, a wtedy robił użytek ze swojego uroku osobistego.

– Alfonse rzeczywiście dostarczył towar do mojego warsztatu – odrzekł Pee Wee. – Ale jeszcze nie miałem okazji skosztować.

– Więc nie traćmy czasu. – Stella podała mu piersiówkę Alfonse'a. Pee Wee rozejrzał się jak wprawny pijaczyna, a potem pociągnął łyk. Merle wzięła od niego piersiówkę. Zakaszlała, ale przełknęła alkohol.

– Doskonałe przeprosiny – przyznał Pee Wee. – Prosto z serca.

– Nie mam pojęcia, jak wy możecie to pić – stwierdziła Merle.

Stella zdawała sobie sprawę z obecności Mary Lynn i ustawiła się do niej plecami.

– Merle, a co słychać na uczelni? – spytała. – Trzymasz pierwszoroczniaków w ryzach? – Zajęcia z biologii z pierwszym rokiem były źródłem najlepszych anegdot.

– Większość z nich nie wierzy w ewolucję, a ja zaczynam ich rozumieć. Jak to możliwe, że z roku na rok stają się coraz głupsi?

– To selekcja seksualna – wyjaśniła Stella. – Chłopcy nie zaciągną chrześcijańskich dziewcząt do łóżka, jeśli będą używać skomplikowanych naukowych słów.

– Więc muszą wykazywać się ignorancją.

– Jak pawie chwalące się piórami – zgodziła się Stella. – Tylko w ich wypadku chodzi o głupotę.

– Powinnyśmy napisać razem jakiś artykuł.

– Moi studenci zadzwonią do twoich.

Pee Wee pokręcił głową, udając zagubienie. Uwielbiał ich słowne potyczki, ale trzymał się na uboczu.

Stella z ulgą zobaczyła, że Mary Lynn odchodzi w stronę drogi. Dała za wygraną. Na podwórzu kłębiło się mnóstwo osób, zarówno gości z Georgii, jak i miejscowych. Ale dlaczego nie wracali do domu? Sprzeciw starszego Rayburna sprawił, że Pierwotni Baptyści nie przygotowali niczego do jedzenia, a żaden inny kościół nie odważył się wyjść przed szereg. Zazwyczaj najszybszym sposobem na pozbycie się baptysty jest powiedzenie mu, że skończył się smażony kurczak.

Nagle zauważyła, z kim rozmawia wujek Hendrick.

Merle zwróciła uwagę na jej zaniepokojoną minę i zmarszczyła czoło.

– Co się stało?

– Muszę już iść, ale obiecuję, że niedługo się zobaczymy.

Merle ścisnęła jej rękę.

– Trzymaj się.

– Nie martwię się o siebie. – Stella wymieniła spojrzenia z Alfonse’em: Wszystko w porządku? Pokiwał głową.

Podeszła do Hendricka, by rozpocząć negocjacje.

* * *

Hendrick, Tom Acherson i szeryf Whaley stali razem i naradzali się jak triumwirat dokonujący podziału Rzymu.

Nie podobało jej się, że są ze sobą tak spoufaleni.

Wzięła głęboki oddech. Ruszyła naprzód jak taran.

– Jak się macie, chłopcy? – spytała, ignorując Hendricka.

Tom Acherson zdjął kapelusz, wepchnął go pod prawą pachę i wyciągnął lewą rękę.

– Piękne nabożeństwo – powiedział. Miał na sobie brązowy garnitur i jasnobrązowy krawat.

Szeryf Whaley złożył jej kondolencje, na co szkoda mu było czasu, gdy wparował do domu poprzedniego ranka.

– Jestem pewna, że Motty była dla was wszystkich jak wrzód na tyłku – odrzekła Stella.

Whaley zachichotał, a Tom poczerwieniał. Był zdecydowanie zbyt przyzwoity. Hendrick popatrzył na nią karcąco.

– Jeszcze raz dziękuję, że pozwoliłeś nam ją tutaj pochować, Tom – dodała. – Doceniam ten gest.

– Chociaż tyle mogłem zrobić – odrzekł. – Powiedziałem Hendrickowi, że niezależnie od tego, jaki wystawicie pomnik, park będzie o niego dbał.

– Naprawdę? Myślałam, że zamierzacie wymazać wszelkie ślady naszego istnienia.

– Co takiego? Ależ nie!

– Nie zburzycie gospodarstwa?

– Nie taki jest plan, Stello – wtrącił się Hendrick. – Nie jesteś na bieżąco.

Usiłowała powstrzymać złość.

– W takim razie mnie uświadom.

– Owszem, pierwotny zamysł zakładał przywrócenie kotliny do jej naturalnego stanu, ale władze parku zmieniły zdanie już kilka lat temu. Zamierzamy zachować wybrane domostwa i stodoły dla celów edukacyjnych.

– Wybrane domostwa.

– Właśnie! – Tom był najradośniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała, i nawet na pogrzebie nie tracił dobrego nastroju. – Skupiamy się na domach wybudowanych przed, powiedzmy, tysiąc dziewięćset dziesiątym rokiem – chatach, budowlach w stylu pionierskim. No wiesz, chcemy pokazać ludziom, jak kiedyś żyli w kotlinie górale z południa. Birchowie oczywiście byli tutaj jedną z pierwszych rodzin, a ten dom… no cóż, to nie jest oryginalna chata z tysiąc osiemset dwudziestego trzeciego, ponieważ tę zburzono w czterdziestym piątym i na jej miejscu wybudowano obecny dom, do którego dodano kolejne dobudówki w tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym, a potem w latach osiemdziesiątych…

– To stary dom, rozumiem.

– Jestem pewien, że władze parku zechcą go zachować – dokończył Tom wesoło.

– Kiedy mówisz, że jesteś tego pewien, chcesz przez to powiedzieć, że ktoś inny nie jest – odparła.

– Cóż, owszem, istnieje pewien komitet… grupa ludzi, w której skład wchodzą nie tylko administratorzy, ale także historycy i antropologowie. Oni podejmą ostateczną decyzję. To trudna praca. Nie da się zachować wszystkiego. Trzeba wybierać. Zarządzać.

– To znaczy spalić wszystko, co nie pasuje do produktu, który sprzedajecie.

– Akurat ty dobrze znasz ten proces – wtrącił się szeryf Whaley. Obserwował jej twarz.

Podobnie jak Hendrick. Tom znów zrobił zawstydzoną minę. A może zagubioną. Na pewno słyszał plotki o jej działalności, nawet Jankes nie mógł być tak nieświadomy.

Postanowiła się roześmiać.

– Być może wiem co nieco o destylacji. Jestem wnuczką Motty.

– Oraz uczennicą Abby’ego – dodał Whaley. – Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Szeryf chciał powiedzieć, że jest z ciebie prawdziwa kobieta biznesu – stwierdził Hendrick.

– Chciałeś powiedzieć „dama”.

– Ha! – zawołał Tom, ale zaraz tego pożałował.

– Alfonse i ja wracamy do domu, zanim zacznie padać – powiedziała Stella do Hendricka. – Do zobaczenia w środku?

– Alfonse?

– Jej chłopiec – wyjaśnił Whaley.

– Ten chłopiec walczył na froncie w czterysta pięćdziesiątym drugim pułku artylerii – odparła Stella. – A gdzie wy byliście w czasie wojny? Nie licząc

Toma.

– Eee, dziękuję – rzekł Tom. – Ale…

– Zaraz przyjdę do domu – odezwał się Hendrick. – Chcę się z tobą pożegnać, zanim odjedziesz.

* * *

Deszcz bębnił w blaszany dach. Znała ten szumiący odgłos równie dobrze jak ryk krwi we własnych uszach. Setki razy przy nim zasypiała. Teraz wypełniał kuchnię jak para, sprawiając, że niewielkie pomieszczenie wydawało się jeszcze mniejsze, a zarazem bardziej ustronne.

Wujek Hendrick siedział po drugiej stronie stołu. Oboje trzymali w dłoniach kubki z kawą jak pistolety podczas pojedynku. Veronica i Rickie siedzieli pomiędzy nimi. Brat Paul i pół tuzina uczniów Hendricka otaczali stół i przypatrywali się im nieco zbyt natarczywie. Stella cieszyła się, że Alfonse opiera się o ścianę zaledwie metr od niej z rękami w kieszeniach.

Resztę domu wypełniali goście z Georgii, których było co najmniej kilkanaścioro. Nie chcieli wychodzić na deszcz, a z jakiegoś powodu nie zamierzali wracać do siebie.

Chudy mężczyzna podniósł ośmiomilimetrową kamerę.

– Jeśli choćby dotkniesz tej korbki, wepchnę ci całą kamerę do gardła – ostrzegła Stella.

Sprawiał wrażenie zaszokowanego, że kobieta odezwała się do niego w ten sposób.

– W porządku, Stanleyu – rzekł Hendrick, ale nie spuszczał wzroku z Alfonse’a.

Stelli podobało się, że wujek nie wie, co myśleć o jego obecności. Chciała, by wszyscy zastanawiali się, czy ten czarnoskóry jest uzbrojony, niebezpieczny, a przede wszystkim czy wie o kościele. Będą musieli uważać na to, co mówią. Na to, jak bardzo ją przycisną.

– Pamiętajmy, że to nie jest kłótnia – odezwał się Hendrick tonem serdecznego patriarchy. – Spotkaliśmy się, aby omówić kilka kwestii jako rodzina.

Jasne, zwykła rodzinna dyskusja, pomyślała Stella. Mniej ludzi oglądało kapitulację generała Lee w Appomattox.

– Jeśli chcesz otrzymać coś z domu, chętnie o tym porozmawiam – rzekł Hendrick. – Albo uczciwie ci za to zapłacę. Z osobistych i historycznych powodów chciałbym zachować jak najwięcej pamiątek.

– Brzmisz jak Tom Acherson. Otwierasz muzeum?

– Tak się składa, że owszem – odrzekł brat Paul.

– Nie przyszłam rozmawiać o pamiątkach – odparła Stella. – Chodzi o Sunny.

– Oczywiście, oczywiście – zgodził się Hendrick. Miał podwinięte rękawy i poluzowany krawat. Powinien umierać ze zmęczenia, tak jak ona, ale zamiast tego był nakręcony i podekscytowany. Czyżby dlatego, że wreszcie wyszedł z cienia Motty? – Najważniejsze, że oboje chcemy dla dziewczynki tego, co najlepsze.

– Najważniejsze, abyśmy zgodzili się, co jest dla niej najlepsze, do diabła – odrzekła Stella.

– Jestem pewien, że… aha…

Kiedy miała do czynienia z bogobojnymi ludźmi, lubiła od czasu do czasu rzucić jakimś przekleństwem, aby zbić ich z pantałyku.

– Dlaczego brat Paul ma pistolet? – spytała. – Jesteś policjantem, bracie Paul?

– Mężczyźnie wolno nosić broń – stwierdził Hendrick.

– Wszystkim nam wolno – odparła i sięgnęła do kieszeni.

Brat Paul zrobił krok do przodu, a ona pokazała mu piersiówkę. Wlała resztkę bimbru do swojego kubka.

Alfonse cicho zachichotał.

– Nie rozumiem – odezwał się Rickie. – Po co on tutaj jest?

– Vee, mogłabyś powiedzieć swojemu chłopakowi, żeby się przymknął? – poprosiła Stella.

– Narzeczonemu – odrzekła Veronica cicho.

– Wiem, że potrafisz zachowywać się emocjonalnie, Stello – powiedział Hendrick. – Chętnie zrobię coś, co rozproszy twoje obawy.

Bardzo, kurwa, miło z twojej strony, pomyślała Stella.

– Chcę, abyście ty i Abby czuli się swobodnie – ciągnął. – On nie należy do rodziny, ale Sunny go słucha.

No tak. Błogosławieństwo.

– Chcę się upewnić, że jesteś w stanie się nią zaopiekować – odrzekła Stella. – Nie tylko przez rok, ale do czasu, aż będzie samodzielna.

– Jesteśmy w stanie to zrobić – zapewnił Hendrick. – Nie musisz się przejmować.

Nie bez powodu użył liczby mnogiej.

– Zacznijmy od twojego rancza – kontynuowała. – Skąd wziąłeś pieniądze na zakup pięciuset akrów?

Hendrick uśmiechnął się, żeby zamaskować coś, co wyglądało jak niestrawność.

– Chyba czegoś nie zrozumiałaś. To nie jest moje ranczo. Należy do kościoła.

Popatrzyła na brata Paula z przesadnym zdziwieniem.

– Jasna cholera, Hendrick przekonał was, żebyście płacili mu dziesięcinę?

– Płacimy dziesięcinę kościołowi – odrzekł Paul.

– Założę się, że wiem, czyje nazwisko widnieje na rachunku bankowym.

– To nie twoja sprawa.

Oho, pomyślała. Paul się zezłościł. Ciekawe, ile pieniędzy już w tym utopił.

– Masz rację, nie obchodzi mnie, skąd pochodzą pieniądze. Ale jest dla mnie ważne, abym mogła odwiedzać Sunny na twoim ranczu, kiedy tylko zechcę, bez zapowiedzi. A ona będzie mogła zawsze do mnie zadzwonić.

– Dlaczego ona nagle tak się nią interesuje? – spytał brat Paul. – Myślałem, że już wiele lat temu umyła ręce.

– Ponieważ Motty nie żyje – odpowiedziała Stella. Zwróciła się do wszystkich zgromadzonych. – Sunny będzie potrzebowała w swoim życiu kobiety z rodu Birchów. Już jej powiedziałam, że kiedy będzie dorastała, zaczną ją dręczyć pytania, na które wy nie potraficie odpowiedzieć. Właśnie dlatego muszę mieć możliwość spotykania się z nią zawsze, gdy któraś z nas o to poprosi.

– Stella ma rację – przyznał Hendrick. Poirytowało ją, że się z nią zgodził. – Jest teraz najstarsza, a to honorowa funkcja. Clara wspierała Esther, Esther wspierała Motty i tak dalej. – Wciąż mówił jak pastor podczas kazania. Boże, uwielbiał występować przed publicznością. – Posłuchaj, Stello. Nie podobają mi się niektóre wybory, których dokonałaś w ciągu ostatnich kilku lat, Bóg mi świadkiem. Ale niezależnie od moich osobistych zastrzeżeń nie będę pierwszym Birchem, który zerwie z tą tradycją.

Trochę za łatwo ustąpił, więc podejrzewała, że coś knuje. Może uznał, że Stella nigdy nie poprosi o spotkanie. W końcu przez dziesięć lat unikała Sunny. Nikt by się nie zdziwił, gdyby tak samo wyglądała kolejna dekada.

Stella musiała się zastanowić, jak sformułować swoje kolejne żądanie. Pociągnęła łyk z kubka, pozwalając, by smak słabej kawy i mocnego trunku osiadł jej na języku. Dziwnie było czuć ten smak w nocy; kawa i whiskey to zazwyczaj śniadaniowe połączenie.

– Po drugie… – zaczęła. Wreszcie nadszedł moment, gdy będzie potrzebowała Alfonse’a. – Dopóki Sunny nie osiągnie dojrzałości, nie będzie mogła wrócić do kotliny, jeśli mnie tu nie będzie. Żadnych pikników w parku. Żadnych nabożeństw w kaplicy. Nic z tych rzeczy.

– Co takiego? – spytał brat Paul, wyraźnie urażony. Wyglądał jak człowiek, który lubi się gniewać.

Jego towarzysze zaczęli szemrać między sobą.

– Takie są moje warunki – dodała Stella. – Nic nie wydarzy się beze mnie.

– To absurd – odrzekł Paul. – Ta kobieta nie może dyktować warunków.

– Pozwól, że powiem jaśniej – ciągnęła Stella. – Jeśli spróbujecie sprowadzić tutaj Sunny beze mnie, powiem władzom parku o kaplicy, jaskini i wszystkim innym. Już nigdy nie będziecie mieli do niej dostępu.

Goście byli wyraźnie zbici z tropu.

– Nie zrobiłabyś tego – odparł Hendrick.

– Oczywiście, że tak.

– Nie możesz udawać, że nie kochasz naszego Boga. Byłaś Objawicielką – przypomniał Hendrick. – Kiedy ktoś dotknie boskości, otrzymuje nieusuwalne piętno. – Mówił z pewnością siebie, ale sam nigdy nie doświadczył spotkania z Duchojcem. Słyszał opowieści o ogniu i sądził, że wie, czym jest gorąco. – Przykro mi, że twój narzeczony umarł. Przykro mi, że…

– Chłopak – poprawiła go Veronica.

– …poczułaś potrzebę ucieczki. Uważałem, że ucieczka przed rodziną to błąd, ale uszanowałem twoją decyzję.

– Ponieważ Motty ci kazała.

Hendrick się uśmiechnął.

– To prawda. Była niepowstrzymana. A ty sporo po niej odziedziczyłaś. Sunny także, jeśli mam być szczery.

Jeśli, pomyślała Stella.

– Muszę wiedzieć jedno – mówił dalej Hendrick. – Co zrobisz, kiedy Sunny osiągnie dojrzałość?

– Wtedy to będzie jej decyzja – odrzekła Stella. Wcale nie kłamała. Kiedy Sunny skończy dwanaście lat, nie będzie już miała żadnego wyboru. – Jeśli do tego dojdzie, zrobię wszystko, żeby całą i zdrową przeprowadzić ją przez komunię. Nie dla ciebie. Dla niej. Duchojciec jest bardziej niebezpieczny, niż wam, mężczyznom, się wydaje.

Alfonse wydał z siebie pomruk zaskoczenia. Hendrick i Veronica patrzyli na niego, niewątpliwie zastanawiając się, jak dużo Stella mu powiedziała. Ona sama uważała, że niewystarczająco dużo. Po dzisiejszym dniu będzie musiała wiele mu wytłumaczyć.

– A więc osiągnęliśmy… porozumienie? – spytał Hendrick.

– To zależy od Veroniki.

Zdziwiona Veronica podniosła wzrok.

– Musisz mi obiecać, że będziesz się nią opiekować – powiedziała Stella. – Dbaj o jej bezpieczeństwo. Możesz to zrobić, Vee?

Veronica zachowywała się kapryśnie i była próżna jak aktorka z Broadwayu, ale nigdy nie była głupia. Wiedziała, że to poważna sprawa. Ścisnęła dłoń Stelli

ponad stołem.

– Obiecuję.

Stella wstała, a Alfonse się wyprostował. Wymienili spojrzenia. W porządku? W porządku.

– Porozmawiam z Abbym – obiecała Stella Hendrickowi. – Sprawię, że to zaakceptuje.

Hendrick klasnął w dłonie.

– Chwała Bogu. – Wstał od stołu.

Mężczyźni w pomieszczeniu popatrzyli na niego. Brat Paul miał pieniądze, ale Hendrick był cholernym prorokiem.

– Czekaliśmy sto lat – odezwał się Hendrick, podnosząc głos. – Możemy zaczekać jeszcze dwa. – Patrzył na Stellę, ale mówił z myślą o podręcznikach historii. Jeszcze tej nocy napisze przemowę. – Tymczasem studiujmy Objawienia i opiekujmy się Objawicielką. Bóg ujawni się, kiedy przyjdzie czas, kiedy świat będzie go potrzebował. W tym dniu kościół będzie gotowy. Amen!

– Amen – odpowiedział niechętnie brat Paul. Dołączył do niego pobożny chór.

Kiedy Stella była mała, zapytała wujka Hendricka, co otrzymujemy od Boga. A on opowiedział jej o miłości, poczuciu sensu i niejasnych obietnicach nieskazitelnego ciała. Żadnych konkretów. Niczego doczesnego.

Ale Hendrick znalazł sposób na wykorzystanie Boga do osiągnięcia bardziej bezpośrednich zysków. Najpierw za pomocą dostępu do bóstwa i ludzkiej skłonności do przesądów należy zdobyć wyznawców, następnie wyciągnąć od nich pieniądze i wydać je na zakup nieruchomości albo zdobycie czegoś innego, na czym nam zależy. Choćby władzy politycznej. To najstarsza sztuczka znana ludzkości.

Hendrick wyciągnął rękę do Stelli.

– Cieszę się, że znów jesteś po naszej stronie.

Popatrzyła na jego dłoń i pomyślała: On nie wie. Nie ma pojęcia, jak łatwo mogłabym go zabić.

Ścisnęła jego rękę tak mocno, że się skrzywił.

– Jeszcze jedno – powiedziała.

Nagle sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

– Tak?

– Żelazne patelnie.

– Słucham?

– Wspomniałeś o pamiątkach po Motty. Chcę dostać jej żelazne patelnie. Wiesz, ile lat je hartowała?

* * *

Alfonse prowadził auto w milczeniu, skupiając wzrok na wąskiej, krętej drodze. W samochodzie było głośno za sprawą bębnienia deszczu i uderzeń automatycznych wycieraczek.

W końcu dotarli do autostrady. Alfonse dodał gazu i spytał:

– Co to było, do kurwy nędzy?

– Dzięki, że byłeś ze mną – odpowiedziała Stella. – Poszło lepiej, niż się spodziewałam. – Hendrick dał jej wszystko, o co prosiła. Trzy ciężkie patelnie leżały na jej kolanach, powkładane jedna w drugą.

– Co to, kurwa, jest Duchojciec?

Stella westchnęła.

– Wymyślony bóg wymyślonej religii.

– To obłęd.

– Próbowałam cię ostrzec.

– Co za zwariowane wsioki.

– Przed tym też cię przestrzegałam.

– Wyjaśnisz mi, co to za umowa, którą zawarłaś? Bo nie mam pojęcia, co tu się, kurwa, dzieje.

– Wystarczy, jeśli będziesz wiedział, że dostałam to, czego chciałam.

Alfonse pokręcił głową.

– Jesteś pewna? Nie wiem, czy temu twojemu wujkowi można zaufać.

– Hendrickowi? – Stella się roześmiała. – Ani trochę mu nie ufam.

– Więc o co w tym chodzi?

– Musiałam stawić mu czoło. Udać, że to dla mnie trudne, nawet trochę mu pogrozić, w przeciwnym razie nie uwierzyłby w naszą umowę. Wiesz, jak to jest, kiedy negocjujesz z jakimś sukinsynem. On nie będzie zadowolony, dopóki nie poczuje, że cię oszukał.

– Nadal nie mam pojęcia, co mu sprzedawałaś.

– Raczej co kupowałam… Więcej czasu.

– W jakim celu?

Żeby zabić boga, pomyślała.

– Chciałam, żeby Hendrick wyjechał z kotliny, tylko na jakiś czas. Żeby uznał, że wszystko potoczy się po jego myśli, jeśli zaczeka dwa lata.

– A co będziesz robiła w tym czasie?

Położyła dłoń na jego ramieniu.

– Muszę cię poprosić o jeszcze jedną przysługę.

– Zaczyna się – odrzekł, ale się uśmiechnął.

– Twoi kuzyni wciąż pracują w Chattanoodze?

– Bowlinowie są wszędzie.

– Myślisz, że mogliby nam sprzedać trochę dynamitu?

Alfonse na nią popatrzył. Potem znów skierował wzrok na drogę.

– O jakiej ilości mówimy?

– Wystarczającej, żeby spowodować… nazwijmy to incydentem geologicznym.

– Cholerka. Chodzi o tę jaskinię, o której rozmawialiście?

– Być może.

– Na kiedy go potrzebujesz? – spytał.

– Myślisz, że dasz radę załatwić to w ciągu tygodnia?

– Podzwonię do kilku osób. – Omówili ilość i prawdopodobną cenę. Nie wspominali o skutkach prawnych. – A co z tą dziewczynką, Sunny? Pozwolisz jej wyjechać z wujkiem?

– Hendrick ją uwielbia. A przede wszystkim jej potrzebuje. Nie zrobi jej krzywdy.

– Ale jeśli ona…

Alfonse się powstrzymał. Stella czekała, aż dokończy pytanie. Ale jeśli ona jest twoją…?

– Ona bardzo cię przypomina – odezwał się w końcu.

– Wszystko przez tę skórę. To dziedziczna przypadłość.

– Po stronie mamy czy taty?

– Co takiego? Nie. Mężczyzna, którego nazywałam swoim tatą, za cholerę nie ma z tym nic wspólnego.

13

1937

Abby przyłapał ją, gdy wpatrywała się w głąb lasu z otwartą książką na kolanach.

– Wszystko dobrze, Gwiazdko?

Nie wiedziała, jak odpowiedzieć. Przez ostatnie sześć miesięcy żyła w zawieszeniu pomiędzy bardzo dobrze a bardzo źle. Bóg nie odwiedził jej ponownie, ale ona chodziła do niego – Hendrick i wujkowie pozwolili jej z nim obcować jeszcze trzykrotnie. Za każdym razem dłużej wracała do siebie. Leżała w łóżku całymi dniami i kręciło jej się w głowie od obcych myśli. Już nie wiedziała, która część jej osoby wciąż należy do niej, a która do Boga w Górze.

– W porządku – odpowiedziała. – Tylko… rozmarzyłam się.

– To nic złego, jeśli tęsknisz za swoim tatą.

– Co to ma do rzeczy?

– Po prostu pomyślałem…

– Motty powiedziała ci o liście. – Przyszedł dwa dni wcześniej, z hrabstwa Cook w Illinois, i składał się z zaledwie sześciu zdań, z których większość dotyczyła tego, że w Tennessee jest znacznie lepiej niż w Chicago, gdzie zimy były mroźne, a lata parne. Ostatnie zdanie wyglądało jak wyznanie wymuszone biciem:

W listopadzie ożeniłem się z kobietą imieniem Marie, jest bardzo miła i mam nadzieję, że niedługo ją poznasz.

Tata

– To nie ma dla mnie znaczenia – dodała Stella. – Ray Wallace może wskoczyć do jeziora.

Abby wydął usta. Usiadł obok niej. Udawała, że czyta książkę.

Cisza nie trwała długo. Po chwili spytał, co czyta, starając się brzmieć naturalnie. Potem pojawiły się kolejne pytania: Jak jej idzie w szkole? Czy podoba jej się któryś z chłopców? Stellę ciekawiło, czy Lincoln Rayburn pytał o nią po tamtej wyprawie do kościoła. Motty go przegoniła, ale wciąż kręcił się

obok szkoły i próbował umówić się ze Stellą, licząc na to, że ona w końcu ustąpi. Miała trzynaście lat, a wszystkie dziewczęta w jej wieku w szkole zbiorczej szalały za chłopcami i nie mogły zrozumieć, dlaczego nie zamierzała związać się z takim przystojniakiem. Stella pozostawała nieprzekonana.

– Nic mi nie jest, Abby.

Tak bardzo się o nią martwił, zapewne od dawna. Motty także ją obserwowała, równie pilnie jak swoją maciorę, tęgiego zwierzaka o słodkim pysku i wrednym charakterze. Świnia potrafiła poruszać się błyskawicznie jak wąż, mimo że od roku przybierała na wadze i jej ciało całkiem zmieniło kształt. Stella znała to uczucie. Jej ciało również wymknęło się spod kontroli. Bolały ją nogi, co Motty lekceważąco tłumaczyła rośnięciem. Kości ud napinały jej mięśnie jak struny gitary, gotowe w każdej chwili zerwać się z brzęknięciem. Na jej czole pojawiły się pryszcze.

Ale najgorszy był jej niepokorny mózg. Czasami budziła się w środku nocy z mocno bijącym sercem i głową pełną ostrych myśli, których nie potrafiła ubrać w słowa.

Irytowało ją, że tak trudno jest zachować przekaz Boga. Początek każdej komunii był jasny: długie oczekiwanie na stole, zimny kamień pod plecami, oczy wpatrujące się w mrok. A potem, gdy już była niemal przekonana, że Bóg tym razem nie przyjdzie, zauważała ruch w ciemności, a serce podskakiwało jej w piersi. Bóg zawsze poruszał się powoli, opuszczał się ku niej jak pająk na nici, a potem wyciągał w jej stronę jedną z kończyn. Czuła ostry ból, gdy ich dłonie się stykały. Potem bardzo powoli się cofał, Stellę zaczynały boleć ręce, a między nimi rozciągało się to dziwaczne lśniące, dygoczące ścięgno, które ją szarpało. Była jak marionetka albo ryba na żyłce. Następnie spadała na nią fala myśli i emocji. W końcu traciła przytomność.

Później budziła się w swoim pokoju, jak rozbitek wyrzucony na brzeg, wyczerpana, zdyszana i oszołomiona tym, że ocalała. Oczywiście to Motty za każdym razem wynosiła ją z jaskini i się nią opiekowała. Opatrywała jej dłonie i ocierała czoło, szorstko jak kowboj znakujący bydło. Stella spędzała kilka dni w łóżku, gdzie niespokojnie spała, śniąc cudze sny. Kiedy otwierała oczy, cały pokój aż drżał od znaczeń. Każdy przedmiot, każda książka, klepka w podłodze czy szyba ujawniały jej swoją naturę. Talerz, który przyniosła jej Motty, był zarazem sobą i czymś czystszym, pierwotną formą, która istniała, kiedy Bóg szeptem powoływał świat do istnienia. Rubinowy kawałek pomidora pochodził prosto z rajskiego ogrodu.

Bezustanny napływ tajemnej wiedzy był wyczerpujący, ale Stella płakała, kiedy zaczynał słabnąć. A gdy całkowicie znikał, a wszystkie przedmioty

stawały się nieme i zapominały o swojej prawdziwej istocie, zaczynała tęsknić za tym uczuciem. Pragnęła znów zobaczyć Boga.

Ale Bóg do niej nie przychodził. Hendrick i wujkowie kierowali się własnym harmonogramem, a ona nie mogła sama pójść do kaplicy, ponieważ Motty ukryła klucz. Wszyscy kontrolowali, co i kiedy Stella robiła, a ona nie miała nic do powiedzenia.

Dorośli mogli robić wszystko, co chcieli, zwłaszcza mężczyźni. Psiakrew, mogli nawet ożenić się z jakąś lafiryndą imieniem Marie.

– Chcesz popatrzeć, jak Tom Acherson burzy dom Ledbetterów? Ma wielką koparkę.

– Nie. – To było zbyt przygnębiające, żeby wyrazić to słowami. Wciąż pamiętała dzień, gdy pomagali im się pakować, a Polly Ledbetter wyglądała jak martwa.

– Daj spokój – rzekł Abby. – Niecodziennie można zobaczyć, jak człowiek z jedną ręką burzy dom.

– Idź sam. – Od miesięcy próbował gdzieś ją wyciągnąć. Proponował wspólny wypad na polowanie albo prosił, żeby pomogła mu w destylarni, ale ona straciła zainteresowanie.

– Zaczekaj! Mam!

– Dzięki, ale chcę po prostu poczytać.

– Och, to o wiele lepsze od jakiejś starej książki. – Następnie złożył jej propozycję nie do odrzucenia.

* * *

Przycupnęła na skraju wysokiego przedniego siedzenia Forda Model A, tak że niemal stała. Trzymała kierownicę śliskimi dłońmi, choć jeszcze nie uruchomili silnika. Stali na równym terenie, mniej więcej półtora kilometra od domu Motty.

– Chyba nie jestem gotowa – powiedziała.

– Też coś. Masz trzynaście lat – odrzekł Abby. – Wujek Dan nauczył się prowadzić, kiedy nosił pieluchy.

– Czyżby?

– Pewnie, miał wtedy czterdzieści lat.

– Abby!

– Ach, znów widzę ten uśmiech. Gotowa odpalić silnik? To bardzo proste.

– Słucham.

– Pociągnij hamulec ręczny… Przede wszystkim bezpieczeństwo! Dobrze. Teraz wciśnij sprzęgło i wrzuć luz, poruszaj gałką zmiany biegów, żeby mieć

pewność, że jest luźna, właśnie tak. Upewnij się, że przewód paliwowy jest otwarty. Widzisz go pod deską rozdzielczą? Przekręć ten mały zawór obok twojego kolana do pozycji pionowej, a paliwo popłynie. Tutaj masz dławik, pociągniesz go, kiedy uruchomimy silnik, ale jeszcze nie teraz. Widzisz tę gałkę na szczycie dławika? To zawór od mieszanki powietrza z paliwem, przekręć go w lewo, nie, nie do końca, tylko do trzech czwartych… Na początku przyda się bogata mieszanka. Guzik rozrusznika znajduje się na podłodze, znajdź go stopą… Nie, to jest gaz, chodzi o niewielki przycisk, ale jeszcze go nie wciskaj. Ta dźwignia po prawej stronie kolumny kierownicy to ręczna przepustnica. Opuść ją o dwa przestawienia, żeby na początku dodać więcej gazu. A ten dynks po lewej to dźwignia zapłonu… Pchnij ją do końca w górę. Kiedy silnik będzie pracował, przesuniemy ją jeszcze bardziej, żeby ogień buchnął w chwili, gdy tłok porusza się do góry, rozumiesz?

Zmierzyła go wzrokiem. Wciąż nie uruchomili samochodu. To urządzenie wymagało tyle samo zachodu co aparat destylacyjny.

– Do roboty – odezwał się Abby. – Wciśnij sprzęgło. Przekręć kluczyk. Wduś rozrusznik. Wyciągnij dławik i wepchnij go z powrotem… tylko raz!

Silnik zadudnił i zadrżał.

– Pchnij dźwignię zapłonu! Trochę szerzej otwórz przepustnicę!

Silnik zgasł, wydając przy tym taki odgłos, jakby zakrztusił się kością z kurczaka.

– Nieważne – rzuciła Stella.

– Dobrze sobie radzisz. Chyba za mocno pociągnęłaś dławik. Spróbujmy jeszcze raz.

Pięć minut później Stella puściła hamulec ręczny i samochód ruszył z miejsca. Przejechali trzy metry, zanim zaczęło nim rzucać tak mocno, że dziewczynka wpadła na kierownicę.

– Co się dzieje?! – zawołała.

Abby się roześmiał.

– Za dużo gazu!

– Co mam zrobić?

– Wciśnij sprzęgło. – Musiała pociągnąć kierownicę, by sięgnąć stopą do pedału. – W porządku, teraz łagodnie! Dodaj trochę gazu. Za dużo! Teraz dźwignia zapłonu. Lewą ręką, lewą ręką.

– Przestań na mnie wrzeszczeć!

– Wciśnij sprzęgło, wrzuć na luz, potem znowu sprzęgło…

– Wolniej!

– A teraz drugi… – samochód gwałtownie się zatrzymał – …bieg.

Silnik zgasł. Stella wybuchła płaczem.

– Myślę, że poszło całkiem nieźle – stwierdził Abby.

– Nie kpij ze mnie.

– Nie zrobiłbym niczego takiego. – Otworzył drzwi po stronie pasażera.

– Dokąd idziesz?

– Nauczyłem cię podstaw. Resztę wykombinujesz sama.

– Co takiego?

– Tylko przyprowadź go z powrotem, zanim skończy się paliwo. I nie wyjeżdżaj poza ogrodzenie. – Ruszył w stronę, z której przyszli. Cicho pogwizdywał. Pogwizdywał.

Stella popatrzyła na swoje dłonie, potem na kierownicę, a następnie na 1400 dźwigni, przycisków, zaworów, pedałów i zegarów. Sprzęgło, zapłon, przepustnica, rozrusznik, dławik. Sprzęgło, zapłon, przepustnica, rozrusznik…

Silnik zakaszlał i zbudził się do życia. Wysunęła dławik, otworzyła przepustnicę i zwiększyła obroty. Potem wcisnęła sprzęgło, wrzuciła pierwszy bieg i… samochód zgasł.

Wrzasnęła w stronę przedniej szyby: Niech to szlag, nigdy nie nauczę się prowadzić!

* * *

…a potem pędziła drogą numer 321 z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Abby siedział swobodnie na fotelu pasażera z ręką za głową. W drugiej dłoni trzymał piersiówkę i miał zamknięte oczy. Samochód grzechotał, wiatr wył, a Stella śpiewała na całe gardło *Big River Blues.* Minął ich radiowóz jadący z naprzeciwka. Zobaczyła we wstecznym lusterku, że gwałtownie zahamował.

– Eee, Abby?

Abby wciąż nie był dużo bardziej rozbudzony, gdy policjant podszedł do drzwi po stronie kierowcy. Gliniarz popatrzył na Stellę, a potem zauważył, kto siedzi obok niej.

– Absalom Whitt – powiedział.

– Cześć, Bobby.

Stella się nie odzywała. Cała była zlana potem.

– Zaskoczył mnie widok twojego samochodu za dnia. Kim jest młoda?

– To moja siostrzenica. Stello, przywitaj się z funkcjonariuszem Reedem.

Uniosła dłoń. Policjant był przystojnym białym mężczyzną o wąskiej twarzy i jaskrawozielonych oczach.

– Ile masz lat? – spytał.

– Szesnaście – skłamała.

Uniósł brwi.

– Niskim ludziom wolno prowadzić – wtrącił Abby.

– Na Boga, Abby, sprowadzasz nieletnią na złą drogę?

– Ona nie jest na złej drodze! Dziewczyna zna Szekspira! Stello, wyrecytuj mu jakiś sonet.

– A więc nie robicie dostawy?

– Bobby, myślisz, że naraziłbym niewinną dziewczynę na konflikt z prawem?

– Byłbyś do tego zdolny.

Stella wpatrywała się przed siebie. Konflikt z prawem?

– Pokaż mi prawo jazdy, młoda damo.

– Bobby, zaraz doprowadzisz ją do łez.

Skarciła Abby'ego wzrokiem. Wcale nie była bliska płaczu. Popatrzył na nią tak, jakby chciał spytać: Tak trudno byłoby spróbować?

– Moja babcia nie pozwala mi go wozić – odezwała się Stella do funkcjonariusza Reeda.

– Jak to?

– Twierdzi, że prawo jazdy jest zbyt cenne. Trzyma je w rodzinnej Biblii.

– Rodzinnej…? To najbardziej… Kim jest twoja babcia? – Wytrzeszczył oczy. – Chyba nie…?

Abby pokiwał głową.

– Tak – odrzekła Stella smutnym głosem.

– Motty i Bobby pozostają w napiętych stosunkach – wyjaśnił Abby. – Motty kiedyś do niego strzelała, ponieważ zabił wiewiórkę na jej ziemi.

– Miałem dziesięć lat!

– Na pewno panu przebaczyła – odezwała się Stella.

– Ale nie zapomniała – dodał Abby.

– Podnieś siedzenie – polecił Bobby.

– Mówię ci, że dzisiaj nie pracuję.

– Otwórz.

Abby wstał i pociągnął za dźwignię. W schowku pod siedzeniem było pusto. Funkcjonariusz Reed okrążył samochód. Potem popatrzył na Stellę i zobaczył, że skrzywiła się, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem.

– W porządku, w porządku.

Stella odprawiła cały rytuał uruchamiania samochodu, a następnie wróciła na autostradę. Policjant za nią nie podążył.

Minęła minuta.

– Rodzinna Biblia? – spytał Abby.

– Tylko to przyszło mi do głowy.

– Jesteś urodzoną szmuglerką – odrzekł z podziwem. – Będę cię zabierał na każdy wyjazd.

* * *

Abby obiecał jej hamburgera i kino – gangsterski film z Edwardem G. Robinsonem, który grali w Palace – ale okazało się, że najpierw wybierają się gdzieś indziej. Osiem kilometrów przed Maryville Abby kazał jej zjechać z autostrady i pokierował ją serią krętych dróg do miasteczka niemal równie małego jak strumyk, któremu zawdzięczało nazwę. Kazał jej zaparkować przed ładnym niebieskim domkiem z żółtymi okiennicami. Pee Wee Simms wyszedł ich przywitać.

– Jasna cholera – odezwał się z nosowym jankeskim akcentem. – Ta mała dziewczynka prowadziła twój samochód, Abby!

– Ma już szesnaście lat. Po drodze trzykrotnie obchodziła urodziny.

– Gratuluję, panno Wallace.

– Dziękuję, panie Simms.

– Mojej siostry nie ma, prawda? – spytał Abby.

– Pracuje w środku. Nie martw się, nie usłyszałaby nawet wybuchu bomby. Ale mimo wszystko lepiej się pośpieszmy.

Abby podniósł przednie siedzenie, odsłaniając dwie skrzynki bimbru zabezpieczonego słomą.

– Wejdź do domu – polecił Pee Wee Stelli. – W lodówce mamy lemoniadę. Ale może nie wspominaj…?

– Bez obaw – przerwał mu Abby. – Potrafi dotrzymać tajemnicy.

Przed domem panował nieskazitelny porządek, ale w środku… można było odnieść wrażenie, że zderzyły się tam dwie biblioteki. Na wszystkich ścianach znajdowały się regały z książkami. Sterty tomów oraz papierów piętrzyły się na meblach. W kilku miejscach wieńczyły je talerze albo butelki wina. Na kanapie zostawiono miejsce tylko dla jednej chudej osoby, która niezbyt się wierci. Stella podniosła jedną z książek leżących na wierzchu, cienki blady tom najeżony karteczkami sterczącymi spomiędzy kartek. *Ogólna teoria selekcji naturalnej* doktora R.A. Fishera, F.R.S. – nazwisko oznaczone własnym sekretnym kodem.

– Chłopcy chowają bimber? – spytał jakiś głos.

Przez szparę między skrzydłami oszklonych drzwi zobaczyła białą kobietę rozpartą na fotelu obrotowym, która trzymała nogi na biurku. Nogi odziane w spodnie. Na jej kolanach leżał notatnik. Okulary na łańcuszku wisiały na szyi.

Stella nie chciała kłamać.

– Coś robią.

To się spodobało kobiecie.

– Pewnie jesteś Stella. – Opuściła nogi na ziemię, zrobiła krok nad sięgającą jej do kolan stertą książek i wyciągnęła rękę. – Jestem Merle Whitt.

Stella nie podniosła ręki. Miała strupy na dłoni. Merle zręcznie wycofała się z powitania i zamiast tego machnęła ręką, wskazując pokój.

– Przepraszam za bałagan.

– Ależ nie! – odrzekła Stella. – Wygląda… – szukała właściwego słowa – idealnie.

– Jeszcze nikt nie użył tutaj tego słowa. – Merle wyjęła papierosa zza ucha i go zapaliła.

Była równie wysoka jak Abby, ale miała kręcone orzechowe włosy i oliwkową skórę. Miała na sobie męski skórzany pasek z dodatkowymi dziurkami dopasowanymi do jej talii, a na ręku nosiła gruby zegarek. Stellę zaskoczyło jej nazwisko. Jak to możliwe, że wciąż nazywa się Whitt, skoro wyszła za Simmsa?

Ojej. Stella nadal trzymała książkę.

– Przepraszam, nie powinnam była jej ruszać.

– Może nie uczą was tego w kotlinie.

– Mój nauczyciel twierdzi, że to nie po bożemu.

– Ma rację.

– Mogę spytać, dlaczego pani ma żabę?

Merle podążyła za jej wzrokiem i się roześmiała.

– Podejdź tutaj.

Na jednej z półek, które nie były po brzegi wypchane książkami, stało kilka szklanych obiektów, uporządkowanych od najmniejszego do największego – od małych prostokątów po słój zawierający małą cętkowaną żabę unoszącą się w przezroczystym płynie.

– *Rana pipiens* – wyjaśniła Merle. – Północna żaba lamparcia. Na początku jest tylko pojedynczą małą komórką, a potem… – Wzięła do ręki jeden z najmniejszych szklanych prostokątów i włożyła go Stelli do rąk. – Na tym szkiełku znajduje się pojedyncza blastula, zaledwie trzydzieści dwie małe komórki. Będziemy musiały przynieść mój mikroskop, żeby ją zobaczyć.

Stella bała się, że upuści szkiełko.

– Ma pani mikroskop?

– Jasne. Ten mały koleżka potrzebuje około trzydziestu godzin, żeby osiągnąć stadium gastruli, a potem neuruli… – Kolejne szkiełka. – A po osiemdziesięciu czterech godzinach otrzymujemy pączek ogona… Widzisz?

Wewnątrz malutkiej fiolki znajdował się ciemny kształt o rozmiarach drzazgi. W kolejnym słoiku unosiła się kijanka. Stella wielokrotnie je widywała, ale

niesamowicie było zobaczyć jedną tak wyraźnie.

– Czy to woda? – spytała. – Jak pani…?

– Alkohol, niemal czysty. Wyobraź sobie, że można go wykorzystywać na więcej sposobów. – Roześmiała się. – Nie wiem, po co je trzymam. Sporządziłam je jako projekt na studiach podyplomowych. Miło, że zwróciłaś na nie uwagę.

– Czy możemy…? Jeśli to nie problem…?

– Wyjąć mikroskop? Oczywiście. Ale najpierw przynieśmy sobie coś do picia. Na co masz ochotę?

– Nie powinnam. Muszę prowadzić samochód.

Śmiech Merle był jak grubo nakreślony wykrzyknik.

* * *

Abby odwiózł ich do kotliny. Stella weszła do domu, niosąc trzy książki naukowe w papierowej torbie. Trzy!

Motty czekała na nią w salonie ze szklanką w dłoni i wierzbową rózgą na kolanach. Plotki o problemach Stelli z policją dotarły do kotliny przed nimi. Ale jak? Motty nawet nie miała telefonu.

– Jestem za duża na rózgę – powiedziała Stella.

– Tak ci się wydaje, prawda?

* * *

Tamtej nocy leżała na łóżku, czytając swoje nowe książki, i jednym uchem nasłuchiwała, jak Motty krąży po domu. Merle pożyczyła jej dwa podręczniki do biologii oraz czasopismo zawierające rozmaite artykuły. Wszystkie trzy stanowiły wymagającą lekturę, zwłaszcza czasopismo. Jak dotąd najbardziej spodobał jej się tekst *Sztuczna transmutacja genu*, który opowiadał o wykorzystywaniu promieni rentgena do wywoływania mutacji w genach muszek owocówek, co wyglądało na domenę szalonych naukowców. Właśnie czytała tekst po raz trzeci, gdy wreszcie usłyszała, że staruszka kładzie się spać. Odczekała jeszcze pół godziny, a następnie ostrożnie otworzyła drzwi.

Znajdź klucz. Ta myśl rozbrzmiewała echem w jej głowie przez cały wieczór.

Stella już kilkakrotnie przeszukała pokój Motty, ale nie znalazła niczego poza starymi ubraniami i jeszcze starszą torbą podróżną, rozczarowująco pustą. Przez chwilę fantazjowała, że to torba Esther, jakimś cudem zwrócona rodzinie po zniknięciu właścicielki. Nigdy nie wpadła na pomysł, jak spytać o to Motty

w taki sposób, by nie przyznać się do szperania w jej pokoju. Pozostała jej do sprawdzenia już tylko kuchnia.

Wślizgnęła się do pomieszczenia jak złodziejka. Otwierała szuflady i przekładała sztućce, najciszej jak potrafiła. Szukała za puszkami z jedzeniem i domowymi przetworami, przesuwała torby z suszoną fasolą, solą i mąką kukurydzianą. Niczego nie znalazła. Zajrzała pod wydrążacz do jabłek, do wiaderka po lodach, pod trzy czarne patelnie, przetrząsnęła szmaty do wycierania. Potem przypomniała sobie, jak cztery dni wcześniej po raz pierwszy zobaczyła u Motty klucz do kaplicy.

Zabrała kuchenne krzesło z trzcinowym oparciem, cicho ustawiła je przed szafkami i wspięła się na siedzisko. Na najwyższej półce stały ekskluzywne naczynia Princess Pink, najcenniejszy skarb Motty zaraz po broni palnej. Stella wyciągnęła rękę, a wtedy z salonu dobiegło stęknięcie. Zamarła. Czekała. Po dwudziestu albo trzydziestu sekundach Motty zaczęła chrapać.

Stella znalazła klucz w cukiernicy, na wpół zagrzebany. Ha!

Zwilżyła stal ustami i ponownie zanurzyła klucz w cukrze, a następnie wymknęła się z domu, ssąc przedmiot jak lizaka.

* * *

Kiedy znalazła się w kaplicy, nie odważyła się zapalić świeczki. Szła w ciemności, dotykając dłonią kolejnych ławek, aż w końcu jej stopy natrafiły na podest. Potrzebowała chwili, by znaleźć uchwyt na płycie zakrywającej otwór, a kiedy do zrobiła, pociągnęła obiema rękami. Rozległ się ogłuszający zgrzyt. Zamarła, nagle wystraszona.

Jeśli Motty usłyszała ten hałas, wygarbuje Stelli skórę. Ostrzegała ją wielokrotnie, żeby nie wchodziła do kaplicy, a zwłaszcza aby sama nie schodziła do jaskini.

Ale…

Ponownie szarpnęła płytę. Odsunęła ją na bok na tyle, by móc przecisnąć się przez szczelinę. Chłodne, wilgotne powietrze owionęło jej twarz.

Zeszła po schodach.

Po pokonaniu ostatniego stopnia ruszyła po omacku wąskim korytarzem aż do krętego serca jaskini. Podmuchy ustały i powietrze znieruchomiało. Starała się… usłyszeć? poczuć?… obecność Boga.

– Halo? – zawołała cicho.

Podniosła wzrok, ponieważ podczas komunii on zawsze pojawiał się nad nią. Wspięła się na stół i stanęła na nim z rozłożonymi rękami. Zakręciło jej się

w głowie, gdy tak stała w ciemności, nie widząc żadnych punktów orientacyjnych. Podniosła ręce.

Dziura w stropie, komin, którym on schodził na początku każdego spotkania, był zbyt wysoko. Nie mogła wejść do Boga – to on musiał przyjść do niej.

– Jestem tutaj – odezwała się. A potem, tak samo jak Motty wiele lat temu, dodała: – Proszę.

Mrok ją zignorował. A co, jeśli Duchojciec nie chce mojej obecności?

Zmusiła się do wytrwałości i cierpliwości. Wieczorem przed zdradą Judasza – według Biblii, którą podarował jej starszy Rayburn – Jezus udaje się do ogrodu i modli się tam całą noc, podczas gdy jego uczniowie śpią. W końcu budzi Szymona Piotra i mówi (czerwoną czcionką): Nie mogłeś czuwać jednej cholernej godziny? Albo jakoś tak, w stylu króla Jakuba. Całą noc pytał Boga, czy istnieje szansa, by nie został ukrzyżowany, i modlił się tak zapalczywie, że pocił się krwią. W porównaniu z jego poświęceniem to jest drobiazg. Stella udowodni Duchojcu, że jest godna.

Po kolejnej minucie usiadła, zażenowana. Czuła lodowaty ucisk w żołądku. Nie powinna była tu przychodzić. Zawracać mu głowę. W sumie Jezus również nie otrzymał odpowiedzi. Bóg nie pojawił się w ogrodzie, a Jezus skończył na krzyżu. Ofiara złożona samemu sobie, z siebie. Co za głupota.

Posadzka zadrżała. Stella zerwała się na nogi. Po chwili zawibrowało także powietrze. Radość ścisnęła jej serce.

– Jestem tutaj – powiedziała.

14

1948

Intruz.

To słowo pojawiło się w myślach Stelli, gdy usiadła na łóżku. Towarzyszyło mu echo jakiegoś hałasu, który przeminął jak warkot silnika auta znikającego za wzgórzem. Potem poczuła zapach i uświadomiła sobie, że ten intruz smaży boczek.

Merle Whitt stała przy kuchence z papierosem w jednej i szpatułką w drugiej dłoni. Przewróciła smażone jajko na patelni.

– Zaparzyłam kawę – oznajmiła.

Merle nigdy nie robiła takich rzeczy. Nie wpadała bez zapowiedzi. Jak dotąd była w jej domu tylko raz, kiedy Stella go kupiła. Wtedy przywiozła jej meble, których nie potrzebowała, kilka rzeczy do kuchni, nową zasłonę prysznicową – wystarczająco dużo sprzętów na początek. Od tamtej pory trzymała się z dala, szanując prywatność Stelli.

Aż do dzisiaj.

– Co się dzieje? – spytała Stella.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że zrobiłam sobie śniadanie w twojej kuchni.

– Zawsze chętnie pomagam przyjaciołom w potrzebie. – Stella z zadowoleniem zauważyła, że Merle używa naczyń Motty. Zabrała gorący pasek boczku z patelni. Chwyciła go zębami i wytarła palce o szlafrok. – Ee eee?

Na niewielkim kuchennym stole stał bukiet kwiatów. Olbrzymie żółte słoneczniki, fioletowe astry, niebieskie goryczki, jak rakiety gotowe do startu – jesienne rośliny, którym ewolucja pozwoliła na pełny rozkwit tuż przed pierwszymi przymrozkami, jak rasowe konie wygrywające wyścig mimo straty na starcie.

– Nie patrz na mnie – odrzekła Merle. – Stały pod twoimi drzwiami, kiedy tu przyszłam. Był przy nich liścik.

Mała biała karteczka z dziurką, przywiązana do jednej z łodyg.

Droga Stello!

Proszę, przyjmij moje najszczersze wyrazy współczucia. Wiedz, że niektórzy Rayburnowie pamiętają miłość, którą darzyłaś Lincolna, i wciąż jesteś bliska ich sercu. Żałuję, że straciłyśmy ze sobą kontakt na przestrzeni lat. Chciałam z Tobą porozmawiać podczas pogrzebu, ale oczywiście musiałaś się zająć rodziną. Jestem szczęśliwa, że mogłam zobaczyć Sunny. Przykro mi, jeśli to, co mój ojciec o niej powiedział, sprawiło Ci ból, ale chcemy dla niej tylko tego, co najlepsze. Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mogli wspólnie Cię odwiedzić.

Z wyrazami miłości i oddania,

Mary Lynn

Jezu Chryste, pomyślała Stella. Kolejne zakusy na Sunny, kolejna próba wzbudzenia w niej poczucia winy, by zrobiła to, co „najlepsze". Otóż pierdolcie się, starsi i młodsi Rayburnowie.

Nalała kawy sobie i Merle.

– Eee, nie mam… niczego.

– W lodówce jest mleko – odrzekła Merle. Okazało się, że nie tylko mleko, ale cała gama produktów śniadaniowych i nie tylko: główka sałaty lodowej, dżem, kawałek żółtego sera, majonez, mortadela. Ktoś inny mógłby uznać, że półki są puste, ale w oczach Stelli były pełne jak trybuny na Wrigley Field. Koniec z marynowaną okrą.

Dodała mleka do kubka Merle, aż napar przybrał jej ulubiony kolor. Sama piła czarną kawę. Jadły razem przy kuchennym stole.

– A więc jakie masz plany? – spytała Merle.

– Na dzisiaj? Wrócę do pracy. Gospodarstwo musi działać.

Merle zmierzyła ją wzrokiem. Nie o to pytała, a Stella doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– Co z Sunny? – dopytała Merle.

– Dogadaliśmy się w sprawie prawa do opieki. – Wyłożyła szczegóły umowy z Hendrickiem, dotyczące prawa do odwiedzin i warunków pojawiania się w kotlinie.

Merle zmarszczyła czoło.

– To dobre dla niej – dodała Stella. – Hendrick załatwi dla Sunny prywatne lekcje, więc dzieci nie będą jej dokuczać z powodu wyglądu. Otrzyma wykształcenie i spokojny dom.

– A ty pozbędziesz się kłopotu.

– Wcale nie, będę się angażowała.

– Na odległość.

– Wyjdzie jej to na dobre. Im większa odległość, tym lepiej.

Merle zignorowała jej żart.

– Ty też mogłabyś opłacać nauczycieli. Przecież zarabiasz.

– Nie tak dużo, jak ci się wydaje. Poza tym to nie są legalne pieniądze. W każdej chwili mogą zniknąć. Tak nie da się wychowywać dziecka.

– Mogę pomóc.

– Już odegrałaś swoją rolę. – Zanim Merle zdążyła zaprotestować, Stella dodała: – Zresztą Sunny kocha Hendricka, a on ją. Poradzi sobie.

– A jeśli ona zrobi sobie krzywdę?

– Jezu Chryste – żachnęła się Stella.

Merle była taka bezpośrednia i uparta. Kiedy Stella miała piętnaście lat, doprowadzało ją do szału, że Merle nigdy nie ustępowała, gdy chciała poznać odpowiedź na swoje pytanie, a częściowe odpowiedzi jej nie zadowalały. Stella mogła cokolwiek przed nią ukryć tylko wtedy, gdy całkowicie milczała. Nigdy nie opowiedziała Merle o Duchojcu ani nie opisała komunii. Kiedy opuściła kotlinę, postanowiła, że więcej nie będzie o tym mówiła ani nawet myślała. Te ostatnie kilka dni były koszmarem złożonym z ciągłych rozmów i wspomnień, rozmów i wspomnień. Za każdym razem, gdy patrzyła na Sunny, widziała siebie.

– Nie zrobi tego. – Odniosła talerz do zlewu. – Nie przeszła przez to co ja. Nigdy nie będzie musiała. Już ja się o to postaram.

– To nie znaczy, że nie doświadczyła własnych zranień. Stello, proszę, popatrz na mnie.

Stella odwróciła się i skrzyżowała ręce na piersiach. Merle przestawiła krzesło, ale wciąż trzymała dłonie na kolanach.

– Wiem, jak ci było ciężko, kiedy opuściłaś kotlinę. Nie rozumiałam wszystkiego, co się stało, ale próbowałam. Proszę tylko, żebyś pomyślała o Sunny i o tym, jak się czuła, wychowując się samotnie, bez…

– Przestań.

Merle nieco szerzej otworzyła oczy.

– Nie odpowiadam za nią – rzuciła Stella ostro. – Uzgodniliśmy to dawno temu.

– Kochanie – odezwała się Merle łagodnym głosem.

– Ona nie jest moja – weszła jej w słowo Stella. – A ja się… nie nadaję. Rozumiesz? Nie można mi jej powierzyć. To niemożliwe. Więc się odpierdol.

Merle odwróciła wzrok, jakby rozważała wszystkie za i przeciw. Lśniły jej oczy.

Stelli zrobiło się niedobrze.

To była właściwa chwila na pojednanie. Stella przeprosi, Merle odpowie, że rozumie, a Stella zacznie opowiadać, jak wspaniale było po obudzeniu poczuć zapach śniadania i tak dalej. Kolejne zdania będą się zazębiać, aż załatają

dzielącą ich wyrwę. Merle nauczyła ją, jak to robić. Motty uczyła ją tylko ciąć, parować i znów ciąć, póki obie nie opadną z sił.

Ale Stella milczała, więc Merle nie mogła nic odpowiedzieć. Nie odzywała się, dopóki nie znalazła się przy drzwiach. Wtedy się obejrzała.

– Powiedziałaś Abby'emu, że Hendrick zabiera Sunny? – zapytała.

Stella pojechała na zachód, w stronę farmy Acorn. Światło słońca wypełniało samochód, ale jej dłonie na kierownicy były zmarznięte, a przy każdej pokonywanej nierówności mocno zaciskała szczęki.

Jej stopa spadła z pedału gazu. Stella ponownie przyśpieszyła, mrugając oczami. Nagle wdusiła hamulec.

– Kurwaaaaa! – wrzasnęła.

Wrzuciła wsteczny bieg.

* * *

Na podwórzu Motty stały trzy samochody, nowoczesne sedany. Wszystkie z tablicami z Georgii.

Stella weszła do domu, ale, o dziwo, nikogo tam nie zastała – a raczej prawie nikogo. Veronica spała w łóżku Motty.

– Gdzie są wszyscy? – spytała Stella.

Veronica otworzyła jedno oko. Uśmiechnęła się głupawo.

– Stella. Stellala. – Ziewnęła przesadnie. Nie wiadomo, czy miała coś na sobie pod kocem. – Która godzina?

– Dochodzi jedenasta. Hendricka nie ma?

– Tata powiedział wczoraj wieczorem, że musi pojechać do Knoxville, żeby spotkać się… sama nie wiem. Z ludźmi z Knoxville.

– Na podwórku stoi kilka samochodów, ale nikogo nie widać.

– Rickie tu był… spał w drugim pokoju, przysięgam – odrzekła, przeciągając ostatnie słowo.

A więc Sunny wciąż nie spała w swoim pokoju od czasu śmierci Motty. Stella nie była pewna dlaczego. W domu nadal było za dużo obcych?

Przeszła do kuchni. Zaważyła brudne talerze w zlewie. Co za barbarzyńcy.

Wyszła na podwórze. Pusto. W stodole także nikogo nie było.

Nagle coś jej zaświtało. Cholera.

* * *

W odległości pięćdziesięciu metrów od kaplicy usłyszała dudnienie silnika. W odległości trzydziestu metrów doszedł ją ostry dźwięk metalu uderzającego o kamień.

Jezu Chryste.

Drzwi kaplicy były otwarte. Metr przed nimi stały w rzędzie kilkulitrowe puszki z benzyną, a w środku hałasował generator Delco. Stella podążyła do środka.

Sanktuarium było jasno oświetlone. Na przeciwnym końcu pomieszczenia stały elektryczne światła na trójnogach. W ich blasku zgromadziła się grupka mężczyzn. Jeden z nich kierował kamerę na posadzkę, a inny – kurwa, to był Rickie – uderzał w nią młotem. Huk był ogłuszający. Okruchy betonu wylatywały w powietrze i grzechotały o ścianę.

– Hej! – wrzasnęła Stella. Ludzie obejrzeli się na nią. Pomaszerowała w ich stronę. – Odejdźcie stamtąd!

Rickie się wyprostował.

– Dzień dobry, Stello. – Nieco ponad metr za nim i za chudym kamerzystą stali brat Paul z łopatą w ręku oraz łysiejący facet o twarzy jak księżyc w pełni. Widziała go wieczorem w kuchni. Teraz był w samej koszuli, w jednej dłoni trzymał mikrofon, a w drugiej papierosa. U jego stóp stał magnetofon szpulowy.

– Co wy tu robicie, do diabła? – Głupie pytanie. Odłupali kawałek betonu, a na środku widniała dziura wielkości studzienki kanalizacyjnej. Wkrótce całkowicie odsłonią jaskinię. Stella stanęła blisko Rickie’ego, żeby nie mógł zamachnąć się młotem. – Wynocha, ale już.

– Niedługo skończymy – odrzekł Rickie. Zachowywał się tak, jakby to było zwykłe nieporozumienie.

– Skończycie? Kretynie, nie możecie tam wejść.

– Przestańcie filmować – polecił brat Paul pozostałym mężczyznom. Facet z mikrofonem uklęknął i wcisnął kilka guzików na magnetofonie. Paul podszedł do Stelli. – Najlepiej będzie, jeśli pójdziesz do domu. – W ostrym świetle jego blada skóra lśniła. – Hendrick niedługo wróci i wszystko ci wyjaśni. – Wyciągnął rękę, żeby pokierować ją w stronę drzwi. Odtrąciła jego dłoń.

– Wynocha – powiedziała.

Jego twarz stężała. Nie spodobało mu się, że dotknęła go kobieta.

– Nie mamy na to czasu – odparł.

Ponownie ją chwycił, a łysiejący mężczyzna zacisnął dłoń na jej drugim bicepsie.

– Zabierać łapy, skurwiele!

Opadły im ręce. Podobnie jak szczęki.

Nic chodziło tylko o słownictwo. Jej prawa pięść była zakrwawiona. Druga także, krew przeciekała między palcami. Rozwarła dłoń. Rana się otworzyła.

Brat Paul westchnął. Podniosła wzrok. Miał rozdziawione usta, jakby doświadczył cudu. Chudy mężczyzna uniósł kamerę.

Stella odwróciła się i wyszła, płonąc pod wpływem wstydu, wściekłości i oszołomienia. Nie krwawiła tak od dawna.

Kiedy oddaliła się od kaplicy, uklękła na ziemi i wytarła krew o trawę. Bolały ją dłonie. Po chwili usłyszała uderzenia młota.

Chłopcy wrócili do pracy.

Wpadła do domu przez tylne drzwi. Veronica, w szlafroku, stała przy piecu opalanym drewnem.

– Wiesz, jak się go rozpala?

Stella wparowała do salonu, podeszła do stojaka z bronią i zdjęła z niego Winchestera 97.

– Co się dzieje? – spytała Veronica.

Stella zwolniła magazynek i odciągnęła zamek. Broń była nienaładowana. Chwyciła pudełko pocisków.

– Widziałaś jakieś zwierzę?

– Tak – odrzekła Stella i załadowała pocisk. – Nawet kilka.

* * *

Pierwszy zauważył ją kamerzysta. Człapał środkowym przejściem, przyciskając do piersi naręcze kamieni. Zmrużył oczy pod wpływem światła. Widział najwyżej zarys jej sylwetki.

Stella podniosła śrutówkę.

Cofnął się, ale nie wypuścił kamieni. Trzej mężczyźni za jego plecami gwałtownie się wyprostowali.

Brat Paul podniósł ręce, wyraźnie rozgoryczony.

– Panno Wallace, proszę. To zaszło za daleko.

– Przejdźcie tam. – Wskazała lufą. – Odsuńcie się od otworu. – Dłonie miała śliskie od krwi, ale mocno ściskała broń.

Rickie się roześmiał.

– Psiakrew, kuzynko Stello!

Mężczyzna o twarzy jak księżyc – który zdążył podnieść łopatę – zmarszczył czoło, a potem skupił wzrok na Stelli.

– No dalej – poleciła.

Nikt się nie poruszył.

– Ratuję wam życie, idioci.

Rickie uśmiechnął się pytająco.

– Niby w jaki sposób, skoro celujesz do nas ze śrutówki?

– Niczego nie rozumiecie, do cholery. Ruszcie się.

– Wystarczy. – Brat Paul się wyprostował. – Jego prawa ręka przesunęła się w stronę pasa. – Ostrzegam cię. Odłóż broń i wynoś się stąd, zanim…

Ławka w głębi sali wybuchła, wyrzucając w powietrze deszcz drzazg. Paul uchylił się i zakrył głowę rękami. Może nawet krzyknął. Chudy mężczyzna upuścił kamienie i skoczył w prawą stronę, gdzie schował się za rzędem ławek. Jeden z trójnogów przewrócił się do tyłu, a lampa pękła.

– Wynocha! – zawołała i przeładowała broń. – Wynocha! Wynocha! Wynocha! – Dzwoniło jej w uszach i ledwie siebie słyszała. Odsunęła się na bok, przepuszczając biegnącego kamerzystę.

Rickie patrzył na siebie. Podniósł podkoszulek i delikatnie dotknął swoich żeber. Wyciągnął z ciała drzazgę wielkości palca. Popatrzył na nią ze zdziwieniem. Odrzucił ją na bok. Z rany płynęła krew.

Stella wycelowała bratu Paulowi w brzuch.

– Wynocha – powtórzyła. Nie miała ochoty znów pociągać za spust; była wdzięczna losowi, że winchester nie wybuchł za pierwszym razem. Miał pięćdziesiąt lat i nie wiadomo, kiedy ostatnio był używany.

– Porozmawiam o tym z Hendrickiem – zapowiedział Paul.

– Proszę bardzo.

Niechętnie ruszył w stronę wyjścia.

– Chwileczkę – odezwała się Stella. – Gdzie się podział tamten facet?

Paul i Rickie się rozejrzeli. Łysego nie było w kaplicy. Nie przebiegał obok niej. Mógł się schować tylko w jednym miejscu. Stella poczuła lodowaty ucisk w żołądku.

Rickie zbliżył się do otworu.

– Nie podchodź! – zawołała Stella tak piskliwie, że aż sama się zdziwiła. – Nie żartuję, kurwa.

Rickie podniósł jedną rękę. Drugą przyciskał do zakrwawionej koszuli.

Stella podeszła do otworu i zajrzała do środka. Jakby spoglądała z urwiska w przepaść. Czuła serce w gardle. Drewniane schody wciąż były na miejscu.

Nie, pomyślała. Nie schodź tam.

– Hej! – zawołała. – Pojebie! Wyłaź.

Nie było odpowiedzi. Obejrzała się przez ramię. Brat Paul i Rickie patrzyli na nią i na jej broń.

– Odpowiedz, cholera! Nie będę… Nie będę do ciebie strzelała, kurwa.

Wciąż żadnej odpowiedzi.

Brat Paul wbijał w nią wzrok. Coś w jej twarzy go przerażało.

– Pozwól mi po niego pójść – poprosił cicho.

Wydała z siebie okrzyk wściekłości.

– Posłuchaj mnie, sukinsynu! – wrzasnęła do otworu. Potem wsunęła do niego nogę i postawiła ją na pierwszym stopniu. – Jeśli spróbujesz mnie zaskoczyć, przestrzelę cię, kurwa, na wylot.

Żadnej odpowiedzi. Zeszła niżej, a lufa śrutówki uderzyła o krawędź dziury. Zdjęła palec ze spustu. Schyliła się i weszła w otwór. Jej ciało przesłoniło większość światła.

Kiedy ostatnio była w jaskini, przyrzekła sobie, że nigdy nie wróci, nie licząc jednego powodu. Nie było nim ratowanie wsioka z Georgii.

– Posłuchaj no… – odezwała się. Nie znała imienia mężczyzna. – To niebezpieczne miejsce. Idź w kierunku mojego głosu.

Gdzieś w ciemności rozległo się grzechotanie kamyków.

– Proszę – dodała. – Wyjdź.

Nie było go w przedsionku. Jakimś cudem znalazł drogę prowadzącą w głąb jaskini.

Szła naprzód, powłócząc nogami i mocno ściskając winchestera. Nagle usłyszała jakieś dudnienie. To był głęboki odgłos, jakby przemawiała do niej sama góra.

– Kurwa jego mać – mruknęła.

Rzuciła się naprzód w ciemność. Jej ciało pamiętało drogę. Wyciągniętą ręką odnalazła wlot wąskiego tunelu, który prowadził do kamiennego stołu. Obróciła się bokiem, żeby móc trzymać broń przed sobą, i przemieszczała się najszybciej jak potrafiła, a basowy dźwięk wibrował w jej czaszce.

Kiedy uderzyła lufą o skałę, wiedziała, że znalazła się na ostrym zakręcie. Podążyła za korytarzem, a pulsowanie nagle ustało. Zmiana w powietrzu podpowiedziała jej, że dotarła do sali ze stołem.

– Hej – szepnęła. – Wszystko w porządku. To ja, Stella. – Nie była pewna, czy mówi do ucznia, czy do Duchojca. Sunęła naprzód, aż jej buty na coś natrafiły. To nie był kamień.

Przykucnęła. Wyciągnęła rękę. Dotknęła ciała. Ręka? Nie, noga.

* * *

Na wpół wyniosła, na wpół wywlekła ciało na schody, skąd zawołała Rickie’ego i Paula. Popatrzyli po sobie, nie mając ochoty zejść do otworu, a Stella pomyślała: Tak, sukinsyny, teraz jesteście zdenerwowani.

Objęła klatkę piersiową mężczyzny i cofnęła się o krok. Szarpnęła. Jego głowa opadła bezwładnie na bok. Ponownie się cofnęła i pociągnęła ciało

z głośnym stęknięciem. Jedna pięta zaczepiła o krawędź stopnia, a but zeskoczył jak kapsel z butelki.

Znowu.

W końcu dotarła na tyle wysoko, że brat Paul i Rickie mogli jej dosięgnąć i razem wyciągnęli mężczyznę na oświetloną posadzkę.

– Dobry Boże – odezwał się brat Paul. Uklęknął przy swoim przyjacielu. – Dobry Boże.

Rickie miał obłęd w oczach.

– Co mu zrobiłaś?

– Mówiłam ci – odrzekła Stella drżącym głosem. Pociła się i ciężko dyszała. – Nie chciałeś, kurwa, słuchać.

Wróciła do otworu i wyciągnęła swoją broń.

Brat Paul przeniósł zwłoki przez próg, jakby to była panna młoda. Blask słońca uderzył w nich jak taran. Chudzielec płakał.

– Trzymajcie się z dala od jaskini, do kurwy nędzy – powiedziała Stella.

Stanęła przed kaplicą i patrzyła, jak niosą martwego kompana w dół wzgórza. Dygotała, jakby stała po pas w lodowatej wodzie.

A więc żyje, pomyślała. Kurwa mać, żyje.

Poczuła, że ktoś obserwuje ją spomiędzy drzew. Nikogo nie zobaczyła.

* * *

Stella wspięła się na przełęcz. Podążyła wąskim szlakiem na zachód, a następnie zeszła na polanę, gdzie Abby wrzucał kawałki drewna do ogniska. W tym miejscu kiedyś gotował zacier.

– Abby, gdzie jest Sunny?

Przekrzywił głowę. Stella zdała sobie sprawę, że ściska w rękach śrutówkę. Wycelowała w ziemię.

– Co się dzieje? – spytał.

– Kilku kumpli Hendricka przebiło się przez posadzkę – wyjaśniła. – Pracowali jak pieprzonych siedmiu krasnoludków. Próbowałam ich odstraszyć.

– Strzelałaś do nich? – spytał Abby.

– Raz strzeliłam w ich kierunku. Ale jeden z nich uciekł w stronę otworu.

– Dostał się do środka?

To pytanie podpowiedziało jej, że Abby wie o kościele więcej, niż zdradza.

– Próbowałam go powstrzymać.

– Psiakrew. – Potarł ręką szczękę. Wszędzie wokół niego leżały kawałki drewna, stare prześcieradła, drewniane skrzynie – wszystkie śmieci z jego domu, które można było spalić. Przygotowywał się do wyjazdu.

– Wiedziałeś, że mają taki zamiar? – spytała.

– Stello! Oczywiście, że nie!

– Hendrick od początku to planował. Wyprowadził mnie w pole.

– Nigdy nie chciałem, żeby Sunny z nim pojechała, przecież wiesz.

– A jednak pozwoliłeś mu tutaj przyjechać i oczarować ją jak cholerną kochankę.

– To nie moja sprawa. Staram się nie mieszać.

– Od początku cię to dotyczy. Towarzyszyłeś Lenie. No i mnie.

– Starałem się tylko wami zaopiekować.

– Odgrywałeś dobrego pasterza.

Skrzywił się.

– Próbowałem.

Jak każdy dobry pasterz dbałeś, żebyśmy były tłuste i szczęśliwe, aż przyjdzie czas oddać nas na rzeź, pomyślała Stella. Nic dziwnego, że Abby prawie zawsze był pijany.

– Gdzie ona jest? – spytała.

* * *

Abby powiedział, że zna miejsce, w którym Sunny lubiła się bawić. Zaprowadził Stellę nad strumyk, który kiedyś zasilał jego destylarnię. O tej porze roku woda wijąca się między skałami miała najwyżej trzydzieści centymetrów głębokości. Przez kilka minut wędrowali wzdłuż strumyka, a potem Abby wskazał miejsce, w którym nurt się rozszerzał, a przeciwny brzeg miał prawie dwa metry wysokości. Sunny stała bosymi stopami na kamienistym dnie, zwrócona w stronę wysokiego brzegu. Wydrążyła w glinie otwory, w których spoczywały dziesiątki małych przedmiotów. Dziewczynka do nich przemawiała.

– Co ona robi? – spytała Stella.

– Nazywa to swoim kościołem.

Oczywiście. Nie zna niczego poza kościołem.

– Sunny! – zawołała Stella. – Możesz tutaj podejść?

Dziewczynka się nie obróciła. Stella zawołała ją po imieniu, ale ponownie została zignorowana. Wręczyła Abby’emu winchestera i zeszła na usiany kamykami błotnisty brzeg. Zaplanowała trasę po kamieniach i stanęła na pierwszym z nich. Zimno biło od wody. Przeszła na kolejny kamień. Kiedy znalazła się w odległości trzech metrów od Sunny, ta nonszalancko przeskoczyła na inny, bardziej oddalony kamień.

– Sunny, proszę.

Dziewczynka nie zwróciła na nią uwagi.

Stella przeskoczyła na inny kamień, poślizgnęła się i z chlupotem wpadła stopą do wody, mocząc spodnie aż po kolano. Dziewczynka nawet się nie obejrzała, ale roześmiała się i skoczyła naprzód.

Stella popatrzyła na Abby'ego, który został na brzegu.

– Może trochę mi pomożesz?

– Sunny – odezwał się Abby. – Daj już spokój.

Zatrzymała się i okręciła na bosej pięcie w stronę Stelli. Zimno najwyraźniej jej nie przeszkadzało. Skóra na jej nogach przypominała wilgotne rzeczne kamienie, pokrywały ją blade i ciemne plamy.

Stella ostrożnie dotarła do „kościoła". Przedmiotami w otworach były lalki z patyków związanych włóczką z włochatymi głowami. Jedna z figurek się przewróciła, a Stella po nią sięgnęła.

– Nie dotykaj – odezwała się Sunny.

– Przepraszam. To twoje dzieci?

– Masz zakrwawione ręce.

Cholera. Faktycznie. Stella przykucnęła i zanurzyła dłonie w lodowatej wodzie. Potem osuszyła je o spodnie.

– Wujek Hendrick powiedział, że uciekłaś do Mar-ee-ville – powiedziała z jankeskim akcentem. – Po co wróciłaś?

– Po ciebie – odrzekła Stella. – Chcę, żebyś ze mną poszła.

– Nie – odparła dziewczynka. Po chwili dodała: – Dlaczego?

– Ponieważ grozi ci niebezpieczeństwo.

– Nie wygląda na to.

– Możemy porozmawiać na brzegu?

– Nic z tego.

Jezu Chryste, pomyślała Stella.

Weszła do wody, próbując zignorować falę zimna, która popłynęła w górę jej nogi. Pomyślała o Esther i jej płaszczu wypchanym kamieniami.

– Wujek Hendrick cię okłamuje. – Zrobiła kolejny krok. Jej buty ślizgały się na kamieniach. – Powiedział, że zabiera cię do Georgii, ale chce zrobić coś, co będzie dla ciebie niedobre.

– Czyżby? – Na twarzy małej pojawił się cień uśmiechu. – Co takiego?

Czy Sunny wie, że Rickie i Paul przebili się do jaskini?

– Nie mamy czasu – odrzekła Stella. – Chodź ze mną, a wszystko ci opowiem.

– Opowiedz mi teraz.

Stella pomyślała, że gdyby nie dzieliło ich kilka metrów, pewnie udusiłaby Sunny.

Gdyby jej powiedziała, że mężczyźni otworzyli jaskinię, dziewczynka mogłaby tam pobiec i wskoczyć do środka. Hendrick i Motty na pewno wypełnili jej umysł opowieściami o przeznaczeniu, tak jak zrobili to z nią. Ale jeśli nie wspomni o pracach wykopaliskowych, a mała o nich wie, już nigdy nie odzyska jej zaufania.

– Jestem taka jak ty – odezwała się i podniosła otwartą dłoń. – Wiesz o tym. Jestem jedyną osobą na świecie, która wie, jak to jest obcować z nim, jak to na ciebie wpływa i jak można to przetrwać.

Dziewczynka jej słuchała.

– Wujek Hendrick tego nie wie. Veronica też. A Motty nie żyje. Dlatego ja jestem twoją jedyną szansą, dziecko.

Stella zbliżyła się o kolejny krok, prawie nie podnosząc stóp. Sunny nie uciekła.

– Ty i ja jesteśmy ostatnimi ocalałymi kobietami z rodu Birchów. Znamy tajemnice, które przekazujemy sobie nawzajem, a które nie zostały zapisane w żadnej księdze. Motty ci nie powiedziała, ponieważ byłaś zbyt młoda. Ale jeśli rozważasz zejście do jaskini, musisz czym prędzej dowiedzieć się kilku rzeczy.

Sunny patrzyła na nią sceptycznie.

– To znaczy?

– Musisz dowiedzieć się, jak umieramy.

15

1938

Miesiąc przed czternastymi urodzinami Stella dała się przyłapać Motty, gdy wracała z kaplicy. Staruszka siedziała przy kuchennym stole, zwrócona w stronę tylnego wejścia. Przed nią stała cukiernica. Stella zatrzymała się na progu, sparaliżowana. Klucz do kaplicy palił ją w dłoń jak rozżarzony węgiel.

– Zamknij drzwi – poleciła Motty.

Stella posłuchała.

– Duchojciec do ciebie przyszedł? – spytała Motty.

– Nie nazywaj go tak. – To brzmiało lekceważąco. Stella wolała język kościoła.

Motty uderzyła pięścią w stół, aż cukiernica podskoczyła.

– Odpowiedz!

Stella jeszcze nigdy nie widziała jej tak wściekłej. I wystraszonej.

– Ile razy? – spytała Motty.

– Kilka – odpowiedziała dziewczynka cicho.

– Nie kłam.

– Kilkanaście. – Stella podniosła wzrok. – Może więcej.

Motty sprawiała wrażenie zaniepokojonej.

– Czy nie wiesz… nie mówiłam ci? Nie możesz wchodzić tam sama, ponieważ wtedy on…

– Co zrobi? – spytała Stella.

– Pokaż dłonie – poleciła Motty. – Podejdź do mnie!

Stella się zbliżyła. Otworzyła jedną dłoń, potem drugą. Widniały na nich stare blizny, ale żadnych nowych.

– Nic się nie stało – powiedziała.

– Więc co tam robiłaś, do diabła?

– Po prostu… go odwiedzam.

Motty nie mogła uwierzyć.

– Nie dotknął cię?

Dotykaliśmy się, pomyślała Stella. Bóg pozwalał, aby przykładała dłoń do jego bladej skóry. Wtedy przenikały ją uspokajające wibracje. Ale nie stykali się

dłońmi. Nie napełniał jej swoimi myślami.

– Nie dotknął mnie – odpowiedziała.

Motty wciąż nie rozumiała.

– Siadaj, psiakrew. Powiedz mi, co tam robisz.

– Bóg nigdy tego z tobą nie robił? – spytała Stella.

Motty się skrzywiła.

– Po prostu go odwiedzasz, a on do ciebie wychodzi?

– Za każdym razem. Czasami muszę zaczekać godzinę, ale jeśli jestem cierpliwa, zawsze się pokazuje.

– Powiedz, co się działo. Tym razem i za każdym poprzednim. Niczego nie ukrywaj.

– Powiesz wujkowi Hendrickowi?

– To nie jest dla Hendricka. Ani dla żadnego z mężczyzn. To nasza sprawa.

Nasza. To słowo wybuchło jak fajerwerk.

– Przekazujemy dalej swoją własną historię – tłumaczyła Motty. – Od Clary przez Esther, aż do ciebie.

Stella niemal straciła dech. Przez cały ten czas istniały jakieś tajemnice, których nie opisano w książkach Hendricka?

– Chcę zobaczyć te historie.

– Nie można ich zobaczyć – odparła Motty. – Nie spisujemy ich.

– Co? Dlaczego nie?

– Pomyśl. Gdzie są Objawienia?

– W Georgii? – Wreszcie zrozumiała.

– Schowane pod kluczem – ciągnęła Motty. – Przez niego. Ale naszych opowieści nikt nie może nam odebrać.

– Moja matka też opowiedziała ci swoją historię?

– Tylko kawałek. Zbyt długo czekałam. To był duży błąd. Nie powtórzę go w twoim wypadku.

– Co to znaczy? Lena także samotnie odwiedzała Boga?

– Obiecaj mi, że nie spróbujesz samodzielnie z nim obcować – odrzekła Motty. – On jest zbyt silny dla pojedynczej osoby. Jestem ci tam potrzebna, rozumiesz? Żeby go powstrzymać, kiedy posunie się za daleko.

Jest zazdrosna, pomyślała Stella.

– Nie możesz mieć przede mną tajemnic – ciągnęła Motty. – Koniec z wymykaniem się po kryjomu. Rozumiesz?

Przez chwilę na siebie patrzyły.

– A co z twoimi tajemnicami? – spytała Stella.

– Kiedy będziesz gotowa – odrzekła Motty.

– Nie. Powiedz mi jedną rzecz z *Księgi Mathildy.* Nie patrz tak na mnie! Tylko jedną rzecz.

– Możesz mi zadać jedno pytanie. Ale to nie znaczy, że na nie odpowiem.

– Dobrze, powiedz mi… – Stella nie była pewna, o co może zapytać. – Powiedz, co się stało z naszą ciocią Esther. Jej księga gwałtownie się urywa. To niesprawiedliwe.

Motty opuściła brodę.

– Chcesz, żebym powiedziała ci, w jaki sposób umarła.

– Tak!

– Nie ma o czym opowiadać. Kiedy miałam sześć lat, zabrała mnie nad rzekę. Był bardzo zimny styczeń. Pamiętam, jak kropelki wody uderzały mnie w twarz i kłuły jak igły. Nie przeszkadzało mi to. Ciągle chodziłam za Esther jak kaczątko. A Esther powiedziała: Pobawmy się. Miałam wyszukiwać kamienie, największe, jakie byłam w stanie unieść, a ona pakowała je do kieszeni. Wypchałyśmy nimi jej płaszcz.

Krtań Stelli się zacisnęła.

– Właśnie dlatego nie próbujemy tego robić samodzielnie – dodała Motty.

* * *

Pięć lat w gospodarstwie nauczyło Stellę kilku rzeczy. Po pierwsze: wszystko umiera. Po drugie: jeśli możesz, zjedz to. Po trzecie: wszystko, co nie jest martwe, sra.

Kiedy Lunk postanowił złożyć jej oficjalną wizytę, stała po kostki w kurzym gównie. Grabiła ziemię pod kojcami dla drobiu, co przypominało wykopaliska archeologiczne. Miękkie na wierzchu, twarde jak węgiel na dnie, a po drodze wszystkie pośrednie stopnie lepkości. Esther zapewne robiła to samo. Nic dziwnego, że rzuciła się do rzeki.

– Witaj, Stello! – zawołał Lunk. Nadszedł podjazdem, elegancki i czysty w swoim wełnianym płaszczu i niedzielnych spodniach. W dłoni trzymał mały kwadratowy pakunek owinięty w papier od rzeźnika i obwiązany czerwoną wstążką.

– Co tutaj robisz, do diabła? – spytała. Nękał ją od tygodni, aż w końcu zgodziła się spędzić z nim trochę czasu – ale tylko w lesie albo obok sklepu, a nie tutaj. Jej ręce były po łokcie umazane gnojem i miała na sobie długie kalosze, ogrodniczki oraz jeden ze starych kapeluszy Abby’ego.

– Mam coś dla ciebie. – Rzucił jej pakunek.

– Mam nadzieję, że to nie jest kolejna Biblia.

– Co takiego? Nie! Dzisiaj masz urodziny.

– Mam to teraz odpakować?

– Jeśli chcesz.

Głośno westchnęła, ale w głębi duszy była zadowolona. Rozwiązała kokardę i rozwinęła papier.

– Ojej!

– Podoba ci się?

To był złożony kawałek białego koronkowego materiału, który wyglądał jak serwetka.

– Nie mogę jej wyjąć, jestem cała w kurzym gównie.

– Ja to zrobię. – Wziął od niej prezent i rozłożył tkaninę. – To chustka. Tutaj ma monogram, widzisz? – W jednym rogu wyhaftowano błękitną nicią inicjały „SW”. – Nie wiedziałem, jak masz na drugie imię. Mary Lynn też nie miała pojęcia. – Wyglądało na to, że Lunk we wszystkim konsultuje się z siostrą.

– Wydałeś na to pieniądze? – spytała Stella.

Posmutniał. Stella nie miała zamiaru odpowiedzieć tak surowo. Wyraźnie go zraniła i teraz miała ochotę zdzielić go pięścią w ramię.

– Kupiłem… kupiłem ją w Knoxville – odparł niepewnie.

– Och, w Knoxville. – Jakby to był Paryż. – Nie wyobrażam sobie dmuchania w nią nosa.

– Ona nie służy do dmuchania nosa, to dziewczęca chustka!

– Dziewczyny nie dmuchają nosa?

– Nie w… One… po prostu… – Pokręcił głową, jakby próbował wytrząsnąć z niej właściwe słowa. – Ona służy do ozdoby.

Dobry Boże. Co ten biedak zrobi, kiedy dowie się, że dziewczęta puszczają bąki?

– Dobrze, zapakuj ją. Nie chcę jej dotknąć takimi rękami.

– Więc ci się podoba?

Wyraźnie poczuł ulgę i popatrzył na nią… z nadzieją. Zerknęła w stronę domu, na okno w kuchni.

– Jest śliczna, Lincolnie. Dziękuję.

Zapaliła świeczkę w jego sercu. Potrzebowała kolejnych dwóch minut, żeby nakłonić go do odejścia, a on przez cały czas promieniował nadzieją. W końcu pożegnała go bez pocałunku.

Schowała pakunek pod klapą ogrodniczek i weszła do domu. Motty stała przy zlewozmywaku i skubała kurę w gorącej wodzie.

– A więc – odezwała się – koronki.

– Daj mi spokój.

– Ten chłopiec próbuje ci się dobrać do majtek?

– Nie! – Oczywiście, że próbował, z determinacją poszukiwacza złota.

– Nie można ufać synowi kaznodziei – pouczyła ją Motty.

* * *

Stella wspięła się do chaty Abby’ego w padającym deszczu, aby przekazać mu, że Motty zaprosiła go na kolację.

– Zabiła tłustą kurę, więc lepiej nie odmawiaj.

– Co to za okazja?

Skrzywiła się, a Abby roześmiał się z własnego poczucia humoru. Możliwe, że był już lekko zaprawiony. Ale Motty nigdy nie przyrządzała kury na swoje urodziny – ten przywilej zazwyczaj był zarezerwowany dla gości.

– Mam coś dla ciebie – odezwał się Abby. Na chwilę zniknął w tajemniczym „męskim pokoju” na tyłach chaty. – Od Merle i Pee Wee’ego.

Merle przysłała jej stertę dzienników i oprawiony w skórę notatnik. W środku napisała:

Naukowiec powinien mieć własne materiały. Pisz wyraźnie – później mi podziękujesz.

Serdecznie pozdrawiam,

Merle

P.S. Zacznij od Mullera w „Science” nr 1699. Jeden artykuł może rozpocząć złoty wiek.

– To dla mnie? – spytała Stella. – Mogę je zatrzymać?

Nareszcie ktoś potraktował ją jak dorosłą. Hendrick ukrywał swoje książki, a Motty Objawienie Stelli. Tylko Merle jej ufała.

– To też dla ciebie. – Wręczył jej świeżą paczkę papierosów Lucky Strike i niewielkie pudełko. – Pee Wee je przysłał.

– Moja ulubiona marka. O wszystkim pomyślał. – Otworzyła pudełko. Wewnątrz leżała mosiężna mechaniczna zapalniczka. – Prawdziwa Zippo! Taka sama jak jego!

– Uważa, że droga do serca kobiety wiedzie przez płuca.

– No cóż, technicznie rzecz biorąc…

– Jeszcze jedno. – Podszedł do kominka. – Oprawiłem je dla ciebie.

To było zdjęcie przedstawiające Abby’ego, jej ojca oraz jej matkę, przebranych za kowbojów i Indian.

– Myślę, że powinnaś je zatrzymać.

Znikąd pojawiły się łzy. Poczuła ucisk w piersi i przestała cokolwiek widzieć.

Abby sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

– Ojej, skarbie…

Odwróciła się od niego i pomachała ręką.

– Nic mi nie jest, po prostu nie przywykłam do… – Chciała powiedzieć „prezentów”, ale chodziło raczej o ludzi, którzy myśleli o niej, gdy nie było jej w pobliżu, a nawet wyobrażali sobie jej twarz, gdy odpakuje podarunek. Uważała to za natarczywość. Nieważne, że powodowała nimi miłość – i tak znienacka wkraczali w jej życie.

Otarła łzy z policzków. Zaśmiała się z siebie.

– Całkiem się przez was rozsypałam.

Abby się uśmiechnął.

– Przepraszam.

Przesunęła kciukiem po szkle.

– Co roku mam wrażenie, że ona robi się młodsza.

– Wiem, co masz na myśli. Miała zaledwie dwadzieścia lat, kiedy zrobiono to zdjęcie.

– Byłeś tutaj, kiedy umarła?

Nie odpowiedział, a Stella podniosła wzrok.

Pokiwał głową.

– Cierpiała? To znaczy na końcu. – Czytała powieść o pewnym poecie, który chorował na suchoty. – Stale kaszlała?

Odwrócił wzrok. Potarł dłonią nieogoloną szczękę.

– Nie musisz o tym opowiadać – dodała.

– Nie cierpiała – odrzekł. – Ani trochę.

Objęła go, wciąż trzymając ramkę.

– Uwielbiam to zdjęcie. Od zawsze. Dziękuję.

– Nie ma za co, Gwiazdko.

* * *

To były urodziny Stelli, ale Abby przyniósł prezent także dla Motty, a nawet kilka. Odkręciła pierwszy słoik i powąchała.

– Całkiem udana partia – rzekł Abby.

Godzinę po kolacji oboje mieli już lekko w czubie, a Stella trzymała przed sobą jeden z nowych dzienników od Merle. Przeczytała go od deski do deski, ale nie miała ochoty wstawać, żeby przynieść kolejny. Wiedziała, że dorośli częściej mówią ciekawe rzeczy, gdy zapominają o jej obecności lub nie wiedzą, że ich słucha. A pijani dorośli nie mają żadnych hamulców. Niestety, tym razem postanowili kłócić się o świnie. Abby był gorącym zwolennikiem ubicia maciory i kupienia nowych prosiąt.

– To ja zdecyduję, kiedy to zrobię – odparła Motty. – Nie ty.

– Ale jest wiosna. Jeśli teraz kupisz kilka warchlaków, do jesieni się utuczą. Tym razem pomogę ci zrobić to właściwie.

– Właściwie? – powtórzyła Motty lodowatym tonem.

– Za wcześnie interweniujesz. Świnie cały czas rodzą młode… Sztuczka polega na tym, żeby utrzymać prosięta przy życiu w okresie karmienia. Matki czasami je przygniatają i duszą.

– Potrafię zająć się swoją trzodą.

– Ale twoje maciory mają problemy z wydawaniem na świat potomstwa. To nie ma sensu, pozwól mi pomóc. Pomagałem przy porodach cieląt, a to niewielka różnica.

Stella nie podnosiła głowy.

– Już ci mówiłam, że to nie twoja sprawa – burknęła Motty.

– Albo możemy zadzwonić po weterynarza.

– Nikt nie będzie dzwonił po weterynarza! Nigdy więcej z nikim o tym nie rozmawiaj, rozumiesz? Żadnych plotek o tym, co tutaj robię.

– Czy kiedykolwiek o tym plotkowałem?

Nie przestawali się kłócić – to była niezdarna sprzeczka podsycana whiskey. Motty jak zwykle przywołała fakt, że Abby nie płaci czynszu, a Abby zauważył, że Motty właśnie pije jego czynsz, nie wspominając o wszystkich pracach, które dla niej wykonuje, a poza tym czy Hendrick nie przysyła jej pieniędzy co miesiąc?

– Nie twój zasmarkany interes. Musisz znać swoje miejsce, Abby Whitt. Nie jesteś lepszy ode mnie.

– O czym ty mówisz?

– Nie jestem głupia – odparła Motty. – Wiem, co ludzie o mnie szeptali po Lenie.

Lena! Stella znieruchomiała. Wbijała wzrok w stronę czasopisma.

– Nigdy z nikim o niej nie rozmawiałem – zaprotestował Abby.

– Powiedziałeś swojemu szwagrowi i Merle i…

– Merle jest moją siostrą!

– Kto wie, komu jeszcze. Musiałeś wszystkim wygadać, że chciałeś zawieźć ją do miasta do lekarza, chociaż oboje wiedzieliśmy, że to nic nie da. Ale nie, musiałeś mazać się jak dziecko.

Abby zerwał się na równe nogi.

– Kochałem ją, jakby była moim dzieckiem!

A więc żaden lekarz nie mógłby jej wyleczyć, pomyślała Stella.

– Nagle wszyscy w kotlinie myślą, że ją zabiłam, ponieważ ty narobiłeś zamieszania. Martwiłeś się, że będą obwiniali ciebie?

– Przesadzasz, Motty. Przesadzasz.

– Wynoś się z mojego domu, do diabła! – zawołała. – Jesteś zwykłym darmozjadem.

Abby wybiegł z domu, po drodze zderzając się ze wszystkimi futrynami i drzwiami. Ale Stella wpatrywała się tylko w Motty.

– Na co się gapisz? – spytała babcia. Siedziała na krześle jak oblężona królowa.

– Okłamałaś mnie – odezwała się Stella, z trudem wyduszając z siebie słowa.

– Co takiego? Idź do łóżka. Już dawno powinnaś spać.

– Skłamałaś. – Pokój zawęził się do łączącego je tunelu. – Lena wcale nie umarła na gruźlicę. – Wypowiedziała z naciskiem każdą sylabę tego słowa. – Nie było żadnej przewlekłej choroby.

– Owszem, to długo trwało.

Stella zmusiła się do zadania kolejnego pytania.

– Czy to Bóg ją zabił? A może ty?

Motty nic nie odpowiedziała. Potem z rozmysłem wypiła łyk whiskey. Stella czekała, czując, że serce trzepocze się jej w piersi. Jeśli Motty miała się do czegoś przyznać, to właśnie teraz, gdy była pijana i zanurzona we wspomnieniach. Do rana wytrzeźwieje, a światło dnia zasznuruje jej usta.

– Powiedz mi – nalegała Stella.

– Posunęła się za daleko, a ja jej nie powstrzymałam.

Za daleko.

– Ile przeżyła komunii? – spytała Stella.

– Piętnaście albo szesnaście.

Motty zaczęła je opisywać. Każda kolejna była dłuższa od poprzedniej. Pod koniec Lena obcowała z Bogiem ponad godzinę.

– Nie powinnam była jej pozwolić – ciągnęła Motty. – Sama nie byłam w stanie czegoś takiego znieść. Ale ona była lepsza ode mnie. A przekazy, które przynosiła… zupełnie jakby miała bezpośrednie łącze, święte… – Motty pokręciła głową. – Nikt nie wniknął tak głęboko jak ona. Nawet Esther.

Stella milczała. Dałabym radę wytrzymać godzinę, pomyślała. Bez żadnego problemu.

– Ale ostatni raz… – Motty nieobecnym wzrokiem wpatrywała się w jakieś wspomnienie. – O Boże.

– Co się stało? – spytała Stella cicho.

– Pozostawała z Bogiem przez niemal dwie godziny. Nie chciała go opuścić.

– Chcesz powiedzieć, że to on nie chciał jej puścić.

– Wiem, co chcę powiedzieć. Lena się go trzymała. Aż w końcu straciła przytomność, a Duchojciec ją zostawił. Zaniosłam ją do łóżka i położyłam, jak

zwykle. Zabandażowałam jej ręce. Zrobiłam wszystko tak samo. Ale ona tylko leżała. Wbijała wzrok w sufit. Czasami jej usta się poruszały, ale niczego nie mówiła. Nie mogłam nakłonić jej do jedzenia ani wmusić w nią choćby łyczka wody. – Motty hałaśliwie zaczerpnęła powietrza. – Powinnam była wezwać lekarza. Ale my tak nie postępujemy. Zawsze uważałyśmy…

Stella czekała. Motty opróżniła szklankę. Odstawiła ją z hukiem.

– Pięć tygodni – dodała staruszka.

Stella powstrzymywała się przed mówieniem.

– Opiekowałam się jej ciałem przez pięć tygodni. Potem zmarła i tak to się skończyło.

Motty pochyliła się do przodu, odepchnęła od krzesła i wstała. Chwiała się na nogach.

– Co zrobiła źle? – spytała Stella.

Motty podniosła głowę.

– Niczego nie zrobiła źle. Wypełniła swój obowiązek. Powinnyśmy być z niej dumne.

– Jestem od niej silniejsza – odrzekła Stella. – Wiesz, że tak.

– Jasne. – Motty wyszła z pomieszczenia, powłócząc nogami. – Wmawiaj to sobie.

16

1948

Dwie postaci wyszły na skraj drogi jak niepewne zwierzęta. Zbliżał się zmierzch i ich ciała rzucały długie cienie na chodnik. Stella zatrzymała forda i wyskoczyła na zewnątrz.

Abby w jednej dłoni trzymał torbę, a w drugiej dłoń Sunny. Dziewczynka sceptycznie spoglądała na samochód.

– Bez problemu dotarłaś do swojego auta? – spytał Abby.

– Byli w domu – odrzekła Stella. – Słyszałam, jak zamartwiają się straszliwą raną Rickie'ego. – Jeden z przybyszów z Georgii stał na werandzie, kiedy wyjechała z podwórza Motty, ale prawdopodobnie nikt za nią nie pojechał. Oczywiście w każdej chwili mogli zmienić zdanie.

– Wsiadaj śmiało – powiedziała Stella do dziewczynki.

– Dokąd jedziemy?

– Powiem ci, kiedy będziemy na miejscu. – Nie chciała tego zdradzać w obecności Abby'ego. Im mniej wiedział, tym lepiej.

Abby zaczekał, aż dziewczynka znajdzie się w aucie, i dopiero odezwał się do Stelli.

– On będzie jej szukał.

– Wiem. – Dopóki istnieje Bóg w Górze, będzie istniał kościół, a dopóki istnieje kościół, Hendrick będzie potrzebował Objawicielki. Wiedziała o tym od początku, ale łudziła się, że wujek się zmienił. Hendrick ją okłamał, a Veronica… no cóż, albo też ją okłamała, albo sama dała się oszukać. – Najpierw przyjdzie do ciebie.

Abby wzruszył ramionami i wręczył jej torbę.

– Potrafię o siebie zadbać.

– Nie rozstawaj się z bronią. – Zostawiła mu winchestera.

Okrążył samochód i nachylił się w stronę okna. Pocałował Sunny w bok głowy.

– Bądź grzeczna.

Dziewczynka się skrzywiła.

– Pojedź ze mną.

– Chciałbym.

– Nie możesz mnie z nią zostawić.

– Nic ci nie będzie – odrzekł Abby. – Nikomu innemu nie możesz tak bardzo zaufać.

* * *

Przez kolejne pół godziny Sunny siedziała z rękami skrzyżowanymi na piersi i naburmuszoną miną. Stella była wdzięczna za odrobinę ciszy. Kiedy wjechały na drogę numer 321, Stella dodała gazu, ale nie przekraczała ograniczenia prędkości. Pamiętała spotkanie z policją, gdy po raz pierwszy jechała tędy z Abbym.

Po prawej stronie pojawił się szyld Jimmy’s Market.

– Niedźwiedź pijący colę? – zaciekawiła się Sunny. – Musimy się zatrzymać!

– Przykro mi, mała.

– Mają tutaj niedźwiedzia, który pije colę!

– Nie można wierzyć we wszystko, co się czyta. – W tym wypadku szyld nie kłamał. Jimmy rzeczywiście trzymał w klatce niedźwiedzia brunatnego, a jeśli kupiło się butelkę coca-coli albo nehi, podawał napój zwierzakowi. Niedźwiedź chwytał butelkę obiema łapami i przysysał się do niej jak małe dziecko.

Niecały kilometr później minęły sklep i Sunny zobaczyła klatkę. Zaczęła krzyczeć, ale wtedy Stella krzyknęła jeszcze głośniej. Dziewczynka wzdrygnęła się, zaskoczona.

– Obiecuję, że pewnego dnia wrócimy i zobaczymy niedźwiedzia – powiedziała Stella.

– Kiedy?

– Pewnego dnia.

– Nie mamy czasu. Muszę go zobaczyć teraz.

– Jak to nie mamy czasu?

Dziewczynka warknęła i wyjrzała przez okno.

– Nie jedziesz do Georgii, wiesz o tym, nie? – spytała Stella.

– Nie masz o niczym pojęcia, Stello Wallace. – Sunny dramatycznie oparła się o drzwi. – Nikt nie wie, w jaki sposób umrze.

Stella westchnęła.

– Motty opowiedziała ci o Esther nad rzeką?

Dostrzegła odpowiedź w tępym spojrzeniu Sunny. Opowiedziała historię o tym, jak Esther się utopiła. Potem o tym, jak zakończyła życie Lena, Objawicielka przytłoczona przez Duchojca. Opowieści zajęły im resztę podróży do Maryville. Sunny milczała, chłonąc wszystkie nowe detale, które spadały na

nią jak ciosy. Kieszenie wypchane kamieniami. Motty, która obserwowała to z brzegu, a kilkadziesiąt lat później patrzyła na słabnącą Lenę. Przez pięć tygodni.

– Ale tobie nic się nie stało – powiedziała w końcu dziewczynka. – Uciekłaś.

Stella wyciągnęła prawą rękę.

– Pociągnij.

– Co?

– Ściągnij ze mnie kurtkę.

Dziewczynka wyprostowała się na siedzeniu. Szarpnęła za rękaw, a Stella się z niego uwolniła.

– Teraz podwiń rękaw mojej koszuli. Właśnie tak.

Sunny wytrzeszczyła oczy. Blizna wiła się wzdłuż wewnętrznej części ręki, od nadgarstka do łokcia.

– Bóg to zrobił?

– Nie, ja sama.

– Dlaczego?

– Kiedy miałam czternaście lat, nade wszystko pragnęłam wydostać się z kotliny. A więc to zrobiłam. Ale wtedy zaczęłam się zastanawiać, kim mogę być, jeśli nie Objawicielką. Może jestem tylko tym, czym uczynił mnie kościół?

– Może nie byłaś wystarczająco dobra.

Stella poczuła ukłucie gniewu. Powstrzymała je.

– Możliwe. Ale może nikt z nas nie jest. Wliczając Motty.

Popatrzyła na dziewczynkę, która szeroko otworzyła oczy i mocno zacisnęła usta. Jakby już znała prawdę.

– Duchojciec ją zabił – powiedziała Stella.

– Nie możesz tego wiedzieć – odparła Sunny napiętym głosem.

– Rana znajdowała się tutaj. – Stella dotknęła miejsca powyżej swojej piersi. – Trzy małe otwory. Igły, prosto w serce.

Sunny zakryła usta dłonią.

– Nie wiem, dlaczego to zrobił. Nawet nie wiem, w jaki sposób wydostał się z jaskini.

Dziewczyna wpatrywała się w nią ze strachem. A Stella pomyślała: Bardzo dobrze. Powinna się bać, do kurwy nędzy.

– Nie da się przewidzieć, co bóg zrobi – ciągnęła Stella. – Jahwe zesłał potop, który zabił wszystkich poza jedną rodziną. Później złożył w ofierze własne potomstwo. Ludzkie zasady go nie obowiązują.

* * *

Zatrzymała samochód między drzewami, a następnie poprowadziła milczącą Sunny na drugą stronę wzgórza, aż do bocznego wejścia na farmę Acorn. W domu było ciemno i cicho.

– Ja pierdolę – mruknęła Stella. Zapaliła światło. Nigdzie nie było Humpa Cornette.

– Co się stało? – spytała Sunny.

– Chłopiec, który dla mnie pracuje, powinien tutaj być. Sądziłam, że wystarczająco go nastraszyłam, ale widzę, że będę musiała go wypieprzyć z roboty.

– Co to jest? – Sunny wpatrywała się w mieszczącą trzy tysiące litrów kadź.

– Nigdy wcześniej nie widziałaś destylarni?

– Po prostu wygląda inaczej – usprawiedliwiła się dziewczynka.

– Oczywiście, że tak. To Królowa Bess. Ona rządzi tym królestwem.

Sunny przespacerowała się po rozległym pomieszczeniu, wszystko dokładnie oglądając i wąchając beczki, ale nie zadawała kolejnych pytań.

– Abby mnie nauczył – odezwała się Stella. – Jest najlepszym gorzelnikiem, jakiego wydały te wzgórza.

– Przedrzeźniasz mnie?

– Nie! Tak mówił wujek Dan. Zresztą nieważne.

Oczy Sunny rozbłysły.

– Uwielbiam wujka Dana.

– Kiedy byłam w twoim wieku marzyłam o tym, żeby go spotkać.

– Ja też.

– Coś ci pokażę. – Stella zaprowadziła ją do okna. – Widzisz tamtą gruntową drogę za drzewami? Każdy, kto nią przyjedzie, nie będzie moim przyjacielem. Jeśli zobaczysz samochód, schowaj się.

– Gdzie?

– To druga sprawa. – Za biurkiem Stelli znajdowała się ukryta klapa w podłodze. Stella uklękła i ją podniosła.

– Zupełnie jak w kaplicy! – zawołała Sunny.

Hmm. Stelli nigdy nie przyszło to do głowy. Ale rzeczywiście, zupełnie tak samo. Na dole znajdowała się kryjówka o wielkości mniej więcej pół na pół metra. Stella wyciągnęła z niej wiekową torbę. Czerwona i niebieska tkanina wyblakła na długo przed tym, zanim zabrała ją z domu Motty dziesięć lat wcześniej.

– Co w niej jest? – spytała Sunny.

– Nie twoja sprawa. Jeśli ktoś podejdzie do okna, wczołgaj się tam i zamknij za sobą klapę. Rozumiesz?

– A gdzie ty będziesz?

– Muszę coś załatwić. Zostawię klapę uchyloną, żebyś mogła szybko wskoczyć do środka.

– Nie możesz mnie tutaj zostawić!

– Potrzebujemy jedzenia. Jesteś głodna, prawda?

– Zaczekaj, nie powiedziałaś mi.

– Czego?

– W jaki sposób umrę.

O kurwa.

– To zależy od ciebie – odrzekła Stella. – Jeśli chcesz, możesz mieć ciekawsze życie niż w kotlinie. Jesteś kimś więcej niż dziewczynką, którą posyłają do jaskini.

* * *

Wjechała do Alcoa, kiedy słońce chowało się za krytymi gontem dachami domów wybudowanych przez kompanię. Jej umysł gorzelniczki wszędzie dostrzegał proces destylacji. Aluminium Company of America oddestylowała swoją nazwę do postaci akronimu, który następnie stał się nazwą własną, a nazwa miasteczka podążyła tym samym tropem. Jeszcze kilkadziesiąt lat i nazwa kompanii oraz miasteczka ograniczy się do litery „A”.

Stella skręciła z Bessemer Street i znalazła się w dzielnicy, którą kompania przeznaczyła dla swoich czarnoskórych pracowników. Kiedyś nazywano ją Black Bottom, ale po Wielkiej Wojnie kompania wybudowała nowe domy i nazwała ten obszar imieniem Charlesa M. Halla, współzałożyciela Alcoa i odkrywcy procesu redukcji aluminium. Wszystkie nowe ulice także zostały nazwane ku czci wynalazców – Newtona, Kelvina, Edisona – jakby kompania chciała przypomnieć mieszkańcom o tym, jak wiele zawdzięczają wybitnym białym ludziom.

Domy o konstrukcji szkieletowej różniły się tylko kolorem. Wszystkie były długie i miały werandę o spiczastym dachu. Ale dom, którego szukała, był łatwy do zauważenia, ponieważ rosnące przed nim krzewy niemal eksplodowały różowymi i białymi kwiatami. Pani Bowlin lubiła swoje kamelie. Z kolei nie przepadała za Stellą.

Stella zaparkowała na ulicy. Pomachała do czarnoskórego mężczyzny, który siedział na werandzie po przeciwnej stronie ulicy – był to jeden z wujków Alfonse’a – a on odwzajemnił pozdrowienie. Pracował dla kompanii, jak wszyscy Bowlinowie, których znała. Dziadek Alfonse’a zatrudnił się trzydzieści lat temu, kiedy Alcoa rozesłała swoich rekruterów po całym Południu, żeby zwerbować Czarnych i Meksykanów do najbrudniejszych i najgorętszych miejsc

pracy, na przykład kopalni boksytu w Arkansas albo lokalnego zakładu spalania paliw, gdzie wydobytą rudę zmieniano w proszek tlenku glinu, a następnie aluminium. Sale z kadziami, w których wytapiano aluminium, były najgorętszymi miejscami pracy w całym zakładzie, a rozbryzgi metalu mogły zabić człowieka albo, co jeszcze gorsze dla jego rodziny, okaleczyć go na tyle poważnie, że kompania musiałaby go zwolnić. Kiedy w zakładzie zaczęły działać związki zawodowe, nieco ponad dziesięć lat temu, prawie nie było już tam Meksykanów. Teraz czarnoskórzy pracownicy mieli szerszą gamę etatów do wyboru i mogli liczyć na wyższą płacę, chociaż wciąż niższą niż biali. To nadal była Ameryka.

Nic dziwnego, że Alfonse zaledwie dziesięć dni po poznaniu Stelli rzucił pracę w kopalni i został pełnoetatowym gorzelnikiem. To sprawiło, że Stella stała się bardzo lubiana, a zarazem nielubiana w rodzinie, w zależności od stosunku danej osoby do alkoholu.

Minęła kamelie i zapukała do drzwi. Pani Bowlin otworzyła z grymasem na twarzy.

– Co tutaj robisz, Stello Wallace? – Popatrzyła znacząco na torbę w ręku Stelli. – Nie pozwolę, żebyś znosiła alkohol do mojego domu. – Była drobną, szczupłą kobietą, ale wysokie obcasy i droga fryzura czyniły ją wyższą od Stelli. Pracowała jako nauczycielka w szkole Charlesa M. Halla i nosiła skromne sukienki, tak wykrochmalone, jakby wyprodukowano je w zakładach Alcoa.

– Alfonse jest w domu? – spytała Stella.

– Powiedziałam, że nie chcę cię tutaj oglądać. Masz na niego zły wpływ.

– Nie przyjechałabym, gdyby to nie była awaryjna sytuacja. Więcej mnie pani nie zobaczy.

– To ostatni raz?

– Obiecuję – odrzekła Stella. – No i nie mam przy sobie whiskey.

Pani Bowlin zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów.

– Jest za domem – powiedziała w końcu.

* * *

Niewielki garaż stał dziesięć metrów od domu. Drzwi były podniesione, a Alfonse pochylał się nad silnikiem swojego chevroleta. Zawsze był skrupulatnym mechanikiem i dbał o to, żeby jego samochód transportowy był w stanie palić gumę i łamać policyjne serca.

– Twoja matka właśnie się na mnie rzuciła – odezwała się Stella.

Alfonse zachichotał.

– Kochana kobieta. – Położył klucz francuski na materiale, którym był owinięty błotnik, i wyprostował się. Miał na sobie starą brązową koszulę roboczą z logo Alcoa. Nad kieszenią wyszyto imię jego ojca, ANTOINE.

– Mam mało czasu – powiedziała Stella. – Wpakowałam się w kłopoty.

Alfonse uniósł brew.

– Coś nie tak z bimbrem?

– Niezupełnie. Pamiętasz tamtą dziewczynkę?

– Tę, która otwiera trumny?

– Zmieniłam zdanie w kwestii jej wyjazdu do Georgii. Przywiozłam ją na farmę, ale nie mogę tam zostać na zawsze. Musimy ruszyć dalej i znaleźć jakieś miejsce, w którym będziemy mogły zamieszkać.

– Ale dlaczego ją zabrałaś? Przejęłaś prawa do opieki?

– Ja bym tak to nazwała, ale szeryf Whaley mógłby to nazwać porwaniem. Wiesz, że kumpluje się z moim wujkiem.

– Więc jedziesz na plażę Myrtle.

To było ich slangowe określenie oznaczające pozostawanie w ukryciu. Za każdym razem, gdy jakiś nieprzyjazny gliniarz kręcił się obok któregoś z ich ulubionych miejsc albo któryś z klientów dał się złapać z kilkunastoma litrami ich bimbru, jedno z nich mówiło, że chce się wybrać na plażę Myrtle, a wtedy zamykali farmę i zaszywali się gdzieś na kilka dni.

– Może też powinieneś wyjechać – zaproponowała Stella. – Tylko na jakiś czas. – Wręczyła mu torbę. – To cała nasza gotówka. Trochę zabrałam, ale reszta jest twoja. Kiedy poczujesz, że to właściwa chwila, uruchom farmę i prowadź ją tak, jak uznasz za stosowne.

– Stello, nie. – Usiłował oddać jej torbę, ale tylko uniosła ręce.

– Hump może nastawić nową partię, jeśli zdołasz go znaleźć. Ponownie się ulotnił. Sądziłam, że rano pojechał na farmę, żeby uruchomić destylarnię, ale nie. Przykro mi, że stawiam cię w takiej sytuacji, ale znasz cały proces.

– Nie tak dobrze jak ty. Daj spokój, pozwól, że ci pomogę. Nie musisz uciekać.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Chociaż nigdy do końca nie rozumiałam, co to znaczy.

– To znaczy pieprzyć tych gnojków. Jeśli cię niepokoją, to wiesz, że możesz na mnie liczyć. Ostatnim razem nawet nie musiałem wyciągać broni.

– Ja już do nich strzelałam.

Alfonse był zaskoczony i zachwycony.

– Zabiłaś tamtego chłopaka? Tego, który wygląda jak narysowany kredą?

– Brata Paula. Żyje, ale jest wściekły.

– Jedźmy z nim porozmawiać.

– Muszę to załatwić sama – odrzekła Stella. – Ale jest coś, co możesz dla mnie zrobić.

– Trotyl.

Odetchnęła z ulgą. Z Alfonse’em zawsze łatwo się było dogadać.

– Kiedy tylko go zdobędziesz. Proszę.

– Podejrzewam, że tym samochodem można szybko dostać się do Chattanoogi.

– Mój Boże. Dziękuję. Nie prosiłabym o to, gdybym tego nie potrzebowała.

– Tylko nie mów mojej matce – zastrzegł Alfonse. – Zabije nas oboje.

* * *

Znajdowała się o dwie minuty jazdy od farmy, gdy zobaczyła radiowóz. Samochód szeryfa stał na rozwidleniu dróg ze zgaszonymi światłami, zwrócony przodem w jej stronę.

Stella zwolniła, próbując nie wpadać w panikę. Skoro radiowóz tutaj stał, to policja musiała znać położenie farmy, a przynajmniej wiedziała, że ta znajduje się gdzieś w pobliżu. Stella mogła pojechać w lewo, dotrzeć na tyły farmy i spróbować zabrać Sunny. Ale wtedy doprowadzi policjantów do celu, a nie wiedziała, jak mogłaby im uciec.

Albo mogła skręcić w prawo. Ta droga prowadziła pod drzwi frontowe farmy, gdzie Sunny z nadzieją wyglądała przez okno. Dziewczynka się schowa, a Stella pojedzie dalej. Potem spróbuje zgubić gliniarzy na bocznych drogach i wróci po małą.

Albo mogła ostro zahamować, zawrócić i uciec do miasta.

Żaden z tych wyborów nie wydawał się dobry. Zwolniła i zatrzymała się trzydzieści metrów od radiowozu. Trzymała stopę na sprzęgle. Czekała.

– No dalej – odezwała się cicho. – Wykonaj jakiś ruch.

Szeryf włączył reflektory, których blask zalał jej przednią szybę. Stella jedną ręką chwyciła dźwignię zmiany biegów, a drugą zacisnęła na kierownicy.

Radiowóz powoli ruszył w jej stronę. Jeśli zacznie strzelać, mogę się uchylić, pomyślała. Jedź w prawo.

Kiedy samochód znalazł się w odległości kilku metrów, skręcił i podjechał do jej drzwi.

Za kółkiem siedział Bobby Reed, zastępca szeryfa Whaleya. Zerknął na nią, a następnie odjechał.

Patrzyła w jego tylne światła w lusterku.

– Cholera. – Wcisnęła pedał gazu. – Cholera, cholera, cholera.

* * *

Światła były zapalone, w dużym pokoju panowała cisza. Żadnej policji, przynajmniej na razie.

– Sunny! – zawołała Stella. – Musimy wyjść! Natychmiast!

Czyżby schowała się pod podłogą? Stella podbiegła do biurka, a wtedy zobaczyła dziewczynkę po drugiej stronie pomieszczenia, częściowo ukrytą za workami z cukrem. Mała była do niej zwrócona plecami.

– Sunny! Hej! Musimy iść.

Dziewczynka się nie odwróciła. Wyciągała przed siebie ręce. Stella szybko do niej podeszła i zamarła.

Z obu dłoni Sunny wyrastały pęki lśniących nici. Kosmyki, długie na metr, odbijały światło jak włókno szklane i splatały się ze sobą nawzajem. Na kruchy koniec jednego ze splotów nadziało się małe zwierzę – polna mysz. Stworzonko miotało się w ciszy.

– Sunny. Sunny, popatrz na mnie.

Dziewczynka obejrzała się przez ramię. Trudno było odczytać wyraz jej twarzy.

– Skróć jej cierpienia – powiedziała Stella. – Proszę.

Sunny westchnęła. Kosmyki drgnęły i zwierzątko znieruchomiało, a jego malutkie nóżki się rozchyliły. Kolejne drgnięcie i ciałko spadło na podłogę. Nie poruszało się.

Stella popatrzyła na mysz. Przypomniała sobie łanię, jej czarne wytrzeszczone oko.

Dziewczynka się odwróciła. Lśniące włókna tańczyły w powietrzu.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Schowaj je. Potrafisz je schować?

– Co się stało, Stello Wallace? Czy one cię niepokoją?

– Proszę.

Sunny podniosła prawą rękę, a nitki zniknęły, wciągnięte w głąb ciała. Zrobiła smutną minę.

– Motty też się ich bała. – Zbliżyła się o krok. Kosmyki wyrastające z lewej dłoni unosiły się przed nią jak wodorosty poruszane morskim prądem.

– Sunny, posłuchaj. One pochodzą od Duchojca, ale nie są częścią ciebie, rozumiesz? Chociaż są w tobie, to nie znaczy, że…

– Cicho. Oczywiście, że są częścią mnie. Tak samo jak moja ręka. Motty opowiedziała mi pewną historię. Według niej byłaś moją mamą, a pewien chłopiec, który nazywał się Lincoln Rayburn, był moim tatą. Ale od zawsze

wiedziałam, że to nieprawda. Jestem córką Boga. – Poruszyła ustami, a potem pokręciła głową. – Zrozumiałam to, gdy spotkałam go po raz pierwszy.

Stella cofnęła się o krok.

– Weszłaś do jaskini? – spytała chrapliwym głosem.

– Nie musiałam. On przyszedł się ze mną spotkać. Nie mógł się doczekać.

– Ale czy ty… Czy on cię dotknął? Twoich dłoni?

Włókna tańczyły ponad dłonią Sunny.

– Wiem, czym jest komunia, Stello Wallace. To się jeszcze nie stało, ale jestem gotowa. Wiem o tym od chwili, gdy one się ze mnie wyłoniły.

– To niemożliwe – odrzekła Stella. – Twoje dłonie. Dotykałam ich.

– Och, to nic. – Sunny podniosła prawą dłoń. Skóra sprawiała wrażenie gładkiej jak szkło. – Potrafię robić rzeczy, których żadna z was nie umiała. Właśnie dlatego to ja ocalę Boga.

Kosmyki zbliżyły się do twarzy Stelli.

Stella wzdrygnęła się, ale została na miejscu.

– Mogłabyś je schować?

– Czytałam księgi i wiem, że on mnie potrzebuje, i to natychmiast. Nie mamy czasu czekać, aż osiągnę wiek odpowiedzialności. Nikt mnie nie powstrzyma. Motty się nie udało.

Stella zobaczyła to w nagłym przebłysku zrozumienia. Motty grozi dziewczynce. Sunny na nią krzyczy. Motty każe Abby’emu zasłonić otwór. Kolejna kłótnia.

Motty potrafiła być brutalna, gdy przycisnęło się ją do muru. A Stella już wiedziała, do czego Sunny jest zdolna. To było u nich dziedziczne, jak plamista skóra.

– Zabiłaś ją – powiedziała Stella.

Sunny rozłożyła ręce. Włókna przecięły powietrze.

– Nie wiedziałam, że jej odbije! – Łzy napłynęły do oczu dziewczynki. – Powstrzymywała mnie przed wypełnieniem mojego obowiązku!

Przez cały czas Stella sądziła, że Bóg to zrobił. Wmawiała sobie, że to nie mogła być Sunny; dłonie pozbawione śladów stanowiły dowód.

– Musisz mnie posłuchać – odezwała się. Denerwowało ją, że nie potrafi powstrzymać drżenia głosu. – Musisz je schować i pójść ze mną.

Za plecami Sunny w oknie zamigotały światła kilku radiowozów.

Dziewczynka obróciła dłoń i kosmyki zniknęły pod skórą.

– Wujek Hendrick przyjechał, żeby zabrać mnie do domu.

17

1938

Na górze rozrosła się świeża roślinność. Niespodziewane ocieplenie sprawiło, że wszystkie krzewy i drzewa rozbłysły zielenią. Dzikie kwiaty przebiły ziemię.

Noce wciąż były chłodne, ale to nie powstrzymywało Stelli i Lunka. W ciągu dwóch miesięcy po swoich czternastych urodzinach Stella raz, a czasem dwa razy w tygodniu wymykała się, żeby spotkać się z nim na górze. Chętnie uciekała od Motty i od siebie samej. Lunk miał inne sprawy na głowie.

Pewnej nocy pod koniec maja powiedziała mu, że chce wspiąć się aż do połowy wysokości góry. Po godzinie marszu usiedli na polanie i okryli się wełnianym kocem przyniesionym z domu Rayburnów. Stella patrzyła przez lukę między drzewami na spowity obłokami Księżyc. Lunk patrzył na nią. Położył rękę na jej plecach pod płaszczem, a jego palce muskały bok jej piersi, chociaż prawie ich nie czuła przez koszulę i biustonosz. Drugą rękę trzymał na jej obnażonym kolanie. To akurat czuła. Co kilka minut dłoń przesuwała się nieco wyżej.

– Po co przyszliśmy aż tutaj? – spytał.

– Bez powodu – skłamała. – Wiesz, że moja mama otrzymała imię po Księżycu?

– Drugie imię?

– Nie, Lena. Selene była boginią, która przemierzała swoim rydwanem nocne niebo.

– Hmm. – Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. – To straszne odludzie.

– Myślałam, że lubisz spacerować.

– Z tobą poszedłbym wszędzie, Stello.

– Słodki jesteś.

Zapragnęła stanąć na krawędzi skały, żeby wyraźniej przyjrzeć się Księżycowi.

– Wszystko w porządku? – spytał. – Zachowujesz się…

– Nic mi nie jest.

Nie chciała, żeby widział ją smutną. Nie powiedziała mu, czego się dowiedziała o śmierci Leny. Nie przyznała się, że nie potrafi pozbyć się z głowy

obrazu matki każdego dnia coraz bardziej opadającej z sił… Nie. Lunk nie miał nic wspólnego z pozostałymi sferami jej życia i to jej się podobało. Zbliżała się jej kolejna komunia i Stella zamierzała dokonać dużych zmian. Wujek Hendrick i starsi nie będą zadowoleni, ale musiała zrobić to sama, a Lunk nie mógłby jej pomóc, nawet gdyby chciał.

– Proszę, zabrałam coś na rozgrzewkę.

W kieszeni miała słoik. Wyłowiła go i odkręciła. Wypiła łyk i przeciągle westchnęła, tak jak Abby.

Lunk o mało nie postradał zmysłów. Kiedy nie mógł nic wykrztusić przez kilka sekund, Stella spytała:

– Jesteś ode mnie starszy, nigdy nie próbowałeś księżycówki?

– Nigdy.

– Masz zaległości. – Zdjęła jego dłoń ze swojego kolana i podała mu słoik. – Ostrożnie.

Wypił łyk i od razu się zakrztusił i wypluł bimber.

– Dobry Boże!

– To Miodowa Żyleta. Zrobi z ciebie mężczyznę.

Namówiła go na kolejny łyk. Tym razem przełknął alkohol.

– Rzeczywiście pali.

– Mówiłam, że cię rozgrzeje.

Siedzieli przez chwilę, podając sobie słoik. W jej umyśle pojawił się obraz wyraźny jak te drzewa i Księżyc. Lena, przebrana za Indiankę, stojąca na tym urwisku.

Lunk nie przejmował się duchami. Wkrótce znów położył rękę na jej kolanie.

– Myślisz, że kiedyś wyjedziesz z kotliny? – spytał.

Nie, pomyślała. Nigdy. Tutaj mieszka Bóg. Dlaczego miałaby wyjeżdżać? Poniosłaby porażkę, tak jak Lena. Czuła to w kościach.

– A ty? – spytała.

– Będziemy musieli. Wszystkich wyrzucają.

Nie mogła z tym dyskutować. Tylko kilka osób miało wieczystą dzierżawę, tak jak Motty.

– Rodzina mojego taty ma ziemię w Townsend. Nie aż tyle co tutaj, ale wystarczy. Tata zbuduje tam dom, potem drugi dla mnie i trzeci dla mojej siostry.

– Posiadłości Rayburnów.

Lunk się roześmiał.

– Chyba tak. Będę miał miejsce, żeby założyć rodzinę.

– Co ty nie powiesz?

– Zostanę starszym i zacznę głosić Ewangelię, a ty…

– Koniecznie chcesz zostać kaznodzieją. Nie rozumiem tego.

– To powołanie. Kiedy Bóg puka do drzwi, trzeba otworzyć.

– A jeśli to diabeł?

– Wiedziałbym, gdyby tak było.

– Więc masz wizjer w drzwiach. Sprytnie.

– Nie powinnaś żartować na temat Szatana – odparł. Wierzył w Lucyfera równie niezachwianie jak w Boga.

– Mam tylko nadzieję, że umiesz zauważyć różnicę – powiedziała Stella. – Obaj są nadprzyrodzonymi jegomościami, którzy chcą posiąść twoją duszę. Można się pomylić.

– A niech mnie, Stello. – Postanowił się roześmiać. – Ty z pewnością masz powołanie do teologii.

Lunk uwielbiał mówić. A ona była mu wdzięczna za odwrócenie uwagi.

Pokręcił głową i wypił kolejny łyk.

– Jesteś najbystrzejszą dziewczyną, jaką znam. Bóg podarował ci rozum i byłoby grzechem go zmarnować. Chce, żebyś poszła do Maryville College i została…

– Do Maryville, a nie na Uniwersytet Tennessee?

– Na pewno do Maryville, był co do tego pewny. – Lunk zaczynał się zachowywać komicznie. – Potem wyjdziesz za mnie i zostaniesz żoną kaznodziei.

– Chwileczkę. Bóg dał mi rozum, ale nie chce, żebym odzywała się w kościele?

– Coś byśmy wymyślili.

– Wiesz co, pozwolę ci przychodzić do mojego kościoła i siedzieć tam w milczeniu.

– Założysz własny kościół?

– Dlaczego nie? Nie wydaje się to trudne.

– Gdybym miał własny kościół, pozwoliłbym ci mówić.

– Ha.

– Naprawdę! Mogę ci coś wyznać? Nigdy nikomu tego nie mówiłem.

– W porządku.

– Czasami kiedy siedzę w kościele, patrzę na te rzędy ludzi i mam ochotę… – Powoli pokręcił głową. – Mam ochotę wstać i przebiec po ławkach.

Stella roześmiała się, straciła równowagę i ściągnęła z niego koc. Słoik potoczył się po ziemi.

– Daj spokój, jest zimno!

Pomógł jej wstać.

– Chciałabym zobaczyć, jak to robisz – powiedziała.

– Dokładnie to sobie wyobrażam. Siedzę, słuchając taty, i nagle widzę siebie na szczycie tych ławek i myślę: O nie, to się zaraz stanie. Czasami nogi zaczynają mi drżeć, ponieważ są gotowe do skoku. Zupełnie jakbym nie potrafił się powstrzymać.

– Ale tego nie robisz.

– Na razie. Czy to nie szaleństwo?

Nie masz pojęcia, czym jest szaleństwo, pomyślała.

– Następnym razem powinieneś to zrobić. Korzystać z chwili.

– Korzystać z chwili.

– Właśnie tak.

– Mogę cię pocałować?

– Myślę, że nie miałabym nic przeciwko.

Nachylił się. Miała popękane usta, ale mu to nie przeszkadzało. Jego dłonie poruszyły się pod jej płaszczem.

Cofnęła się i pociągnęła go za sobą, w stronę Księżyca. Zaczepiła piętą o korzeń i zatoczyła się.

– Spokojnie – powiedział.

Stali na krawędzi nad stumetrową ciemną przepaścią. Mieli wrażenie, że Księżyc jest na wyciągnięcie ręki.

– Stello?

– Myślę o czymś.

– Ja też.

Przyciągnął ją do siebie. Kołysali się jak tancerze. Lunk był odurzony jej bliskością i alkoholem. Nie zdawał sobie sprawy ze smutku, który wzbierał w niej jak fale przypływu.

Zmiął jej spódnicę i podciągnął ją wyżej, dotykając gorącą dłonią jej skóry.

– Starasz się dotrzeć do ziemi obiecanej, Mojżeszu? – spytała.

– Mojżeszu! Ha!

– Może pewnego dnia pozwolę ci ją zobaczyć, ale umrzesz, zanim do niej wejdziesz.

Stęknął. Stella zachichotała i dotknęła jego policzka. Opuścił głowę i pocałował ją w szyję. Nie zabrał dłoni z jej uda. Biedny chrześcijański żołnierz, zagubiony na obcej ziemi, pomyślała.

Zrobiło jej się go szkoda i mocniej przycisnęła jego dłoń do swojego ciała. Cicho westchnął, jak mały chłopiec nagle zbudzony ze snu.

* * *

Święci wujkowie padali jak muchy. Wujek Hendrick przyszedł na kolejną komunię zaledwie z piątką starszych. Trzy tygodnie wcześniej stracili Calvina Whita, który nie był w żaden sposób spokrewniony z Whittami przez dwa „t”. Mężczyźni, którzy zebrali się wokół niej w salonie, byli wysuszeni jak podpałka i mieli skórę cienką jak papier. Zastanawiała się, ile czasu minie, zanim Hendrick będzie zmuszony przychodzić samotnie.

Wujek jak zwykle uklęknął przed jej krzesłem, ustawiwszy między nimi miskę z olejem. Na sam jego widok zaswędziały ją dłonie. Zaczął mówić, a Stella uniosła rękę.

– Mam kilka pytań.

W pokoju zapadła cisza. Dziewczynka poczuła dreszcze na plecach, ale zebrała się w sobie. Przez cały tydzień ćwiczyła to w myślach.

– Pytań? – odezwał się w końcu Hendrick. – Najpierw dokonajmy namaszczenia, a być może po kolacji będziemy mogli…

– Dlaczego nie mogę przeczytać innych Objawień? Moja mama nie żyje, nic by nie zaszkodziło, gdybym zobaczyła *Księgę Seleny.*

Obejrzał się przez ramię, gdzie stała Motty, ale nie otrzymał od niej wsparcia.

– Już o tym rozmawialiśmy.

– To ja obcuję z Bogiem w Górze – odparła Stella. – Zasługuję na to, żeby przeczytać o tym, co wydarzyło się wcześniej z Leną i Motty.

Hendrick popatrzył na pozostałych wujków, jakby chciał spytać: No i co mogę zrobić z takim dzieckiem? W końcu odpowiedział:

– Księga Mathildy jeszcze nie jest gotowa, a historia Leny nie może ujrzeć światła dziennego, dopóki nie zostanie ujawniona poprzednia księga. Znasz zasady.

Jeden z mężczyzn powiedział „Amen”.

– A zatem moja księga – nie ustępowała Stella. – Muszę wiedzieć, czy poprawnie wszystko zapisujesz.

– Słucham?

– Skąd mam wiedzieć, czy piszesz prawdę… czy przekazujesz prawdziwe znaczenie? – Odwróciła się w stronę pozostałych wujków. – Czytałam *Księgę Clary* i *Księgę Esther.* Uważam, że Hendrick niewłaściwie zrozumiał przekaz Boga.

Ci staruszkowie, którzy ją usłyszeli, wyraźnie się zaniepokoili. Hendrick wstał. Stella obejrzała się przez ramię. Motty piorunowała ją wzrokiem. Ha! Babcia nie wiedziała, co Stella zamierza powiedzieć, ale postanowiła jej nie przerywać. Na razie.

– Komentarze są równie natchnione jak słowa wypowiadane przez Objawicielkę.

– Nie wiesz tego – odparła Stella. – Po prostu zgadujesz.

– Nie zgaduję. Bóg przeze mnie przemawia. Pisanie komentarzy wymaga refleksji, modlitwy i… i badań. Jesteś za młoda, żeby to zrozumieć.

– Myślę, że rozumiem lepiej od ciebie. To ja obcuję z Bogiem.

– Jesteś wtedy w delirium! Nie wiesz, jakie słowa wypowiadasz, a tym bardziej co oznaczają.

– Jasne, kiedy to się dzieje, mam gorączkę… ale ty jesteś jeszcze bardziej oddalony od źródła. Ja przynajmniej pamiętam, jakie zamiary ma Bóg. Być może widzę jak w zwierciadle, ale ty wbijasz wzrok w ścianę. – Wymyśliła to wieczorem, kiedy przygotowywała się do ceremonii. – Nawet jeśli nie pamiętam, co oznacza każde słowo, wiem, co on czuł, kiedy do mnie przemawiał. Wiem, czego pragnie. – Zwróciła się do wujków. – A wy wiecie, czego Bóg od nas chce? Ktokolwiek z was to wie?

– On niczego nie chce! – odrzekł John Headley Martin.

– Poza naszą wiarą – dodał Donald Birch.

– Tak, oczywiście.

– Oraz służbą.

– Wiarą i służbą, tak…

– No i miłością! – uzupełnił Porter Martin.

– Co takiego? – spytał Morgan Birch.

– Miłością, Morganie, miłością!

– Jasne – odpowiedziała Stella. – A co otrzymujecie w zamian?

– Miłość! – ponownie odpowiedział Porter.

– Wiem, że on mnie kocha – odrzekła Stella. – Czuję jego miłość. Ale skąd wy możecie wiedzieć, że kocha któregokolwiek z was?

– Powiedział nam to w Objawieniach – wyjaśnił wujek Hendrick.

– Bóg tak powiedział? – spytała. – Czy ty?

Hendrick uniósł ręce.

– Motty, co się dzieje? Co jej naopowiadałaś?

Stella pomyślała: To moje własne słowa mnie przemieniły. Moje własne myśli.

– Odpowiedz na jej pytanie – odrzekła Motty. – Powiedz jej, co otrzymujecie od Boga.

Stella patrzyła na wujka Hendricka. Czekała.

– W dniu, w który którym Bóg ujawni się światu, nagrodzi nas za naszą wiarę i oddanie – odezwał się Hendrick ostrożnie. – Dzieci Boga otrzymają wielki dar. – Mówił takim samym tonem jak starszy Rayburn podczas kazania. Stella zastanawiała się, czy rozmyślnie go kopiował, czy może każdy mężczyzna w tej okolicy od dziecka uczył się przemawiać z pogardą jak Mojżesz. – Życie

wieczne. Nie w niebie ani jakimś przyszłym świecie. Już teraz. W *Księdze Esther* po raz pierwszy obiecano, że Bóg da nam „jedno ciało, wiecznie rozkwitające”. Jak kwiat, który kwitnie co roku, ale stale się odradza.

Grał przed swoją publicznością. Stella popatrzyła na wujków.

– Myślicie, że on wam to da? Wam, mężczyznom?

– Wierzymy w to, owszem – przyznał Hendrick.

– Więc dlaczego jeszcze tego nie zrobił? Kuzyn Calvin właśnie zmarł. Każdy z was może nie dożyć kolejnej komunii.

– Stello! Co w ciebie wstąpiło?

– Możemy kontynuować? – spytał Morgan Birch.

– Nie wejdę do jaskini – odparła Stella.

Mężczyźni byli zbyt starzy, żeby urządzać sceny, ale postanowili spróbować. Kilku z nich zdołało poderwać się z krzeseł.

– Nie wejdę, dopóki nie obiecacie, że będę mogła przeczytać Objawienia. Wszystkie, wliczając swoje własne. Przedyskutujcie to przy kolacji. Ale nie możecie mnie zmusić. Myślicie, że Bóg przyjdzie, jeśli będę wierzgała i krzyczała?

Wujkowie nie mieli zamiaru o tym dyskutować, ani przy kolacji, ani kiedykolwiek indziej. Hendrick stanął nad nią i nazwał ją dzieckiem. Gorzej, dziewczynką. Jeden ze staruszków zaproponował, żeby użyć pasa.

– Spróbujcie – odparła Stella. – Wiele razy dostawałam w skórę.

– Odeślemy cię do twojego ojca! – powiedział kolejny.

Pusta groźba. Ojciec by jej nie przyjął, a oni nie zamierzali się jej pozbywać. Wiedziała, że jest ostatnią Objawicielką.

– Proszę, uspokójcie się – odezwał się Hendrick. Zaczekał, aż wszyscy usiądą. – A co z Bogiem w Górze? Zrobiłabyś mu coś takiego? – Głos miał chrapliwy i pełen niepokoju.

Miała ochotę go wyśmiać. Wyśmiać ich wszystkich. Naprawdę uważali, że mogą stanąć pomiędzy nią a Bogiem? Co za absurd. Nie wiedzieli o jej odwiedzinach ani o świniach. Ta sekretna wiedza płonęła w niej niczym ognisty miecz.

Wujkowie okładali ją słowami, z każdą chwilą coraz bardziej oburzeni i wściekli, gdy nie ustępowała. Nawet John Headley, jeden z najstarszych, zaczął krzyczeć.

– Zawleczcie ją tam! Zawleczcie i przywiążcie!

Stella zerknęła na Motty, która stała pod ścianą ze skrzyżowanymi rękami i nieodgadnioną miną. Czy babcia ją ochroni? A może zaczeka, jak sytuacja się rozwinie?

– Wystarczy, że zrobicie jedną rzecz – poinformowała ich Stella.

– Nie ma mowy – odparł Hendrick. – Nie dajesz nam wyboru. Panowie? Pomóżcie mi ją przytrzymać.

Stella zerwała się na nogi.

– Przestańcie! – zawołała.

Mężczyźni wymienili zadowolone spojrzenia.

– Posłuchasz nas? – spytał Hendrick.

– Nie. – Popatrzyła mu w oczy. – A jeśli nie dacie mi tego, do czego mam prawo, odejdę. Tak jak Lena.

– Uciekniesz z Lincolnem Rayburnem? – Roześmiał się, widząc jej oszołomioną minę. – Wiem, że spędzasz czas z tym chłopcem. Nie jestem głupi.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie przygotowała się na taką ewentualność.

– Mam dla ciebie wieści – ciągnął Hendrick. – Lena wróciła.

– Jestem silniejsza od niej… Wystarczająco silna, by odejść na dobre.

Hendrick popatrzył na Motty.

– Powiedziałaś jej?

– Mówię śmiertelnie poważnie – dodała Stella. – Nie zmuszajcie mnie.

* * *

Nie próbowali jej powstrzymać, gdy wychodziła z domu. Na podwórzu Veronica niemal ją przewróciła, gdy z płaczem zarzuciła jej ręce na szyję. Oczywiście wszystko słyszała przez frontowe okno.

– Dlaczego płaczesz?

– Tatuś jest na ciebie taki wściekły!

– Przejdzie mu. Większość z tego była na pokaz. – Nie wiedziała, czy którekolwiek z tych stwierdzeń jest prawdziwe.

– Musisz mu to zrekompensować. Proszę, powiedz mi, że go przeprosisz. – Pomimo łez Veronica była urocza. Dziesięciolatka o urodzie przyszłej gwiazdy filmowej: gładka skóra, wielkie oczy, blond loki, nos jak guzik. Z pewnością nigdy nie zdenerwowała w ten sposób swojego taty, może nawet nie widziała go w takim stanie. Miała szczęście.

Doszły nad strumień, trzymając się za ręce.

– Wspominali o tym chłopcu, o którym ci mówiłam – zagadnęła Stella.

– Lunku?

Stella popatrzyła na nią z góry.

– Daj spokój. Powiedziałaś o nim tacie?

Veronica wyglądała na przerażoną.

– Mówiłaś, że to tajemnica! Nigdy nie zdradziłabym mu tajemnicy. – Znów wybuchła płaczem.

A więc Motty.

Veronica uwielbiała zimne mleko, które przechowywali w strumieniu. Stella wyłowiła słoik i pozwoliła małej się napić. Siedziały na betonowej płycie i czekały. Stella nie miała ochoty rozmawiać. Wyobrażała sobie swoją matkę na szczycie urwiska, lśniącą w blasku księżyca. W swojej wyobraźni stała kilka metrów od niej i nie była w stanie jej powstrzymać. Lena obejrzała się z uśmiechem, a potem zrobiła krok w przepaść.

Veronica dotknęła łzy na policzku Stelli.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała. – Tata ci wybaczy.

– Tym się nie martwię.

– Opowiedz mi o tym, jak to jest mieć chłopaka. Pieścicie się?

– Co ty możesz wiedzieć o pieszczotach?

Veronica uśmiechnęła się wstydliwie.

– Jak to jest?

– Jest… w porządku – odrzekła Stella.

Vee dopytywała o szczegóły, więc Stella zmieniła temat i czekała, aż starsi skończą obrady. Spodziewała się, że rozejdą się zaraz po jej deklaracji, ale minęła prawie godzina, zanim Hendrick zawołał Veronicę.

– Lepiej idź albo cię zostawi – poradziła Stella.

Veronica się roześmiała.

– Możesz mi wierzyć, że to się zdarza.

* * *

Stella wróciła, kiedy zniknęły ostatnie światła samochodów. Na stole wciąż stały talerze z kośćmi od kurczaka. Nawet oburzenie nie mogło sprawić, by rozjechali się do domów głodni.

– Coś zostało? – spytała Stella.

– Talerz stoi na kuchence.

Stella zajadała kurczaka na stojąco, podczas gdy Motty siedziała z filiżanką kawy w dłoniach. Brudne patelnie leżały obok zlewozmywaka, czekając na wyszorowanie solą i nasmarowanie. Motty rzadko zostawiała taki bałagan.

– Jesteś z siebie dumna? – spytała po chwili.

Stella odgryzła kawałek mięsa. Żując, nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

– Konfrontacja z nimi nic nie daje – dodała Motty. – Nie wolno ich upokarzać.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ są mężczyznami. Nie zniosą tego.

– Ktoś musiał to zrobić.

– Nie pozwalaj sobie.

– Ty tylko bezczynnie patrzyłaś.

– Patrzyłam, jak robisz z siebie idiotkę. Nie miałaś szans nakłonić ich do dania ci Objawień.

– W takim razie oni nie mieli szans nakłonić mnie do pójścia do jaskini.

– Chciałaś im opowiedzieć o swoich potajemnych wizytach, prawda? Kusiło cię.

– Nie powiedziałam ani słowa.

– Gdybyś to zrobiła, dałabym ci po głowie. Co sobie myślałaś?

Stella popatrzyła na trzymaną kość.

– Myślałam sobie, że mam dość bycia okłamywaną.

Na twarzy Motty pojawił się gniew.

– Powiedziałam ci, kiedy byłaś gotowa.

– Decyzja już nie należy do ciebie – odparła Stella. – Najwyższy czas, żebym napisała własne Objawienie.

– My tego nie robimy. Księgi nie mają znaczenia.

– Ależ mają. Liczy się też, kto je pisze. Wszyscy baptyści czytają Biblię króla Jakuba, nie myśląc o tym, że jeden człowiek zdecydował, co do niej trafi, a czego zabraknie. Wycięto całe księgi. Ludzie, którzy postanowili, co…

– Niczego nie brakuje! – warknęła Motty. – W Biblii jest dokładnie to, co powinno być, nie mniej, nie więcej.

– Mówisz jak starszy Rayburn.

– Kto wtłoczył ci te myśli do głowy? Jego syn, Lincoln? Merle Whitt?

– Nasz kościół ma tylko wersję Hendricka, a ty dobrze wiesz, że to nie jest cała historia. Ale skoro wujkowie nie czytają niczego więcej, właśnie na jej postawie ustanawiają zasady.

– Ich zasady nie mają znaczenia. Księgi nie mają znaczenia. My wiemy, co jest prawdą.

– Nie wiemy – zaprotestowała Stella. – Nie znamy całej prawdy.

Motty przekrzywiła głowę. Zupełnie jakby czekała, czy Stella się na nią zamachnie.

– Jeśli masz jeszcze jakieś wielkie tajemnice, powinnaś mi je zdradzić, zanim sama się dowiem – powiedziała Stella. Jednocześnie pomyślała: Mam nadzieję, że to coś bardziej oświecającego niż opowieść o czyimś samobójstwie. Stella zaczynała podejrzewać, że Motty wymyśliła tę całą historię, która nazbyt przypominała typową tragiczną balladę.

Motty odchyliła się do tyłu na krześle. Skrzyżowała ręce.

– Dobrze – rzuciła Stella. – Mam dosyć bycia waszym popychadłem.

* * *

Bóg przyszedł do niej, kiedy go zawołała, jak zawsze. Siedziała na kamiennym stole i poczuła jego drgania. W górze pojawił się znajomy kształt.

Migoczące płomienie latarni i cienie wyostrzyły rysy jego pozbawionego wyrazu kamiennego oblicza. Przypominał manekina albo domowej konstrukcji lalkę, która wymagała jej uwagi, by w pełni zbudzić się do życia.

– Nie przyszłam tylko z wizytą – powiedziała. Serce szalało jej w piersi, ale powtarzała sobie, że jest silniejsza od Leny. Silniejsza od każdego. – Nie ma ich na górze. To będzie tylko dla mnie, dobrze?

Duchojciec poruszył się albo prawie się poruszył. Jaskinię wypełnił jęk, od którego zadrżały jej kości.

Stella położyła się na kamieniu i podniosła rozwartą lewą dłoń. Po raz pierwszy poprosiła o komunię bez asysty wujków w kaplicy na górze czy Motty czekającej w domu, by opatrzyć jej dłonie. Jeśli wykrwawi się za sprawą ran zadanych przez Boga, to trudno.

– Chcę wiedzieć wszystko – powiedziała. – Powiedz mi, co próbujesz zrobić. Pozwól mi pomóc.

Jego kończyna zbliżyła się do jej wyciągniętej dłoni. Chwyciła ją drugą ręką i przyciągnęła bliżej. Jego gładka skóra uderzyła o jej dłoń.

– Zrób to. – Nacisnęła mocniej. – Proszę.

Od przeszywającego bólu wygięły jej się plecy.

18

1948

Po pięciu godzinach spędzonych w rezerwowym areszcie hrabstwa Bount Stella nie była w stanie usiedzieć na miejscu. Próbowała spokojnie czekać na swoim posłaniu, ale kiedy myślała o tym, co się dzieje w kotlinie, zaczynała krążyć po kilkumetrowej celi, zerkając na zegarek i klnąc pod nosem. Przypominała sobie polną mysz unoszącą się w powietrzu. Ta dziewczynka była niebezpieczna. Stanowiła zagrożenie.

Jutro Hendrick zaprowadzi ją do kaplicy i pośle w głąb otworu, a Stella nie będzie mogła nią pokierować. Dawna Sunny zniknie. Bóg przetoczy się przez jej młody umysł jak fala przypływu.

Szeryf Whaley nie zawiózł jej do głównego aresztu, nie pobrał od niej odcisków palców ani nie wypełnił żadnych dokumentów. Nie aresztował jej, tylko chwilowo ją zamroził. Niemal dosłownie, ponieważ w budynku, w którym ją zamknął, było zimno jak w lodówce. Whaley odebrał jej piersiówkę, więc rozgrzewała ją tylko kipiąca w niej złość.

Żeby się uspokoić, rozważała zabójstwo. Wyobrażała sobie ze szczegółami, jak strzela do Whaleya z jego własnej broni. W kilku scenariuszach pojawiali się także wujek Hendrick oraz Veronica.

Szeryf Whaley wparował na farmę Acorn razem z Hendrickiem i Bobbym Reedem, wlokąc za sobą Humpa Cornette. Zabrali tego kretyna z chaty jego matki, a on doprowadził ich prosto do destylarni. A skąd wiedzieli, że Hump jest w to zaplątany? Od Veroniki. Stella wspomniała jej o chłopaku, a Veronica wszystko wypaplała tatusiowi.

Stella była na siebie wściekła. Dała się omotać Veronice. Wszystkie te listy słane latami, w których Vee przywoływała wspólne wspomnienia z dzieciństwa, martwiła się sytuacją Stelli oraz nazywała swojego tatę „głupcem”, sprawiły, że Stella zapomniała, iż ma do czynienia z córką Hendricka Bircha. Potem doszło do ich spotkania po latach oraz wspólnego picia podczas czuwania po śmierci Motty, a Stella uwierzyła, że znalazła inną grzesznicę, której może się zwierzyć. Wciąż nie wiedziała, czy Vee była prawdziwie wierząca – nigdy nie dotknęła ani nie widziała Boga w Górze – lecz mimo tego stanęła po jej stronie.

Jej ociec otworzył jaskinię, a następnego wieczoru Sunny miała do niej wejść.

Hendrick wyglądał na zadowolonego z siebie, kiedy wszedł na farmę. Sunny rzuciła mu się w ramiona, jakby uratował ją z rąk piratów. W tej chwili Stella zrozumiała, że Hendrick nie ma pojęcia o prawdziwej naturze dziewczynki ani o bożych włóknach, które mogłyby go przebić jak igły. Był za mało wystraszony.

– Jutro wielki dzień – powiedział. Popatrzył na Stellę ponad głową Sunny. – Wszystko, na co czekaliśmy. Prawie mi szkoda, że go przegapisz.

Wtedy zrozumiała. Kamery i światła. Gotowość Hendricka do przystania na dowolny układ, byle tylko przez kilka dni nie wchodziła mu w drogę. Rozpaczliwe dążenie do odzyskania Sunny, choćby na jeden dzień.

Bóg miał wyjść z góry.

– Nie możesz tego zrobić – odrzekła Stella. – Ona nie jest gotowa. Nie może wejść tam sama.

– Jest córką Boga. On już się jej pokazał. Jutro wieczorem przyjdzie powitać nas wszystkich.

– Ty idioto! – zawołała Stella. – Ty pieprzony…

Wtedy szeryf chwycił ją za kark. Po chwili leżała na brzuchu, a Whaley wbijał jej kolano w plecy. Kiedy tylko odzyskała oddech, zaczęła krzyczeć.

– Duchojciec nie przyjmuje rozkazów! Nie będzie was słuchał!

Sunny obejrzała się na nią, nie puszczając Hendricka.

– W porządku – odpowiedziała. – Mnie posłucha.

* * *

Gdy zbliżał się ranek, zewnętrzne drzwi aresztu otworzyły się z hukiem. Zastępca Bobby Reed wszedł do pomieszczenia, prowadząc chwiejącego się na nogach białego mężczyznę w kwiecistej koszuli. Posadził go na posłaniu w sąsiedniej celi. Mężczyzna klął i narzekał w nienagannej pijackiej mowie.

Stella stała przy kratach, ale Bobby nawet na nią nie zerknął, tylko zaczął zbierać się do wyjścia.

– Psiakrew, Bobby. Powiedz mi, co się dzieje.

Sprawiał wrażenie zawstydzonego.

– Cześć, Stello. Przykro mi. – Po chwili dodał ciszej: – Próbowałem cię ostrzec.

– Doceniam to. – Rzeczywiście tak było. Byłaby jeszcze bardziej wdzięczna, gdyby otrzymała ostrzeżenie wcześniej niż kilka minut przed przybyciem Whaleya, ale to była jej wina. – Muszę wiedzieć, co z Alfonsem. Jego też aresztowaliście?

Bobby wciągnął powietrze.

– Whaley kazał z tobą nie rozmawiać.

– Powiedział też, że powinnam zasikać cały areszt?

– Co takiego?

– Chce mi się sikać – odpowiedziała cierpliwie. – Chyba wolno mi skorzystać z toalety? – Bobby musiał się nad tym chwilę zastanowić. Był o zaledwie siedem albo osiem lat starszy od niej, z czego nie zdawała sobie sprawy, kiedy zatrzymał ją w samochodzie Abby'ego. Nieco się zaokrąglił przez ostatnie lata, ale wciąż był przystojny, a jego zielone oczy pozostawały cudem natury, nawet w kiepskim fluorescencyjnym świetle. Nigdy się nie ożenił.

– Dobrze już, dobrze. – Zaprowadził ją do pomieszczenia z dziurą w podłodze. Wyglądało na to, że poprzedni więźniowie mieli kłopot z celowaniem.

Wciąż sprawiał wrażenie zdenerwowanego, kiedy wyszła.

– Chciałabym zadzwonić.

– Daj spokój, Stello. – Koniecznie chciał ją jak najszybciej odprowadzić do celi.

– Opowiedz mi o Alfonsie.

– Nie udało nam się go znaleźć. Rodzina powiedziała, że wyjechał z miasta, więc pewnie dowiedział się, że go szukamy.

Dzięki Bogu, pomyślała.

Bobby wciąż wyglądał na niespokojnego. Może martwił się, że Stella powie Whaleyowi, że ją ostrzegł albo, co gorsza, przez lata traktował pobłażliwie.

Pomyślała, że mogłaby mu odebrać broń. Zamknąć go w swojej celi i odjechać, jak bandyci na Dzikim Zachodzie. Ale kilka godzin później miałaby na karku wszystkich gliniarzy na Południu. Owca

– Wyświadcz mi tylko jedną przysługę – poprosiła, kiedy zamknął drzwi celi.

Stęknął.

– Zadzwoń do Pee Wee Simmsa. Powiedz mu, gdzie jestem.

– Nie mogę tego zrobić, Stello. Szeryf urwałby mi głowę.

– Głowę? Głowę? A co z twoimi jajami? Już je urwał?

Pijak się roześmiał.

* * *

Szeryf Whaley pojawił się następnego ranka i wypuścił pijaka, który chodził już znacznie pewniej. Niedługo potem pozwolił Stelli skorzystać z toalety. Załatwiła się, napiła wody z kranu i opłukała twarz. Whaley zaczął bębnić w drzwi. Nie śpieszyła się.

– Wiesz, że to nielegalne.

Gestem polecił jej wrócić do celi.

– Musisz wiele zawdzięczać Hendrickowi, skoro narażasz w ten sposób swoją karierę. Nie możesz bez końca kogoś przetrzymywać bez postawienia mu zarzutów.

– Strasznie się mądrzysz jak na kogoś, kto popełnił kilka federalnych przestępstw.

– To tylko bimber.

– Oraz porwanie – dodał. – Nie zapominaj, że zabrałaś tę dziewczynkę wbrew jej woli.

* * *

Whaley nie przyniósł jej śniadania ani nawet kawy. Kiedy jedzenie w końcu się pojawiło, tuż przed jedenastą, dostarczyła je ostatnia osoba, którą Stella spodziewała się zobaczyć: Mary Lynn Rayburn, siostra Lunka.

Podała Stelli papierową torbę między kratami.

– Masz tutaj kanapkę z szynką, trochę frytek i kawałek ciasta czekoladowego. Mogło się rozgnieść, ale dołączyłam dużo serwetek.

Pod wpływem zapachu jedzenia żołądkowi Stelli wyrosły zęby. Przyciągnęła swoje posłanie do krat i rzuciła się na kanapkę. Mary Lynn przyniosła mały stołek i usiadła z butelką coca-coli na kolanach. Patrzyła, jak Stella je.

Stella poprosiła o colę. Mary Lynn podała jej butelkę, a Stella zerwała kapsel o kratę.

– Skąd wiedziałaś, że tutaj jestem?

Mary Lynn się zawahała.

– Bobby wspomniał, że widział cię wczoraj wieczorem. A dziś rano… Pracuję tuż obok i pomyślałam…

– Cieszę się, że przyszłaś. Umierałam z głodu. – Pociągnęła łyk z butelki, rozmyślając o słowach Mary Lynn. Kiedy Bobby miał czas się z nią zobaczyć? – Nie wiedziałam, że się przyjaźnicie.

Mary Lynn poczerwieniała, jak przystało na córkę kaznodziei.

– On nie wie, że tutaj jestem. Mam nadzieję, że nie będzie miał przeze mnie kłopotów… Zaczekałam, aż szeryf Whaley odjedzie. Mavis mnie wpuściła. – Mavis była recepcjonistką. – Nie mogę długo zostać. – Boże, ale się denerwowała.

– Nie powiem o tym szeryfowi – obiecała Stella. Dokończyła kanapkę i zabrała się do frytek. Musiała poprosić Mary Lynn o przysługę, ale nie chciała

jej spłoszyć. – Dzięki za to wszystko. No i za kwiaty, za nie też dziękuję. Nie musiałaś tego robić.

– Napisałam szczerze. Wiem, że Lunk cię kochał.

Jedzenie nagle utknęło Stelli w przełyku. Zamrugała i z trudem je przełknęła.

– Myślę, że go też przerażałaś, ale nie przestał cię uwielbiać. Kiedy nie chciałaś dłużej się z nim widywać, pękło mu serce. Nie rozumiał tego. Powiedział, że przestałaś z nim rozmawiać. Ale nigdy się nie poddał. Tamtej nocy, kiedy poszedł się z tobą zobaczyć…

– Mary Lynn, chcę cię prosić o przysługę. Coś złego stanie się dziś wieczorem i muszę się stąd wydostać. Zadzwoń do Pee Wee Simmsa i Merle Whitt. Powiedz im, że tutaj jestem.

– Nie mogę tego zrobić. Bobby miałby kłopoty.

– Oni nie powiedzą, że to ty dałaś im znać. Chcę tylko, żebyś powiadomiła ich, że tutaj siedzę, więc muszą wpłacić kaucję. – Nawet nie wiedziała, czy Whaley na to przystanie, skoro nie została oficjalnie aresztowana.

– Nic z tego – odparła Mary Lynn. – Nie mogę… nie mogę złamać prawa.

– To ważne, do diabła!

Kobieta cofnęła się, zaniepokojona. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Skoro mi nie pomożesz, to po cholerę przyszłaś?

– Bobby mówi, że masz duże kłopoty, może nawet trafisz do federalnego więzienia. Pomyślałam, że zanim cię zabiorą, może zechcesz… no wiesz. Powiedzieć mi.

– Co powiedzieć? Wykrztuś to wreszcie.

– Chcę się dowiedzieć, co się stało. Tamtej nocy, kiedy umarł.

Co się stało. Taki niewinny zwrot.

– Przecież wiesz – odrzekła Stella. – Wszyscy wiedzą.

Mary Lann pokręciła głową.

– Ta historia nigdy nie miała sensu. Chcę to usłyszeć od ciebie.

– Nie mam ci nic do powiedzenia. Wszystko zeznałam na policji. Pisali o tym w gazetach.

– A zatem ich okłamałaś. Albo Motty to zrobiła.

Stella uświadomiła sobie, że wstała z posłania.

– Dziękuję za lunch. Pozdrów ode mnie rodziców.

– Powiedz mi, a wtedy ci pomogę – odrzekła Mary Lynn.

– Nie pomożesz. – Stella odepchnęła łóżko stopą. Metalowe nogi zazgrzytały na betonie.

– Wiem, że to było kłamstwo – nie ustępowała Mary Lynn. – Lunk nie poszedł do kotliny, żeby napić się z tobą i Abbym. Owszem, wiem, że próbował

alkoholu. Namówiłaś go do tego. Ale nie smakowało mu. Na pewno nie upiłby się tak bardzo, żeby rozbić się samochodem taty.

– Nie możesz tego wiedzieć.

– Nie tamtej nocy. – Mary Lynn patrzyła na nią z gniewem. Stella nie znała jej z tej strony. – Nie. Nie tamtej nocy. Chyba że wydarzyło się coś strasznego.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Widziałam pierścionek.

Stella chciała coś powiedzieć, ale nie potrafiła znaleźć właściwych słów. Jaki pierścionek?

– Powiedział mi, że uciekniecie razem. Że weźmiecie ślub. Prosił, żebym nikomu nie mówiła. Potem pokazał mi pierścionek. – Łzy płynęły po policzkach Mary Lynn, ale nie zwracała na nie uwagi. – Był taki dumny. To nie był duży brylant, ale tylko na taki było go stać.

Stella długo nie była w stanie się odezwać. Widziała naszyjnik wiszący na szyi Sunny.

– Proszę – odezwała się Mary Lynn, a Stella spróbowała skupić się na jej twarzy. – Powiedz mi prawdę.

Stella zwróciła wzrok w stronę ściany z żużlobetonu, ale jej nie widziała.

– Nie wiedziałam, że to zrobił – przyznała.

Usiadła na posłaniu. Całkiem opadła z sił.

– Co zrobiłaś, Stello? – zapytała Mary Lynn. – Zmieniłaś zdanie?

– Nigdy nie zmieniłam zdania.

– Ale przecież…

– Daj mi skończyć. Chciałaś poznać prawdę, więc spokojnie mnie wysłuchaj.

Mary Lynn mocno zacisnęła usta. Łzy wciąż napływały jej do oczu.

– Niczego nie zmieniłam – ciągnęła Stella – ponieważ nigdy go nie kochałam. Nie tak, jak on kochał mnie. – Nachyliła się i chwyciła kraty. – Moje serce należało do innego.

Mary Lynn wytrzeszczyła oczy. Zerknęła w lewo, pogrążając się w myślach.

– Nieważne do kogo, to nie twoja sprawa – dodała Stella.

Mary Lynn powoli pokręciła głową.

– Więc dlaczego dawałaś mu nadzieję? Dlaczego pozwoliłaś, aby myślał, że razem uciekniecie?

– Chciałam uciec z kotliny, a on był moim biletem.

Mary Lynn przestała płakać.

Stella ciężko oparła się o kraty. Przycisnęła czoło do zimnego żelaza.

– Tamtej nocy wreszcie zobaczył, kim naprawdę jestem. Powinnam była trzymać go z dala od siebie. Chronić go. Już zawsze będę musiała z tym żyć.

Zapadła między nimi cisza. Stella słyszała każdy ich oddech.

– A co z dzieckiem? – spytała w końcu Mary Lynn, zniżając głos niemal do szeptu. – Byłaś w ciąży, kiedy zrobiłaś to Lunkowi?

– To bez znaczenia. Powiedziałam twojemu ojcu prawdę. Sunny nie jest dzieckiem Lunka. Przykro mi.

Mary Lynn sprawiała wrażenie oszołomionej. Ale wreszcie zaczęła słuchać.

– Dziewczynka ma kłopoty – powiedziała Stella. – Hendrick pozwala jej… zrobić coś niebezpiecznego. Coś, przez co przeszłam jako dziecko. Przetrwałam, ale obawiam się, że jej się nie uda.

– O czym ty mówisz? – Mary Lynn była całkowicie zbita z tropu. – Chcesz powiedzieć, że Hendrick to jakiś… Kto właściwie?

– Nie mogę ci powiedzieć. Przykro mi. Ale proszę, abyś mi pomogła, mimo że ona nie jest dzieckiem Lincolna. Pomóż mi się stąd wydostać, abym mogła do niej dotrzeć.

Klamka w drzwiach się poruszyła, a Mary Lynn wzdrygnęła się i obejrzała.

– Nie mogę… Powinnam już iść.

– Muszę go powstrzymać – nalegała Stella. – Mary Lynn. Błagam.

– Mary Lynn! Szeryf wrócił – odezwał się jakiś kobiecy głos. To była Mavis, recepcjonistka. – Lepiej się zmywaj.

Mary Lynn wstała.

– Przykro mi, że wpakowałaś tę dziewczynkę w… cokolwiek to jest. Ale tak nie może być, Stello. Nie możesz po prostu uciec, a dziesięć lat później pojawić się i próbować naprawić te… – przez chwilę szukała odpowiedniego słowa – … zniszczenia, których dokonałaś. – Podeszła do drzwi i się zatrzymała. – Zabiłaś go. Możesz sobie wmawiać, że nie miałaś zamiaru albo że to był wypadek. Ale powinnaś przyznać się przed samą sobą do tego, co zrobiłaś.

19

1938

Świat tonął w szkarłacie. Tyle piękna, pomyśleli. Za tyle rzeczy można być wdzięcznym.

Zeszli ze zbocza góry, a kiedy dotarli do doliny, drogę zagrodziło im jakieś zwierzę. Dopiero po chwili uświadomili sobie, że to istota ludzka. Cztery chude kończyny, z których dwie niepewnie ją podtrzymywały. Taka chwiejna. Gapili się na jej niewielką, porośniętą włosami głowę i malutkie oczy. Jej zębate usta poruszały się, wydając z siebie skrzeki i piski.

W końcu przypomnieli sobie jej imię: Lunk.

Zmiana ułożenia ciała, a następnie perspektywy: nagle znaleźli się na ziemi u stóp Lunka. Jego głowę otaczała aureola słonecznego światła. A więc był świt. Świat dalej się kręcił, gdy byli w jaskini.

Lunk uklęknął obok nich.

– Stello! Ty krwawisz!

Stella. Tak. To imię również brzmiało znajomo.

– Możesz wstać? Mój Boże. Mój Boże. Pozwól mi…

Wsunął jedną rękę pod jej nogi, a drugą pod plecy. Stęknął, kiedy podnosił jej ciało. Zatoczył się, ale odzyskał równowagę.

Ach, świat był taki piękny. Powietrze słodko pachniało.

Lunk popatrzył na trzymane ciało, a ona była tą dziewczyną, świadomość tego napłynęła do jej mózgu. Była Stellą.

Zniósł ją ze wzgórza. Minęli pusty chlew, a ona pomyślała: Dlaczego nie ma młodych świń? Musiała sobie przypomnieć coś ważnego, co dostrzegła w umyśle Boga. To była niezwykle drobna myśl, ale kiedy sięgnęła po nią, ta otworzyła się jak kielich kwiatu w jej głowie.

Dziecko.

Lunk jakimś cudem zdołał otworzyć tylne drzwi do domu, nie upuszczając jej na ziemię. Poniósł ją korytarzem i położył na łóżku.

Na łóżku Stelli. Tak. Na jej łóżku.

– Co tutaj robisz? – spytała.

Twarz Lunka wykrzywiała jakaś emocja, której nie potrafiła rozpoznać. Pocił się pomimo chłodu. Ciężko dyszał. Miał plamy krwi na koszuli.

– Pójdę po… Gdzie jest Motty? Nie ruszaj się, ciągle krwawisz. Zaczekaj chwileczkę.

Patrzyła na sufit. W jej głowie kłębiły się myśli ostre jak noże. Ale za każdym razem gdy zaczynała rozpoznawać jakiś kształt, ten gwałtownie zmieniał ułożenie i stawał się tajemnicą. Gdziekolwiek się zwracała w myślach, kształty umykały i przemieniały się, jakby rozpaczliwie próbowały jej uciec. Dlaczego była taka słaba?

Zaczęła wrzeszczeć.

Lunk był obok niej i owijał jej dłoń ręcznikiem.

– Co się stało? To od szkła? Skaleczyłaś się?

Jaki teraz jest miesiąc? Czerwiec? Nie, raczej połowa lipca. Obcowała z Bogiem tak wiele razy; za każdym razem jej umysł napełniał się jego myślami, a ona coraz bardziej przybliżała się do poznania jego prawdziwej natury. Zupełnie jakby Bóg usiłował wspiąć się do jej umysłu. Zeszłego wieczoru był tego najbliżej. A jednak się nie udało. Stella była zbyt mała, a może nieświadomie stawiała mu opór. Nawet teraz, niecałą godzinę po komunii, jego myśli już się w niej rozpadały. Do popołudnia staną się drobne jak pył i nie da się ich odzyskać.

Została nimi napełniona, ale nie wiedziała, jak zapobiec ich uciekaniu.

Nie rozpaczała, jeszcze nie. Gdyby bardziej się postarała i pozostała przytomna chwilę dłużej, jego wiedza prawdopodobnie wypełniłaby ją jak woda. A co potem? Tego nie wiedziała. Jej umysł wyślizgnąłby się z ciała i sfrunęłaby z góry jako nowa istota.

– Uśmiechasz się – zauważył Lunk. – Nie boli cię?

– Boli – odpowiedziała. – Ale nic mi się nie stało.

– Mary Lynn powiedziała, że nie wróciłaś do szkoły.

Cóż miała odpowiedzieć? Szkoła nie mogła jej niczego nauczyć ani donikąd zaprowadzić. Wszystko, czego potrzebowała, było tutaj.

– Nauczyłem się prowadzić auto. – Uśmiechnął się wstydliwie. – To samochód mojego ojca. Nigdy nie sądziłem, że zrezygnuje z konia i bryczki.

Cisza rozrastała się między nimi. Lunk zerknął na drzwi. Motty wciąż nie nadchodziła.

– Dlaczego tu przyszedłeś, Lunk? – spytała Stella.

– Po prostu… chciałem… – Jeszcze kilka razy nieudolnie zaczynał, zanim powiedział: – Przyszedłem cię przeprosić.

– Za co?

Sprawiał wrażenie sfrustrowanego jej pytaniem, jakby podejrzewał ją o kokieteryjność.

– Za to, co się stało na górze.

Przez chwilę się zastanawiała. Tamta noc na kocu. Wydawało się, że minęły całe wieki.

– To nie ma żadnego znaczenia.

– Jeśli przekroczyłem granicę…

– Nie przekroczyłeś żadnych granic – przerwała mu. – A na pewno żadnych, których nie chciałabym przekroczyć.

– Chcę ci to wynagrodzić. Kiedy przestałaś się do mnie odzywać, prawie umarłem. Jesteś tą jedyną, Stello. Wiem, że jesteś dla mnie stworzona. Gdybym miał ciebie, wiem, że wszystko w moim życiu by się ułożyło.

Pozwoliła mu przez jakiś czas mówić.

W końcu odrzekła:

– Przykro mi.

– Jak to?

– Nic z tego nie będzie.

– Dlaczego? – Był bliski łez.

Nie wiedziała, jak to wyjaśnić. Stała się inną osobą. Jej serce należało do kogoś innego. Jej życie należało do kogoś innego.

– Po prostu mi powiedz – rzekł Lunk. – Czy to ja cię w to wpędziłem?

Był taki smutny. Miała ochotę dotknąć jego twarzy i go pocieszyć, jednakże jej dłonie były teraz przeznaczone do świętych celów.

– Wracaj do domu, Lunk. Znajdź dziewczynę, ożeń się, zostań kaznodzieją. Nie wracaj.

* * *

Stella stała przy ogrodzeniu z zabandażowanymi rękami skrzyżowanymi na górnej poręczy. Letnie muchy brzęczały nad pustym chlewem.

– Czas kupić maciorę – powiedziała. Usłyszała, że Motty zbliża się do niej od tyłu.

– Nie mam zamiaru kupować świń.

– Ta wiadomość nie pochodzi ode mnie – odrzekła Stella.

Motty wbiła w nią wzrok.

– Niech to diabli – mruknęła. – Znów poszłaś się z nim spotkać.

Stella nie próbowała zaprzeczać. Bandaże stanowiły wystarczający dowód.

– Nie wiem, do czego jej potrzebuje, ale właśnie tak jest. Zobaczyłam to w jego umyśle, wyraźne jak przykazanie.

– Miałam nadzieję, że to już koniec – stwierdziła Motty.

Stella pamiętała tamten wieczór dwa lata temu, miesiąc po swojej pierwszej komunii. Wystrzał z broni. Motty zalana krwią.

– Ostatnim razem zawiodłaś – odrzekła Stella.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz, do diabła.

– Nie podważaj moich słów. – Kiedy Stella po raz pierwszy obcowała z Bogiem, jego myśli niemal natychmiast wyparowały. Teraz potrafiła całymi dniami nosić w sobie przekazywane przez niego idee i pojęcia oraz opisywać je na głos, zupełnie jakby były dwie Stelle, z których jedna mówi językami, a druga jednocześnie tłumaczy jej słowa.

– Ono umiera, Motty. Jest stare, owszem, ale jest w nim także… coś toksycznego. Albo wokół niego.

– Jedno ciało, wiecznie rozkwitające – odrzekła Motty znużonym głosem. – Aby trucizna świata…

– Wiem, wiem. Ale to nie jest metafora ani nic duchowego. To fakt. Coś je zabija, ale ono…

– Nie mów o nim „ono”.

Stella zamknęła oczy, próbując przywołać jedną z myśli Boga… a raczej wspomnienie myśli, która przez nią przepływała.

– Trucizna jest w powietrzu. W skałach. Przesącza się w nie. – Niegodziwe substancje, pomyślała. – Czuję tę śmierć, zupełnie jakby to mnie się przydarzała. Kiedy obcujemy ze sobą, mam wrażenie, że jestem w jego wnętrzu i patrzę z góry na siebie.

Motty cicho westchnęła.

– Ty czegoś takiego nie czułaś?

Babcia powoli pokręciła głową.

– Ono nie jest tym, za co je uważamy – ciągnęła Stella. – To nie jest jakiś duch. Jest zbudowane z mięsa i kości. Tak jak bogowie Czerokezów. U’tlun’ta musiała jeść i oddychać, a Bóg…

– Cicho. To wszystko wina Abby’ego. On naopowiadał ci tych historii. Powinnam była trzymać go z dala od ciebie.

Cicho. Gdyby tylko Motty wiedziała to wszystko, o czym Stella jej nie wspominała. Rzeczy, które mówiła tylko do siebie. No cóż, wkrótce i tak się dowie.

– Chcę porozmawiać z Hendrickiem – oznajmiła.

– Dlaczego? – Czyli: dlaczego teraz? Hendrick od tygodni chciał wrócić na farmę, a Stella upierała się, że się z nim nie spotka. Była zajęta swoją własną pracą i go nie potrzebowała. Motty uszanowała jej życzenia.

– Powiedz mu, że obcuję z Bogiem.

– Wpadnie w szał – ostrzegła Motty.

– Być może. Ale chcę, aby wiedział, co zrobiłam. Powiedz, że dalej będę to robiła, ale pozwolę mu spisywać relacje. Pod jednym warunkiem.

– Zaczyna się – mruknęła Motty.

– Musi mi dać do przeczytania pozostałe księgi. Nie tylko wydrukowane wersje, ale odręcznie pisane oryginały. Potrzebuję materiałów źródłowych. Chcę przeczytać wszystko, co zostało powiedziane, a nie tylko to, co on zdecydował się zapisać.

– Ale w księgach znajdują się kompletne transkrypty komunii. On tylko przepisuje je na maszynie. Taką mamy tradycję.

– Może tak, a może nie. Wydaje się, że Hendrick jest zakochany w każdym, nawet najdrobniejszym słowie Boga, ale być może kusiło go, by coś pominąć. Muszę to sprawdzić i dlatego potrzebuję oryginałów.

– To się nie uda. On już odmówił przekazania ci ksiąg, nie wspominając o pierwotnych zapiskach!

– Źle to rozegrałam. Poprosiłam go o to w obecności wujków. Miałaś rację, nie wolno upokarzać mężczyzny, przestaje wtedy myśleć racjonalnie. Ale wiem, że Hendrick chce się dowiedzieć wszystkiego o Bogu. Na swój sposób jest mu równie oddany jak ja.

Motty nie uważała, aby ten plan miał szansę powodzenia, ale zgodziła się zaprosić Hendricka na farmę. Coś zmieniło się w ich wzajemnej relacji, odkąd Stella zaczęła samodzielnie obcować z Bogiem. Motty poczęła traktować ją z szacunkiem, ale może po prostu się jej obawiała.

– Tymczasem postaram się dowiedzieć od niego czegoś więcej na temat świń – zapowiedziała Stella.

– Nie możesz tam wejść po tak krótkiej przerwie! – Dziwnie było słyszeć troskę w głosie Motty. Stella uznała, że to prawie urocze. – Stello, proszę. Spotkałaś się z nim zaledwie dwa dni temu.

Stella nie wspomniała jej, że Lunk odniósł ją wtedy do domu. Nie chciała, żeby babcia wpadła w panikę.

– Nie martw się o mnie. Duchojciec nigdy mnie nie skrzywdzi.

* * *

Znalazła Hendricka i Motty w kuchni, pomimo letniego upału. W piekarniku piekł się chleb kukurydziany. Wujek go uwielbiał.

Stella miała przy sobie naukowy notes, który podarowała jej Merle. Hendrick poderwał się z miejsca i uśmiechnął, zupełnie jakby podczas ich ostatniego spotkania nie groził, że ją zwiąże. Wyciągnął do niej rękę, ale się powstrzymał.

Opatrunki na jej dłoniach były skromne – pojedyncze waciki przytrzymywane warstwą bandaża – ale i tak go zaszokowały. Stanowiły dowód obcowania z Bogiem.

– Wspaniale znów cię widzieć, Stello.

Usiedli naprzeciwko siebie. Obok jego krzesła stała zielona skórzana teczka.

– Chcę cię przeprosić – zaczął. – Nie wysłuchałem cię i pozwoliłem, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Motty stęknęła z rozbawieniem.

– Przyniosłeś je? – spytała Stella.

Położył teczkę na kolanach i ją otworzył.

– Nigdy nie pozwalamy Objawicielce czytać wszystkich ksiąg, ponieważ, no cóż, już podałem wszystkie powody. Jednakże…

Podał jej *Księgę Seleny.* Stella odłożyła notatnik i wzięła tom. Był grubszy niż księgi Clary i Esther razem wzięte. Ile razy Lena obcowała z Bogiem, skoro wypełniła tyle stron? A może po prostu miała więcej do powiedzenia?

KSIĘGA SELENY

Czyli czwarty tom Nowego Objawienia
od Boga w Górze dla Seleny Birch, spisanego przez Hendricka Bircha, jej wuja,
z komentarzem i objaśnieniami Hendricka Bircha

– Sam spisałeś jej słowa i opatrzyłeś je komentarzem? Miło z twojej strony, że nie nazwałeś tego *Księgą Hendricka.*

– Niezwykle było słuchać tych słów w chwili, gdy były wypowiadane – odrzekł Hendrick, wcale nie obrażając się za jej złośliwości. – Wierzę, że w komentarzach jaśniej wyłożyłem swoje myśli. Kiedy później usiadłem do tego tekstu…

– Gdzie pozostałe księgi? Motty. Moja.

– No cóż. – Pokiwał głową, jakby głęboki się nad tym zastanawiał. – Może najpierw opowiedz o swoich komuniach. Jeśli będę zadowolony, z pewnością przyniosę więcej książek następnym razem.

– Miałeś przynieść wszystkie… oraz oryginalne zapiski. Taka była umowa.

– Nie było żadnej umowy. Motty powinna ci była powiedzieć, że przyniesienie zapisków będzie niemożliwe. Stale sprawuję nad nimi pieczę. To mój święty obowiązek.

– Widzisz? – odezwała się Motty.

– Warto było spróbować – odrzekła Stella, a do Hendricka powiedziała: – Jestem szczerze zaskoczona, że przyniosłeś choćby księgę Leny. Nienawidzisz

się z nimi rozstawać.

– Jak próbowałem wyjaśnić…

– Posłuchaj, Hendricku. Po prostu posłuchaj. Wiem, że kochasz słowo Boga ponad wszystko. Nawet jeśli nie ufam ci w innych sprawach, tego akurat jestem pewna. Właśnie dlatego cię tu sprowadziłam.

Tego Motty się nie spodziewała. Stella skupiała wzrok na Hendricku.

– Dawne Objawienia są zbędne – ciągnęła Stella. – Nic z tego, co mi powiedziałeś o Bogu i swoich wierzeniach, nie jest prawdą. A przynajmniej nie całą prawdą. Uważasz, że Bóg cię kocha i da ci życie wieczne już na Ziemi.

– Zgadza się – przyznał Hendrick. – W dniu, w którym Bóg wyłoni się z góry, wszyscy zostaniemy przemienieni, a świat dowie się, że nastało nowe królestwo. A ja… a raczej my wszyscy… będziemy tam, by ogłosić jego obecność, tak jak Jan Chrzciciel.

– Janowi Chrzcicielowi obcięto głowę – odrzekła Motty.

Hendrick się nie zrażał.

– Współczesny świat utracił wiarę przez wojny, choroby i maszyny. Ale kiedy ujrzy dowód istnienia Boga, niepodważalny dowód, dawne rządy upadną, a jego dzieci…

– Chwileczkę. – Stella kręciła głową. Hendrickowi nie spodobało się, że mu przerwała. – Wybacz, ale wymyślasz to wszystko. Bóg wcale o tym nie mówi. – Hendrick nie rozumiał tak wielu rzeczy, jak chociażby to, że Bóg opuszczał jaskinię. – Nie dba o rządy ani czasy ostateczne. Chodzi o jego własny koniec. Umiera.

Motty patrzyła na nią surowo. Czy była wściekła? Przestraszona? Może jedno i drugie.

– Świat zabija Boga – ciągnęła Stella. – Ty go nie obchodzisz. Troszczy się tylko o swoje dzieci.

– Przecież to my jesteśmy jego dziećmi – odparł Hendrick. – *Księga Esther* głosi, że wszyscy, którzy…

– *Księga Esther* gówno znaczy.

No. To sprawiło, że się zamknęli.

Stella otworzyła własny notatnik. Jego strony były niemal całkowicie zapisane. Odnotowała wszystko, co zapamiętała ze swoich wizyt u Boga, a także wszystko, co wydarzyło się w noc śmierci maciory. Nie pisała dla samej siebie. Opisywała te cuda z myślą o nieznanych czytelnikach, którzy przeczytają jej słowa po latach. Może będzie to dziewczynka taka jak ona, następna Objawicielka. Nanoszenie tych myśli na papier za pomocą czarnego atramentu dawało im moc, która działała na nią jak promienie rentgena i zaprowadzała w niej drobne zmiany.

Hendrick i Motty ją obserwowali.

– Musimy mieć jasność w kwestii tego, czego naprawdę chce Bóg – zaznaczyła Stella. – Czego potrzebuje. – Mówiła spokojnym głosem, ale była gotowa do ucieczki, gdyby się na nią rzucili. Za plecami miała korytarz. – Perspektywa kościoła musi się zmienić. Należy się skupić na pomocy Bogu.

– I tylko ty wiesz, jak to zrobić – rzekł Hendrick.

– Obcowałam z Bogiem siedmiokrotnie od czasu twojej wiosennej wizyty.

Motty głośno wstrzymała oddech. Nie miała pojęcia, jak często Stella chodziła do jaskini. Na twarzy Hendricka malowało się oszołomienie. Siedmiokrotnie! To więcej niż wszystkie komunie Stelli, których był świadkiem.

– Ten notatnik jest moim Objawieniem – wyjaśniła Stella. – Zapisuję w nim wszystko, co usłyszałam.

Hendrick pobladł.

– Zachowałaś je? Zachowałaś słowa?

Motty posłała Stelli surowe spojrzenie.

– Co ty wyprawiasz?

– Tu jest wszystko – odrzekła Stella. – Wszystko, co zdołałam zapamiętać.

Twarz Hendricka się ściągnęła i zasłonił oczy dłonią. Stella uświadomiła sobie, że wujek płacze.

– Och, dzięki Bogu. Dziękuję, dziękuję. – Odetchnął, a następnie się roześmiał. – Tak się martwiłem. Nawet się nie domyślasz. Myślałem, że nigdy więcej tam nie wejdziesz, a tu coś takiego! – Zwrócił się do Motty. – Wiedziałaś o tym?

Nie wiedziała. Jej twarz wyglądała jak wykuta z kamienia.

– Nie możemy zachować tego w tajemnicy – powiedziała Stella. – Chcę, aby to weszło w skład Objawienia. Wydrukuj to i wydaj.

– Oczywiście, chociaż… spróbuję. Mogą się pojawić pewne problemy, a komentarz może… ale jeśli jest tak, jak mówisz, to oczywiście dołączę twoje zapiski.

– Są zbyt ważne, by je pominąć – przekonywała Stella. – Kolejnym zadaniem będzie przeniesienie Boga.

Czuła władczość w swoim głosie, kaznodziejski ton, jaki stosowali wobec niej Hendrick i starszy Rayburn, a który teraz działał na jej wujka. Była tym podniecona. Miała wrażenie, że wreszcie staje się osobą w jego oczach.

– Władze parku sprawią, że nie będzie mógł dłużej tu zostać – wyjaśniła. – Musimy mu znaleźć nowy dom, nowe Jeruzalem, aby Bóg mógł ukończyć swoje wielkie dzieło.

– Wielkie dzieło? – Oczy Hendricka zalśniły. – Na czym ono polega? Co ci powiedział?

Tak wiele rzeczy, pomyślała Stella. Większości z nich nie zrozumiała, przynajmniej nie całkowicie, ale nie zamierzała przyznawać się Hendrickowi do swoich wątpliwości. Jedna idea była jednak jasna.

– Bóg próbuje stworzyć dziecko – odrzekła. – Własne dziecko, które będzie zdolne tutaj przetrwać.

– Kiedy mówisz, że próbuje stworzyć dziecko… – Hendrick ledwie za nią nadążał – chodzi ci o zapłodnienie kobiety czy…?

– Bóg nie jest ani mężczyzną, ani kobietą. To tylko słowa, które pomagają nam lepiej zrozumieć jego istotę. Liczy się tylko to, że istnieje. Istnieje i chce stworzyć więcej takich istot. Próbuje wyhodować coś, co przeżyje w tym świecie, co jest do niego przystosowane. Jak dotąd żadne z dzieci nie przetrwało ani… – To była mglista kwestia. W myślach Boga żadne z jego dzieci nie rozkwitło, nie żyło na tyle długo, by stać się tym, czym powinno. Stella była przekonana, że podczas kolejnych komunii dokładne potrzeby Boga staną się jasne.

Powiedziała Hendrickowi to, co zrozumiała.

– One uschły. Poniosły porażkę. Ale Bóg spróbuje znowu i będzie próbować tak długo, aż w końcu mu się uda.

– O czym ona mówi, Motty?

– Opowiedz mu – zachęciła Stella. – Opowiedz o maciorach.

– Maciorach? – zdziwił się Hendrick.

– Następnym…

Cios pięścią powalił ją na podłogę. Ciężko dyszała, leżąc na boku. Gwiazdy stanęły jej przed oczami.

Motty wyjęła notatnik z jej dłoni. Odwróciła się w stronę żelaznego pieca i otworzyła palenisko. Ogień huczał na drwach.

Hendrick krzyknął. Próbował sięgnąć za plecy Motty, ale ona go odepchnęła, aż zatoczył się do tyłu. Potem rzuciła notatnik w płomienie i zatrzasnęła drzwiczki.

– To bezcenne! – zawołał Hendrick. – Nie możesz spalić słowa Boga!

– Wynoś się z mojego domu, Hendrick.

Popatrzył na dłonie Motty, a potem na swoją pierś, tam gdzie go popchnęła. Na białej koszuli zobaczył krwawą smugę.

* * *

Ból głowy nie ustępował. Stella leżała na swoim łóżku, zwinięta w kłębek, z zamkniętymi oczami. Za każdym razem, gdy próbowała je otwierać, świat

kołysał się, a ból przeszywał jej czaszkę. Policzek, w który Motty ją uderzyła, był rozpalony. Ból przypływał i odpływał jak morskie fale.

Motty wielokrotnie dawała jej klapsy, a także tłukła ją po tyłku rózgą, gdy Stella popełniała poważniejsze wykroczenia, ale nigdy nie zdzieliła jej zaciśniętą pięścią. To było coś nowego. Pogwałcenie zwyczajów.

Kiedy Hendrick odjechał, Motty wparowała do swojego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi, zostawiając Stellę na podłodze. Stella wstała, krzywiąc się pod wpływem oślepiającego blasku ognia. Potem powłócząc nogami, poszła do swojej sypialni.

Jestem sama, pomyślała. Motty okazała się zazdrosna i słaba, wzgardzona Objawicielka, która wolała spalić prawdę niż zaakceptować przywództwo Stelli. Hendrick był zdolny jedynie podążać własną ścieżką do religijnej chwały. A Abby był bezużyteczny. Tak bardzo starał się uniknąć konfrontacji z Birchami, że nie mógł stanąć w jej obronie. Pójdzie do grobu z klapkami na oczach. A Merle i Lunk? Oszukała ich, a to również czyniło ich bezużytecznymi. Troszczyli się o nią tylko dlatego, że nie znali jej prawdziwej natury. Kochali wyobrażoną Stellę.

Żadne z nich nie rozumiało, co zrobiła, a o czym nie napisała, ponieważ nie byliby w stanie tego znieść: wszyscy, wliczając samą Stellę, byli niepotrzebni. Ludzie byli równie pospolici jak letnie chrząszcze. Bóg nie tylko był wyjątkową istotą na Ziemi, ale jego życie trwało od wieków i było znacznie cenniejsze od ich egzystencji. Różnica między Stellą a Hendrickiem – a także Motty i wszystkimi Birchami przed nią – polegała na tym, że Stella to zrozumiała i akceptowała. Lepiej poświęcić się dla większej sprawy niż wieść długie życie polegające na babraniu się w błocie.

Zależało jej tylko na jednej duszy, która znała ją taką, jaka była naprawdę.

Stella wstała z łóżka. Miała ociężałe kończyny i zawroty głowy. Oparła się o ścianę i zaczekała, aż będzie w stanie ruszyć z miejsca, a wtedy wyszła z domu na podwórze zalane blaskiem księżyca. Zimne powietrze ją rozbudziło.

Weszła między mroczne drzewa i dotarła do kaplicy. Głowa pulsowała jej bólem, ale to ignorowała. Pchnęła drzwi prowadzące do jaskini.

– Jestem tutaj! – zawołała. – Sama.

Zamknęła oczy i pozwoliła, by stopy i dłonie same powiodły ją w głąb góry. Kiedy dotknęła palcami kamiennego stołu, głęboko odetchnęła, a gdy minęła ostatnia fala bólu, wspięła się na blat.

– Jestem tutaj – powtórzyła i położyła się na skale.

Ściany się nie poruszały. Słyszała tylko własny oddech. Jej głowa pulsowała bólem. Minuty powoli mijały.

– Proszę – powiedziała.

Stół wysysał ciepło z jej ciała. Zaczęła dygotać.
A wtedy Bóg zstąpił.

20

1948

Niepokój upodobnił popołudnie do niekończących się schodów – czuła, że nigdy nie dotrze na szczyt. Każda minuta, którą spędzała w celi, przybliżała Sunny do wejścia do jaskini i bycia wymazaną z istnienia.

Stella powinna była okłamać Mary Lynn i powiedzieć, że Lunk był miłością jej życia, a Sunny jest ich córką. Rayburnowie rzuciliby się jej na pomoc. Teraz utknęła pod butem Whaleya. Nie miał zamiaru jej wypuścić, dopóki nie spełni się sen Hendricka, który pragnie zobaczyć swojego boga na własne oczy.

Stella nie potrafiła zrozumieć, co Sunny powiedziała wujkom. Jakie szalone kłamstwo sprawiło, że uwierzyli, iż mała dziewczynka może obcować z Duchojcem – już za pierwszym razem – i przekonać go, by wyszedł i pozwolił zrobić sobie pieprzone zdjęcie? Stella podczas komunii nigdy nie miała poczucia, że może o cokolwiek prosić. Nie mogła tej istocie niczego powiedzieć, dotrzeć do niej żadnymi słowami, ponieważ ona nie chciała od niej niczego poza posłuszeństwem. Wielkie kłamstwo polegało na tym, że komunia wcale nie była zjednoczeniem. Każde doświadczenie przypominało jednokierunkową uliczkę. Duchojciec wypełniał ją swoimi myślami, raz za razem, dopóki nie pękła. A wtedy, kiedy okazało się, że zawiodła, w ogóle przestał do niej mówić. Tak samo jak w wypadku Motty, a potem Leny. Objawicielka nie była dla niego wystarczająco dobra, więc przechodził do kolejnego dziecka.

Sunny z pewnością była bardziej utalentowana od Stelli. To, w jaki sposób kontrolowała włókna, którymi pochwyciła mysz, nie przypominało tego, do czego Stella była zdolna. Ale była dopiero dzieckiem i zamierzała pójść do jaskini samotnie. Ciężar woli Boga ją zmiażdży.

* * *

Szeryf Whaley wszedł do budynku tuż po szesnastej. Kiedy zbliżył się do celi, Stella stała przy kratach.

– Najwyższy czas – powiedziała. – Zaraz pęknie mi pęcherz. – Trzymała butelkę po coli za plecami.

Whaley pokręcił głową ze smutną miną.

– Wiesz, że pójdziesz do więzienia, prawda? – Trzymał klucz, ale nie zbliżył się do zamka. – To tylko kwestia czasu.

– W więzieniu przynajmniej jest kibelek w celi. Czy mogę zrobić siku, proszę?

Skrzywił się, jakby słuchanie kobiety opowiadającej o oddawaniu moczu go obrażało. Wsunął klucz do zamka. Otworzył drzwi.

– Lepiej nie siedź tam za…

Zobaczył butelkę w jej dłoni. Wytrzeszczył oczy.

– Gdyby to był film, w tej chwili rozbiłabym ją o kraty, przyłożyła panu ostrą krawędź do gardła i uciekła, biorąc pana jako zakładnika – powiedziała Stella.

Whaley wbijał w nią wzrok. Podała mu butelkę.

– Mógłby pan to dla mnie wyrzucić?

– Wynoś się stąd, do diabła.

Uniosła brew.

Wskazał otwarte drzwi.

– Powiedziałem, wynoś się z mojego aresztu.

Gdyby to był film, pomyślała, teraz zastrzeliłby mnie za „próbę ucieczki”.

Wyszła z celi, cały czas czując mrowienie na karku, i po chwili znalazła się w łączniku pomiędzy aresztem a głównym budynkiem. Tam zobaczyła Pee Wee’ego i Merle w towarzystwie jakiegoś białego mężczyzny, którego nie rozpoznawała. Poczuła nagły przypływ ulgi.

Tym razem to Merle wystąpiła naprzód i ją uściskała. Stella z wdzięcznością padła jej w ramiona.

– Marcusie, to jest Stella Wallace – odezwał się Pee Wee. – Stello, Marcus Ruvolo.

Stella kiedyś nie wiedziała, jak wygląda pierwszorzędny garnitur. Ale w wypadku Ruvolo nie mogło być żadnych wątpliwości: szyta na miarę perłowoszara marynarka w prążki i spodnie z wysoką talią. Kanty były długie i ostre jak bułaty.

Uścisnęła jego dłoń.

– Zgaduję, że jest pan prawnikiem.

– Lepiej – odrzekł. – Jestem pani prawnikiem.

* * *

Ruvolo chciał ją zabrać do swojego biura w Knoxville, ale Stella nie miała na to czasu, więc całą czwórką pojechali do domu Merle i Pee Wee'ego. Prawnik zaproponował, żeby przedyskutowali strategię obrony. Szeryf Whaley nie postawił Stelli zarzutów, ale zapowiedział, że to zrobi. Prawo stanowe dawało w tej kwestii policji sporą swobodę. Już skonfiskował jej samochód i zajął farmę, a zagroził, że sięgnie także po resztę jej majątku.

Stella pomyślała o pięciuset dolarach, które ukryła pod siedzeniem auta. Mogła się z nimi pożegnać.

– Czekają nas trudne dni – ostrzegł ją Ruvolo.

– Wystarczy, że przez kilka dni nie wsadzą mnie do więzienia.

Zostawiła prawnika w salonie. Zbliżał się zachód słońca, a uroczystość miała się odbyć po zmroku.

Weszła do łazienki. Wysiusiała się i ochlapała twarz wodą. Nie patrzyła na porcelanową wannę.

Merle czekała na nią po drugiej stronie drzwi.

– Powiesz mi, co się dzieje?

– Mam kilka rzeczy do zrobienia. Masz może papierosa?

– Zawsze. – Merle wyciągnęła paczkę papierosów Lucky Strike i zapaliła jednego. – Już pora kolacji. Porozmawiaj ze mną, zostań na noc. Twoje dawne łóżko jest wolne. Daj mi tylko minutę na uprzątnięcie książek.

– Chciałabym. – To była prawda. Jeśli w jakimś miejscu na świecie czuła się bezpiecznie, to właśnie tutaj. Nawet bardziej niż we własnym domu.

Nie wiedziała, jak wiele Merle i Pee Wee wiedzą o religii rodu Birchów. Kiedy ją przyjęli pod swój dach, Stella niczego im nie powiedziała. Wtedy w ogóle miała trudności z mówieniem. Pierwszy miesiąc spędziła w pokoju gościnnym, w którym ją ulokowali, z zaciągniętymi zasłonami i zgaszonym światłem. Myśleli, że rozpacza po śmierci Lunka, co w sumie było prawdą. Powiedzieli jej, że nie jest winna jego śmierci, co było miłe z ich strony, ale niezgodne z prawdą. Merle karmiła ją i dbała o jej higienę.

Stella potrzebowała na to sporo czasu, ale pewnej nocy wreszcie sobie uświadomiła, że powinna przestać się mazać. Jaki jest sens w leżeniu i czekaniu, aż poczuje się lepiej? Nie ma Boga, który mógłby jej przebaczyć. Lepiej sięgnąć po broń i stawić czoło nadciągającym trudnościom.

Merle znalazła ją w wannie z rozciętymi nadgarstkami. Stella chciała wyciąć z siebie zło i umrzeć czystą.

Mogli oddać ją do zakładu, ale Pee Wee przywiózł ją ze szpitala, a Merle przez całą drogę obejmowała ją na tylnym siedzeniu. Na zmianę siedzieli przy jej łóżku, dopóki nie zaczęła przekonująco udawać normalnej osoby. Grała tę rolę przez kolejne trzy lata. Przez cały ten czas nie zdradziła, że Duchojciec jest

w jej głowie. Nigdy nie wymieniła jego imienia. Przynajmniej na jawie. Nie panowała nad tym, co wykrzykiwała, gdy dręczyły ją koszmary, a te jeszcze długo pojawiały się każdej nocy. Budziła się z obolałym gardłem i echem własnego głosu rozbrzmiewającym w uszach. Merle zawsze wtedy siedziała przy jej posłaniu z oszołomioną miną – taką samą, jaką miała teraz.

A więc mimo że Stella nie powiedziała Merle i Pee Wee'emu prawie niczego o Duchojcu, zapewne sporo wiedzieli na ten temat.

– Martwię się o ciebie – odezwała się Merle. – Widzę, że trzymasz się ostatkiem sił.

– Nie mam wyjścia – odparła Stella. – Muszę wszystko naprawić. Miałaś rację, uciekałam przed odpowiedzialnością. Muszę za to odpokutować.

– Zaczniesz jutro.

– Przykro mi, ale nie mogę czekać. Może kiedy to się skończy, usiądziemy razem i wszystko wytłumaczę. Ale na razie muszę skorzystać z waszego telefonu.

* * *

Odebrała jakaś kobieta. Jej „halo" brzmiało wyzywająco.

– Pani Bowlin? – odezwała się Stella. – Mówi Stella Wallace. Zastanawiałam się, czy…

– Powiedziałaś, że wyjedziesz – przerwała jej pani Bowlin ostro. – Obiecałaś, że więcej się nie odezwiesz.

Powiedziałam, że więcej mnie nie zobaczycie, pomyślała Stella. Ale kłótnia z matką Alfonse'a nie miała sensu.

– Bardzo mi przykro, naprawdę – powiedziała. – Proszę się nie rozłączać.

Po drugiej stronie linii odezwał się donośny męski głos.

– Nie wtrącaj się, Antoine! – zawołała pani Bowlin, ale pan Bowlin, tata Alfonse'a, dołączył do rozmowy.

– Nie mamy ci nic do powiedzenia – rzucił.

– Chcę tylko pomówić z Alfonse'em.

– Trochę na to za późno.

Stella stała na środku salonu Merle – stała, ponieważ kanapa i krzesła były zawalone książkami, swetrami i pudłami do pakowania. Słyszała, jak Pee Wee, Merle i Ruvolo rozmawiają w kuchni, pięć metrów od niej. Obróciła się i pochyliła nad słuchawką.

– Policja go zatrzymała? Bobby Reed powiedział mi, że zdołał wyjechać z miasta, zanim tu dotarli.

– Nie dzięki tobie.

– Powiedział, dokąd się wybiera?

W słuchawce zapadła cisza, nie licząc słabego syku. Stella próbowała usłyszeć chociaż jeden oddech pośród zakłóceń.

– Wspominał coś o plaży Myrtle – odezwała się w końcu pani Bowlin.

– Aha. – Stella się wyprostowała. – Słyszałam… że jest tam ładnie.

– Jeśli ktoś lubi huragany. Żegnam, panno Wallace.

– Proszę zaczekać! Alfonse miał coś dla mnie przygotować. Pewną pamiątkę.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Miałam po prostu nadzieję… że kiedy wróci… przywiezie ją do kotliny. Mogłaby pani mu to przekazać? Ten przedmiot jest mi pilnie potrzebny.

– Mój syn nie wybiera się do kotliny, dla nikogo.

– Nie prosiłabym, gdyby to nie było…

– Dla nikogo. Pani też jest jak huragan, panno Wallace.

Rozległ się głośny trzask.

Ja pierdolę, pomyślała Stella.

Potrzebowała pomocy Alfonse’a. Ale on zapadł się pod ziemię, za co mogła obwiniać tylko siebie.

Przeszła do kuchni. Pozostała trójka na nią popatrzyła.

– Muszę pożyczyć samochód – oznajmiła.

Merle zerknęła na Pee Wee’ego. Prawnik nagle zainteresował się oknem.

Stella czuła się fatalnie. Nikt nie traktował jej z taką niezasłużoną serdecznością jak ta dwójka. Kiedy Stella była nastolatką, Merle wywabiła ją na świat za pomocą książek, które były jak szlak z rozsypanych okruszków. Pee Wee nauczył ją tajników dystrybucji bimbru, pozwalał, by mu towarzyszyła podczas dostaw, pokazywał jej księgi rachunkowe i wszystkie inne rzeczy, w których wyręczał Abby’ego. A kiedy zaczęła sama pędzić bimber, Pee Wee nie tylko w nią zainwestował, ale stał się jej pierwszym dystrybutorem i pokazał jej produkt bogatym klientom, z którymi przez lata nawiązywał kontakty. Nie mogła prosić o nic więcej, a jednak musiała.

– Ktoś będzie do ciebie strzelał? – spytała Merle.

– Nie mogę zagwarantować, że nie.

– Więc weź auto Pee Wee’ego.

Pee Wee się roześmiał.

– No to chodź. – Zaprowadził ją do garażu, gdzie stał jego kremowy Buick Roadmaster. Miał zaledwie pół roku i był wprost prześliczny.

– Wybierałem się na zachód z najnowszą partią – powiedział Pee Wee. – Zaczekaj, zaraz rozpakuję.

– Nie. Zostaw towar w samochodzie.

Pee Wee podejrzliwie uniósł brew. Ten bimber był wart sporo pieniędzy dla nich obojga.

– Zrekompensuję ci to – obiecała.

– To twój trunek.

– Chodzi mi o samochód.

– Ach! Obchodź się z nim ostrożnie!

Pojechała na wschód, a zachodzące słońce pchało ją w głąb gór.

21

1938

Zbudziło ją jej ciało. Wydobywał się z niego osobliwy odgłos – wysoki, cichy jęk. Kiedy tylko się na nim skupiła, ucichł.

To było niewłaściwe ciało. Czuła je wokół siebie. Niewłaściwa liczba kończyn. Niewłaściwy rozmiar. Wszystko nie tak.

Otworzyły się jej oczy i ujrzała drewniane belki oraz sufit, który wydawał się bardzo odległy. Pomieszczenie lśniło mroźnym białym światłem. Czekała. Słuchała, jak jej ciało oddycha. Powoli uniosła rękę, zachwycając się tym, że ta jej usłuchała. Dłoń dotknęła jej twarzy i poczuła wilgoć. Łzy.

Potem uświadomiła sobie, że jest sama, a ciało znów wydało ten sam lament.

Odezwał się do niej jakiś ludzki głos. Nie chciała patrzeć, nie chciała być sama. Ponownie zamknęła oczy i uciekła.

* * *

Obudziło ją światło, tak jaskrawe, że aż palące. Próbowała usiąść, ale upadła na materac. Przetoczyła się na bok.

Po jakimś czasie zdołała przesunąć nogi na krawędź łóżka. Wstała, ale od razu ugięły się pod nią kolana i upadła na podłogę. Ból wydawał się docierać do niej z bardzo daleka.

Otworzyły się drzwi.

– Co ty próbujesz zrobić? – spytała Motty. Chwyciła ją pod pachy, podniosła i posadziła na łóżku.

Stella się rozejrzała. W pokoju było tak jasno.

– Gdzie ono jest? – spytała.

– Siedź tutaj i nie wstawaj. Masz słabe nogi.

Ciało Stelli znów zaczęło płakać.

– Było tutaj. Byliśmy… tu razem.

Myśli Boga, ostre jak brzytwa. Raniły ją, gdy próbowała je zatrzymać. Ale były cudowne. Napełniły ją chwałą.

Kręciło jej się w głowie i czuła pustkę w żołądku. Każdy oddech drażnił jej gardło.

Motty wpatrywała się w nią z lękiem.

– Jak długo? – spytała Stella.

– Sześć dni.

Sześć. Stella próbowała to przyswoić. Czas zniknął.

– Chcę zobaczyć maciorę.

– To może poczekać – odparła Motty. – Połóż się, a ja…

– Zejdź mi z drogi!

Gwałtowność krzyku samą ją oszołomiła. Motty również była zaszokowana.

– Zaczekaj, zaczekaj.

Babcia założyła jej skarpety i buty. Pomogła wciągnąć na siebie płaszcz.

Stella odetchnęła i wmówiła sobie, że czuje się silniejsza. Kiedy wstała, Motty była tuż przy niej.

Na zewnątrz nie było już śladów lata. Ile razy Stella obcowała z Bogiem, odkąd Motty spaliła jej Objawienie – dwadzieścia, dwadzieścia pięć? Całymi tygodniami żyła w myślach Boga. A potem dała się pochłonąć na sześć dni.

Maciora była ogromna. Miała dopiero cztery miesiące, ale już była większa od każdej z ich poprzednich świń.

– Tak to już jest – odezwała się Motty. – Na tym polega nasze zadanie. Wchodzimy do kopalni i wracamy z prawdą, ponieważ tylko my możemy to zrobić.

– Jaką prawdą?

Motty nieco szerzej otworzyła oczy.

– Nie pamiętasz.

Stella poczuła wzbierającą panikę. Co powiedziała, kiedy leżała w łóżku? Jaki bełkot wydobywał się z jej ust?

– Nadchodzi – powiedziała Motty. – Pojawi się dziecko.

* * *

Płatki śniegu opadały z pogodnego nocnego nieba jeden po drugi, jak księżycowy pył.

Za jej plecami drzwi otworzyły się ze zgrzytem.

Abby dwukrotnie zawołał ją po imieniu, najpierw ze zdziwieniem, potem z niepokojem. Stella siedziała na pieńku z wyciągniętą ręką i rozwartą dłonią. Płatki topiły się po dotknięciu jej skóry.

– Od jak dawna tu siedzisz? Gdzie masz płaszcz? Jest listopad, Gwiazdko, mogłaś zamarznąć!

Pozwoliła, żeby odprowadził ją do chaty i posadził przed kominkiem.

– Cała jesteś mokra! Och, Stello. – Abby znalazł koc z króliczych skórek i okrył jej ramiona. Cały czas zadawał pytania. Rosyjski dzik szczerzył do niej kły. Wypchane zwierzęta patrzyły na nią szklanymi ślepiami.

Jej ciało zaczęło dygotać. Abby ukląkł za jej plecami i ją objął.

– Och, Gwiazdko, tak mi przykro. Martwiłem się o ciebie.

Minęły dwa dni, odkąd wstała z łóżka. A zatem ponad tydzień od ostatniej komunii. Czuła się taka samotna.

– Motty nie pozwoliła mi wejść do domu – rzekł Abby. – Wiesz, jaka ona jest, kiedy się uprze. Powiedziała, że źle się czujesz i nie chcesz, abym przychodził. Ale… nic ci nie jest? Powinienem był do ciebie przyjść? – Czuć było od niego woń dymu z palonego drewna i potu, a także ostry smród formaldehydu. Typowy zapach Abby'ego. Oczywiście położył się spać pijany i nadal nie wytrzeźwiał, ział bimbrem z ust i nieco bełkotał. Stawał się bełkotliwy tylko wtedy, gdy się zaprawił. – Powiedz coś, mała. Dlaczego tam siedziałaś?

Nie zamierzała pójść do chaty Abby'ego. Wspięła się do kaplicy – przez całą drogę drżały jej nogi – ale znalazła nową kłódkę na drzwiach. To robota Motty. Stella była wściekła. Chwyciła kłódkę i mocno ją szarpnęła.

Zimny dotyk metalu ją zaskoczył. Puściła kłódkę. Popatrzyła na swoją dłoń.

Nie, pomyślała. Nie.

Pokonała przełęcz i dotarła do chaty Abby'ego. Bała się zapukać do drzwi, więc usiadła na pieńku i pomyślała: Jeśli otworzy drzwi, to mu powiem.

– Smucisz się z powodu tego chłopca? – spytał Abby. – Słyszałem, że się pokłóciliście. Nie martw się, pójdzie po rozum do głowy. Wiem, że jest tobą zauroczony.

Abby sądził, że Stella ma problemy sercowe. No cóż, w pewnym sensie to prawda.

Ścisnął ją za ramię.

– Ten chłopiec cię kocha. Jeśli z nim rozmawiałaś, to wróci.

Wydała z siebie poirytowane parsknięcie. Och, Abby. Nie chodzi o Lunka. Jak możesz być tak ślepy?

– Gwarantuję – ciągnął. – Widzę to, kiedy rozmawiacie.

Przestań mówić, pomyślała. Spytaj mnie, co się stało z Bogiem.

Dalej rozprawiał o niestałości młodych mężczyzn i o tym, że nie znają własnych serc. Przekonywał, że nie widzą tego, co doskonałe, chociaż mają to tuż przed sobą.

– Kochałeś Lenę? – spytała Stella. Drżała i miała mocno zaciśnięte szczęki.

Powoli się od niej odsunął. Chwycił ją za ręce, ale już nie przywierał do niej całym ciałem. Po chwili, jakby chciał zrekompensować jej to, że się wycofał, pomasował futro okrywające jej ramiona. Osuszał ją i głaskał.

– Oczywiście, że tak. Była dla mnie jak córka.

– Kiedy byłam mała… – zaczęła Stella. Cieżko było mówić ze ściśniętym gardłem; brakowało jej powietrza. Ale była wdzięczna, że oboje wpatrują się w ogień, ponieważ nie zdołałaby wypowiedzieć ani słowa, gdyby patrzył na nią. – Kiedy byłam mała i po raz pierwszy zobaczyłam to zdjęcie… ciebie, Lenę i Raya Wallace'a…

Nic nie odpowiedział.

– Kiedyś myślałam, że to ty jesteś moim ojcem. Opiekowałeś się mną w sekrecie, ponieważ ślubowałeś to Lenie, i właśnie z tego powodu Ray nigdy nie wrócił.

– Ojej, Stello, to nie…

– Wiem, że to nieprawda. Wiem. Po prostu tak sobie marzyłam.

– Ja pierdolę – zaklął. Wsparł czoło na jej ramieniu. – Nie miałbym nic przeciwko. To chyba nie byłoby takie złe, prawda?

– Nie. Nie byłoby złe. – Ale niczego by nie zmieniło, gdyby pozostali w kotlinie. Bóg i tak by ją zawołał. Tak jak teraz to robił.

Przestała dygotać. Abby podniósł się na jedno kolano i pocałował ją w czubek głowy.

– Podtrzymujmy ogień – powiedział i wstał.

– Motty mówi, że leżała w łóżku przez pięć tygodni – rzekła Stella.

Mruknął coś pod nosem. Okrążył ją i wziął do ręki prowizoryczny pogrzebacz wykonany z wąskiej rurki, która kiedyś mogła służyć jako wężownica w maszynie destylacyjnej.

– To był najgorszy czas w moim życiu.

– Wiesz, co ją zabiło?

– Mówią, że gruźlica.

– Nie – odparła Stella. – To kłamstwo.

Nie chciał na nią patrzeć.

– Wiesz, co się z nią stało – ciągnęła. – Niczego nie zrobiłeś.

– Żałuję tego – odrzekł. – Nawet gdyby to nic nie pomogło.

Popatrzył na pogrzebacz, niepewny, co z nim zrobić. W końcu oparł go o ścianę.

– Przygotuję dla ciebie siennik. Możesz zostać przy ogniu i spać, ile tylko zapragniesz.

– Boję się spać.

– Nie przejmuj się. Rano wszystko stanie się jasne. A jednego już jesteśmy pewni… Lincoln Rayburn jest cholernym głupcem.

* * *

Dwie noce później usłyszała słabe dudnienie w oddali. Usiadła, a odgłos gwałtownie się urwał.

Dochodziła północ, ale ona nie spała, a jej sypialnia tonęła w drżącym świetle – blask księżyca wpadał przez oszronione okno. Słyszała wszystko, jakby ściany były zbudowane z papieru: trzask ognia w palenisku, rzężące chrapanie Motty, tykanie zegara w salonie. Na zewnątrz wiatr szarpał drzewa. Ciężkie kroki chrzęściły na kruchym zmrożonym szkle.

Jakiś kształt pojawił się w jej oknie. Czyjś głos cicho zawołał ją po imieniu.

Stella wyślizgnęła się z łóżka. Powietrze było zimne. Zdjęła szlafrok z wieszaka i wyszła na werandę.

– Jestem tutaj – powiedziała.

Po chwili wyłonił się zza rogu domu. Lunk, wysoki w swoim czarnym płaszczu, z poważną miną.

– Usłyszałam twój samochód.

Obejrzał się przez ramię. Zaparkował na drodze, poza zasięgiem wzroku.

– Muszę z tobą porozmawiać – rzekł. – Bez Motty.

Motty wciąż chrapała. Mimo wszystko Stella zamknęła drzwi.

– Abby cię przysłał? – spytała.

– Owszem, rozmawiał ze mną, ale mnie nie przysłał. Sam chciałem przyjść. – Postawił stopę na dolnym stopniu schodów, nie spuszczając z niej wzroku. – Jestem chory, odkąd kazałaś, żebym zostawił cię w spokoju. Nie mogę spać ani jeść.

– Przykro mi – odrzekła. – To było okrutne.

– Och! – Wydawało się, że zaraz wybuchnie płaczem. – Abby mówił… ale nie wiedziałem. Po ostatnim spotkaniu wydawałaś się taka… Nie rozumiałem tego. Byłaś zupełnie inna. Ciężko było cię słuchać.

– Przykro mi – powtórzyła.

– Stello, nie musisz za nic przepraszać. Powiedziałaś mi, co czujesz, a ja próbowałem cię zrozumieć. Ale kiedy Abby powiedział, że może… no cóż, przyszedłem ci powiedzieć… że będę na ciebie czekał. Jeśli zostaniesz w kotlinie, ja też tutaj zostanę. Jeśli pójdziesz do college’u… gdziekolwiek… pojadę z tobą, jeśli mi pozwolisz. Będę pracował. Przyjmę każdą pracę. Będę kopał rowy! – Roześmiał się, zadziwiony słowami, które wydobywały się z jego ust. – Kocham cię, Stello Walace. Bez ciebie moje życie nie jest nic warte.

– Nie mów tak.

– To prawda. Nic na to nie poradzę. Nie wiem, co ty w tej chwili do mnie czujesz, ale…

– Wiem – przerwała mu.

– Wiesz…? Ale co…? – Zachwiał się, ale zaraz odzyskał równowagę. Był taki piękny; strach, nadzieja, miłość i zagubienie kłębiły się w nim pod ogromnym ciśnieniem, a on starał się nad sobą zapanować i wyłożyć swoją sprawę, chociaż decyzja już zapadła.

– Jutro w nocy – powiedziała.

– Jutro?

– Nie dbam o to, dokąd się udamy. Możemy pojechać do Kalifornii, jeśli chcesz.

– Jutro!

– Jeśli stąd nie odejdę, umrę – dodała.

22

1948

Stella starała się wycisnąć jak najwięcej z buicka, ale chociaż samochód był nowy, nie mógł się równać z takimi niepozornymi wyścigówkami jak jej ford albo podrasowany chevrolet Alfonse’a. Pee Wee wolał wygodę od szybkości. Wóz leniwie przyśpieszał i niepewnie hamował. Miała wrażenie, że prowadzi dwutonowy materac.

Po koszmarnie długim czasie dotarła do parku, a następnie do rozstaju dróg. Na wschód do Motty, na zachód do Abby’ego.

Nie dam rady zrobić tego sama, pomyślała. A Abby ma moją śrutówkę.

Po pokonaniu pół kilometra na zachód wcisnęła się między dwa drzewa i wjechała na drogę gruntową. Kiedy ostatnio się tutaj wybrała własnym autem, jechała wolno i ostrożnie. Ale nie tym razem. Pomknęła drogą, licząc na to, że pęd pomoże jej pokonać kamienie i korzenie. Auto szaleńczo podskakiwało, a światła reflektorów prześlizgiwały się z drzewa na drzewo. Pokonała nawrót o sto osiemdziesiąt stopni, który znajdował się w trzech czwartych drogi, a potem…

Buick gwałtownie się zatrzymał, ale ciało Stelli wciąż leciało do przodu. Uderzyła klatką piersiową o kierownicę i spadła na podłogę po stronie pasażera. Samochód przechylił się w prawo.

Silnik zgasł. Przez długą chwilę leżała na podłodze, krzywiąc się z bólu i z trudem chwytając niewielkie porcje powietrza. Miała wrażenie, że ktoś zdzielił ją młotem w mostek.

Przeżyjesz, powiedziała sobie. Rusz się.

Usiadła na absurdalnie miękkim siedzeniu, uruchomiła silnik i wcisnęła gaz. Samochód ryknął, ale nawet nie drgnął. Zgasiła silnik, ale zostawiła zapalone światła. Wysiadła, zmagając się z obolałym ciałem.

Przednia oś zawisła na kłodzie drewna, a koło po stronie kierowcy znajdowało się w powietrzu. Co ta kłoda robiła na drodze, do kurwy nędzy? Mogła spróbować rozkołysać auto i je uwolnić, ale nie miała czasu. Wujkowie pewnie już skończyli kolację i właśnie prowadzili Sunny do kaplicy.

Musiała pokonać resztę trasy pieszo. Ruszyła urywanym biegiem między drzewa. Postanowiła wspiąć się na wzgórze, zamiast podążać wzdłuż drogi. Przy co drugim kroku czuła w boku ukłucie żebra. W ciągu dziesięciu minut dotarła na podwórze Abby'ego.

Drzwi chaty stały otworem. W środku było ciemno. Stella złapała oddech, a potem zawołała:

– Abby?!

Nie odpowiedział. Ponownie zawołała go po imieniu, tym razem głośniej. Podeszła do futryny. Nagle, wiedziona instynktem, powiedziała:

– Sunny?

Żadnej odpowiedzi.

Weszła do chaty. Palenisko było wygaszone, nie pozostały nawet rozgrzane węgle. Pomieszczenie było puste i ciemne, a drzwi sypialni otwarte. One nigdy nie były otwarte.

Podeszła do progu. W pomieszczeniu nie było okien, więc było tam znacznie ciemniej niż w pozostałych częściach chaty.

– Abby? – odezwała się cicho. – To ja, Stella.

W powietrzu unosiła się ostra woń chemikaliów, środków konserwujących i klejów, których Abby używał podczas preparowania zwierząt. Dostrzegła wąskie łóżko i coś, co mogło być stertą wiader.

– Abby?

Na łóżku leżała jakaś postać. Stella się nachyliła.

– Hej, to ja.

Dotknęła posłania w miejscu, w którym powinna się znajdować głowa, i wymacała coś lepkiego. Z jej ust wyrwał się cichy okrzyk. Sięgnęła do kieszeni i wydobyła zapalniczkę.

To był Abby, ale trudno było rozpoznać jego twarz w blasku malutkiego płomienia. Uświadomiła sobie, że jest pokryta krwią. Miał otwarte usta.

– Mój Boże, Abby. – Dotknęła jego szyi. Zbliżyła do niego swoją twarz, tak że niemal go pocałowała. Oczy miał zasłonięte opuchlizną, a szczękę zniekształconą. – Proszę.

Z jego otwartych ust dobiegł cichy chrapliwy oddech.

Czyżby się dusił? Wsunęła mu do ust dwa palce. Drgnął, kiedy dotknęła jego połamanych zębów. Kiedy cofnęła palce, były mokre. Nie wyczuła żadnej blokady.

Wydał z siebie dźwięk, który przypominał syk powietrza uciekającego z opony. Czy próbował powiedzieć „Sunny" albo „Stella"?

– Strasznie mi… przykro.

– Abby, co się stało? Hendrick ci to zrobił?

Ciężko odetchnął.

– Nic jej nie jest?

– Nie ruszaj się, zaraz wrócę. – Wyszła z pokoju i zaczęła rozpaczliwie się rozglądać. W końcu znalazła lampę obok zlewozmywaka i wróciła do sypialni.

Koszulę miał rozpiętą aż do mostka. Przesuwała dłońmi po jego ciele, bojąc się, że znajdzie rany postrzałowe. Miał posiniaczone ręce i pokaleczone dłonie. Kiedy dotknęła jego żeber, stęknął. Wyglądało na to, że go nie postrzelili, tylko pobili prawie na śmierć. Każdy wydech brzmiał, jakby Abby oddychał przez warstwę błota.

– Próbowałem – powiedział. – Próbowałem.

Krew na posłaniu była zaschnięta. Zrobili mu to wiele godzin temu. Może poprzedniego wieczoru, kiedy przyszli w poszukiwaniu Sunny.

Uklękła obok łóżka.

– Abby, posłuchaj. – Sama też z trudem oddychała. Łzy napłynęły jej do oczu. – Muszę znaleźć Sunny. Ale wrócę do ciebie, w porządku? Zabiorę cię do lekarza. Na zakręcie stoi samochód Pee Wee’ego.

– Mogę wstać.

– Nie wstawaj! Wrócę po ciebie.

Westchnął.

– Przepraszam, ale muszę to wiedzieć. Czy ciągle masz śrutówkę? – spytała.

Lekko pokręcił głową.

– Zabrali – szepnął.

– Kurwa.

– Próbowałem. Nie powiedziałem im. Nie…

– Wiem – odrzekła. – Wiem. Wrócę po ciebie.

* * *

Ruszyła szlakiem po wysokiej przełęczy. Biegła, starając się ignorować ból w piersi. Wpadła na podwórze przed kaplicą oświetlone jaskrawym blaskiem księżyca.

Veronica stała przed wejściem do kościoła i zaglądała do środka, a wylewające się przez szparę w drzwiach jasne światło podświetlało jej loki. Pieprzone filmowe reflektory.

Veronica nie usłyszała Stelli za sprawą warczącego generatora. Stella postukała ją w ramię, a Veronica obróciła się, zaszokowana.

– Odsuń się od drzwi.

– Myślałam, że jesteś w areszcie! Co się stało? Nie mogłam uwierzyć, kiedy o tym usłyszałam.

– Wiem, co zrobiłaś, Vee. Powinnam była wiedzieć, że jesteś córeczką tatusia. A teraz się odsuń.

Ale Veronica nie miała zamiaru odejść od drzwi.

– Nie wiem, o czym… Stello!

Stella chwyciła ją za przód sukienki, zmięła materiał w zaciśniętej pięści i przyciągnęła ją do siebie.

– Co powiedziałam?

Odepchnęła ją na bok.

– Tato! – zawołała Veronica. – Tato! Rickie! Chodźcie tutaj!

Za generatorem, pod ścianą obok baniaków z benzyną, stały narzędzia do kopania: szpadel, łopata, kilof. Stella chwyciła łopatę. Była źle wyważona i nie nadawała się do roztrzaskiwania czaszek, ale musiała wystarczyć.

Drzwi się otworzyły i wyszła jakaś postać ubrana w długą szatę. To był Rickie, cały wystrojony. Popatrzył na Veronicę.

– Co robisz? Jesteśmy w trakcie ceremonii!

Veronica wskazała palcem. Rickie obrócił się i podniósł rękę. Łopata trafiła go w łokieć, a on wrzasnął i upadł na kolano.

– Co ty wyprawiasz?

Trudno było to ocenić przy tak długiej rączce, ale wyglądało na to, że złamała mu kilka kości.

Rickie ostrożnie dotknął swojego łokcia i głośno zaklął. Veronica cofnęła się, zakrywając usta dłonią.

Stella pewnym krokiem weszła do kaplicy.

Po przeciwnej stronie pomieszczenia wokół otworu stał krąg trójnogów, niczym wartownicy. Jeden z reflektorów oświetlał dziewczynkę na krześle. Sunny siedziała odwrócona bokiem, zapewne na tym samym krześle z trzcinowym oparciem, które Stella zajmowała kilkanaście lat wcześniej. Hendrick klęczał przed nią z miedzianą miską. Elegancka szata zakrywała jego nogi i stopy, tak że wyglądał jak munchkin wręczający Dorotce smakołyk. Ten żywy obraz był filmowany przez znajomego chudzielca i rejestrowany przez nowego dźwiękowca, który zastąpił łysego mężczyznę zabitego w jaskini. Obaj również mieli na sobie szaty, chociaż znacznie bardziej pospolite niż wyszywany złotą nicią cudny strój Hendricka. W ławkach siedziało kilku kolejnych mężczyzn w formalnych strojach.

Wszyscy obejrzeli się na Stellę.

Jeden z mężczyzn w pierwszym rzędzie nagle się pochylił i sięgnął po coś, co leżało pod ławką.

– Cięcie! – zawołał Hendrick. – Przestań filmować!

Kolejny z mężczyzn, który był bliżej Stelli, stanął w przejściu między ławkami, zagradzając jej drogę. To był jeden z przybyszów z Georgii, okrągły, z obwisłymi policzkami.

– Kobiety nie mają tutaj wstępu.

Chwyciła łopatę obiema rękami.

– Myślisz, że nie rozwalę ci łba? Wychowałam się na farmie.

Mężczyzna się zawahał. Nagle odezwał się jakiś głos za jego plecami.

– Odsuń się, bracie Jerome. – Mężczyzna z ulgą usiadł w ławce.

Brat Paul stał na końcu przejścia i celował w Stellę ze śrutówki. Nie była to przypadkowa broń, ale jej rodzinny Winchester 97.

– Może lepiej odłóż tę łopatę.

– Nie sądzę. – Szła w jego stronę, szacując dzielącą ich odległość. Trudno było dostrzec jego oblicze na tle otaczającej go aureoli światła, ale widziała, że pod jednym okiem ma świeży siniec. Jego twarz po raz pierwszy nabrała jakichś kolorów.

Paul przeładował śrutówkę.

– Co tutaj robisz, Stello? – odezwał się Hendrick z głębi pomieszczenia.

Paul usunął się z drogi, lekko unosząc broń nad oparciem ławki, ale cały czas celował Stelli w brzuch. Hendrick stanął na podeście. Między nim a stopami Sunny stała miska.

– Sunny, musisz mnie wysłuchać – powiedziała Stella, ignorując Hendricka. – Nie wiesz, co się stanie w tej jaskini.

Dziewczynka patrzyła na nią ze spokojem. Miała na sobie bladożółtą sukienkę, białe buty i skarpetki z koronką. Veronica – to na pewno była ona – wplotła jej we włosy małe białe kwiatki, które przypominały koronę. To była pora żniw, ale Sunny była ubrana jak na Wielkanoc.

– Powiedzieli ci, co zrobili z Abbym? – spytała Stella.

Sunny zerknęła na Hendricka. A więc nie wiedziała.

– Powiedz jej – nakazała Stella.

Przynajmniej wyglądał na zażenowanego.

– Nie mieliśmy wyjścia. Nie chciał zejść nam z drogi.

– Pobili go prawie na śmierć. O mało go nie zabili.

– Muszę przyznać, że dzielnie walczył – odezwał się brat Paul.

Z bliska widziała, że połowa jego twarzy stała się zielonkawo-niebieska.

– Nie wątpię – odrzekła Stella. Absalom Whitt był potężnym mężczyzną. Rzadko wpadał w gniew, ale potrafił zadbać o siebie i swoje dziewczęta. Próbował dotrzymać danego jej słowa.

– Czyli żyje? – spytała Sunny.

Stella powoli ruszyła naprzód. Lufa broni była teraz wycelowana w jej plecy.

– Ledwo – odpowiedziała. – Mogli go związać, skoro chcieli, aby mnie nie ostrzegł. Ale zamiast tego bardzo go skrzywdzili i zostawili na śmierć.

– W porządku – odrzekła Sunny. – Później się nim zaopiekujemy.

– Zgadza się – powiedział Hendrick. – Kiedy tylko świat dowie się o istnieniu Boga, wszystko się wyprostuje.

– Jasna cholera – warknęła Stella. – Skończcie już z tymi bzdurami.

– To raczej ty opowiadasz…

– Ty oddychasz tą trucizną. Przystosowałeś się jak jakieś bagienne zwierzę.

– Czy to Lena? – spytał jakiś głos. Morgan Birch rozmawiał z Johnem Headleyem. Obaj mieli ponad dziewięćdziesiąt lat i byli głusi jak pień. – Zawsze ją lubiłem.

– Jezu Chryste – jęknęła Stella. – Jak wam służy wieczna młodość?

Morgan posłał jej bezzębny uśmiech.

Stella zbliżyła się do podestu, a brat Paul rzucił jej burkliwe ostrzeżenie.

– Cokolwiek ci powiedzieli, nie mają pojęcia, o czym mówią – zwróciła się do Sunny. – Duchojciec nie wyjdzie. Umiera.

– To absurd – żachnął się Hendrick. – Na ten dzień wszyscy… Stanley! Powiedziałem „cięcie”! – Chudzielec opuścił kamerę. Wyraźnie zaskoczony mężczyzna obok niego wcisnął kilka guzików na magnetofonie.

Stella nie spuszczała wzroku z Sunny.

– Nie mogą cię do tego zmusić. To ty panujesz nad sytuacją. Nie mogą tam wejść sami, bez ciebie nic się nie wydarzy.

– Wystarczy! – zawołał Hendrick. – Zabierzcie ją stąd.

Stella ich zignorowała.

– Sunny, nie obchodzi mnie, co zrobiłaś Motty. Wiem, że to był wypadek.

– Co takiego? – rzucił Hendrick. – O czym ty mówisz?

Trafiony. Hendrick nie miał pojęcia, że to dziewczynka zabiła jego siostrę. Oczywiście, że nigdy tego nie podejrzewał. Była tylko dzieckiem.

– Są rzeczy, o których nie wiesz – odpowiedziała Stella. – Po prostu zwolnijmy. Nie ma potrzeby pędzić do jaskini.

– Kłamiesz – odparł Hendrick. – Próbujesz nas opóźnić.

A żebyś, kurwa, wiedział, pomyślała Stella. Potrzebowała czasu, by wzbudzić w Sunny wątpliwości. Żeby wzbudzić je w nich wszystkich.

– Bóg nie wyjdzie z góry – powiedziała na tyle głośno, by usłyszeli ją nawet staruszkowie. – Sądzicie, że zaryzykuje wszystko dla waszych pragnień? Kiedy byłam mała, wujek Hendrick opowiadał mi o rządzących, którzy opadają na nas jak rój szarańczy. To się nie zmieniło. Jeśli dowiedzą się o Duch…

– Zamknij się! – wrzasnęła Sunny.

Stella uniosła dłonie.

– Sunny, przykro mi, jeśli jesteś zdenerwowana. Ale nie możesz wejść tam sama. To zbyt niebezpieczne.

– Uciszcie ją! – wrzasnęła dziewczynka.

Brat Paul przycisnął lufę śrutówki do pleców Stelli.

Obejrzała się przez ramię.

– Co zamierzasz zrobić, bracie? Zastrzelisz nieuzbrojoną kobietę na oczach dziecka?

– Zrobię to, co będzie konieczne – odpowiedział, a ona mu uwierzyła.

Sunny wstała.

– Nie mogę dłużej czekać.

– Proszę! – nie ustępowała Stella. – Nie rób tego. Nie jesteś…

Ból przeszył jej szyję i upadła na ręce i kolana. Gwiazdy rozbłysły pod jej powiekami. Paul uderzył ją kolbą śrutówki.

– Nie podnoś się – ostrzegł.

– Bóg w Górze czeka – powiedziała Sunny.

– Wszystko popsułaś – odezwał się Hendrick do Stelli. – Popsułaś ceremonię.

– On kłamie – syknęła Stella przez zaciśnięte zęby. Wciąż była oszołomiona bolesnym ciosem. – Jego plan nie zadziała.

– Och, Stello Wallace – odrzekła Sunny. – To nie jest jego plan.

Dziewczynka zbliżyła się do otworu i wkroczyła do środka. Po chwili zniknęła.

Nikt się nie odzywał ani nie poruszał.

Nagle Hendrick zawołał do chudego kamerzysty:

– Nagrałeś to?! Czy ktoś to nagrał?!

* * *

Brat Paul postawił Stellę na nogi.

Jestem idiotką, pomyślała. Odkąd wróciła do kotliny niecały tydzień temu, błądziła jak we mgle. Sunny owinęła ją sobie wokół palca, podobnie jak Hendricka, chłopców z Georgii i starych wujków. To dziewczynka postanowiła wywołać Boga i obiecała, że potrafi tego dokonać.

Tylko Motty na to wpadła. Rozpoznała zagrożenie i rozkazała Abby’emu zapieczętować wejście. A Sunny ją za to zabiła.

Hendrick nie wierzył, że mała mogłaby coś takiego zrobić, ponieważ był tylko człowiekiem.

– Odprowadź ją do domu – polecił.

Paul zamrugał.

– Ale… zgodziliśmy się, że przy tym będę. W tym pomieszczeniu.

– Nie możemy pozwolić, żeby nam przeszkadzała, a ty, no cóż… – wskazał broń – …najlepiej się do tego nadajesz.

– Z całym szacunkiem, ale nie.

– Bracie Paulu? – Wujek Hendrick był zbity z tropu. Tracił kontrolę nad Wielkim Wieczorem.

– Z całym szacunkiem, finansuję ten kościół, pastorze Hendrick. Zbyt długo czekałem i zbyt wiele poświęciłem, żeby teraz usunąć się na bok. Przykro mi, ale tego nie zrobię. – Odwrócił się. – Bracie Jerome!

Mężczyzna, który niedawno zagrodził Stelli drogę, wstał, zaskoczony. Pocił się pomimo chłodu. Miał na szyi fałdy tłuszczu przypominające zrolowany dywan.

Paul wcisnął mu do rąk śrutówkę.

– Zabierz ją stąd.

– Ale ja też nie chcę tego przegapić.

– Psiakrew! – wrzasnął Hendrick. – Kiedy Bóg wyjdzie, każdy w końcu go zobaczy! To nie jest przeklęty wyścig! Idź! Odprowadź ją do domu i zwiąż, do diabła!

Stella nigdy nie słyszała, aby Hendrick przeklinał. A z pewnością nie trzy razy z rzędu.

– Jest tam sznur? – spytał Jerome.

– Co takiego?

– Czy w domu jest sznur?

– Nie wiem. Veronica! – Veronica i Rickie stali przy drzwiach. Rickie trzymał się za zranioną rękę; jego rękaw nasiąknął krwią. – Idźcie z nimi i znajdźcie jakiś sznur!

– Ale, tato…

– Czy nikt mnie tutaj nie słucha?!

Brat Jerome trącił Stellę bronią.

– Chodźmy.

Nie mogę odejść, pomyślała. Muszę wydostać Sunny z jaskini.

– No dalej – popędził ją Jerome. Wyraźnie miał ochotę zrobić jej dziurę w plecach.

Wyszła z kaplicy, popychana lufą broni.

Veronica i Rickie dołączyli do nich.

– Twój tata popełnia błąd – powiedziała Stella do Veroniki.

– Cicho – rzucił Jerome. – Dosyć się już dzisiaj nagadałaś.

Szli w dół zbocza w ciemności.

– Słyszeliście coś? – odezwał się nagle Ricky. Zatrzymał się, a Veronica poszła w jego ślady.

– Dalej, im szybciej ją zwiążemy, tym szybciej będziemy mogli wrócić – popędzał ich Jerome.

– Czy to…? – spytała Veronica.

Spomiędzy drzew wyłonił się olbrzymi kształt. Wpadł na Jerome’a i przewrócił go na ziemię.

Abby Whitt, z twarzą siną i obrzmiałą jak tykwa. Stella nie wiedziała, jak może cokolwiek widzieć z tak opuchniętymi oczami.

– Puść ją – odezwał się zbolałym głosem.

Rickie rzucił się naprzód i staranował Abby’ego sprawnym ramieniem, wpychając go na pień drzewa. Próbował się odsunąć, ale Abby zdążył otoczyć ręką jego szyję.

– Ejże! – zawołał Rickie. – Puść…

Abby grzmotnął go pięścią w tył głowy. Marynarz bezwładnie runął na ziemię u jego stóp. Veronica z krzykiem pobiegła w dół zbocza.

Jerome przetoczył się na plecy. Jakimś cudem nie wypuścił winchestera z rąk. Celował Abby’emu w pierś. Stella wiedziała, co się zaraz stanie, jakby patrzyła na zatrzymaną klatkę filmu w uszkodzonym projektorze. Jerome zaciskał palce na spuście i krzywił się w oczekiwaniu na odrzut. A Abby, na wpół oślepiony, był jak potwór, który zaraz zostanie pokonany.

Powietrze wokół niej stało się fioletowe. Stella rozwarła dłonie.

23

1938

Godzinę po zachodzie słońca rozległy się wrzaski. Brzmiały ludzko, ale Stella rozpoznała w nich zbolałe nawoływanie maciory.

Siedziała w swoim pokoju przez cały dzień, unikając domowych obowiązków i Motty. Miała wrażenie, że jej ciało wibruje z dziwną częstotliwością. To gwałtowne drżenie mogło świadczyć o podekscytowaniu, radości albo przerażeniu. Tej nocy miał do niej przyjść Lunk, a wtedy kotlina stanie się wspomnieniem. Motty, Hendrick i Duchojciec będą mogli iść do diabła.

Pierwszym problemem było znalezienie bagażu. Nie chciała zaczynać nowego życia z poszewką na poduszkę wypchaną ubraniami jak jakiś kloszard. Tekturowa walizka, z którą tu przyjechała, pękła wzdłuż jednego boku, więc była bezużyteczna. Dlatego kiedy Motty wyszła z domu, Stella wślizgnęła się do jej sypialni i wyciągnęła spod łóżka wiekową torbę podróżną. To nie była ta sama torba, której użyła Esther podczas ucieczki, ale Stella postanowiła z niej skorzystać.

Wepchnęła do torby kilka ubrań, które lubiła, a nawet kilka pamiątek. Chustkę, którą podarował jej Lunk. Swoją Biblię. Czasopisma naukowe. *Tajemnicę starego zegara* z serii o Nancy Drew. Wahała się, czy zabrać *Księgę Clary* i *Księgę Esther.* Czy powinna je wziąć, ponieważ były częścią jej historii, czy może zostawić je z tego samego powodu?

Westchnęła z obrzydzeniem i wrzuciła je do torby. Zawsze mogła je później spalić.

Na koniec zachowała swój najcenniejszy skarb: zdjęcie Abby’ego i jej rodziców. Wyglądali tak młodo, przebrani za kowbojów i Indian. Zrobiło jej się słabo, więc usiadła. Coś w tym zdjęciu nie dawało jej spokoju. Może to, że Ray Wallace i Abby wyglądali na nieświadomych zagrożenia. Może to, że jej matka, drobna dziewczyna o jasnym spojrzeniu, patrzyła w obiektyw ze smutnym uśmiechem, jakby widziała, że po drugiej stronie znajduje się jej córka, niewidzialna i nieosiągalna.

Bóg prawie zabił nas obie, pomyślała Stella.

Owinęła ramkę ze zdjęciem jedną ze swoich sukienek i wsunęła ją do torby. To straszne, że cały jej dobytek mieścił się w jednym starym bagażu. Psiakrew, miała dosyć bycia biedną. Wkrótce to się zmieni. Obiecała sobie, że jakkolwiek Lunk będzie zarabiał na życie, głosząc Słowo Boże albo naprawiając maszyny do szycia, ona także zacznie pracować i odkładać pieniądze.

Słońce zachodziło, a strach się wzmagał. Krążyła po niewielkim pokoju, nie potrafiąc przekierunkować ani odpędzić odczuwanych emocji.

Potem usłyszała wrzask, jakby mordowanej kobiety.

* * *

Maciora leżała na boku i wierzgała nogami. Motty pochylała się nad zwierzęciem i z trudem je przytrzymywała. Podniosła wzrok na Stellę.

– Na litość boską, pomóż mi!

Świnia leżała na drewnianej bramie w starym budynku stajni, otoczona świeżą słomą. Na ścianach boksu stały cztery latarnie oświetlające wiejską salę operacyjną. Motty postawiła pod ścianą swoją strzelbę na wiewiórki.

– Przywiąż jej nogi – poleciła babcia.

– Zastrzelisz ją?

– Jeszcze nie. Najlepiej, żeby oddychała jak najdłużej.

Świnia nie przestawała kwiczeć.

Stella przewlekła sznur przez pręty w bramie. Potem owinęła nim jedną z tylnych nóg zwierzęcia. Świnia wpadła w szał; ostre kopyta przecięły rękaw Stelli i skaleczyły jej rękę. Dziewczynka to zignorowała i spętała tylne nogi maciory. Z przednimi poszło łatwiej.

– Upewnij się, że mocno zaciągnęłaś sznur – powiedziała Motty. – Potrzebuję trochę miejsca.

Rozwinęła skórzaną szmatkę. Leżały na niej trzy noże, sekator, małe nożyczki oraz długa, cienka metalowa rurka. Babcia wzięła do ręki średni nóż, wsunęła drugą rękę pod ciało świni i wymacała obrzmiałe wymiona. Oparła tam czubek noża. Stella spodziewała się, że zrobi to niżej.

Motty popatrzyła na dziewczynkę.

– Zostaniesz?

Stella odetchnęła i pokiwała głową.

– Skończmy to. – Motty postukała się palcem w czoło. – Tutaj. Dasz radę?

Świnia nie miała imienia. Stella wcześnie nauczyła się, że nie warto nazywać zwierząt, które zamierza się zjeść. Ale to ona codziennie ją karmiła, poiła i sprzątała jej zagrodę. Maciora zasługiwała na ostatni gest łaski.

Stella wzięła do ręki strzelbę. Odbezpieczyła ją. Następnie przycisnęła lufę do czaszki świni i pociągnęła za spust. Odgłos wystrzału w tak ciasnej przestrzeni był ogłuszający. Świnia znieruchomiała.

– W porządku – odezwała się Motty. – Musimy działać szybko.

Uklękła i wykonała pierwsze długie cięcie. Z ciała zwierzęcia trysnął płyn – nie była to krew, tylko coś bladego i kleistego. Wylało się jak ciepła woda z przechylonej wanny, prosto na ich kolana. W powietrzu unosiły się kłęby pary.

Motty spokojnie zaczekała, aż płyn przestanie lecieć, a wtedy wykonała drugie cięcie. Wsunęła obie dłonie do wnętrza zwierzęcia.

– Sięgnij pomiędzy moimi dłońmi. Rozwieram macicę.

Nie powinno mnie tu być, pomyślała Stella. Miałam odejść.

– Sięgnij do środka, psiakrew! – krzyknęła Motty.

Stella podwinęła prawy rękaw. Oparła lewy łokieć na ogromnej szczeciniastej szyi maciory i wsadziła rękę do środka. Poczuła coś grubego, ale elastycznego.

– Wymacaj pępowinę – poleciła Motty. – Czujesz ją?

Stella nie wiedziała, co czuje. Wszystko było ciepłe i śliskie. Miała wrażenie, że jej dłonie pokrywa galareta. Potem dotknęła czegoś twardego. Głowa? Nie, to było bardziej płaskie. Może ramię. Przesunęła rękę w dół. Wyczuła coś grubego jak kiełbasa. Pomacała wzdłuż tego kciukiem.

– Chyba mam pępowinę. – Próbowała uspokoić oddech. – Jest taka duża.

– Wsadź do środka drugą rękę. Musisz znaleźć szyję i upewnić się, że pępowina jej nie oplata. Masz?

– Nie wiem! – Stella była przerażona.

– Wyciągaj.

Płód był otoczony woskowatym żelem, a jego skóra miała kolor czerwonego wina. Wyglądał jak niemowlę. Ludzkie dziecko.

– Nie rusza się – zauważyła Stella. – Nie rusza się!

– Cicho. – Motty wsunęła palec do drobnych ust i wydobyła nieco czarnej masy. Jej palec krwawił. Wewnątrz ust znajdowały się malutkie białe zęby. Noworodek z zębami?

Dziecko miało zamknięte oczy. Mała pękata pierś się nie poruszała. Kończyny, chude i bardzo ludzkie, zwisały bezwładnie. Motty przecięła pępowinę i przewiązała ją sznurkiem. Tak szybko, jakby robiła to już setki razy.

Wdmuchnęła powietrze do ust malca, a jego pierś się poruszyła.

Stella zalała się łzami. Proszę, niech przeżyje, pomyślała. Proszę. Nie wiedziała, do kogo się modli. Tylko Motty i Stella mogły ocalić dziecko. Stella dotknęła jego głowy i zbadała wąski nos, ostry jak u wszystkich kobiet z rodu Birchów. Delikatne dłonie o malutkich idealnych paznokciach. Nie licząc

czerwonej skóry, noworodek wyglądał jak zwyczajne ludzkie dziecko. Był cudowny.

– O mój Boże.

Stella podniosła wzrok. W odległości metra stał Lunk i wpatrywał się w dziecko. Wyglądał tak, jakby miał się rozpłakać.

– Co to jest?

Stella popatrzyła w dół.

– To… – Nie wiedziała, co to jest ani jak ma to nazwać.

Lunk zbliżył się o krok. Dziecko zakaszlało i nagle zaczęło zawodzić.

Chłopak odskoczył do tyłu. Upuścił pudełeczko, które trzymał w dłoni. Zakrył usta ręką. Potem odwrócił się i uciekł.

– Zatrzymaj go – rzuciła Motty. Wciąż trzymała w objęciach dziecko, żywe i płaczące. – Zatrzymaj go.

* * *

Lunk pędził na łeb na szyję w stronę drogi. Był wyższy od Stelli. Może także szybszy. Wołała go po imieniu, ale się nie zatrzymywał. Kiedy dotarł do końca żwirowego podjazdu, skręcił w prawo. Poślizgnął się na chodniku i prawie upadł. Odzyskał równowagę. Obejrzał się i zobaczył, że Stella go ściga. Wyraz przerażenia na jego twarzy łamał jej serce.

Kiedy dotarła do drogi, Lunk był oddalony o trzydzieści metrów i pędził w stronę samochodu zaparkowanego obok rowu – nowego auta swojego ojca. Ukrył je pod drzewami, aby nie dało się go zobaczyć z domu. Później Stella uświadomiła sobie, że pewnie podszedł pod jej okno, a kiedy do niego nie wyszła, ruszył w stronę światła wydobywającego się ze stodoły. A potem zobaczył zakrwawione dziecko narodzone z ciała maciory.

Biegł tak szybko, że musiał wysunąć przed siebie ręce, żeby nie wpaść na bagażnik samochodu. Szarpnięciem otworzył drzwi po stronie kierowcy. Zamarł. Podniósł wzrok.

Z ciemności wyłonił się Bóg w Górze. Wyszedł na drogę, a jego biały tułów kołysał się między długimi, szeroko rozstawionymi kończynami. Nogi prostowały się, ocierały o siebie, cofały. Zatrzymał się przed samochodem.

Lunk zaczął wrzeszczeć.

Stella stanęła i patrzyła na to z zachwytem. Bóg się odchylił, ustawiając tułów w pionie jak człowiek. Powietrze pulsowało niczym bijące serce.

Znał ją. Potrzebował jej.

Groza, którą nosiła w sobie przez cały dzień, ustąpiła. Fałszywa odwaga. Nierealna przyszłość. Pragnęła tylko jeszcze jednej komunii. Jeszcze jednej

godziny z jego myślami wlewającymi się do jej głowy i szepczącymi do niej. Pragnęła tylko stać się dla niego córką. Rozpostarła ręce, poddając się wibracjom.

Lunk wrzeszczał. Było jej go szkoda. Nie wiedział, jak wielkie ma szczęście.

Chłopak rzucił się do tyłu, upadł na zimny chodnik, z trudem wstał. Pobiegł w stronę Stelli. Miał rozbiegane spojrzenie, jak kucyk uciekający przed pożarem.

– Stello! Uciekaj!

– Przestań – odpowiedziała cicho.

– Musimy stąd odejść!

Chwycił ją za rękę i ruszył dalej. Ciągnął ją za sobą przez mniej więcej metr, aż w końcu chwyciła go za nadgarstek i zaparła się stopami. Zatrzymał się gwałtownie, zaskoczony jej siłą.

Znów wrzasnął. Tym razem z bólu.

Rozwarła dłonie. Po jej skórze przebiegł dreszcz, jak lodowaty podmuch. Powietrze stało się fioletowe.

Lunk spuścił wzrok, podążając za jej spojrzeniem. Z lewej dłoni Stelli unosił się pęk białych włókien, które falowały, jakby znajdowały się pod wodą. Z prawej wykwitły kolejne i połączyły się z nadgarstkiem Lunka.

Czuła wszystko to, co on. Jego strach. Jego zagubienie. A także jego miłość do niej, chociaż ta była niczym w porównaniu ze strachem, malutką tratwą na oceanie grozy. Przede wszystkim pragnął uciec. Biec przed siebie, póki nie znajdzie kogoś, kto go ocali. Musiał opowiedzieć wszystkim o tym, co widział. Szatan istnieje naprawdę. Wszystkie plotki dotyczące kobiet z rodu Birchów – że są pogankami, wiedźmami, czczą diabła – są prawdą. Oddały swoje serce demonowi.

– Nie możesz odejść. – Stella usłyszała, jak te słowa wydobyły się z jej ust. – Nie możesz nikomu powiedzieć.

Nie potrafił oderwać wzroku od nici. Krew sączyła się z otworów, ale same włókna były piękne. Nie wydawały się czymś obcym dla Stelli; przynależały do niej, tak po prostu. Była głupia, skoro tego nie podejrzewała. Przez te wszystkie lata sądziła, że Bóg próbuje się z nią skontaktować. Tymczasem wyciągał to z jej wnętrza. Pokazywał jej siebie.

– Proszę – odezwał się Lunk.

– Przykro mi. – Teraz już rozumiała, co Bóg czuje wobec niej. Była jętką, która nie mogła pomieścić w sobie wszystkiego, co chciał jej przekazać. Była jego uszkodzonym, złamanym dzieckiem, ale nie czyniło jej to mniej wartościową. Musiał ją wypuścić i odrzucić, zanim ją zniszczy.

Lunk chwycił kosmyki wolną dłonią.

– Nie – powiedziała. – Przestań. Pozwól mi…

Wyrwał włókna ze swojego nadgarstka. Krew trysnęła z kilkunastu otworków; każda z nitek zdążyła się zagłębić w żyle. W oczach Stelli skóra Lunka była czerwona jak rozpalone węgle, ale jego krew płonęła jeszcze goręcej, jaskrawożółto. Wystrzeliła w powietrze i skapnęła na drogę niczym stopione złoto.

Lunk padł na kolana. Na jego twarzy strach ustąpił miejsca oszołomieniu. Nie rozpoznawał jej. Stała się czymś nowym.

Bóg zbliżył się na swoich licznych nogach i stanął nad nią. Wibracje sprawiły, że jej kości zaczęły brzęczeć. Czuła napór jego myśli. Zrobiła coś strasznego, ale już jej to umykało: Bóg skąpał ją w miłości. Miłości, żalu i smutku, ale głównie miłości, uwielbieniu tak głębokim, że graniczyło z zachwytem.

24

1948

Zabiła brata Jerome’a jednym dotykiem.

Przewrócił się do tyłu i uderzył głową o ziemię. Śrutówka wyślizgnęła mu się z rąk. Jego ciało w przesłaniającej jej wzrok fioletowej mgiełce płonęło na pomarańczowo. Znów stanął jej przed oczami Lunk: wystraszony, zdumiony, oszołomiony jej przemianą.

Krzyknęła i cofnęła się od zwłok. Nitki wysunęły się z ciała mężczyzny, ale ich końce wciąż unosiły się nad jego piersią, jakby szukały innej drogi dostępu.

– Stello – odezwał się Abby chrapliwym głosem. – Już w porządku.

Nie, nic nie było w porządku. Obiecała sobie, że nigdy więcej nie zabije. A teraz to zrobiła, tak łatwo, jakby sięgała po szklankę wody.

Włókna wiły się w powietrzu, jakby chciały spleść się w linę. Skupiła się i zdołała wciągnąć je do swojego ciała. Obie jej dłonie znaczył rozbryzg krwi, jasny jak słonecznik. Stella nie wiedziała, w jaki sposób ciało Sunny zasklepia otwory po nitkach; ona tego nie potrafiła. Przez dziesięć lat miała nadzieję, że już nigdy nie zobaczy tych rzeczy.

Czerwona mgiełka przesłaniająca jej wzrok rozpłynęła się, a na jej miejsce napłynęła ciemność.

– Stello – powtórzył Abby.

Obróciła się, a on osunął się po pniu drzewa i upadł na ziemię. Ricky leżał obok niego i chrapał.

– Abby!

Przykucnęła. Patrzył na nią zapuchniętym okiem, a jego twarz przypominała zakrwawioną pięść.

– Nic mi nie jest. – Odetchnął chrapliwie. – A tobie?

– Też. – Po chwili dodała: – Wiedziałeś.

Nie musiał odpowiadać.

– Idź po nią.

Podeszła do brata Jerome’a i zabrała winchestera. Kaplica była na tyle blisko, że widziała światło bijące z otwartych drzwi, rozszczepiane przez liście, które stały mu na drodze.

– Odpocznij, wrócę razem z nią – obiecała.

Miała ochotę jeszcze raz wparować do środka przez główne drzwi. Teraz miała broń, ale liczby nie były po jej stronie: dwa pociski w śrutówce i sześć metrów od drzwi do pistoletu brata Paula. Uznała, że ma pięćdziesiąt procent szans na to, że go zabije, zanim on zdoła ją zastrzelić. Ale byli jeszcze pozostali przybysze z Georgii oraz wujek Hendrick.

Nagle uświadomiła sobie, co musi zrobić.

Ostrożnie podkradła się do kaplicy, trzymając się z dala od drzwi i białego światła. Przykucnęła obok generatora i przesunęła dłonią po obudowie. Jest, ponad przewodem zasilającym: przełącznik.

Pstryknęła nim. Silnik zakrztusił się i przestał pracować. Światła w środku zgasły.

Hendrick ze złością rozkazał komuś, komukolwiek, wyjść na zewnątrz i zatankować generator. Stella schowała się za drzwiami. Jakaś postać wyszła i pochyliła się nad maszyną. To był chudy kamerzysta. Powoli wyciągnęła broń i przyłożyła mu lufę do potylicy.

– Uciekaj – powiedziała.

Podniósł ręce. Nie śmiał się na nią obejrzeć.

– Tylko cicho – dodała.

Powoli się odwrócił, a następnie ruszył szlakiem w stronę domu. Kiedy oddalił się o kilkanaście metrów, puścił się biegiem. Jeden z głowy, pomyślała Stella.

W kaplicy Hendrick z kimś się kłócił – zapewne z bratem Paulem.

– Stanley! – wrzasnął.

Stella czekała. Mężczyźni zamilkli.

– Stello? Czy to ty? – spytał Hendrick.

Nie wyślą kolejnych ludzi. Szacowała, że w sanktuarium pozostało ośmiu mężczyzn: dwaj wiekowi wujkowie z przodu, trzej kościelni urzędnicy w ławkach, jeden dźwiękowiec, a do tego wujek Hendrick i brat Paul.

Przychodził jej do głowy tylko jeden sposób na to, by dotrzeć do otworu w jednym kawałku.

Położyła winchestera na ziemi i rozwarła dłonie. Włókna wysunęły się z nich i posmakowały powietrza. Mleczna szkarłatna mgiełka przesłoniła jej wzrok.

Czas przebiec po ławkach, pomyślała.

* * *

Wślizgnęła się do środka i przemknęła w prawo. Ktoś strzelił i w ścianie obok drzwi pojawiła się dziura. Zobaczyli jej cień na tle drzwi. Nie zamierzała

ponownie dawać im takiej szansy.

Mężczyźni płonęli jak ogień w chłodnej czerwieni wypełniającej salę. Nie miała problemu z ich dostrzeżeniem. Hendrick stał na platformie za bratem Paulem. Paul miał wyprostowaną rękę, a jego pistolet wyglądał w jej oczach jak lodowata, ciemna plama. Poruszył dłonią, nie mogąc odnaleźć Stelli w ciemności. Dźwiękowiec wycofał się w kąt, wciąż trzymając mikrofon.

Pobiegła wzdłuż boku kaplicy, pomiędzy ławkami a ścianą. Jeden z mężczyzn z Georgii stał jej na drodze, chociaż o tym nie wiedział. Kręcił głową, koniecznie starając się ją dostrzec.

Włókna wystrzeliły naprzód i wślizgnęły się między jego żebra. Nie! A potem: Przepraszam. Chciała go podtrzymać, ale runął na podłogę.

Brat Paul odwrócił się i strzelił w kierunku, z którego dobiegł hałas.

Kosmyki muskały szyję i twarz mężczyzny. Pociągnęła je ku sobie, a one niechętnie odsunęły się od jego ciała. Schowała się między dwiema ławkami, a miotające się włókna podążyły za nią.

– Wszyscy wypierdalać! – zawołała. – Uciekajcie, a was nie pozabijam.

Paul ponownie wystrzelił, a pocisk trafił w ławkę przed nią. Włókna rozpaczliwie owinęły się wokół jej ciała.

– Gdzie ona jest?! – wrzasnął Hendrick. – Na miłość boską, zastrzel ją!

– Zamknij się – odburknął brat Paul.

Stella skupiła się, próbując uspokoić kosmyki. Nie potrafiła nad nimi panować tak jak Sunny. Dziewczynka zabiła polną mysz z niezwykłą gracją, a włókna były jej posłuszne. Była nową Objawicielką. Stella z kolei była zeszłorocznym modelem i nie kontrolowała włókien, tak samo jak nie kontrolowała bicia swojego serca.

Zerknęła ponad ławką. Paul powoli przemierzał sanktuarium, trzymając przed sobą dłoń z pistoletem. Był poza zasięgiem włókien.

Po drugiej stronie pomieszczenia dwaj mężczyźni z Georgii doszli do wniosku, że mają dość, i wybiegli za drzwi, łopocząc długimi szatami. Dzięki Bogu, pomyślała. Ławki były teraz puste, nie licząc Morgana Bircha i Johna Headleya Martina. Jeśli staruszkowie się nie przemieszczą – niby po co mieliby to robić? – być może przetrwają ten wieczór.

Hendrick zawołał Stellę po imieniu.

– To absurd. Bóg się zbliża. Ty też tego chciałaś!

Po jej prawej stronie, w odległości trzech rzędów, ognista sylwetka brata Paula przekrzywiła głowę, wpatrując się w cienie między ławkami.

– Porozmawiajmy – ciągnął Hendrick. Ukląkł, szukając czegoś na posadzce. – Jeśli martwisz się o Sunny, na pewno coś wymyślimy. – Próbował odwrócić jej

uwagę, podczas gdy czegoś szukał. Stella zastanawiała się, czy dźwiękowiec to nagrywa.

Paul przemieścił się do kolejnej ławki. Znajdował się już trzy metry od niej. Włókna z szeptem ślizgały się po sobie. Przestańcie, pomyślała. Bądźcie mi posłuszne.

– Nie musisz się martwić o Sunny – powiedział Hendrick. – Świat ją pokocha. Są całkowicie…

Rozbłysło światło. Hendrick znalazł latarkę. Snop światła omiótł pomieszczenie. Na chwilę ją oślepił.

Pistolet wypalił. Pocisk trafił ją i przewrócił na bok. Paul stanął przy końcu ławki i podniósł broń.

– Co, na Boga…?

Setka długich igieł wniknęła w jego twarz. Ciało jeszcze przez kilka sekund utrzymywało się w pionie. Potem ręka z bronią opadła i Paul runął naprzód, prosto na Stellę. Promień światła z latarki przemknął po ścianie.

– Bracie Paulu?! – zawołał Hendrick. – Bracie Paulu!

Stella zepchnęła z siebie zwłoki. Kosmyki zanurzyły się w ciele, rozdzierając szatę.

– Dosyć – powiedziała. – Dosyć.

Nie wiedziała, do kogo albo do czego mówi. Może do innej Stelli, która zawsze żyła w jej wnętrzu. W każdym razie kosmyki przestały badać ciało.

Coś było nie w porządku z jej prawą ręką. Koszulę miała nasączoną krwią o gorącym pomarańczowym kolorze. Nie potrafiła powiedzieć, czy to jej krew, czy Paula. Podciągnęła się lewą ręką, a włókna chwyciły szczyt ławki i ją podtrzymały.

Światło z latarki Hendricka ją odnalazło i pozostało na niej, gdy szła w stronę wujka. Jej prawa ręka zwisała bezwładnie; bolesne mrowienie przeszywało ją od ramienia do nadgarstka. Ale włókna wciąż żyły i kontynuowały swój taniec.

Kiedy Stella podeszła bliżej, światło zaczęło drżeć. Hendrick nie potrafił równo utrzymać latarki.

– Czym ty jesteś? – spytał.

Sprawiał wrażenie przerażonego. Nie mogła uwierzyć w jego słabość. Przyszedł tutaj zobaczyć boga, a kiedy wreszcie ujrzał cud, nie potrafił go znieść.

– Nigdy nie wiedziałeś? – spytała. – Nie podejrzewałeś?

Pokręcił głową. Znał wszystkie Objawicielki, ale widział tylko to, co chciał zobaczyć.

– Nie możesz tam wejść – powiedział, stając przed otworem. – Nie pozwolę, żebyś to przerwała.

– Nie pozwolisz?

– Dlaczego to robisz? – spytał, a jego głos stał się wyższy. – Po prostu pozwól, aby to się dokonało, na litość boską! To najważniejsze wydarzenie od dwóch tysięcy lat. Świat wkrótce się zmieni.

– Świat mnie nie obchodzi. Ani wasz bóg. Przyszłam tutaj po Sunny. Odpowiadam za nią.

– Ona cię nie znosi.

– Zgadza się. Ale to nic.

– Pozwól jej robić to, czego pragnie! Stać się tym, czym chce się stać.

– Nie mogę – odparła Stella. Dzieliły ich niecałe dwa metry. – Złożyłam obietnicę.

– Komu? W jakim celu?

Musiałaby długo wyjaśniać. Zresztą miała już dosyć tłumaczenia się przed wujkiem Hendrickiem.

Wyciągnęła lewą dłoń. Włókna tańczyły jak świetliki ciągnące za sobą jedwabne nici.

– Odsuń się.

Hendrick opuścił latarkę.

– Nie. Nie pozwolę, żebyś to popsuła. Zobaczę Boga. Oznajmię jego przybycie. Całe życie czekałem na tę chwilę.

– Wiem – odrzekła.

Nici przebiły jego szatę i skórę. Przecisnęły się przez mięśnie do żeber, przepiłowały je i odnalazły serce.

* * *

Stała przed wejściem do jaskini, próbując zebrać siły. Błotnisty odór bijący z otworu był równie znajomy jak woń jej własnego ciała. Kiedy była mała, nigdy nie miała oporów przed wchodzeniem do tego miejsca, poczynając od pierwszego dnia, gdy tu trafiła. To powinno dać jej do myślenia. Ale dla dziecka wszystko jest normalne. Świat jest taki, jakim się nam ukazuje. Nigdy nie czuła strachu, gdy tutaj wchodziła, nawet ostatnim razem, dziesięć lat temu. Teraz się bała.

– Co się dzieje? – spytał jakiś głos.

W pierwszym rzędzie siedzieli Morgan Birch oraz John Headley Martin i wpatrywali się szeroko otwartymi oczami w ciemność, jak dzieci czekające na rozpoczęcie pokazu magicznych sztuczek.

– Zabierz ich stąd – poleciła.

Dźwiękowiec przywarł do ściany w głębi, licząc na to, że ciemność go ukryje. Gdy ginęli ludzie, trwał w bezruchu, trzymając mikrofon jak talizman. Teraz też się nie poruszał.

– Odłóż sprzęt – powiedziała.

Powoli zdjął z ramienia magnetofon szpulowy i postawił go na posadzce. Obok niego położył mikrofon.

– Jeśli komukolwiek o tym opowiesz, znajdę cię. Rozumiesz?

Nie odpowiedział.

– Czy rozumiesz?

– Tak.

Stella zeszła do otworu.

25

1938

Motty próbowała ją nakarmić. Kawałek kukurydzianego pieczywa, miska parującej zupy fasolowej. Od samego zapachu ściskało ją w żołądku.

– Po prostu daj mi spać – powiedziała Stella. – Proszę.

Od trzech dni prawie nie wstawała z łóżka. Kilka razy wybrała się do wychodka, szczelnie owinięta kocem, ponieważ ciało miało swoje potrzeby. Żyła wewnątrz potężnej maszyny, której nie miała siły wyłączyć. Jeszcze nie.

Motty przysunęła łyżkę do jej ust.

– No dalej. Jeden kęs.

Stella wpuściła do ust odrobinę oleistego sosu. Nie podniosła obandażowanych dłoni.

– Przegapiłam pogrzeb? – spytała.

– Nie pójdziesz. Nie w tym stanie.

Stella nie chciała iść na nabożeństwo, tylko dowiedzieć się, kiedy będzie po wszystkim. Jakiś czas temu, może poprzedniego dnia, usłyszała głos starszego Rayburna, który rozmawiał z Motty. Nie próbowała zrozumieć ich słów.

– Policja niedługo będzie chciała z tobą porozmawiać. – Motty już wcześniej jej to mówiła. Pięć razy? Sześć? – Musisz poukładać sobie w głowie to, co się wydarzyło.

Stella zamknęła oczy.

– Lincoln przyjechał, żeby się z tobą zobaczyć – ciągnęła Motty. – Była osiemnasta albo osiemnasta trzydzieści, po kolacji. Poszliście do chaty Abby’ego i rozmawialiście przy ognisku. Potem całą trójką zaczęliście pić. Powtórz, co powiedziałam. Stello? No dalej.

Dziewczyna nie otwierała oczu. Motty trzykrotnie opisała przebieg wydarzeń, aż w końcu dała za wygraną. Stella usłyszała skrzypienie stołka, gdy staruszka wstawała.

– A co z dzieckiem? – spytała.

– Nie wspominaj ani słowem o dziecku.

* * *

Przez cały dzień zamykały jej się oczy, za to w nocy nie mogła zasnąć. Padał śnieg, przez co światło wpadające przez okno drżało. Wpatrywała się w to, co ukazywał jej blask księżyca: grzbiety książek, swoją kurtkę czekającą na wieszaku jak cierpliwy nieznajomy, zdjęcie na toaletce.

Motty znalazła torbę podróżną. Rozpakowała ją i odłożyła jej rzeczy na miejsce, żeby nie pozostał żaden ślad wskazujący na to, że planowała wyjechać z Lunkiem. Musieli trzymać się swojej wersji wydarzeń.

Najjaśniejszym obiektem w pokoju była szybka zakrywająca zdjęcie.

Stella wyślizgnęła się z łóżka. Podłoga była zimna pod jej bosymi stopami. Wzięła ramkę do ręki. W tym świetle trudno było rozróżnić postacie na zdjęciu, ale widziała je wyraźnie w myślach; już dawno zapamiętała wszystkie szczegóły. Dumni mężczyźni w przebraniach kowbojów. Szczupła, delikatna Lena Birch.

Odwróciła ramkę. Przez bandaże miała niezdarne dłonie, ale udało jej się wyjąć zdjęcie. Zapisane ołówkiem słowa na odwrocie były zbyt blade, by mogła je odczytać, ale je również znała na pamięć: *Cherokee, Karolina Północna, 3 lutego 1924*. Przez te wszystkie lata nigdy nie zastanawiała się nad tą datą. Nawet kiedy Abby podarował jej fotografię na urodziny, 15 marca. Stella przyszła na świat sześć tygodni po tym, jak zrobiono zdjęcie.

Lena nie była jej matką. Ray Wallace nie był jej ojcem. A Abby Whitt nie był dla niej nikim.

Powoli przedarła zdjęcie na pół. Potem z każdą z połówek zrobiła to samo i powtarzała to, aż kawałki były zbyt małe i przesypały jej się przez palce.

Wyszła na korytarz. Podążyła za cichymi odgłosami do kuchni.

Motty podniosła wzrok, jakby została przyłapana na jakimś niecnym uczynku. Siedziała przy stole z niemowlęciem na ręku i karmiła je butelką w kształcie banana. Dziecko ssało gumowy sutek z przymkniętymi oczami. Jego skórę znaczyły białe i szkarłatne zakręcane plamy.

– Chcesz spróbować? – spytała Motty.

Stella pokręciła głową.

– Będziesz musiała się nauczyć.

Usiadła naprzeciwko nich i patrzyła, jak dziecko je. W piecu płonął ogień, powietrze było ciepłe i wilgotne. Dziecko przysypiało, ale wciąż ciągnęło mleko z butelki.

Motty pogładziła palcem jego podbródek.

– Będziemy musiały ją ukryć, kiedy przyjedzie policja – powiedziała. – Nie będziemy jej pokazywać jeszcze przez kilka miesięcy. Zresztą ciebie też.

– A co potem? – spytała Stella.

– Potem powiemy, że jest twoja.

Moja i Lincolna, pomyślała Stella. Wszyscy będą tak sądzić.

– Musisz nadać jej imię – stwierdziła Motty.

– Nie. Ty to zrób.

– To twoje prawo. Ja nadałam imię Selenie, a ona tobie.

Dziecko zamknęło oczy, a jego usta przestały się poruszać. Motty odstawiła butelkę i otarła białą miksturę z jego ust.

– Może weźmiesz ją na ręce?

Stella się nie poruszyła. Motty z rozczarowaniem pokręciła głową. Położyła śpiące dziecko w skrzynce wyłożonej kocykami. Podeszła do zlewu i zaczęła pompować, ale woda się nie pojawiła. Rura zamarzła. Motty zaklęła.

– Pokaż mi swoje dłonie – poprosiła Stella.

– Słucham?

– Jesteś mi winna chociaż tyle.

Motty przez chwilę patrzyła na nią surowo. Potem wyciągnęła ręce i rozwarła dłonie. Były poznaczone głębokimi bruzdami i twardymi, bladymi odciskami, które świadczyły o życiu wypełnionym fizyczną pracą.

– Całe – dodała Stella.

Motty zmrużyła oczy i mocno zacisnęła usta. Była wyraźnie zażenowana.

– Nie jestem taka jak ty – powiedziała staruszka.

– Muszę zobaczyć.

Motty zamknęła oczy. Lekko rozchyliła palce. Skóra na jednej dłoni pękła.

Wyłoniły się dwie czarne nici. Wokół nich zebrała się krew. Każda z nitek była sztywna i miała zaledwie kilka centymetrów długości. Babcia westchnęła i pojawiły się trzy kolejne włókna.

Stella dotknęła jednego z nich, a Motty się wzdrygnęła.

– Nie mogę dać mu tego, czego chce – powiedziała. – Nigdy nie byłam wystarczająco dobra. Ale Lena miała o wiele większe możliwości, a jej komunie były takie wyraźne i silne.

– Dlatego wciąż wracała.

– Tak już z nami jest. Każde pokolenie zbliża się nieco bardziej.

– Zbliża się do czego?

– Do pełnego zrozumienia jego potrzeb. Ja byłam niedoskonała, Lena dużo lepsza. Ale ty byłaś prawie idealna.

Prawie. Po swojej ostatniej komunii przez tydzień była oszołomiona i nie wiedziała, gdzie kończy się Bóg, a gdzie ona zaczyna. Mimo wszystko nie zdołała tego utrzymać. Zawiodła. To oczywiste, że Bóg znalazł kolejne narzędzie.

– Większość z nich umiera – rzekła Motty i zacisnęła pięści. – Nie umiem powiedzieć, ile zwłok wyciągnęłam z ciał świń. Ale od czasu do czasu jedna z nas przeżywa.

Jedna z nas. Esther. Motty. Lena. Stella. A teraz to dziecko. Córki Boga w Górze.

Motty wytarła ręce w ścierkę do naczyń.

– Nie zapomnę nocy, kiedy Lena i ja odebrałyśmy twój poród. Było wtedy bardzo zimno i wiatr przenikał przez ściany stodoły jak nóż. Ale ty miałaś w sobie tyle życia. Wyszłaś na świat kopiąc i wierzgając. – Wydawało się, że Motty ma ochotę wreszcie opowiedzieć tę historię. Bluźnierstwo zmieniło się w piękno.

– Zawsze się zastanawiałam, dlaczego się go nie boję – odrzekła Stella. – Powinnaś była mi powiedzieć.

– Wiedziałam, że sama się dowiesz. To trudny dzień, gdy odkrywasz, że nigdy nie będziesz taka jak oni. Ten chłopiec nie mógłby cię pokochać. Lena uciekła z Rayem Wallace, sądząc, że będzie w stanie bawić się z nim w dom i wychowywać cię jak swoje dziecko. Miała nadzieję, że nic nigdy nie wyskoczy z twoich rąk. Wiedziała, że gdyby on się dowiedział, nie umiałby patrzeć na nią tak samo. Ani na ciebie.

Stella już to rozumiała. Uświadomiła to sobie, gdy Lincoln popatrzył na nią na drodze z przerażeniem i odrazą. Miał rację, że się jej bał. Kiedy przyszła chwila, by wybrać między nim a bogiem, jej ciało wiedziało, do kogo należy.

A teraz kolejne dziecko. Dziewczynka wydawała się idealna. Ale tylko Bóg mógł wiedzieć, czy nada się do tego, do czego była przeznaczona.

– Tworzy dzieci od stu lat – odezwała się Stella. Myśli, które w niej krążyły, nieco nabrały sensu. – A przynajmniej próbuje.

– Umieszcza swoją esencję w świni – wyjaśniła Motty. – Pozwala jej tam wzrastać. Pożycza jej łono.

Nie tylko swoją esencję, pomyślała Stella.

Bierze coś także od kobiet z rodu Birchów. Zabiera starym, by stworzyć nowe.

– Czym my jesteśmy? – spytała Stella. – Czy w ogóle jesteśmy ludźmi?

– Przede wszystkim jesteśmy siostrami – odrzekła Motty.

* * *

Umundurowani mężczyźni pojawili się rano i zaczęli głośno mówić. Ich nieatrakcyjne ciała wypełniły salon i ją otoczyły. Ponownie znalazła się w centrum zainteresowania.

Rozpoznawała tylko Toma Achersona, jednorękiego mężczyznę, który pracował dla parku narodowego. Sprawiał wrażenie zażenowanego tym, że musi tu być.

– Nie przejmuj się, wiemy, że to nie twoja wina – zapewnił. – Po prostu chcemy, żebyś opowiedziała nam, co się wydarzyło tamtego wieczoru.

Popatrzyła im w oczy. Traktowali ją jak wystraszoną dziewczynkę. Jak istotę ludzką. Motty stała w pobliżu i wszystko obserwowała.

– Lincoln przyjechał około osiemnastej, może osiemnastej trzydzieści – zaczęła.

Nic z tego, co im powiedziała, ich nie zaskoczyło. Wszystko zgadzało się z zeznaniami Abby'ego, które złożył, kiedy oddał się w ich ręce. Dał Stelli i Lincolnowi samodzielnie wyprodukowany alkohol. A po skończonym wieczorze posłał ich na dół.

– Co się teraz stanie? – spytała Stella.

– Z tobą nic, skarbie – odpowiedział jeden z policjantów. – Z tobą nic.

Właśnie zapinali płaszcze, gdy kościelny dzwon zabił po raz pierwszy, a kiedy odezwał się ponownie, wciąż jeszcze gawędzili. Po trzecim uderzeniu Tom uciszył swoich ludzi, a Stella zrozumiała, co się dzieje. Policjanci zdjęli czapki i wbili wzrok w swoje buty.

Tom patrzył na Stellę, pełen współczucia. Czy powinna coś poczuć? Nie czuła niczego poza ociężałością.

Dzwon odzywał się raz za razem. Nie podobały jej się ukradkowe spojrzenia mężczyzn, więc wstała z krzesła. Przeszła do swojego pokoju, licząc. Dwanaście. Trzynaście. Zamknęła drzwi, ale to nic nie dało. Każde uderzenie dzwonu odbijało się echem w zimowym powietrzu w całej kotlinie i przenikało ściany chaty, jakby były z papieru. Każde było głośniejsze i wyraźniejsze niż poprzednie. Każde stanowiło oświadczenie.

Dzwon zabił po raz siedemnasty. Dźwięk zawisł w powietrzu, niekompletny i niedokończony, czekając, aż zagłuszy go kolejne uderzenie.

* * *

Tamtej nocy Stella leżała rozbudzona, nasłuchując, aż w końcu dziecko przestało płakać i Motty zasnęła. Usiadła na krawędzi łóżka i zdjęła bandaże z dłoni. Rany się zaskorupiły. Po cichu założyła płaszcz i zasznurowała buty.

Skrzynia stała na podłodze w nogach łóżka Motty, a dziecko spoczywało pośród kocyków. Stella podniosła małą, trzymając ją pod pupą i szyją, tak jak babcia, a następnie wyniosła ją z pokoju. W kuchni rozpięła płaszcz i przytuliła

niemowlę do piersi, a ono instynktownie do niej przywarło. Zapięła płaszcz, zakrywając dziecko. No proszę. Prawie jakby była w ciąży.

Wyszła na ziąb i ruszyła między drzewa. Dziecko poruszyło się, ale nadal spało.

Drzwi kaplicy były pęknięte, a kłódka rozbita po tym, jak Bóg wydostał się na zewnątrz. Płyta zakrywająca schody została odrzucona na bok. Stella zeszła do jaskini, przytrzymując dziecko jedną ręką.

Po tylu wizytach umiała odnaleźć drogę nawet w ciemności. Wkrótce wyciągnęła przed siebie wolną rękę i odnalazła kamienny stół, który wyrastał z podłoża jak rozpłaszczony grzyb. Podeszła do niego tyłem, osłaniając dziecko, a następnie wspięła się na blat.

Stała na nim już tyle razy, z wyciągniętymi rękami czekając na przyjście Duchojca. Tym razem nie zamierzała czekać. Mocno zacisnęła pasek płaszcza pod pupą dziecka. Mała przywarła do niej całym ciałem.

Stella otworzyła dłonie. Kiedy wyłoniły się z nich nici, poczuła ostry ból, jakby ktoś przesunął jej po skórze ząbkowanym ostrzem. Obraz przed jej oczami się rozmazał, tak jak wtedy na drodze. Ciemność poczerwieniała.

– Pokaż mi – powiedziała.

Białe końcówki nici musnęły powierzchnię kamienia, a następnie popełzły wyżej. Odnalazły skalną wychodnię, która mogła utrzymać jej ciężar. Potem kolejne wybrzuszenie, którego mogły się chwycić.

Zaczęła się wspinać.

Przez długie chwile nie widziała niczego przed sobą, a ręce zaczynały ją boleć. Wtedy włókna odnajdywały jakieś zagłębienie albo skalną półkę i podciągały ją wyżej. Miała wrażenie, że strop się przed nią cofa. Pojawiały się szpary, jakby skała usuwała się na bok, tworząc luki, w które jej ciało mogło się wcisnąć. Pomyślała, że góra wita je z otwartymi ramionami.

Wspinała się coraz wyżej, aż w końcu sięgnęła ku kolejnemu skalnemu występowi i zamiast niego znalazła otwór, nieco szerszy od jej ramion. Wciągnęła nitki do wnętrza swojego ciała i powoli zaczęła się czołgać naprzód, jedną ręką osłaniając dziecko.

Tunel stopniowo się rozszerzał i wkrótce mogła zacząć niezdarnie przemieszczać się na czworakach, przytrzymując niemowlę na swoim brzuchu. Po kolejnych dwudziestu metrach zdołała wstać. Korytarz zakręcał, wnikając w głąb góry jak korkociąg, aż w końcu zalało ją słabe złote światło.

Stała w sklepionej jaskini. Światło wydobywało się z otworów w podłożu. Było ich dwadzieścia albo trzydzieści, rozsianych po całym pomieszczeniu. Wyglądały jak zbiorniki z miodem. Podeszła do najbliższego z nich. Zagłębienie

było zasklepione bursztynem. Wewnątrz tkwił jakiś ciemny kształt, zwinięty jak znak zapytania.

Stella przykucnęła, przytrzymując dziecko, i wolną ręką dotknęła szklistej powierzchni. Pomimo wydobywającego się spod niej światła była chłodna jak kamień. Nachyliła się bliżej.

Krzyknęła bezwiednie i gwałtownie się cofnęła.

To było dziecko. A raczej coś, co mogło być dzieckiem, gdyby żyło. Gdyby było bardziej ludzkie.

Rozejrzała się po jaskini. Podeszła do kolejnego z dziesiątek otworów, oddalonego o mniej więcej metr. Serce szalało jej w piersi. W środku spoczywało kolejne ciałko spowite gęstym światłem. To miało bardzo dużą głowę, a palce jego krótkich kończyn były złączone w tępe kopyta.

Zaczęła szlochać, tak gwałtownie, że nie mogła złapać oddechu. Podpełzła do kolejnego otworu, a potem do następnego. Wszędzie znajdowały się ciała. Niektóre wyglądały ludzko. Inne nie przypominały żadnej znanej jej istoty. Wszystkie były martwe.

Wszystkie były jej siostrami – tak samo jak noworodek, którego przytulała. Pokolenia Bożych dzieci, narodzonych z ciał świń. Wszystkie dostarczone Duchojcu przez jego ocalałe potomstwo: Lenę, Motty i Esther… a także Stellę. Ona również stała się częścią tego cyklu. Miała brudne ręce.

Wciągnęła powietrze i zawołała:

– Pokaż się! – Echo jej głosu z niej zakpiło.

Nagle wysoko pod stropem coś się poruszyło. Blady kształt powoli oddzielił się od skały. Jedna płaska kończyna, niczym noga modliszki, opuściła się i ostrożnie dotknęła podłoża. Potem dołączyła do niej kolejna. Bulwiasty tułów zakołysał się i również osiadł na ziemi. Ciało Boga znieruchomiało.

– Nie możesz dłużej tego robić – powiedziała Stella drżącym głosem. Otarła łzy z policzków. – Słyszysz?

Istota się nie odzywała. Jak zwykle. Gdyby potrafiła mówić, nie potrzebowałaby Objawicielki.

Stella jedną ręką rozpięła płaszcz. Drugą przytrzymała dziecko. Niemowlę poruszyło się i pisnęło jak mysz.

– Ta dziewczynka będzie ostatnia. Wystarczy, słyszysz? Dosyć… eksperymentów.

Duchojciec się nie poruszył, ale czuła, że zwraca na nią uwagę. Podeszła bliżej.

– Nie możesz jej wykorzystać – dodała. – Nie będzie więcej dzieci. To musi się skończyć. Zadbam, żeby tak się stało.

Pękaty brzuch sprawiał wrażenie idealnie gładkiego, ale wiedziała, że pokrywają go miniaturowe otwory, tysiąc malutkich otworów gębowych. Za ich pomocą stwór oddychał, węszył, jadł i słuchał. Żył pod tą skórą, tak jak Stella żyła za swoimi oczami. Świat był dla niego przekleństwem. Powietrze trucizną, podobnie jak słońce. Przegrywał tę bitwę, ale mógł żyć kolejne pięćset lat. Nie wiedziała, jak może go zabić, a on mógł ją uśmiercić jednym gestem.

Duchojciec przesunął się do przodu przy wtórze skrzypienia.

– Stój! – zawołała.

Nie wiedziała, jak go zabić. Ale Biblia nauczyła ją, jak należy negocjować z bogami. Wystarczy być gotowym na zabicie tego, co kochamy.

Otworzyła prawą dłoń. Nici wysunęły się z niej, tym razem bez bólu. Wystarczyłoby kilka z nich. Niemowlę było malutkie. Delikatne. Stella mogła zadać cios, zanim Bóg zdążyłby zareagować.

– Odchodzę z kotliny – powiedziała. – Jeśli dotkniesz tę dziewczynkę, zabiję ją.

Duchojciec nie dał jej poznać, że ją usłyszał. Bóg także nie odpowiedział Abrahamowi.

– Jeśli stworzysz kolejne dziecko, również je uśmiercę – dodała. – Zabiję je wszystkie, co do jednego.

26

1948

Nici zaniosły Stellę do serca góry, tak jak dziesięć lat wcześniej. Powoli odzyskiwała czucie w prawej ręce. Mogła ją lekko podnieść i przebierać palcami, chociaż każdy ruch wiązał się z bólem.

Nici wykonywały większość pracy. Znajdowały punkty oparcia na skale i niosły ją przez czerwoną ciemność.

Pełzła wąskim korytarzem, gdy nagle poczuła dudnienie, jakiego po raz pierwszy doświadczyła jako dziecko. To było jak daleki grzmot. Po chwili wkroczyła do jaskini i ich zobaczyła.

Sunny obcowała ze swoim Bogiem.

Dziewczynka klęczała na kamiennej posadzce z głową odrzuconą do tyłu, otoczona rombami żółtego światła. Miała wyciągnięte ręce, a z każdej jej dłoni wyrastały setki nici połączonych z bladym olbrzymem niczym połyskująca kocia kołyska. Bóg i dziewczynka razem się kołysali, poruszając rękami w tym samym rytmie. Tańczyli.

Stella rozpoznała stan ekstazy. Nigdy nie widziała go z zewnątrz, ale pamiętała, jak jej ciało napełniała postrzępiona radość, zupełnie jakby Duchojciec wspinał się do jej wnętrza. Nic dziwnego, że Sunny knuła i kłamała, byle tylko wrócić do jaskini. Bóg ją kochał, a ona kochała Boga. Stella była tylko kolejnym nieudanym naczyniem, zbyt słabym, by wypełnić swoje boskie zadanie.

Powędrowała po kamiennej posadzce, mijając szkliste zagłębienia, w których zachowano jej siostry – nieudane wcześniejsze próby. Duchojciec nie prosił o zgodę na ich stworzenie, a żaden z członków rodu Birchów nigdy nie śmiał tego zakwestionować.

Stella była równie winna. Może nawet bardziej. To nie Duchojciec zabił Lunka.

– Hej! – zawołała, ale dudnienie ją zagłuszyło. – Sunny. Hej! – odezwała się głośniej.

Dziewczynka miała zamknięte oczy i rozdziawione usta. Nagle jakby straciła równowagę, a Duchojciec delikatnie ustawił ją do pionu jak marionetkę.

Dosyć tego, pomyślała Stella.

Zanurkowała pod wyciągniętą kończyną Boga i znalazła się pomiędzy istotą a dziewczynką. Pozwijane nici ciągnęły się w obu kierunkach i Stella czuła się tak, jakby stała na moście linowym.

Pękaty tułów Duchojca wisiał na poziomie jej wzroku. Z jego wnętrza wydobywał się niski dźwięk, jedyny głos Boga. Głęboko w środku znajdowały się organy, które utrzymywały stwora przy życiu.

Duchojciec musiał wiedzieć, że nie żartowała, gdy dziesięć lat temu złożyła obietnicę. A teraz mógł ją powstrzymać przed wcieleniem jej w życie, błyskawicznie ją uśmiercając. Wystarczyło wypuścić Sunny i przebić Stellę jedną z twardych kończyn.

– Zrób to – powiedziała głośno.

Gdyby istota uwolniła Sunny, a ta zobaczyła, że jej Bóg zabił Stellę, być może sama rzuciłaby się do ucieczki. Może zrozumiałaby, że Bóg nie dba o swoje córki.

– Dalej! – wrzasnęła Stella. – Myślisz, że tego nie zrobię?!

Obróciła się i podeszła do Sunny. Chwyciła ją lewą ręką za gardło.

– Myślisz, że nie poświęcę jednej więcej, żeby to zatrzymać?

Powstrzymaj mnie, pomyślała. Powstrzymaj mnie.

Usta Sunny się poruszyły. Po chwili wydobyły się z nich dźwięki. Bełkot, a nie słowa. Potem bełkot zmienił się w syk, a ten w słowo.

– Stello.

Kurwa.

Puściła gardło dziewczynki,

Sunny wciąż miała zamknięte oczy.

– Nie – powiedziała. – Jeszcze nie.

Ty głupia dziewucho, pomyślała Stella. Jesteś głupia jak każda Objawicielka przed tobą.

– Jeszcze nie. Jeszcze nie – powtarzała Sunny.

Jej Bóg spuścił wzrok. Jego dłonie, podobne do kwiatów, były szeroko rozpostarte, a wszystkie kosmyki Stelli zanurzały się w ich miękkim ciele.

Stella dotknęła włókien wydobywających się z lewej dłoni Sunny. Były miękkie jak olej. Niemal słyszała płynące nimi myśli istoty.

– Przepraszam – powiedziała, a następnie zacisnęła pięść na nitkach i szarpnęła. Wyrwała je z ciała Boga przy wtórze nieprzyjemnego cichego trzasku.

Sunny krzyknęła i upadła na posadzkę. Ostre jak igła końcówki nici trzymanych przez Stellę miotały się, pragnąć odzyskać połączenie. Kilka

przecięło rękaw jej koszuli i skaleczyło ciało. Zaklęła głośno i odrzuciła je od siebie. Włókna zaczęły się rzucać po ziemi.

Duchojciec stanął dęba. Nici przytwierdzone do jego prawej kończyny naciągnęły się, a Sunny została pociągnięta po kamieniu.

Stella rzuciła się na drugi pęk włókien i chwyciła go obiema rękami, ignorując ból ręki. Wyszarpnęła nici z ciała istoty.

Sunny przewróciła się na bok. Drżała na całym ciele. Pulsujący dźwięk nagle ucichł. Cisza dzwoniła w uszach Stelli jak dzwon.

Jedna z kończyn Duchojca wciąż była wyprostowana, a palce rozwierały się jak płatki kwiatu. Stella rozłożyła ręce.

– No i co? No i co?

Kończyna opadła jak kosa i uderzyła o posadzkę obok stóp Stelli. Istota przechyliła się na bok. Potem jej olbrzymie ciało bardzo powoli opuściło się na ziemię.

Stella wrzasnęła gniewnie. Rozwarła pięści, uwalniając swoje nitki. Dotknęła nimi jednego z miejsc na bladym korpusie. To tam, pomyślała. Właśnie tam. Może jednak da się zabić tego stwora.

Duchojciec się nie cofnął. Nie bronił się. A jej nici… niczego nie wyczuły.

Żadnego pulsu. Żadnych szepczących oddechów.

Bóg, którego czciła od dziewiątego roku życia, nie żył.

* * *

Stella wniosła bezwładną Sunny po schodach. Jej włókna oplatały ciało dziewczynki jak pajęcza sieć.

Proszę, niech nic jej się nie stanie, myślała. Proszę. Nie wiedziała, czy przerwała komunię na czas. Sunny wypiła więcej niż łyczek. Nie dało się przewidzieć, jak to na nią wpłynęło.

Kaplica była pusta, nie licząc trupów. Hendrick. Brat Paul. Mężczyzna, którego zabiła na początku, a którego imienia nigdy nie poznała. Ale Morgan Birch i John Headley uciekli z dźwiękowcem. Niech im się wiedzie.

Abby wypatrywał ich na zboczu wzgórza. Płonął jak pochodnia w fiołkowym powietrzu. Jakimś cudem stanął na nogi.

– Czy ona…? – spytał piskliwym, żałosnym głosem.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała. – Ona po prostu…

Stella osłabła, a Abby podtrzymał ją i Sunny. Wziął od niej dziewczynkę.

Stella wciągnęła włókna w głąb ciała. Jej wzrok wrócił do normy. Z przykrością zanurzyła się w nieprzeniknionej ciemności. Ależ była zmęczona.

Abby’ego zaniepokoiła jej zakrwawiona koszula.

– Co tam się stało? Słyszałem strzały.

– Nie martw się, to nie moja krew. A przynajmniej większość.

Nie wiedziała, co mu powiedzieć. Zamordowałam trzech mężczyzn. Duchojciec umarł. Sunny przetrwała. Trzy wielkie wydarzenia, których nie potrafiła opisać. Teraz bała się tylko, że umysł dziewczynki został wyczyszczony, zanim przerwała komunię.

– Gdzie Rickie? – zapytała.

– Ocknął się i odszedł razem z pozostałymi.

Powoli szli przełęczą w stronę chaty Abby'ego, który co kilka kroków stękał z bólu, ale nie zamierzał odłożyć dziewczynki. Stella nie mogła znieść, że płaci za to tak wysoką cenę.

W końcu dotarli do ostrego zakrętu, gdzie buick wisiał na kłodzie drewna jak niedźwiedź schwytany w potrzask.

– Kto cię uczył prowadzić? – spytał Abby.

– To zabawna historia.

Stella otworzyła tylne drzwi, a Abby położył Sunny na siedzeniu. Swobodnie oddychała, jakby śniło jej się coś pięknego. Nitki schowały się w jej ciele, a dłonie były nienaruszone jak zwykle. Nie pozostały nawet otwory, które mogłaby pokazać uczniom.

Stella dotknęła jej głowy. Dziewczynka drgnęła. Otworzyła oczy, wyraźnie zaspana.

– Stello – szepnęła.

Łzy napłynęły Stelli do oczu. Odezwała się!

– Wszystko w porządku. Możesz odpocząć.

Sunny przetoczyła się na bok.

– Nic jej nie jest? – spytał Abby.

– Jest cała – odrzekła Stella. Ulga była jak świeża porcja tlenu. Otarła mokre policzki.

– Będziemy potrzebowali lewarka – stwierdził Abby.

Stella otworzyła bagażnik. Zazwyczaj tkwiło w nim zapasowe koło, ale Pee Wee je usunął, żeby zmieścić dodatkowe dwieście sześćdziesiąt litrów bimbru. Stella miała nadzieję, że nie wyrzucił także lewarka. Sprawną ręką zaczęła wyjmować brązowe słoje i ustawiać je na drodze. Abby oparł się o drzewo, ciężko dysząc.

Znalazła lewarek na samym dnie, zabezpieczony skórzanym pokrowcem. Ustawiła go pod przednim zderzakiem i podniosła samochód. Pociła się pomimo zimna, a zraniona ręka płonęła bólem.

Ostrożnie usiadła za kierownicą, zostawiając otwarte drzwi. Kluczyk wciąż był w stacyjce. Uruchomiła silnik i wrzuciła wsteczny bieg, trzymając wciśnięte

sprzęgło.

– Cofnij się – ostrzegła.

Wcisnęła gaz. Samochód gwałtownie ruszył i opadł na drogę, podskakując na mocnych resorach.

Sunny nawet nie drgnęła.

Stella wysiadła z auta. Podeszła do jednego ze słoików, przytrzymała go stopami i odkręciła sprawną ręką. Następnie podała go Abby'emu.

– Czyń honory.

Zawahał się. Miał rozbitą wargę, jego twarz była sponiewierana.

– Jeden łyczek na pewno nie zaszkodzi. – Pociągnął potężny łyk. Potrząsnął głową jak mokry pies. – A niech mnie, Stello Wallace!

– Nie możesz narzekać, staruszku. To przepis wujka Dana.

– Niewątpliwie.

Stella wzięła od niego słoik i uniosła go do ust. Ogień spłynął jej do przełyku.

– Zabierz ją do Merle i Pee Wee'ego – powiedziała. – Czekają na nią.

– A ty nie jedziesz?

– Muszę najpierw coś załatwić.

– Ci goście z Georgii wrócą z policją.

– Być może. Albo uciekają gdzie pieprz rośnie.

– Ale wcześniej czy później…

– Wcześniej czy później zaczną szukać Sunny. Będziesz musiał ją ukryć.

– Znam swoje obowiązki.

Podeszła do niego na palcach i delikatnie pocałowała go w zmasakrowany policzek.

– Wiem, że znasz.

* * *

Latarnie i ogień w kominku wciąż płonęły, ale dom Motty był opuszczony. Stella weszła do kuchni i zdjęła sztywną, zakrwawioną koszulę. Rana krwawiła i wyglądała paskudnie, ale była zaskakująco mała, jak pięciocentówka. Wnętrze otworu wyglądało jak dżem malinowy. Może tkwił tam pocisk, może nie. Później będzie się tym martwiła.

Usiadła przy kuchennym stole z pudełkiem starych szmat. W tym domu stale brakowało bandaży. Polała ranę bimbrem, skrzywiła się, a następnie pociągnęła łyk. Owinęła rękę szmatą i spięła materiał, przytrzymując jego koniec zębami.

Potem ostrożnie założyła jedną ze starych koszul Motty. Chatka oddychała, jak zwykle zimą. Zimne powietrze na zewnątrz, ciepłe w środku, ściany

skrzypiały jak drewniane płuca. W podłogi wsiąkł pot kilku pokoleń kobiet z rodu Birchów. To absurd, że te cztery pokoje według nich kiedyś miały się stać Nowym Jeruzalem.

Nie wiedziała, jak długo będzie musiała czekać. Mieszała kawę z whiskey, żeby nie zasnąć.

* * *

Światła reflektorów omiotły okno około trzeciej w nocy. Kierowca nie zgasił silnika, a Stella rozpoznała charakterystyczne dudnienie chevroleta. Wyszła na werandę.

Jakaś postać wysiadła zza kierownicy.

– Dostałeś moją wiadomość – odezwała się Stella.

– Ojciec mi ją przekazał – odpowiedział Alfonse Bowlin. – Matka nie była zachwycona, że znów się z tobą zadaję.

– To zrozumiałe.

Podszedł do niej, a ona położyła mu dłoń na karku. Dotknęli się czołami.

– Doceniam to. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– To nic takiego, Stello.

Wypakował z bagażnika trzy marynarskie torby. Otworzył jedną i wyjął tekturowe pudełko oznaczone napisem SPÓŁKA PROCHOWA HERCULES.

– To najlepsza mieszanka, pięćdziesiąt procent – powiedział, pokazując jej jedną z lasek. – Najsilniejsza na rynku.

– Wystarczy?

– Powiedziałaś, że musisz zniszczyć jakąś skałę. To załatwi sprawę.

– W porządku, pokaż mi.

– Pokazać?

– Pokaż mi, jak to się robi. Jak to wszystko poskładać. Wiesz, że nie boję się ognia. – Stella miała duszę inżyniera, spawała wszystkie zbiorniki i rury na farmie, a chociaż podchodziła do materiałów wybuchowych z respektem, nie trzęsła się przy nich ze strachu. Królowa Bess, gdy stała na ogniu i trzeszczała w szwach pod wpływem oparów alkoholu, też była tykającą bombą, a Stella nigdy z tego powodu nie panikowała.

Alfonse się roześmiał.

– Może tym razem pozwolisz, żebym to ja pokierował akcją.

– Nie chcę, żeby ktoś to z tobą powiązał. Wpadłam w poważne kłopoty. Pojawiły się… trupy.

– Więcej niż jeden?

– Cztery.

– O kurwa. – Popatrzył w bok. Pokiwał głową, przyswajając te wieści. – Jeden z nich to tamten blady?

– Brat Paul.

– Właśnie on.

– Tak się składa, że…

– W takim razie zrobię to z przyjemnością. Gdzie jest ta twoja jaskinia?

– To ci się nie spodoba.

* * *

– Kościół? – Alfonse pokręcił głową. – Nie, to nie w porządku.

– To nie jest prawdziwy kościół – odrzekła Stella. – To tylko przykrywka. Jeśli ktoś zapyta, powiesz, że przechowywano tam bimber.

– Poważnie? Twój wujek Hendrick, brat Paul i reszta gości pędzili bimber… i co dalej?

– Doszło do strzelaniny. Zapewne pokłócili się o pieniądze. Wiesz, jacy są przestępcy.

– Chciwi i brutalni.

Alfonse rozłożył narzędzia i materiały wybuchowe na posadzce kaplicy. Szpulka zielonego lontu, kombinerki, solidne nożyce. Skrzynka metalowych zapalników. No i danie główne: trzydzieści lasek dynamitu w trzech tekturowych pudłach. Wszystko zakupione od kuzynów, którzy pracowali w kopalni boksytu w Chattanoodze.

Składanie każdej laski było żmudnym zajęciem. Alfonse musiał przytwierdzić kawałek lontu do zapalnika, a następnie wsunąć zapalnik do wnętrza laski dynamitu. Wyjaśnił, że jeśli zapalnik znajdzie się za blisko ładunku, można stracić rękę albo, co gorsza, wywołać całą serię wybuchów. Stella próbowała pomagać, podając mu narzędzia, ale miała niesprawną rękę, więc na niewiele się zdała. W ciągu godziny uzbroił wszystkie trzydzieści lasek. Z każdej sterczał dwumetrowy lont.

– A teraz znajdźmy odpowiednie miejsca, w których je umieścimy.

– Ja to zrobię.

– Stello, nie. Jeśli niewłaściwie je rozłożysz, tunel się nie zawali. Jeśli źle je uzbroisz, możesz wylecieć w powietrze. Poza tym…

– Co takiego?

– Nie wyglądasz dobrze, Stello.

– Nic mi nie jest – skłamała. Bolała ją ręka. Szyję miała mokrą od potu i była na granicy zwymiotowania. Oprócz tego marzyła o papierosie, ale to nie było najlepsze miejsce do palenia.

– Mogłabyś mi pokazać, gdzie znajduje się to miejsce? – spytał.

Duchojciec nie żyje, pomyślała. Jeśli nie wprowadzi go dalej niż do sali ze stołem, nie zobaczy niczego, co mogłoby go przyprawić o koszmary.

– Dobrze – odpowiedziała. – Chodźmy na dół.

Alfonse ostatecznie wykonał całą pracę, a ona trzymała latarkę. Zerkał na nią pytająco, ale nie doczekał się odpowiedzi. Stella starała się nie myśleć o sali ponad jej głową. Teraz to był grobowiec. Niech go odnajdzie jakiś Howard Carter z dalekiej przyszłości.

Godzinę później Alfonse podpiął ostatnią laskę dynamitu do głównego lontu. Stali w wąskim korytarzu, otoczeni kamiennymi ścianami, a ona pomyślała: Powinnam go stąd odesłać, a następnie odpalić ładunek właśnie tutaj.

Od dawna wiedziała, że nie czuje się dobrze pośród ludzi. Zrozumiała to jeszcze zanim odkryła, że nie jest jedną z nich. Zamordowała cztery osoby, w tym niewinnego chłopca, który popełnił głupi błąd i się w niej zakochał. Gdyby pozostała na tej ścieżce, być może musiałaby zabić kolejnych ludzi. Może Lena właśnie to zrozumiała. Ray Wallace nie był w stanie zaakceptować jej natury, a ona nie mogła znieść tego, kim się stawała.

Stella mogła zakończyć to wszystko jedną iskrą. To nie byłaby zła śmierć. Natychmiastowy zgon i pochówek, a jej kości spoczęłyby głęboko pod ziemią, ukryte jak meteoryt.

Ale pozostawała jeszcze Sunny. Stella nie mogła zostawić jej samej na tym świecie.

Wycofali się z jaskini, rozwijając za sobą lont.

– Jeszcze jedno – odezwała się Stella. Dwie bańki z benzyną do generatora wciąż były pełne. Alfonse rozlał benzynę w głównym przejściu i na podeście.

Stella wylała kilka litrów bimbru na zwłoki. Do dna, chłopcy, pomyślała. W piekle będzie was męczyło pragnienie.

Po wyjściu na podwórze przed kaplicą wyjęła papierosa z paczki, którą dostała od Merle, i go zapaliła. Drugiego wręczyła Alfonse’owi. Palili przez chwilę w milczeniu, a potem Alfonse pochylił się i podał jej koniec lontu.

Dotknęła go papierosem. Patrzyła, jak płonie, wijąc się i strzelając iskrami. W końcu płomień zniknął we wnętrzu kaplicy.

Czekali jeszcze przez chwilę.

Popatrzyła na Alfonse’a.

– Czy…?

Rozległ się głuchy huk i zatrzęsła się ziemia. Po chwili usłyszeli następną stłumioną eksplozję i kolejną, a potem cały ciąg wybuchów, niczym grzmot podczas burzy. Drzwi kaplicy otworzyły się, a papieros wyskoczył jej z palców.

Ze środka budynku buchnął czarny obłok i przesłonił blask księżyca. To nie był dym, tylko pył. Góra opróżniała swoje płuca.

Stella podniosła papierosa. Wciąż nie zgasł.

– Hmm – odezwała się głośno. Spodziewała się czegoś więcej. Po chwili w drzwiach pojawił się ogień. – Tak lepiej.

Żałowała, że nie mogli zostać i patrzeć na pożar.

* * *

Zbliżał się świt, kiedy dotarli na przełęcz Rich Mountain. Wysiedli z chevroleta i patrzyli, jak słońce wschodzi nad szczytem Thunderhead. Błękitna mgła spowijała góry. Światło słońca pełzło po dnie doliny, a jesienne drzewa wyglądały, jakby stawały w ogniu.

Czarny dym z kaplicy był ledwie widoczny we mgle. Strażnicy z pewnością już byli na miejscu.

– Ładnie tutaj – odezwał się Alfonse. Zapalił papierosa i podał go Stelli.

Nic dziwnego, że Duchojciec wybrał to miejsce. Nic dziwnego, że rząd miał na nie chrapkę. Kotlina była najpiękniejszym miejscem na świecie.

Stella była wyczerpana i miała ochotę podziwiać widoki przez kolejną godzinę, ale musiała zająć się jeszcze jedną sprawą i czekała ją długa przejażdżka.

– Nie musisz tego robić – powiedziała po raz trzeci.

Alfonse zapalił papierosa.

– Wsiadaj.

27

1938

Stella stała na piaszczystym podwórzu przed domem, zwrócona twarzą w stronę drogi. Popołudniowe słońce rzucało długie cienie na czerwony piach. U jej stóp leżała torba podróżna.

– Wrócisz – powiedziała Motty.

Staruszka stała po drugiej stronie drzwi z moskitierą i trzymała na rękach niemowlę. Nikt z zewnątrz nie mógł przypadkowo ich zobaczyć, dopóki nie minie bezpieczny okres przejściowy. Potem Motty stwierdzi, że to dziecko kuzynki z Karoliny Północnej, wiedząc, że wszyscy i tak założą, że rodzicami są Stella i Lunk. Jedno kłamstwo przykryje inne.

Taka była tradycja. Wszyscy w kotlinie wiedzieli, że kobiety z rodu Birchów były podejrzane: przychodziły na świat i same rodziły dzieci w związkach pozamałżeńskich – ciąg córek pozbawionych ojców.

– Lena też przysięgała, że nie wróci – odezwała się Motty.

– Nie jestem Leną – odpowiedziała Stella, nie oglądając się.

Stella groziła Bogu. Obiecała, że zabije jego kolejne dziecko. Mówiła poważnie i nadal nie zmieniła zdania. Ale czy po latach, gdy wreszcie przyjdzie ta chwila, wystarczy jej sił? Abraham chciał złożyć swojego syna w ofierze. Bóg oddał swojego syna w ręce wściekłego tłumu. Ale ona nie była bogiem ani biblijnym bohaterem.

Była potworem. Tak po prostu. Jedyne pytanie brzmiało, jak długo może żyć z tą świadomością.

Na podwórze wjechał błyszczący sedan. Stella podniosła torbę. Miała wrażenie, że spakowała do niej pięćdziesiąt kilogramów kamieni z rzeki. W środku znajdowało się tylko trochę ubrań na zmianę – żadnych książek ani ramek ze zdjęciami. Jedyne zdjęcie, jakie posiadała, podarła na kawałki. Po co miałaby zaczynać nowe życie, trzymając się kłamstwa?

– Masz prawo nadać jej imię – powiedziała Motty.

– Nazwij ją jak chcesz.

– Pomyślałam, że dam jej twoje imię.

– Rób jak uważasz.

Merle wysiadła z samochodu. Miała długie nogi i szerokie ramiona. Stella podeszła do niej, a Merle ją przytuliła. Silna ręka otoczyła jej ramiona.

– W porządku?

Stella przycisnęła czoło do ramienia kobiety.

– Zabierz mnie stąd.

Pee Wee otworzył tylne drzwi i sprawnym ruchem wziął od niej torbę.

– To wszystko, co masz, mała?

Obejrzała się na dom. Motty stała za moskitierą, trzymając jedną ręką zawiniątko.

Stella wślizgnęła się na tylne siedzenie. Woń papierosowego dymu bijąca od skórzanej tapicerki przypomniała jej tatę i długie godziny spędzone w pickupie podczas podróży z Chicago. Może pewnego dnia przebaczy mu, że złamał słowo dane Lenie i odwiózł ją do kotliny. Może pewnego dnia przebaczy mu, że jej nie ochronił. Ale była wdzięczna za jedną rzecz, którą zrobił. Nauczył ją, jak się odchodzi.

28

1948

Elektryczny zaparzacz do kawy był niezwykle eleganckim i wydajnym urządzeniem. Stelli podobało się w nim wszystko: mała szklana kopuła, przez którą można było patrzeć na bulgoczącą kawę, wesołe czerwone światełko zasilania, wnętrze z nierdzewnej stali i malowana ceramiczna powłoka. Miała wrażenie, że przeniosła się w przyszłość.

Siedzieli z Alfonse'em przy stole i napełniali nawzajem swoje filiżanki. Oboje czuli się wyczerpani po całodobowej podróży samochodem, ale cieszyła ich ta urocza imitacja domowego życia. Colt Alfonse'a leżał między nimi na stole.

Właśnie pili trzecią filiżankę, gdy w dalekim salonie otworzyły się drzwi wejściowe. Veronica i Rickie kłócili się przyciszonymi, gorączkowymi głosami. Do kuchni weszła ciocia Ruth. Początkowo nie zauważyła nieznajomych i przez chwilę jej twarz stanowiła obraz zagubienia: blada cera, zapadnięte oczy. Kobieta w rozsypce.

Potem zauważyła, że przy jej stole siedzi zabójczyni jej męża naprzeciwko czarnoskórego mężczyzny. Trzeba przyznać, że nie zaczęła krzyczeć ani płakać. Jej twarz stężała.

Stella odstawiła filiżankę.

– Witaj, Ruth.

Kłótnia w sąsiednim pokoju ucichła. Stella czekała.

Veronica wślizgnęła się do kuchni z szeroko otwartymi oczami. Wyglądała na równie zdruzgotaną jak jej matka. Rickie stał za jej plecami. Miał rękę na temblaku. Zobaczył Alfonse'a i poczerwieniał.

Alfonse wstał.

– Dzień dobry, proszę pani.

Rickie wparował do pomieszczenia.

– Co, do cholery, robi tutaj…? – Prawie zdołał powiedzieć słowo, którego Alfonse nie lubił, ale ten błyskawicznie zdzielił go pięścią w nos.

Rickie krzyknął i zakrył nos wolną ręką.

– Marynarka wojenna – mruknął Alfonse pod nosem.

Veronica wybuchła płaczem.

– Stello! Co tutaj robisz? Co się stało z tatą?

– Może wszyscy usiądźmy – zaproponowała Stella.

Ruth kipiała ze złości.

– Wynoś się z mojego domu.

– Dopiero kiedy dostanę to, czego potrzebuję.

– Rickie, wyrzuć tych ludzi.

Ale Rickie nie był w stanie nikogo wyrzucić. Veronica chwyciła go za rękę i próbowała pocieszyć. Miał ciężki tydzień. Pokaleczyły go drzazgi, dostał łopatą, człowiek z gór zdzielił go pięścią.

– I zadzwoń po policję – dodała Ruth. – Wiemy o pożarze. To ty go wywołałaś, prawda? Zamordowałaś go.

Stella rozprostowała palce. Ruth wpatrywała się w jej otwarte dłonie. Stella nie wiedziała, jak dużo widzieli mężczyźni w kaplicy albo jak dużo przekazali dalej.

– Matko – odezwała się Veronica. – Proszę. – Vee zamknęła oczy. Otworzyła je. Pomiędzy tymi dwiema chwilami coś rozważała. – W porządku, powiedz nam, czego chcesz.

– Objawień. Pierwotnych odręcznych zapisków, poczynając od tekstów Russella Bircha.

– Co takiego? – Ruth była oburzona.

– Należą mi się – odparła Stella.

– To absurd – rzuciła Ruth. – Nie opuszczą tego domu. To święte teksty.

Stella odsunęła krzesło i wstała.

– Zaprowadź mnie do sejfu, Vee.

Alfonse podniósł colta.

Wąskie usta Ruth wykrzywił grymas przypominający radość.

– Tylko Hendrick zna szyfr. Hendrick i ja. A ja nigdy nie pozwolę, żebyś położyła na nich swoje brudne łapy.

Veronica odwróciła się i wyszła z pomieszczenia. Stella podążyła za nią.

– Veronico Louise Birch! – zawołała Ruth. – Wróć tu natychmiast!

Rickie ruszył za nimi, ale Alfonse go zatrzymał.

– Ejże, zaczekamy tutaj.

– To nie potrwa długo – zapewniła go Stella.

Gabinet Hendricka znajdował się na końcu korytarza. Stella przeszła przez cały dom, kiedy przyjechali tu godzinę wcześniej, i wtedy pomieszczenie było puste. A przynajmniej nie było w nim ludzi. Każdy pokój był pełen mebli: stołów i foteli, lamp i szaf. Olbrzymie biurko Hendricka przypominało

wywróconą szalupę ratunkową. Za nim znajdował się sejf, obok którego stała znajoma zielona walizka.

Veronica podeszła do sejfu, uklękła przed nim i starannie wprowadziła szyfr. Stella podejrzewała, że dziewczyna tylko udaje niepewność. Musiała otwierać ten sejf sto razy.

Sterta rękopisów była zaskakująco mała.

– Schowaj je do walizki – poleciła Stella.

Veronica zaczęła pakować zapiski, powoli i starannie. Niektóre miały tekturowe okładki, jak księgi rachunkowe. Inne miały postać luźnych kartek związanych sznurkiem.

– Z Sunny wszystko w porządku? – spytała.

– Będzie w porządku.

– Dzięki Bogu.

– Nie udawaj, że ci na niej zależy.

– Mylisz się. Zależy mi. Dopóki istnieje Objawicielka gotowa służyć Bogu w Górze, praca może trwać, jedno ciało, wiecznie…

– Wasz Bóg nie żyje.

Veronica znieruchomiała.

– Słyszałaś, co powiedziałam.

Stella trochę jej współczuła. Śmierć Duchojca wciąż była dla niej zagadką. Tyle tajemniczych Objawień, pokolenia kobiet poświęcających temu swoje życie, niekończące się obietnice nieśmiertelnego ciała odpornego na trucizny świata… Wszystko to na nic?

Veronica potrząsnęła głową, jakby dopiero się obudziła.

– Nie wierzę ci. Nie da się zabić Boga.

– Spytaj o to Jezusa.

– On zmartwychwstał.

– Wiesz to z Pisma – odparła Stella. – Biblia tak ci powiedziała. – Stella zatrzasnęła wieko. Okazało się, że w jednej walizce może się zmieścić cała religia. Przeniosła ją do drzwi. Zatrzymała się. – Jeszcze jedno.

Veronica przeciągle westchnęła.

– Nie wiem, ile kopii Hendrick stworzył. Nie wiem, gdzie je schował. Ale radzę ci je wszystkie spalić. Jeśli kiedykolwiek napotkam gdzieś chociaż jeden egzemplarz albo dowiem się, że próbujesz wydać któryś z tekstów, wrócę tu i zabiję was wszystkich. Ciebie, twoją matkę, Rickie’ego. Wszystkich.

– Nie zrobiłabyś tego – wyszeptała Veronica.

– Powiedz mi, Veronico. Chętnie posłucham, do czego jestem, a do czego nie jestem zdolna, żeby ochronić swoją rodzinę.

– Ale… ale przecież my jesteśmy twoją…

– Nie. Nie jesteście. Nigdy nie byliście.

* * *

Alfonse wiózł ich na północny zachód, aż słońce zaczęło ich oślepiać przez brudną przednią szybę, a linie na autostradzie zaczęły się rozmazywać i skakać im przed oczami.

– Prześpij się – powiedział. – Zawiozę cię do domu.

Ale nie mogła odpocząć, jeszcze nie. Zielona walizka leżała na podłodze.

– Możesz zatrzymać? – poprosiła.

– Za pół godziny dotrzemy do stacji benzynowej – odpowiedział. – A przynajmniej do takiej, z której można skorzystać.

– Nie o to chodzi. Możesz stanąć tam. – Wskazała puste pole ciągnące się wzdłuż drogi.

Bolała ją ręka. Dwie godziny wcześniej wypaliła ostatniego papierosa. Do tego była wykończona. Gdyby jechała sama, już dawno wypadłaby z drogi. A gdyby Alfonse jechał sam, już dawno zatrzymałaby go policja. Gliniarze w Georgii byli gorsi od tych w Tennessee.

Samochód się zatrzymał. Stella otworzyła schowek i wyjęła słoik z księżycówką. Wypiła długi łyk, wdzięczna za nutę słodyczy, która pojawiała się tuż przed długim palącym finiszem.

Wysiadła z auta i położyła walizkę na siedzeniu. Otworzyła ją. Na wierzchu sterty leżały najnowsze notatniki oprawione w jaskrawą skórę. Widniało na nich jej imię.

– Kurwa jego mać.

– Wszystko w porządku? – spytał Alfonse.

– Moja kuzynka sobie ze mną pogrywa. – Veronica rozmyślnie położyła tam tę książkę, Stella była pewna. Otworzyła ją na pierwszej stronie.

KSIĘGA STELLI
Czyli piąty tom Nowego Objawienia
od Boga w Górze dla Stelli Wallace,
spisanego przez Hendricka Bircha, jej wujecznego dziadka,
z komentarzem i objaśnieniami Hendricka Bircha

Przewróciła stronę i gwałtownie cofnęła rękę. To była trucizna. Nie potrzebowała tych myśli w swojej głowie.

Wyniosła walizkę na pole. Odkręciła słoik i oblała kartki alkoholem.

Pierdol się, Hendricku Birch. I pierdol się, Duchojcze.

Sięgnęła po zapałki.

* * *

Otworzyła oczy, gdy światła reflektorów padły na tablicę WITAMY W SWITCHCREEK.

– Już prawie jesteśmy – rzekł Alfonse.

Poprawiła się na siedzeniu. Przespała większość drogi od czasu spalenia rękopisów. Alfonse zgasił światła, wjechał rozpędem na podjazd Merle i zatrzymał samochód.

– Po tym wszystkim lepiej na jakiś czas udaj się na plażę Myrtle – powiedziała Stella.

– To chyba dobry pomysł. Kiedy wrócimy, zastanowimy się, jak wybudować nową destylarnię.

– Mam już dosyć tego biznesu. Ale ty masz moje błogosławieństwo i możesz korzystać z receptury.

– To szaleństwo! Nie będę tego robił bez ciebie. Stanowimy zgraną drużynę, Stello. Produkujemy cholernie dobry bimber. Musimy tylko przez jakiś czas się nie wychylać.

– Plaża Myrtle to dla mnie za blisko, muszę wyruszyć na morze. Nie wiem, kiedy wrócę. Może nigdy. Muszę zaopiekować się dziewczynką.

Rozmyślał o tym przez dłuższą chwilę, wpatrując się w przednią szybę.

– Cholera – mruknął w końcu.

– Właśnie.

– To było cholernie udane małżeństwo.

– Najlepsze.

Nachyliła się i pocałowała go w policzek.

– Mój Wódczany Mężu.

– Moja Bimbrowa Żono.

* * *

Dom był pogrążony w ciemności. Weszła cicho, bez pukania, żeby nikogo nie obudzić, i kroczyła ostrożnie. Wiele razy spacerowała po tych pokojach w środku nocy i wiedziała, że wpadnięcie na stertę książek może wywołać lawinę.

Z salonu dobiegało chrapanie, od którego drżały ściany. Abby. Drzwi sypialni Merle i Pee Wee’ego były zamknięte, ale te od dawnego pokoju Stelli były

uchylone.

Sunny leżała na łóżku pod grubym kocem, a długie włosy zakrywały jej twarz. Wyglądała spokojnie. Była bezpieczna, przynajmniej na razie. Będą musiały zamieszkać w miejscu oddalonym od świata, podobnie jak kotlina. Ale żadnych jaskiń – mała będzie zażywać słońca, czytać książki i mieć dużo miejsca na spacery. Wyjadą tak daleko, żeby nigdy nie spotkać innych ludzi. Niełatwo znaleźć takie pustkowie. Być może wybiorą się na zachód. Kurwa, może nawet na Alaskę.

Stella usiadła na łóżku. Miała ochotę dotknąć dziewczynkę, ale bała się, że ją obudzi. Sunny musiała myśleć, że to Stella zabiła jej Boga, a Stella na razie nie miała siły, żeby się z nią kłócić ani niczego tłumaczyć. Nie znała odpowiedzi.

Coś leżało na poduszce obok dziewczynki. Krzyżyk z gałązek związanych włóczką. Nie, nie krzyżyk. Figurka ludzika.

Ktoś dotknął jej ramienia. Merle.

– To jedno z jej dzieci – wyszeptała. – Robiła je przez cały dzień.

Wyszły na korytarz.

– Dobrze się czuje? – spytała Stella. – Nikogo nie… skrzywdziła?

– Och, Stello. Nie. Nie. Nic jej nie jest. Jest spokojna, ale zdrowa. A jak ty się trzymasz?

– Dobrze, jestem tylko zmęczona. Czy Abby…?

– Mój brat bywał już w gorszych opałach. Pee Wee po południu zabrał go do lekarza, gdzie włożyli mu rękę w gips i obandażowali żebra. Po kolacji zasnął na kanapie.

– To dobrze… – Nie wiedziała, co jeszcze może powiedzieć.

– Skarbie. Skarbie. – Merle patrzyła na nią ze współczuciem. – Połóż się obok Sunny. Nie martw się, ona śpi jak kamień.

Merle znalazła dla niej koszulę nocną. Stella zdjęła figurkę z patyków z poduszki i wślizgnęła się do łóżka. Sunny nawet nie drgnęła. Oddychała swobodnie, a jej ciało promieniowało ciepłem. Mała dziewczynka w wielkim łóżku. Jej siostra.

* * *

Ktoś nucił.

Stella otworzyła oczy i się skrzywiła. Pokój był pełen jaskrawego słonecznego światła. Nie wiedziała, jak długo spała, ale na pewno za krótko. Miała wrażenie, że ktoś przepuścił jej ciało przez wyżymaczkę.

Sunny siedziała obok niej na posłaniu. Otoczyła się kilkunastoma figurkami z patyków. Trzymała jedną z nich w dłoni i wpatrywała się w nią, jakby ta miała

przemówić. Nuciła bez wyraźnej melodii, ale niewątpliwie była wesoła.

Jest piękna, pomyślała Stella. Ta skóra jak rubinowe szkło. Z pewnością znajdą dla niej miejsce.

Dotknęła ręki dziewczynki.

– Hej.

Mała popatrzyła na nią ciemnymi oczami. Odłożyła figurkę i delikatnie dotknęła policzka Stelli, a ona poczuła wybrzuszenie na jej dłoni, jak orzech włoski kryjący się pod skórą.

– Przebaczamy ci – powiedziała Sunny. Słowa powoli wydobyły się z jej ust, jakby tłumaczyła je z jakiegoś bardziej złożonego języka. Musnęła kciukiem policzek Stelli. – Teraz jesteśmy tutaj. Całkowicie tutaj.

– Sunny?

– Tak – odpowiedziała dziewczynka. – I nie. – Nachyliła się do ucha Stelli i wyszeptała: – Możemy zdradzić ci tajemnicę?

Podziękowania

Obie strony mojej rodziny pochodzą z Cades Cove w Tennessee, a moi przodkowie należeli do osób, których majątki wykupiono, gdy tworzono park narodowy. Mój ojciec, Darrell Gregory, był bezpośrednim potomkiem Russella Gregory'ego, którego zamordowali rebelianci z Karoliny Północnej pod koniec Wojny Domowej. Mój tata uwielbiał historię Cades Cove i wędrówki szlakami w parku. Zmarł, kiedy pisałem tę książkę, i żałuję, że nie napisałem jej szybciej, aby mógł zobaczyć ją w ostatecznym kształcie.

Moja matka, Thelma Gregory, podsunęła mi mnóstwo dobrych książek, które ostatecznie doprowadziły do powstania tego dziwnego dzieła. Szczególnie przydały mi się dwie książki A. Randolpha Shieldsa: *The Cades Cove Stor*y i *The Descendants of Robert and Margaret Emmert Shields of Cades Cove, Tennessee*, jak również *Born in a Split-Level House: Bert Garner and the Squirrels and Other Stories and Essays* autorstwa Leslie G. Walker. Mama i tata już od wczesnych lat życia często zabierali mnie do kotliny i dlatego kocham to miejsce.

Mój wujek, Clinton Barbara, jest wprawnym preparatorem, którego cudowny dom zdobią jego dzieła. Kiedy miałem dziesięć lat, podarował mi wypchaną głowę szopa pracza, która do dzisiaj wisi nad moim kominkiem. Mój wujek zna się na jeszcze jednej sztuce, która odgrywa ważną rolę w tej książce. Pewnego popołudnia w 2019 roku, kiedy usiedliśmy, żeby skosztować jego produktów, podzielił się ze mną jedną ze swoich receptur, wyjawił kilka branżowych tajemnic oraz opowiedział o swoich konfliktach z prawem.

Skoro już mowa o kosztowaniu, Jack Skillingstead i ja spędziliśmy wiele wieczorów w Whisky West w Seattle i jeszcze więcej popołudni w Uptown Espresso („Domu aksamitnej pianki"), narzekając na to, jak trudny jest los pisarza. Bez niego nie napisałbym tej książki.

Liza Trombi stale musiała się ze mną użerać, gdy pracowałem nad książką. Przeczytała wiele wstępnych wersji tekstu i już na początku podarowała mi książkę *Cades Cove: The Life and Death of a Southern Appalachian Community 1818–1937* Durwooda Dunna, która okazała się ogromnie przydatna. Także inne

osoby czytały moją książkę na różnych etapach jej powstawania i służyły mi pomocą. Na szczególne podziękowania zasługują Nancy Kress, Chris Farnsworth, Stephanie Feldman, Dave Justus, Emma Gregory, Ian Gregory i Ysabeau Wilce, a także grupa pisarzy z Bay Area: Lisa Goldstein, Derrend Brown, Eliot Fintushel, Susan Lee, Lori White, Gary Shockley i David Cleary.

Ostatnie szlify moja książka zawdzięcza ekipie zawodowców z branży wydawniczej. Wielu z tych osób nie znam, ale chciałbym podziękować zespołowi redaktorów i korektorów, w którego skład wchodziły Lisa Silverman, Annette Szlachta-McGinn i Jane Elias, która uchroniła mnie przed wieloma błędami, a także artyście Danowi Hillierowi, który stworzył ilustrację zdobiącą okładkę, słuchając przy pracy wersji audio. Dan, twoje prace są piękne.

W końcu dziękuję swojemu agentowi literackiemu, Sethowi Fishermanowi, oraz agentce medialnej, Florze Hackett, za ich entuzjazm na wczesnym etapie pracy, gdy wciąż byłem zagubiony, a także Timowi O’Connellowi, Annie Kaufman i Robertowi Shapiro z wydawnictwa Knopf, którzy wskazali mi drogę do światła.

O autorze

Daryl Gregory jest autorem między innymi powieści *Wyginacze łyżeczek*, *Afterparty* i *The Devil's Alphabet.* Jego nowela *We Are All Completely Fine* zdobyła World Fantasy Award i Shirley Jackson Award.